

OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI I ROZPACZY AUTORA „PANNY MIŁOJEM W ŻALOBIE”

Cornell
WOOLRICH

NOC
MA TYSIĄC OCZU

CGT

Woolrich Cornell

Noc ma tysiąc oczu

Tom Shawn w policyjnej karierze miał sporo osiągnięć, ale dotąd nie uratował życia żadnej samobójczynie. Tak się stało, że Jean Reid, którą - w ostatnim chyba momencie - dostrzegł stojącą na moście. A potem wysłuchał opowieści zrezygnowanej i pogodzonej z losem córki milionera. Opowieści równie szokującej, co upiornej. Związanej z tajemniczym osobnikiem, Jeremiahem Tompkinsem, który podobno umiał przewidzieć przyszłość. Od niego to właśnie ojciec Jean, Harlan Reid, usłyszał najpierw sporo wieści pomocnych mu w pomnożeniu fortuny, a teraz tę jedną, najgorszą: o bliskiej śmierci. I skoro tamte się dziwnym trafem spełniły, to i ta jedna musi... Teraz Tom Shawn ma tylko kilkadziesiąt godzin, by zatrzymać wyrocznię i odkryć, co naprawdę się za tym wszystkim kryje...

Czesc 1

1

SPOTKANIE

Co noc wracał do domu, idąc wzdłuż brzegu rzeki. Co noc, około pierwszej. Robisz tego rodzaju rzeczy, gdy jesteś młody; chodzisz wzdłuż brzegu, spoglądasz na wodę, patrzysz w gwiazdy. Czasem robisz to nawet wtedy, gdy jesteś detektywem i absolutnie nie masz nic wspólnego z gwiazdami.

Mógłby wsiąść do autobusu i po skończonej służbie pojechać do domu jak inni. Wzdłuż brzegu rzeki nie szedł na skróty do miejsca, w którym mieszkał. Ta droga była nawet trochę dłuższa. Ale to wcale mu nie przeszkadzało. Nad wodą dobrze się gwizdało, głos brzmiał lepiej. Gwiazdy były bardziej błyszczące, chciało się na nie patrzeć, gdy odbijały się w wodzie. To właśnie powodowało, że mógł sobie pomarzyć; tak pomarzyć, jak tylko może sobie na to pozwolić ktoś, kto ma więcej niż dwadzieścia lat. Nie można marzyć w autobusie, kiedy tkwisz w ciżbie ludzkiej.

I tak — co noc wracał do domu wzdłuż rzeki. Co noc, około pierwszej, albo trochę później.

Cokolwiek tak właśnie robisz, albo jeśli robisz coś przez dłuższy czas, to pewnego razu nagle coś się wydarzy. Coś, co się liczy, coś, co ma znaczenie, co może zmienić całe twoje życie. I zapominasz o wszystkim, co wydarzyło się przedtem, a zapamiętasz tylko to jedno zdarzenie.

Nazywał się Shawn. Inni nie rozumieli go. Ale czy w ogóle można kogoś dobrze zrozumieć? Nie wysilali się za bardzo; nie mieli na to czasu. Po prostu zagadywali go w chwili, gdy kończyli służbę.

— Hej, Shawn, idziesz z nami?

— Nie, chyba wrócę do domu wzdłuż rzeki.

Potem oddalali się swoją drogą, a on szedł swoją i ktoś mruknął — nie żeby z niechęcią: — Jakoś nie mogę go zrozumieć.

— To rodzaj marzyciela, jak sędzę — dodał inny.

Kiwali głowami, ale tylko z łagodną dezaprobatą, jak gdyby to był jakiś nieważny defekt, o którym można łatwo zapomnieć, stanowczo za błahe, żeby zepsuć stosunki w ich grupie. Przez następne dwa miesiące nie wspomniano o tym, ponieważ nie była to zbyt podpadająca odmienność.

Tak więc teraz rzeka, on i noc.

To jego gwizdanie trochę go wyprzedzało, znajdowało się jakby przed nim, a potem gonilo go, gdy szedł dalej równym, swobodnym krokiem. Nie było to zbyt głośne gwizdanie. Wesołe i niezbyt czyste. Zwykle gwizdał to samo: *Pokaż mi drogę do domu*. Była to odpowiednia melodia, gdy idzie się brzegiem rzeki i ma się dwadzieścia osiem lat.

Dookoła panował spokój. Nikogo w pobliżu. Tylko on i gwiazdy. Od czasu do czasu spoglądał na nie. Tej nocy było ich bardzo dużo. Nigdy przedtem niebo nie wyglądało jak połyskująca tkanina.

Brzeg rzeki był bardzo wysoki, wznosił się na podobieństwo urwiska. Potem łagodnie zakręcał tam, gdzie wchodziło się na most. Po stronie, którą szedł, rozciągało się miasto, po drugiej były pola i wsie. Mógł widzieć światła jakiegoś bulwaru, biegły niczym sznur koralików na sznurze, z tym że mniej było samych koralików, a więcej pustych miejsc. Czasem poruszało się między nimi pełzające światełko — to szybko mknący samochód.

Dostrzegał ściany budynków na skraju miasta. Były dość daleko, z otworami rozmieszczonymi w nieregularnych odstępach i na różnych poziomach. O pierwszej w nocy większość tych otworów zaczerniał już sen. Przed ceglanyimi ścianami biegły jeszcze dwie lub trzy linie ruchu ulicznego — jakby zamknięte w betonowych fosach. A przed nimi rozciągał się szeroki pas drzew z młodymi, czerwcowymi liśćmi; tu i ówdzie stała pojedyncza latarnia, której światło powodowało w koronach drzew o ciemnym listowiu eksplozję żywej zieleni. Potem była brukowana dróżka, którą szedł, mieniająca się w tym samym oświetleniu niebieskawą czernią i srebrem. Po drugiej stronie dróżki wznosiło się kamienne podwyższenie sięgające pasa, za którym teren gwałtownie opadał w stronę wody.

I tam właśnie, na tej dróżce, było najlepsze miejsce do gwizdania, wpatrywania się w gwiazdy i snucia marzeń, jeśli w ogóle miał jakieś marzenia. Lecz któż w drodze do domu nie ma choćby jednego płonnego marzenia, gdy liczy sobie tylko dwadzieścia osiem lat?

Kiedy tak szedł dróżką przypominającą grzbiet zebry — raz była jasna, raz ciemna i znów jasna — jego wzrok spoczął na początku jednego z tych jasnych pasów i wtedy odniósł dziwne wrażenie, które czasami nawiedza każdego, że u jego stóp leży jakiś banknot. W tym momencie nie zwrócił na to szczególnej uwagi i postąpił jeszcze kilka kroków naprzód. Byłoby to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Zawsze, gdy się schyliłeś, okazywało się, że to wcale nie był banknot, i prostowałeś się z uczuciem, że zrobiłeś z siebie głupca.

Teraz przestał gwizdać, zatrzymał się, odwrócił i cofnął parę kroków. Schylił się i podniósł to coś. Tym razem okazało się, że to rzeczywiście były pieniądze. Banknot pięciodolarowy.

Z jego ust wydobył się gwizd, tym razem pozbawiony melodii, coś jakby gwałtowny wydech; obejrzał banknot i zaczął wsuwać go do kieszeni spodni.

W jego stronę wiał łagodny wietrzyk, z kierunku, w którym zmierzał. Zanim wsunął banknot do kieszeni, spostrzegł, że w jego stronę zbliża się coś w niekontrolowanych podskokach. To coś zatrzymywało się, podskakiwało dalej, potem znów się zatrzymywało... wysunął stopę, aby zagrozić temu przedmiotowi drogę. To był następny banknot, tym razem jednodolarówka. Pochylił się i przyjrzał bliżej jasnym i ciemnym pasom na dróżce. Wiodły w stronę mostu. Nie było tam nikogo.

Ruszył szybko do przodu, trzymając oba banknoty w ręku. Teraz już nie gwizdał. Zatrzymywał się i szedł dalej. Już miał trzy banknoty. Szedł szybciej niż przedtem. Znowu stanął. W jednej ręce trzymał trzy banknoty i jeden w drugiej. Szesnaście dolarów — jak gdyby zbierał z ziemi liście.

Właśnie skręcał i ukazało się przed nim wejście na most. Brukowana ścieżka prowadziła dalej, jednak teraz już nad wodą. Murek ograniczający ją też biegł dalej, tyle że nie było już pod nim ziemi, ale pusta, ginąca gdzieś poniżej przestrzeń. W tym miejscu było jaśniej, gdyż po obu stronach drogi wiodącej na most stały wyso-

kie, ozdobne latarnie. Ale dalej, na moście, znów było ciemno — niczym w biegnącym pod krzyżującymi się dźwigarami tunelu.

Jednak jego droga nie prowadziła przez most. Zwykle mijał go i szedł dalej, wciąż po stronie miasta, wzdłuż nadbrzeża. Ale zwykle nie podnosił z ziemi żadnych pieniędzy.

Coś błysnęło, jakby jedna z gwiazd spadła nagle na chodnik. Chwycił tę iskierkę i stwierdził, że trzyma w palcach pierścionek z brylantem. Pierścionek miał tylko jeden kamień, ale za to duży i wyjątkowo ładny.

Rozejrzał się ostrożnie. Nikogo nie zauważył. Coś jednak zakłócało jednostajność krajobrazu. W pobliżu jednej z ozdobnych latarni, na murku, leżało coś. Kiedy dotarł do tego, wiedział, skąd pochodziły znalezione pieniądze i pierścionek. Była to czarna damska torebka, wykonana z jakiegoś delikatnego materiału, prawdopodobnie z zamszu. Nie znał się specjalnie na tego rodzaju przedmiotach, ale wydawało mu się, że musi być kosztowna. Widniał na niej wymyślny monogram, wykonany z jakiegoś błyszczącego materiału, który, jak się później dowiedział, nazywał się markazyt.

Ta torebka nie została porzucona przypadkowo, ale również najwyraźniej nikt jej nie zgubił, ponieważ leżałaby wtedy na ziemi, a nie w tym miejscu. Bo ona nie leżała na ziemi. Leżała na murku. Była wywrócona podszewką na wierzch, zgnieciona i szeroko otwarta. Wyglądało na to, że ktoś trzymał ją w powietrzu zwróconą zamkiem w dół; z pewnością zrobiła to jej właścicielka. Wyglądało, że uczyniła to na poziomie ramion lub twarzy, a potem rozmyślnie otworzyła ją w tej pozycji — odwróconą w dół. Zawartość wypadła i rozleciała się dookoła. A potem, gdy torebka była już pusta, zgniotła ją, nadal otwartą, i położyła na murku, zostawiając w tej pozycji, niczym symbol odrzucenia.

Natychmiast zauważył, że wokół leżą przedmioty, które, jak sądził, ta kobieta powinna uważać za drogie jej sercu. Płaska, metalowa puderniczka, kryształowy pręcik, strzaskana fiołka perfum, które przesyciły powietrze słodkim zapachem.

Nie znał się na kobietach i ich sprawach, ale był przekonany, że nigdy nie pozbywały się tego rodzaju rzeczy. To musiało być związane z jakimś ostatecznym rozstaniem. Tuż obok, w samym środku zagłębienia, leżała kula zgniecionych papierowych pieniędzy, które

wzmagający się wietrzyk dopiero co zaczął rozwiewać na jego drodze. Chwycił zwinięte banknoty i wrzucił z powrotem do torebki.

Dalej leżało coś jeszcze. To nie mogło wypaść z torebki, było za daleko. Krótki, jedwabny pasek, a może dwa paski, a między nimi wianuszek diamentów otaczających mikroskopijną tarczę z numerkami i wskazówkami. Zegarek na rękę. Jego pozycja mogła opowiedzieć swą historię komuś, kto potrafił odczytywać tego rodzaju znaki. Jeden koniec paska był przyczepiony do wewnętrznej strony balustrady, sam zegarek leżał na wierzchu, natomiast drugi koniec paska zwisał w dół. Kiedy podniósł zegarek, zauważył, że szkiełko, starte na proszek, znajdowało się na balustradzie. Oznaczało to, że właścicielka zegarka zdjęła go i trzymając za paseczek, uderzyła nim o balustradę, aby go rozbić i zatrzymać na określonej godzinie. Zmrużył oczy i zbliżył tarczę zegarka do słabego światła. Wskazywał 1:08. Nie chodził. Spojrzał na swój zegarek, była 1:12. A więc coś wydarzyło się cztery minuty temu. Wtedy czas zatrzymał się dla kogoś.

A potem zobaczył ją.

Nie stała na moście, było tam pusto, jak tylko sięgał wzrokiem. Znajdowała się wysoko, na poręczy, stała wyprostowana, ale nawet w tej pozycji zdawała się przed nim ukrywać. Kryła się za jednym z kamiennych cokołów lub przyczółków, który wznosił się dość wysoko i wspierał stalowe belkowanie głównej konstrukcji mostu.

Wiatr lekko szarpał skraj jej spódnicy i to właśnie przyciągnęło jego uwagę, gdy rozglądał się po pustym moście. Ale ona nie widziała go, ponieważ znajdowała się po drugiej stronie, patrzyła w dół, na rzekę. Stała tyłem do niego.

Jakoś dziwnie poruszała stopą. Odniósł wrażenie, że jedna noga zgięła się, jakby się w coś zaplątała. Usłyszał przytłumione uderzenie buta spadającego na chodnik i noga się wyprostowała. Potem zgięła się druga noga i drugi but spadł na chodnik. Oba upadki wywołały niewielki hałas, jednak wokół panowała taka cisza, że te odgłosy zostały zwielokrotnione przez echo. Nagle przemknęła za nią na skos czerwona iskra, spadła na jezdnię i zgasła. Był to wyrzucony przez ramię papieros. Miał to być jej ostatni gest, ostatnia wola, wszystko, co pozostawiała. Teraz nie zostało już nic, tylko odejście.

Ale on już biegł, nisko pochylony, czujny. Biegł tak od kilku sekund, od chwili gdy zauważył targaną wiatrem spódnicę. Poruszał się na palcach, aby go nie usłyszała; był przerażony. Od dziesięciu lat nie doświadczył takiego uczucia. To przerażenie nie było spowodowane zagrożeniem jego samego i nie dotyczyło jego własnego bezpieczeństwa, ale było jeszcze gorsze. Instynktownie czuł, że gdyby teraz krzyknął, prawdopodobnie przyspieszyłby jej decyzję i szybciej wysłał ją w zaświaty.

Ona nie może go usłyszeć; tempo działania, jakie sobie wyznaczyła, nie zostało zmienione.

Kiedy wysunął się spoza zasłaniającej ją z brzegu budowli, mógł ją teraz zobaczyć w całej okazałości. Jej głowa była trochę odchylna do tyłu, a nie ku rzece. Zakrywała oczy dłońmi, jakby oślepiały ją gwiazdy. Chroniła oczy przed gwiazdami, a nie przed widokiem wody w dole. Ale ta zasłona z dłoni od dołu trochę odstawała, a od góry, wzdłuż brwi, ściśle, wzbraniająco przylegała do twarzy.

Dotarł wreszcie do kamiennego przedmurza i całym impetem, uderzając o balustradę, objął ją, a uderzenie spowodowało, że zniknęła w ciasnym uchwycie jego ramion.

Jedną ręką chwycił kobietę od tyłu, za nogi pod kolanami, przyciągając je razem i łącząc w nagle unieruchomioną całość. Druga ręka przywarła wyżej, wokół talii, ograniczając możliwość przechylenia się i rzucenia do przodu głowy, ramion i całej górnej połowy ciała.

Zachwiała się bezwładna i oszołomiona. Wszystko działo się bez udziału jej woli. Jej ramiona bezsilnie opadły po bokach, głowa jeszcze bardziej odchyliła się do tyłu, z szyją wygiętą w łuk ku gwiazdom.

To znieruchomienie, ta uległość... Przez chwilę zatrzymał się, ale nie na długo. Teraz nie myślał o niczym; ona zapewne też nie myślała o niczym.

A potem, w jednej chwili, stała obok niego na chodniku ściągnięta kilkoma szybkimi ruchami. Wpierw odciągnął ją do tyłu tak, że przez chwilę zdawało się, iż spoczywała bezwładnie w jego ramionach, chociaż w istocie tak nie było; on tylko trzymał ją w powietrzu przy sobie. Potem pozwolił bezwładnemu ciału zsunąć się

wzdłuż swego ciała, aż w końcu oparł ją stopami o ziemię. Uwolnił jej przedramię i podtrzymując całe ciało tuż przy sobie, podpierał je ręką, którą przez cały czas opasywał talię kobiety. Skończył, załatwione. Ocalił jej życie.

Dyszał ciężko. Jej oddech był równie gwałtowny z powodu szoku wywołanego gwałtownym dojściem do punktu kulminacyjnego, który w istocie nie nastąpił. Słyszał, jak ciężko oddycha; czekał, aż się uspokoi.

Powoli jej oddech stawał się rytmiczny, a w końcu i on sam zaczął oddychać normalnie.

Znowu uniosła rękę, ale nie zakryła już oczu. Teraz lekko skierowała ją do skroni i zwinęła w pięść, jakby próbowała się przed czymś bronić.

Panowało między nimi dziwne milczenie. Zauważył, że nie uskarżała się, nie wymyślała mu, nie zachowywała się dramatycznie, co w tych okolicznościach byłoby uzasadnione. Natomiast on sam nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedział, co się mówi do ludzi, których powstrzymuje się przed popełnianiem tego rodzaju czynu.

Ktoś musiał zacząć. Nie mogli stać tak przez całą noc.

Pomyślał: mógłbym ją poczęstować papierosem. Ale nie zrobił tego. Jeżeli ktoś nie chce całego świata, na pewno nie zechce papierosa.

Wciąż trzymała głowę w ten sposób, że oczy miała odwrócone od gwiazd, lekko przykładając rękę i zasłaniając przed nimi twarz.

Najprawdopodobniej trwało to zaledwie kilka sekund, ale jemu zdawało się, że milczeli już od wieków.

Wreszcie, nieoczekiwanie mącąc ciszę, odezwał się, wiedząc, że właśnie on zrobi to pierwszy.

— Co się stało? — spytał zupełnie naturalnym głosem, jak gdyby potknęła się, czy coś w tym rodzaju.

— Pozwólcie mi od nich odejść — odparła.

— Od kogo?

Odwróciła twarz, zbliżając ją do jego twarzy, a zarazem odsuwając się od błyszczących punkcików rozsianych po niebie, niejako w ten sposób udzielając odpowiedzi.

— Powinien był pan pozwolić mi odejść od nich. Chciałam się zapaść tam, w głębinę, nie chcę ich widzieć i nie chcę, żeby one mnie widziały.

Oczywiście coś z nią było nie tak; musiało być. Nikt nie ma tego rodzaju odczuć w stosunku do *nich*. Przecież były wspaniałe. One były... po prostu chciało się w nie wpatrywać. Były czymś najpiękniejszym na tym świecie.

— Proszę podejść do światła, żebym mógł lepiej panią widzieć. Proszę mi pozwolić.

Przypuszczał, że ujrzy jakąś wystraszoną, bezbarwną dziewczynę. Pewnie zawiedziona w miłości. Albo coś gorszego — jakąś zmęczoną życiem córę nocy.

Zatrzymał się przez moment. — A to? Nie chce pani tego? — Podał jej buty, trzymając je za paseczki.

W jej odpowiedzi brzmiała łagodna wymówka: — A teraz zmusza mnie pan do chodzenia. Wobec tego muszę je założyć.

Postawiła je z powrotem na ziemi, namacała stopami, pochylając się w zagięciu jego ramienia, aby szybko zapiąć paseczki. Na wszelki wypadek przytrzymał ją w pasie.

Podeszli do najbliższego miejsca, w którym było jaśniej.

Szli powoli, nie obok siebie, chociaż złączeni jego wspierającym ramieniem. Postępowała krok za nim, jakby z ociąganiem.

Zdawało się, że ciągle jeszcze myśli o tym, czego nie udało się jej zrealizować. — Wiem, że chciał pan dobrze, ale nie wyszło panu. Naprawdę. Niech pan tego nie robi. Niech mi pan pozwoli odejść od nich. Niech je pan zgasi. Czy one zawsze muszą tak świecić? Czy nigdy nie przestaną?

Milcząc, potrząsnął lekko głową.

Dotarł do jasnej plamy na ciemnym chodniku. Światło ukazało mu coś absolutnie zaskakującego. W pierwszej chwili opuścił ramię.

— Dlaczego? Proszę na siebie spojrzeć! — wykrztusił. — Myślałem, że pani jest kimś... kimś, kto jest całkowicie załamany... Ale pani jest młoda, piękna, dobrze ubrana. Ma pani wszystko! Dlaczego chce pani zrobić coś takiego?

Nie mógł jej usprawiedliwić. Nigdy nie był zbyt wygadany, a szczególnie teraz; po prostu wypowiedział pierwsze lepsze słowa,

jakie przyszły mu do głowy, ale czuł, że nie wyraża się tak, jak tego wymaga sytuacja.

Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Była niebanalnie piękna, nie krygowała się, nie wydymała ust i nie trzepotała długimi, przyczernionymi rzęsami. Piękno jej twarzy polegało na nienaganych proporcjach. Miała ładnie zarysowane brwi, szeroko rozstawione oczy. Z jej oblicza emanowała szczerłość i stanowczość. Była idealnie harmonijna we wszystkim. Ciągle jeszcze znajdowała się w szoku, nadal była blada. Bez makijażu, była po prostu naturalna, była sobą. Jej włosy, koloru ciemnoblonde, wpadającego w jasny brąz, opadały na ramiona w miękkim, niemniej atrakcyjnym nieładzie, który znakomicie mógł zastąpić najbardziej wyrafinowaną fryzurę. Miała na sobie prostą, ciemną suknię pozbawioną ozdób, choćby guzika, ale suknia tak wspaniale na niej leżała, że z pewnością została uszyta na miarę.

Ponowił pytanie, oszołomiony tym, co zobaczył: — Dlaczego chciała pani zrobić coś takiego? Taka dziewczyna jak pani?

I znowu otrzymał podobną odpowiedź: — Niech je pan zgasi. Niech pan to zrobi. — Jej oczy miały dziki wyraz; wpatrywała się w niego intensywnie. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Ale przecież one nie chcą pani skrzywdzić. One tam są... po prostu tam są. Zawsze istniały i zawsze będą istnieć.

— Wobec tego ja nie chcę istnieć.

Próbował zwalczyć tę jej obsesję. — Proszę posłuchać, jestem tu z panią. Czy przyszedłem tu, żeby panią skrzywdzić? Chyba nie przypuszcza pani, że mogę ją skrzywdzić?

Dotknęła jego ramienia. Nagle ten dotyk zmienił się w kurczowy uścisk. — Nie, *pan* tego nie robi. Ludzie mi tego nie robią. Mężczyźni też. Ludzie mają serca. Można się z nimi porozumieć. Można im powiedzieć: „Zostawcie ją w spokoju”.

— No dobrze, jestem tu z panią. Więc wszystko w porządku. Niech mnie pani tak trzyma, jeśli pani chce. Proszę mnie mocno chwycić. Niech pani to zrobi dwoma rękami, no, dalej.

Zadrżała. — Ale za chwilę pan odejdzie i znów będę sama. Ponownie objął ją ramieniem. Tym razem nie w pasie; otoczył ręką jej ramiona. Udało mu się zrobić z tego coś całkowicie bezoso-

bowego, był to gest czysto opiekuńczy. W ten sposób tuli się dziecko, które się zgubiło. W tym uścisku przeszli kilka kroków. Weszli w ciemność, przekraczając skraj światła, a potem znów wstąpili w nowy świetlny krąg, za którym była następna ciemność.

Zastanawiał się, co ma z nią zrobić. Przecież po tym jak zdjął ją z balustrady mostu, nie mógł tak po prostu uchylić kapelusza i odejść. Iść z nią do domu, odprowadzić ją? W domu wyraźnie nie czuła się dobrze; przecież musiała z niego wyjść, zanim zdecydowała się to... zrobić. Wezwać ambulans, zabrać ją na obserwację do szpitala? Ale to jeszcze bardziej mogłoby ją przestraszyć, a ona była już wystarczająco wystraszona.

Posuwając się powoli, często przystając, doszli do miejsca, w którym leżała torebka z całą zawartością.

Nie uczyniła żadnego gestu, aby zebrać porozrzucane przedmioty. To on zatrzymał się, wszystko pozbierał i włożył z powrotem do torebki. Zawahał się przy stłuczonej fiołce z perfumami. — To chyba nie? — I strącił ją z balustrady.

Nie odpowiedziała. Zdawało się, że nie ma pojęcia, o co chodzi. A jeżeli nawet, to i tak nic ją to nie obchodziło.

Przypomniawszy sobie banknoty, które podnosił z chodnika, wyjął je z kieszeni i wcisnął do torebki.

Leżący osobno rozbity zegarek podał jej wprost do ręki.

Spojrzała na niego z otepiałym zadowoleniem. — Przynajmniej udało mi się go zatrzymać — westchnęła. Potem przymknęła powieki, co oznaczało, że wewnętrznie powstrzymywała się od spojrzenia w niebo. — Ale *one* ciągle tam są.

Obojętnie zwróciła mu zegarek, jak gdyby nie był jej własnością, jakby tylko miała go obejrzeć i oddać. Pozwolił, aby zsunął się z jego ręki i z płynnym błyskiem diamentów wpadł do wnętrza torebki.

Teraz miał już wszystko. Zamknął torebkę i podał jej. Przez chwilę stała bez ruchu. Chociaż minęło już tyle czasu, musiała w niej jeszcze tkwić chęć pozbycia się wszystkiego. — Zechce pani to wziąć, prawda? — nalegał. — Nie — odparła po prostu. — Ale ponieważ pan chce, abym wzięła, więc chyba to zrobię.

Włożyła torebkę pod pachę, tak jak robi to wiele kobiet.

Zadał jej pytanie, ale natychmiast tego pożałował. Zabrzmiało idiotycznie. Gorzej niż to pierwsze, tam, na moście. — Czy teraz pani ma już wszystko? — To tak, jakby pomagał jej wsiąść do autobusu lub pociągu. Może w istocie tak było, może naprawdę pomagał jej wsiąść z powrotem i jechać dalej przez życie, kiedy nieopatrznie wysiadła na złej stacji.

— Tak — odpowiedziała — wszystko. Zegarek, torebkę, życie i moje piekło.

Nie zareagował. Bez względu na to, co powie, nie zmusi go, aby zostawił ją tam, pozwalając, żeby znów zrobiła coś głupiego.

— Czy możemy pójść tędy? — spytał.

Poprowadził ją do ulicy, aby przez nią przejść i udać się w stronę miasta. Drugą ręką trzymał jej rękę, którą wsunęła mu pod ramię. Nie był to mocny uścisk, ale jakby podtrzymujący, kierujący.

Dotąd nie wzbraniała się, ale teraz, na krawężniku zaczynającego się chodnika, zapytała: — Dokąd mnie pan prowadzi?

— Obojętne. Chciałbym gdzieś usiąść i przez chwilę porozmawiać.

Jakby przeczuła, co miał na myśli. — Odciąga mnie pan od rzeki.

— Istotnie — zauważył — są inne, weselsze miejsca.

Nie odpowiedziała. Ale odgadł jej myśli: przecież rzeka może przynieść spokój.

— Tam stoi mój samochód — powiedziała po chwili, jakby właśnie w tym momencie przypomniała sobie o tym.

— Och, dlaczego nie powiedziała mi pani wcześniej? — spytał z ożywieniem. Natychmiast stanął, odwrócili się i poszli w inną stronę. To było trochę dalej, powyżej podjazdu do mostu. — Pójdziemy tam i wsiądziemy, dobrze?

Samochód stał pod drzewami, prawie niewidoczny od tej strony, którą przedtem szedł i rozglądał się, to znaczy zanim ją dostrzegł. Potem, gdy znaleźli się już blisko niego, stał się ciemnym zarysem na tle zamglonych, migocących świateł na ulicy w oddali. Niski, wykonany na zamówienie, kosztowny, czarny, dwuosobowy kabriolet. Poprzez liście padało na niego kilka plam światła wielkości monet, na podobieństwo rzuconych na suknię cekinów, jeden na masce, jeden z tyłu, jeden na klapie dodatkowego, tylnego siedzenia.

Krótko zagwizdał. — To pani? — Próbował ją otrzeźwić, mówiąc to zachęcająco. — I pani chciała *to* zostawić? Miała pani serce? Nie odpowiedziała, nie rozumiała, co się za tym kryło. Usiadł za kierownicą. — Ma pani kluczyki? — Są tu chyba gdzieś w samochodzie.

Znalazł je pod stopami na podłodze. — Zabawne, prawda? — spytał filozoficznie. — Prawdopodobnie, gdyby pani chciała nim odjechać, zniknąłby jak kamfora. Ale ponieważ nie zamierzała pani do niego wrócić, stoi tu sobie spokojnie.

Dotknął czegoś i na ulicę przed nimi wystrzelił strumień platynowego światła, rozjaśniając ją gwałtownie. Potem przygasił je na tyle, aby łagodnie oświetlało drogę przed nimi.

— Ależ piękna robota! — zauważył z uznaniem, przesuwając dłonią po ukośnie pochylonej przedniej szybie.

— Ojciec kazał go wykonać dla mnie na osiemnaste urodziny. Teraz, gdy poruszyli już ten temat, mógł dowiedzieć się o niej czegoś więcej. — Jak długo go pani ma? — spytał.

— Ponad dwa lata.

A zatem naprawdę miała dwadzieścia lat.

Wciąż stała przy drzwiach, jak gdyby teraz, nie wspierając się na jego ramieniu, nie miała siły poruszać się samodzielnie. Chciał, żeby usiadła na siedzeniu obok niego. Podał jej papierosy, ale nie wyciągnął ręki zbyt blisko. — Może teraz zapali pani?

Wsiadła do samochodu. Zauważył, że porusza się tak, jakby nie wiedziała, co robi. Jedną ręką potrzywał przed nią zapaloną zapałkę, a drugą sięgnął i zatrzaskał drzwiczki.

Obserwował ją przez chwilę z ręką złożoną na oparciu fotela.

— Porozmawiamy o tym. Ma pani ochotę?

Spostrzegł, że lekko potrząsnęła głową. Ale nie mógł wywnioskować, czy zgadza się, czy też nie chce mówić o niczym.

Pomyślał, że jest kompletnie zgnębiona i oszołomiona. Chciałoby się otoczyć ją ramieniem, przytulić i... Chwycił przegub swojej ręki, uwięził go jak w kajdankach drugą dłonią i trzymał mocno, odchylając się na oparcie fotela.

Ona ciągle wpatrywała się w podłogę samochodu. Wiedział dlaczego. Nie chciała patrzeć w górę; bała się ich, ciągle ją męczyły.

— Kim on jest?

Uśmiechnęła się. — Nigdy nie byłam zakochana.

Pomyślał o jej torebce i pieniądzech fruujących po chodniku. — I nie chodzi o pieniądze...

Uśmiech zamienił się w głośny śmiech. Ironiczny, gorzki. Odpowiedziała tylko jednym słowem: — Pieniądze.

Wymówiła to słowo tak, jakby to były śmieci. Jak coś, co zawsze jest, czego nie można się pozbyć, co stale leży u stóp, niegodne, aby o tym rozmawiać.

Sam sobie odpowiedział: — Zgadłem, że nie...

W zamyśleniu przesunął ręką po kierownicy. — Nie miłość i nie pieniądze. Może jest coś, o czym powiedział pani lekarz? O to chodzi? Czasem się mylą.

— Ostatni raz lekarz odwiedził mnie, gdy miałam dwanaście lat. Nigdy nie chorowałam. I teraz też nie jestem chora. Całe życie byłam zdrowa.

Nie mógł wymyślić nic więcej. Pochylił brodę do kierownicy. — Próbuję tylko pani pomóc.

— Pan jest taki młody, a one są takie stare. Pan jest jeden... a ich jest tak dużo.

Ciągle zaprzatają jej myśli. Minie co najmniej tydzień, zanim uwolni się od tej obsesji. I pewnie będzie musiał się tym zająć jeden z tych specjalistów, którzy... Nie mógł sobie przypomnieć, jak oni się nazywają.

Zauważył, że zaczęła drzeć. A noc była ciepła. Pod drzewami było nawet duszno. Może to efekt napięcia emocjonalnego na moście.

— Przepraszam — powiedział. Wyciągnął rękę i dotykając wierzchu jej dłoni, poczuł, że jest lodowato zimna.

Zapуścił motor. — Możemy jechać?

— Niech mnie pan zawiezie tam, gdzie nie będę ich widzieć. Gdzie nie będzie nade mną otwartego nieba. Gdzie nie będzie tych błyszczących... tysiąca oczu...

Ruszyli powoli. Chwilę jechali wzdłuż brzegu rzeki. To była jedyna droga, ale potem dotarli do przecznicy, w którą mogli skręcić. Cały czas miała spuszczoną głowę, patrzyła na ręce, które od czasu do czasu odwracała, aby zmącić monotonię. A wszystko po to, żeby uniknąć patrzenia w górę.

Jak można żyć w ten sposób? Przecież niebo to połowa świata. Połowa czasu to ciemność rozjaśniona gwiazdami. Nadal był przekonany, że zrobił dobrze, jednak teraz po raz pierwszy zastanawiał się, kto z nich był mądrzejszy — on czy ona? Może dobrze wiedziała, co robi?

Zorientował się, że nie było to jakieś przypadkowe wydarzenie wieczoru. Był to przemyślany, ostatecznie rozstrzygający czyn. Mam teraz do wykonania ciężkie zadanie, pomyślał, i z pewnością zajmie mi dużo czasu. Na moście uratowałem jej piękną powłokę, teraz muszę dokończyć dzieła i uratować *ją samą*.

Jechali szeroką ulicą upstrzoną plamami świateł, byli już daleko od rzeki. Wyglądało, że czuła się trochę lepiej. Błyski różnych znaków i świateł w oddali zakłócały inne, trwalsze, iskierki na niebie.

Minęli kilka zadymionych, ponurych knajp, ale to nie były miejsca, do których mógłby ją zabrać. Nawet w obecnej sytuacji wszyscy zwróciliby na nią uwagę. Miała jakiś problem, a to jeszcze zwiększyłoby zainteresowanie różnych podpitych łazęgów. Minął również kilka mniejszych restauracji, uznając, że i one nie będą odpowiednie. To raczej bary na stojąco, do których uczęszczali przeważnie taksówkarze i różni kierowcy nocnych ciężarówek.

Miał na myśli pewne konkretne miejsce — całonocną restaurację, pewien anachronizm w tych czasach. Nie zapewniała żadnych rozrywek lub występów, podawano tam tylko coś do zjedzenia. Istniała od tak dawna, że właściciele prowadzili ją chyba z przyzwyczajenia.

Zatrzymał się przed wejściem. Wysiedli. W restauracji było prawie pusto. Przeważnie tak było. Przy jednym stoliku siedziało dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Przy innym stoliku siedzieli mężczyzna i dziewczyna, zatraceni w miłosnej ciszy. Jedyne kelner, bardzo zmęczony, bardzo obojętny, stał beczynnym.

Zaprowadził ją do samotnego stolika w kącie i odsunął krzesło. — W porządku?

Usiadła, a potem wstała z jakimś dziwnym odruchem obrzydzenia. — Nie, tu jest za blisko okna. One tam są. Jeżeli odwrócę głowę, będę je widzieć. Nie chcę... Mam uczucie, że mnie szpiegują.

Zauważył w tylnej części sali małą wnękę. Poszli tam. — A teraz? Usiadła i tym razem już nie wstała. Widząc to, też usiadł.

— Kelner! Proszę szczerze zasłonić tamte okna. Nie chcę oglądać tego... widoku.

— Przepraszam, ale teraz może pan widzieć całe...

— Powiedziałem, zasłonić.

— Tak, nie chcę ich widzieć — przyznała, gdy odszedł. — Zasłońcie je przede mną. Zasłońcie je tysiącem kurtyn. Chociaż ciągle przenikają przez nie ich promienie. Nie ma takiego miejsca na ziemi, do którego nie docierałyby promienie światła.

— Ho, ho! — mruknął cicho Shawn.

Próbował uśmiechnąć się do niej. — Jak się pani teraz czuje? Czy mogę dotknąć pani ręki? Wciąż była zimna.

— Może trochę whisky?

— Czy to pomoże?

Znowu podszedł kelner. — Dla pani kawa. Czarna. Mocna i gorąca.

Zapalił drugiego papierosa, bardziej po to, by czymś zająć ręce.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, jak brzmi pani nazwisko? — spytał z niepokojem. — Oczywiście nie musi pani tego robić, jeśli pani nie chce...

— Jean Reid — przerwała.

— Dziękuję, panno Reid.

— Jeżeli ma pan ochotę, proszę do mnie mówić Jean. Zastanawiał się, na co teraz patrzyła. Na stoliku między nimi nie znajdowało się nic takiego, na czym jej oczy mogłyby spocząć nieruchomo.

Musiał sam podtrzymywać rozmowę. — Czy chce pani wiedzieć, kim jestem?

Ciągle wpatrywała się w jakiś punkt na stole, tam gdzie nic nie było. — Pan jest mężczyzną. Przechodniem. I sprawił pan, że będę musiała na nie patrzeć o wiele dłużej, niż zamierzałam, i to wszystko stało się przez pana. Nie wiem, czy mam za to podziękować, czy nie.

Zamrugnął oczami i sam też wlepił wzrok w blat stołu. — Nazywam się Tom Shawn — powiedział. — Jestem... pracuję w policji. Jestem detektywem w wydziale zabójstw. Jeżeli mógłbym coś dla pani zrobić...

— Policja. Detektyw. — Zaczęła się śmiać. Czekał, aż przestanie.

Ale nie przestawała. Nie był to jakiś ochrypliwy, gwałtowny śmiech; nie ściągnął na siebie uwagi innych gości. Śmiała się jak kobieta dobrze ułożona, elegancka, śmiech pasował do jej aparycji. I nijak nie mogła go powstrzymać.

Płacz jest niczym. Nie ma nic gorszego, niż być zmuszonym do słuchania kogoś, kto śmieje się bez przerwy, bez radości, bez kpiny, bez nadziei. Zacisnął pod stołem pięści, czego nie mogła widzieć, i mocno ścisnął nimi kolana.

Zastanawiał się, jak zmusić ją, aby przestała.

Słyszał kiedyś, że aby powstrzymać histeryczny śmiech, należy uderzyć śmiejącego się w twarz. Ale przecież nie mógł teraz tego zrobić. Nie mógł nawet spróbować. Może chlusnąć jej w twarz szklanką wody. Jednak tego też nie mógł zrobić. Wolałby uratować na moście mężczyznę, mógłby bez skrępowań wyrzucić go w szczękę.

Wskazała kciukiem przez ramię. — Aresztuj pan te wszystkie gwiazdy. Załóż im kajdanki. Walnij je pałką!

Miał swoją zawodową dumę. Chciał jej pomóc. Wstał, ostrożnie odstawił krzesło na miejsce i zaczął odchodzić bez słowa.

Śmiech urwał się nagle. Obejrzał się i zobaczył, że ona siedzi w niemym milczeniu, ze spuszczoną głową, ciasno obejmując się ramionami.

Zatrzymał się niezdecydowany. Potem odwrócił się i podszedł do niej. Wsunął to samo krzesło, które przed chwilą opuścił, i usiadł bez słowa. Kiedy w końcu spojrzała na niego, siedział, cierpliwie czekając. Tylko tak mógł jej pomóc.

Powieki jej oczu były ciężkie od napływających łez. Patrzyła na niego, odgarniając włosy do tyłu.

— A teraz powie mi pani?

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie wiem jak.

— Po prostu proszę to z siebie wyrzucić. Pani to dławi w sobie. Niepotrzebnie.

— Nie mogę znaleźć słów. Nie można tego powiedzieć ot tak. Trzeba z tym żyć, tkwić w tym, tego po prostu nie da się przekazać.

— Wszystko można opowiedzieć. Nasłuchałem się już wielu najdziwniejszych historii...

— Ale to składa się z mnóstwa mniejszych opowieści, które tworzą całość jak ziarnka piasku lub krople wody. Nie można mówić tylko o pojedynczych ziarnkach piasku lub kroplach wody. Tylko w całości coś znaczą, inaczej nie mają sensu.

— Może będę mógł pani pomóc. Niech pani spróbuje zapomnieć, że siedzę przed panią. Proszę sobie wyobrazić, że mnie tu nie ma, a pani mówi do siebie na głos.

Nie była w stanie nawet tego zrobić, nie mogła zacząć. Czekał. — Jest pani dzisiaj zbyt przestraszona, prawda? — spytał cierpliwie.

Drżąc, zaczerpnęła głęboko powietrza. — Tak, dziś wieczór boję się.

— Ale kiedyś nie bała się pani?

— Kiedyś nie bałam się.

— A zatem niech pani zacznie od tego czasu, gdy się pani nie bała. Niech pani zacznie od tego.

Zauważył, jak jej oczy zaczęły się powoli zmieniać; zaszły mgłą, jakby myśli dziewczyny błędziły gdzieś w przeszłości.

— Kiedyś nie bałam się...

2

OPOWIEŚĆ

I

Właściwie wszystko zaczęło się od takiego właśnie drobiazgu. Od kropli. Tak, właśnie tak, od kropli. Ale nie od kropli wody. Od kropli gorącego consommé, rosołu, na białej, wieczorowej sukni, którą założyłam po raz pierwszy.

Kropla rozlanego consommé. Szybkie spojrzenie niezadowolenia, spojrzenie rzucone między dwoma zdaniem trwającej w tym momencie rozmowy. Jakaś twarz przy moim ramieniu z grymasem niezadowolenia. Najprawdopodobniej zakłopotanie z powodu tej jednej kropli. Twarz oddaliła się. Płyn wyparował. Rozmowa trwała dłużej. Ale coś się zaczęło.

Zaczęła się śmierć. Zaczęła się ciemność, tam przy stole ozdobionym oszalamiającymi żonkilami, świecami. Ciemność. Z początku plamką nie większą niż ta kropla consommé. Rosła, wciąż rosła, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, aż wreszcie ogarnęła wszystko. I pozostała tylko ciemność. Mc, tylko ciemność. Ciemność, strach, ból, zguba i śmierć.

Jak już powiedziałam, nazywam się Jean Reid, a Harlan Reid jest moim ojcem. Bóg nakazał nam kochać ojców, a jeszcze bardziej niż synom, nakazał to córkom. Ale Bóg również zapomniał dać nam coś, co pomogłoby znieść ból, jaki czasem przynosi ta miłość. A ponadto Bóg pozwolił nam patrzeć w przeszłość, jednocześnie zakazując widzieć przyszłość. Ale my widzimy przyszłość, jednak robimy to na własną odpowiedzialność. Nie ma środka, który mógłby poprzedzić ból i złagodzić go; jest tylko taki, który przychodzi potem, a nazywamy go „upływem czasu”. Gdy miałam dwa lata, straciłam matkę i tak naprawdę wcale jej nie znałam. Zawsze był ojciec, ojciec i ja. Czasem wydaje mi się, że to najtrwalsza ze wszystkich miłości; silna, naturalna miłość, do której dodano wszystkie aspekty miłości romantycznej, poza kilkoma zabronionymi. Tak było między nami zawsze i może to nie było dobre, jednakże nie powinniśmy zostać w ten sposób ukarani.

Po raz pierwszy przekonałam się, że różnię się od innych, gdy miałam osiem albo dziewięć lat. Oboje różniliśmy się od innych. Przedtem nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dzieci nie wiedzą o takich rzeczach, jeśli są pozostawione same sobie. A ojciec dbał, aby tak się nie stało. To tak jak... jak się upadnie i stłucze kolano, a potem idzie się do ojca, a on bierze na kolana i z mądrą miną smaruje stłuczone miejsce jakąś miksturą, zapobiegając w ten sposób ropieniu i zakażeniu. W każdym razie domyślałam się, że o to mu chodziło. Starał się usunąć bliznę i wysterylizować ranę. Nie chciał, aby pozostał jakiś ślad.

Kiedyś na podwórzu szkolnym zatrzymała się przede mną mała dziewczynka, spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczami, lekko przekrzywiła główkę i spytała: — Ty jesteś nieludzko bogata, prawda?

Cofnęłam się trochę w odruchu obronnym. — Nie, nie jestem — odrzekłam niepewnie. Brzmiało to tak, jakby oskarżała mnie o pływanie w jakimś tłustym, wstrętnym sosie.

— Tak, jesteś — upierała się. — Jesteś bogata. Tak mi mówiono. Jesteś bogata.

Kiedy nie patrzyła na mnie, przyjrzałam się swojej sukience. Była czysta i porządna, wydawała się być odpowiednia. Jednak zmartwiłam się.

Tego wieczoru w domu powiedziałam: — Co to znaczy, że jest się bogatym?

Ojciec odpowiedział mi wolno, trochę ze smutkiem: — Posłuchaj mnie uważnie, a jutro o wszystkim zapomnij. Ale przypomnij to sobie pewnego dnia, gdy będziesz miała osiemnaście lub dwadzieścia lat. Wtedy bardziej ci się to przyda. Oznacza to, że zawsze będzie ci trochę z tego powodu trudno, że zawsze będziesz się czuła trochę samotna. Znaczy to, że nigdy nikt naprawdę cię nie pokocha, a jeśli nawet, to nie będziesz pewna, czy kocha cię dla ciebie samej, czy dla twoich pieniędzy. To znaczy, że musisz bardzo uważać. Będą na ciebie czyhały różne pułapki.

— Więc co mam robić? — zapytałam, głęboko wzdychając.

— Możesz zrobić tylko jedno. Udawaj, że o tym nie wiesz. Zachowuj się — żyj i myśl — jak ktoś, kto nie jest bogaty. Wtedy może świat pozwoli ci o tym zapomnieć.

Następnego dnia zapomniałam, co mi powiedział. A potem, po latach, wróciło to do mnie. Wróciło, gdy tak jak to przewidział, bardziej tego potrzebowałam. Podał mi to jak swoje wyznanie wiary. I od tej pory żyłam tak, jak mi poradził.

Niewiele pamiętam z dni poprzedzających upadek tej jednej kropli, która zapoczątkowała nadejście ciemności. Miałam swoje własne małe sprawy. Moje życie było uregulowane, bezpieczne i dostatnie. Nie posiadałam wielu przyjaciół. Byłam dziwaczką, nie lubiłam licznego towarzystwa, a do tego niezbyt interesowały mnie stroje. Natomiast lubiłam dużo czytać, chodzić na samotne spacer

z odkrytą głową po deszczu, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie i z twarzą zwróconą ku niebu, by obmywały ją krople spadającej z nieba wody. Ale wtedy przynajmniej nie czułam jeszcze strachu.

Aż pewnego wieczoru, przy kolacji — to było chyba na dzień lub dwa przed tym, jak ta kropla spadła na moją suknię — mój ojciec zauważył jakby od niechcienia:

— Wygląda na to, że w piątek będę musiał pojechać do San Francisco.

— Na długo? — spytałam. Już przedtem wyjeżdżał w różnych sprawach. Często podróżował.

— Na dwa lub trzy dni — odparł. A potem wspomniał coś o jakichś trudnościach z wysyłką jedwabiu z Japonii.

Pogroziłam mu palcem i dalej jadłam deser. — Lepiej jedź w poniedziałek. Wiesz, którego jest w piątek? Trzynastego!

Jak przypuszczałam, beztrosko zachichotał, a później, gdy stojąca przy bufecie służąca nalewała kawę, zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

W czwartkowy wieczór — poprzedzający jego wyjazd — jeśli dobrze pamiętam, mieliśmy gości. Jedliśmy uroczystą kolację przy świecach. Już dawno temu wyznaliśmy sobie z ojcem, że nie lubimy takich oficjalnych sytuacji, jednak tego rodzaju niewygody zdarzały się sporadycznie. Miałam na sobie białą suknię, w której nic mi się nie podobało. Przynajmniej była nowa; po drugie była biała, a po trzecie... musiałam się w nią wystroić. Nie cierpiałam być tak wystrojona. Lubiałam swobodę: przeważnie nosiłam swetry i spodnie.

Tego wieczoru siedziałam sztywno w tej sukni i rozmawiałam z ludźmi, na których mi nie zależało, poruszając tematy, które mnie nie obchodziły. Myślę, że w tym momencie rozmawialiśmy o śpiewaku operowym, który miał wystąpić na jakimś prywatnym przyjęciu.

— Zatem musicie przyjść — mówiła siedząca naprzeciw mnie bogata wdowa, obwieszona brylantami. — Jutro wieczorem.

— O, chwileczkę... powiedziała pani jutro? — Coś sobie przypomniałam z prawdziwą ulgą. — Nie możemy przyjść jutro. Ojciec wybiera się samolotem do Frisco.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego przez stół, oczekując potwierdzenia.

Przede mną pojawił się głęboki talerz do zupy i wydawało się, że trzymająca go ręka lekko zadrżała. Wówczas przez brzeg przelała się kropla, upadła na moją suknię i przez moment poczułam jej ukłucie poprzez cienki materiał.

Potem spojrzałam karcąco, ujrzałam zmieszanie na twarzy służącej pochylonej nade mną przy podawaniu zupy. Może taktowniej z mojej strony byłoby zignorować ten głupi wypadek, co zresztą pierwotnie zamierzałam zrobić.

Ponieważ rozmowa toczyła się nadal bez mojego udziału, więc szybko starałam się nadażyć za wątkiem.

— Tak, to w istocie nie jest zbyt szczęśliwy dzień na podróż samolotem — zgodziłam się. — Ale czy trzynastka może okazać się szczęśliwsza dla tego śpiewaka?

— Przepraszam panienkę — usłyszałam wtedy szept przy moim uchu. Tym razem nie odwróciłam głowy.

— W porządku — odparłam krótko. A potem mówiłam dalej: — Ojciec udaje, że nie lubi tych swoich krótkich wypraw, ale myślę, że po cichu bardzo mu na nich zależy.

— O, tak — stwierdził z udawanym żalem. — Przepadam za chwilami, gdy samolot wpada w dziurę powietrzną. To bardzo zabawne. Mam na myśli moment, gdy brzuch zostaje jeszcze w górze, a głowa jest już na dole.

Plamka na sukni zaczęła już wysychać. Wątpię, czy pamiętałabym o niej za jakąś godzinę. Ale przypomniałam sobie o niej wcześniej. Wycisnęła piętno na mojej świadomości.

W chwilę po odejściu gości poszłam na górę. Zdjęłam suknię, włożyłam domowy strój i zatopiłam się w lekturze, gdy wtem usłyszałam pukanie do drzwi. Służąca zajrzała do środka.

Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie ją widziałam; miała teraz na sobie zwykły płaszcz w kratkę i kapelusz. Wyraźnie zamierzała wyjść z domu.

— Słucham? O co chodzi?

— Czy mogę z panienką przez chwilę porozmawiać?

— Oczywiście, proszę. Ale dlaczego jeszcze tu jesteś? Myślałam, że już dawno poszłaś do domu. Przecież dochodzi północ.

— Wiem, panienko. Zaczekałam, żeby powiedzieć panience, jak bardzo mi przykro.

Podeszła do sukni, która ciągle jeszcze leżała na krześle — nigdy nie wieszam rzeczy porządnie — i udawała, że ją ogląda, aby przekonać się, czy nie została za bardzo zniszczona.

— Mam nadzieję, że mi panienka wybaczy.

Mogłam nie zwrócić uwagi, że cokolwiek na mnie wylano, ale nie znoszę, aby potem ktoś mnie chciał wycierać, czyścić. A teraz ona próbowała to robić, choćby tylko słownie.

— Nie stała się żadna tragedia, Eileen — powiedziałam. — Możesz spać spokojnie. I tak nie podobała mi się ta suknia. Trochę plamek może jej tylko pomóc.

Wtedy odeszła od sukni, ale nie wychodziła z pokoju. Zaczynała mi już drętwieć ręka od trzymania Hemingwaya.

— Ale, panno Jean, chodzi o coś innego. Mam na myśli przyczynę. Zwykle nie zawodzi mnie ręka.

— No to stało się tak przez moment. I taka była przyczyna. A teraz skończmy już tę dyskusję.

Nie skończyłyśmy. Nie ma nic gorszego niż uporczywa pokora. Albo, może powinnam powiedzieć, udana pokora?

— To chodzi o tę podróż samolotem.

— Jaką podróż samolotem?

— Podróż pana Reida, panienko. Słyszałam, jak mówił, że leci jutro. I widzi pani, stałam wtedy tuż za pani krzesłem.

Przez chwilę nie rozumiałam, o czym mówi. Zamknęłam książkę i spojrzałam na nią zaintrygowana.

— Och, że leci trzynastego? O to chodzi? Wielki Boże, Eileen, nie bądź dziecinna.

Potrząsnęła głową. — Nie, panienko. Sama data nie może nikomu zaszkodzić. To tylko cyfra.

— Cieszę się, że zwróciłaś mi na to uwagę — podkreśliłam z ironią.

— Mam na myśli właśnie ten szczególny samolot, ten... — Dostrzegła, że patrzę na nią z uwagą. — Wiem, że to nie moja sprawa...

— Mów dalej — powiedziałam szybko. — Chcę to usłyszeć.

Ukradkiem zacisnęła dłonie, jakby chciała z nich wycisnąć słowa, które przychodziły jej z trudem. — Nie powinien lecieć tym samolotem. Jeżeli... jeżeli polecą później, to wróci późniejszym...

— Och, rozumiem — odparłam sucho. — Bawisz się w jakieś proroctwa?

— Nie powinien nim lecieć — powtórzyła usprawiedliwiająco.

— Niech mu panienka nie pozwoli, panno Jean. To niedobrze. Jeżeli jutro polecą...

— To co?

— To znaczy, że będzie musiał wracać nocnym samolotem w poniedziałek.

— Tak, zgodnie z rozkładem lotów. Więc co z tego? Rozpaczliwie wyrzuciła z siebie słowa, jak gdyby obawiała się je

wypowiedzieć, a zarazem jeszcze bardziej bała się zatrzymać je w sobie. — To właśnie *ten*. Ten, który leci na wschód. Coś mu się przydarzy.

— Coś mu się przydarzy? — zdziwiłam się. — Tego rodzaju rzeczy są znane, zanim mają miejsce?

— Nie, panienko, nie — odparła z wyrzutem. — Panienka przecież wie, że nie.

— Posłuchaj, Eileen. Nic mnie nie obchodzi, czy na dole łyknęłaś sobie kilka drinków, ale nie chcę, żebyś do mnie przychodziła i prezentowała mi wątpliwe efekty tego picia.

— Nie piłam, panienko — mruknęła.

Tak, patrząc na nią, mogłam stwierdzić, że nie piła. Była szczupłą, miała pociągłą twarz, wątlą budowę i z pewnością już po jednym kieliszku zakręciłoby się jej w głowie.

— Czy ty kiedykolwiek słyszałaś o Kasandrze, Eileen? — zapytałam nieco łagodniej. — Nie sądzę, aby była szczególnie lubiana. Chyba nie chcesz być do niej podobna, prawda? Nie zamierzasz chyba denerwować ludzi? Zdajesz sobie sprawę, że wtedy zaczną cię unikać.

Wyraźnie sprawiała wrażenie zawstydzonej.

— Bardzo mi przykro, panienko — powiedziała. — Ale nie chciałam panienki niepokoić... — Apotem dodała, idąc ku drzwiom:

— To nie ja, panienko. To ktoś z moich przyjaciół...

— Rozumiem. Ktoś, kto zajmuje się zawodowo wrózeniem, tak? No dobrze, podziękuj mu w moim imieniu i powiedz, że nie potrzebuję żadnej pomocy.

Otworzyła oczy tak szeroko, jakbym wymówiła jakieś bluźnierstwo.

— Och, nie, panienko. Ja nie miałam panience nic mówić...

— No, ale powiedziałaś. — Teraz zaczęła mnie już trochę męczyć. — Dobranoc, Eileen.

Moje słowa były dla niej gorzką pigułką. Wysłuchiwała ich ze ściśniętym gardłem. — Dobranoc, panienko — odpowiedziała szybko i zamknęła za sobą drzwi.

A ja wróciłam do Hemingwaya i czytałam go z uśmiechem, mimo że lektura wcale nie była śmieszna.

II

Następnego dnia pojechałam z ojcem na lotnisko. W samochodzie rozmawialiśmy, odwróciłam się i spojrzałam na niego — och, tak zupełnie bez powodu, bez żadnej myśli, aby go zapamiętać w tym właśnie momencie. Ale to spojrzenie było jak oko aparatu fotograficznego.

I ciągle mam to zdjęcie w pamięci; świeże i czyste aż do dzisiaj. Tak trwałe jak prawdziwa fotografia. Jak zdjęcie czegoś, czego już nie ma.

Siedząc obok mnie, wyglądał tak przystojnie, tak bardzo męsko. Może z powodu siwych włosów, które tak kontrastowały z tym wszystkim, co było w nim młode, jeszcze to podkreślając. Robił wrażenie bardziej zadbanego, zdrowszego, bardziej eleganckiego i bardziej męskiego, aniżeli niejeden ciemnowłosy mężczyzna w wieku dwudziestu pięciu lat. Miał zawsze gładką, opaloną, zdrową cerę i te szokująco siwe, modnie przycięte i starannie wyszczotkowane włosy. Patrząc na niego, rozumiałam, dlaczego w osiemnastym wieku mężczyźni i kobiety pudrowali włosy na białą.

Jego podbródek był wspaniale zarysowany, można było dostrzec szlachetną linię kości. Kiedy mówił, myślało się o jego sile — a może o pewnego rodzaju uporze, stanowczości, jednak nie była to cecha dominująca — i o poczuciu zdrowego rozsądku; a przede wszy-

stkim o szczerości. Nie wiem dlaczego, nie mam pojęcia, co ma szczerość wspólnego z podbródkiem, powinno się ją raczej widzieć w oczach, ale jakoś przychodziła na myśl, gdy patrzyło się na ten nieskazitelny zarys szczęki.

Miał bystre, wyraziste oczy; były to oczy młodego człowieka. Niebieskie, a nieraz prawie szare. Łagodne i dobre. Pojawiające się czasami wokół nich drobne zmarszczki oznaczały całkowite zrozumienie. W każdym razie ja to tak odczytywałam, ale chyba pan rozumie, że nie widziałam ich, kiedy patrzyły w ten sposób na innych, a jedynie na mnie, więc nie mogę się przy tym upierać.

Zawsze miał podniesiony z tyłu kołnierz płaszcza z wielbłądziej wełny; zawsze tak go nosił, podobnie jak młodzież. Siedział swobodnie. Równie swobodnie się poruszał; wszystkie jego ruchy i gesty były płynne, miękkie. Trzymał na kolanach swoją dyplomatkę i podczas naszej rozmowy zaglądał do niej, aby się upewnić, czy zabrał wszystkie papiery. Jeszcze teraz mam ją przed oczami: kremowa, z miękkiej świńskiej skóry, z podszewką w szkocką kratkę. Podarowałam mu ją chyba przed rokiem.

Z jednej ręki zdjął rękawiczkę, ponieważ w czasie jazdy palił papierosa. Miał mocne palce, takie jakie powinny być palce mężczyzny: ani zbyt długie, ani zanadto wąskie. Na jednym z palców nosił sygnet z zielonym kamieniem. Odkąd pamiętam, był to jedyny klejnot, jaki kiedykolwiek u niego widziałam. Skończył przeglądać papiery, zatrzasnął wieko, dotknął kciukiem i przycisnął w dół zapadkę zameczka; zamknął ją. Zameczek był owalny i błyszczał jak lustro. Pamiętam, że zaparował pod wpływem ciepła jego palca, a potem, gdy palec odsunął się, znowu zabłyszczał, tak jak lustro, które rozjaśnia się po ustaniu chuchania. Czasem odnoszę wrażenie, że nasze życie jest tylko tego rodzaju mgiełką, która znika bez śladu, gdy i my przestajemy istnieć.

I taki właśnie obraz ojca tkwi w mojej pamięci. Na zawsze.

Jechaliśmy jeszcze kilka minut. Potem siedzieliśmy w samochodzie przed budynkiem poczekalni. Pamiętam, że nawet nie wyłączyłam silnika, bo był to krótki postój. Później znów jechałam. Oboje nie pomyśleliśmy nawet o tym, że powinnam wyjść i odprowadzić go. Po co? Przecież to i tak było bez znaczenia. Tyle razy wyjeżdżał, nasza jazda przypominała jazdę taksówką do miasta.

— Czy ty pójdziesz dziś wieczorem do Ainsleyów? — zapytał wesoło.

— O Boże, nie! — skrzywiłam się. — Cieszę się, że miałam wymówkę.

— A przy okazji — powiedział — jeżeli będzie telefonował Ben Harris, powiedz mu, że zagram z nim za tydzień, licząc od niedzieli. I powinien zebrać tych samych graczy, jakich mieliśmy ostatnim razem. Jeśli tylko mu się uda. Oni mi odpowiadają.

Zasalutowałam, dotykając palcami czoła.

— No, chyba już pójde — wysiadł, zatrzasnął drzwiczki i pochyliwszy się wsunął głowę przez okienko, aby mnie pocałować.

— Popraw krawat — zauważyłam opryskliwie. — Czy nigdy nie możesz go zawiązać porządnie, aby węzeł był na środku? — I sama poprawiłam mu krawat.

— Czy istnieją w tej sprawie jakieś przepisy? — spytał sucho.

Nagle roześmiałam się, coś sobie przypominając. — Och, zapomniałam ci coś powiedzieć. Jedna ze służących przyszła wczoraj wieczorem na górę — no wiesz, ta Eileen McGuire — i próbowała przekonać mnie, że nie powinieneś wracać samolotem w poniedziałek. Jakaś jej przyjaciółka czy przyjaciółka przyjaciółki odczytała to z fusów od herbaty — żebyś widział, jaka była tym przejęta...

Mimo chęci nawet nie mógł sobie jej przypomnieć. No a poza tym służba to nie jego sprawa, tylko pani Hutchins. — McGuire? Która to?

— Ta nowa.

— I co, według niej, ma się wydarzyć? — zapytał z uśmiechem. Strzeliłam palcami. — Zapomniałam ją spytać.

Zaśmiał się. Zawtórowałam mu. Nie było już czasu na dalszą pogawędkę.

— Do zobaczenia we wtorek rano — rzucił wesoło i odwrócił się.

— Cześć, tato.

Włączyłam bieg i odjechałam, nie czekając nawet, aby zniknął w drzwiach wejściowych. To przecież i tak było bez znaczenia. Już przedtem tyle razy niespodzianie wyjeżdżał. Poza tym, jak mi się wydaje, miałam umówione spotkanie u fryzjera i nie chciałam się spóźnić.

Tego wieczoru ona usługiwała mi przy stole. Jadłam sama.

Nic nie mówiła, ale jej twarz była poważna i za każdym razem gdy nasze oczy przypadkiem spotkały się, z zakłopotaniem odwracała wzrok. Nie zastanawiałam się nad tym, ale kiedy to znów ją zobaczyłam, przypominałam sobie.

Wyczuwałam, że cierpi i bardzo chciałaby, abym to ja sama znowu poruszyła ten temat, żebym ją jakoś sprowokowała, ale postanowiłam tego nie robić. Dlaczego miałabym dodawać jej odwagi do snucia jakichś bezsensownych opowieści?

Jednak te współczujące, spuszczone oczy w końcu zwyciężyły.

— Posłuchaj, Eileen, czy byłabyś tak dobra i przestała zachowywać się w ten sposób? Jak widzisz, próbuję w spokoju zjeść kolację.

Odsunęła się ulegle w kierunku drzwi do spiżarni. Potem zapytała, nie mogąc się już dłużej powstrzymać: — On odleciał, panienko?

Niecierpliwym gestem wskazałam jego krzesło. — Nie ma go tu, prawda? A zatem wygląda na to, że odleciał.

Miała zamiar wycofać się, ale zatrzymałam ją, aby skończyć z tym raz na zawsze. — Eileen, to, co zrobiłaś, bynajmniej nie było zabawne. Dziś wieczór nie mam nastroju do tego typu rozmów. Podaj mi jeszcze kawę, i to wszystko.

— Przepraszam, panienko — wymamrotała wtedy i zniknęła za drzwiami.

Potrząsnęłam głową, nie pojmując jej zachowania, i zapaliłam papierosa.

W sobotę wieczorem też sama jadłam kolację. I znowu widziałam zmartwioną twarz Eileen. Znowu zakłopotanie i to wymowne milczenie.

Gwałtownym ruchem odsunęłam talerz i odwróciłam się na krześle.

— Eileen, przykro mi to mówić, ale zaczynasz mnie denerwować.

— Przecież milczę, panienko.

To prawda, nie powiedziała ani słowa poza płaczliwym „dobry wieczór” po wejściu do pokoju.

— Nie musisz mówić. Wystarczy, że patrzysz tak na mnie.

— Muszę czasem patrzeć na panienkę, aby widzieć, co robię... Miałam nieprzyjemne uczucie, że biorę udział w jakiejś dziwnej grze. Nie możemy zmusić ludzi, aby na nas nie patrzyli, tak jak nie możemy im polecić, żeby przestali myśleć.

Ale ona stale o czymś mi przypominała. Zasiała w mojej duszy niepokój. Wystarczyło, że na nią spojrzałam, a natychmiast przypominałam sobie o tym, co mi wtedy powiedziała.

Wstałam i nie czekając na kawę, wyszłam z pokoju.

Wezwałam panią Hutchins na górę, do holu, aby być z nią daleko od wścibskich uszu. Prowadziła nasz dom już od piętnastu lat. Gdy skończyłam lat szesnaście, zaczęła przed moim imieniem dodawać słowo „panna”, ale zawsze ją powstrzymywałam i prosiłam, żeby tego nie robiła. Nie miała cech profesjonalnej gospodyni, i może dlatego była w tej roli tak wspaniała. Przypominała mi miłą starszą ciotkę z czarną, welwetową wstążką wokół szyi, nigdy nie podnoszącą głosu; w jej usposobieniu nie było nic dominującego, nic tyranizującego. Dom był prowadzony bez zarzutu, nigdy nic nie zakłóciło jej pracy. To była prawdziwa sztuka. Ja nie potrafiłabym tego dokonać.

— Jean, kochanie, smakowała ci kolacja? — zapytała.

— Grace, proszę cię, zrób coś dla mnie... — przystąpiłam od razu do rzeczy. A potem przerwałam. Nie wiedziałam, co dalej powiedzieć. Co mogłam powiedzieć? Co ona mogła dla mnie zrobić? Czy miałam poprosić, aby zachowanie służącej nie było tak irytujące? To nie zabrzmiałoby dobrze. Nie poskutkowałyby.

— Ja... ja... mniejsza z tym, wybaczone, zmieniłam zdanie — wydusiłam, jękając się, szybko się odwróciłam i odeszłam.

Następna kolacja była w niedzielę wieczorem. Rano zwykle piłam w swoim pokoju kawę, ale przynosił mi ją ktoś inny. W południe prawie zawsze wyjeżdżałam autem. W ten sposób wieczorny posiłek był jedyną okazją, aby się z nią spotkać. Weszłam do pokoju, mówiąc sobie stanowczo: „Dzisiaj nie pozwolę się zdenerwować. Jestem tu prawie tak samo winna: przez cały czas reaguję na jej zachowanie. Jeżeli przestanę, wszystko minie. Do tej gry potrzeba dwojga ludzi...”

Kiedy przysuwała mi krzesło, odezwałam się z zaczepną wesołością: — Dobry wieczór, Eileen. Piękny dzień, nieprawda?

— Och, cudowny, panienko — odparła chętnie. — Miała pani miłą przejażdżkę?

— Bardzo. Szkoda, że nie widziałaś kwiatów, jakie przywiozłam.

Wyszła, przyniosła coś i znowu wyszła.

Wróciła po dłuższej chwili. Zanim doszła do stołu, już od drzwi do spiżarni zaczęła coś mówić jakby z przymusem.

— Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego dnia. Słońce to jakby zalewało nas promieniami...

— Już to omówiliśmy — przerwałam łagodnie. Już chciałam dodać: „Tylko mnie obsłuż, nie musisz mnie zabawiać rozmową”, ale wydało mi się to zbyt obcesowe.

Usiłowała postawić przede mną talerz, który drżał w jej ręku, chociaż nie był ani ciężki, ani gorący.

Odebrałam go od Eileen i delikatnie postawiłam na stole.

— Trzęsą ci się ręce — powiedziałam spokojnie. — Powinnaś bardziej nad sobą panować.

Zdawało się, że pani Hutchins czytała w moich myślach i poleciła jej, aby obsługując mnie, była wesoła. Eileen paplała więc jak opętana, co wcale nie wprawiało mnie w lepszy nastrój.

— O tej porze roku to rzadko zdarzają się takie dni jak dzisiejszy. I można sobie wyobrazić, jak było pięknie na polu golfowym; w ogóle taki idealny dzień dla panienki...

Nagle przerwała, jej ciało zadrżało, zdawało się, że dostała gwałtownej czkawki. Jakby tego nie było dość, nieświadomie podniosła rękę i z całej siły przycisnęła dłoń do ust. Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę pustego krzesła, a potem zamknęła oczy. Opuściła rękę, próbując naprawić swój błąd, ale zdrętwiała w milczeniu. Niepewnie, krok po kroku, zaczęła się ode mnie odsuwać. Jej twarz wyrażała nieme przerażenie.

Poczułam, że ściska mnie w gardle, ale tym razem powodem był gniew. Nie pozwoliłam, aby zdradził go mój głos; postarałam się, by zabrzmiał cicho i spokojnie:

— Mój ojciec wcale nie umarł. I nie ma powodu, abyś tak sądziła, odgrywając tę histeryczną pantomimę.

Westchnęłam i odsunęłam krzesło od stołu. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie wyrzuciłam z pracy.

Ale teraz powiedziałam: — Dłużej tego nie wytrzymam. Zrób mi tę przysługę i wynieś się stąd natychmiast. Odbierz od pani Hut-chins miesięczne wynagrodzenie... i odejź.

Zobaczyłam w jej oczach łzy. — Przecież nie zrobiłam nic złego, panienko. Panienka nie jest dla mnie sprawiedliwa.

Patrzyłam w bok.

— Przykro mi. Zaczęłaś coś... nad czym, jak sędzę, nie mogę dłużej panować. Nie gniewam się na ciebie, jeśli o to chodzi. Również nie winię cię. Ale po prostu... po prostu będzie dla nas lepiej, jeżeli odejdiesz.

Gwałtownie pochyliła głowę, sędzę, że nie chciała, żebym dostrzegła, iż krzywi się zaczerwieniona w płaczu. Potem się odwróciła, przeszła kilka kroków i wybiegła z pokoju drobnymi kroczkami, podobnymi do tradycyjnego truchtu japońskich kobiet.

Było to najzabawniejsze odejście kogoś, jakie kiedykolwiek widziałam. Ale w tym momencie poczułam się podła i okrutna. Postąpiłam jednak zgodnie ze swoim odczuciem. Cóż innego można zrobić, jeśli chce się być uczciwym przed samym sobą?

Usunęłam ją ze swoich myśli, tak jak usunęłam ją z pokoju i z domu. Kiedy zniknęła za drzwiami, pomyślałam, że nareszcie wszystko się skończyło.

Nadszedł poniedziałek ze wspaniałym południem, a potem wieczorem. Niełatwo wyzbyć się poczucia bezpieczeństwa i ufności; potrzeba czasu, aby zmienić pewne przyzwyczajenia, dobre lub złe, a one wciąż we mnie tkwiły. Nie miałam się czego bać, nie było powodu do strachu. Samochód jechał spokojnie, słońce świeciło, ogrzewając moje ramiona w luźnym kaszmirowym płaszczu, a twarz chłodził delikatny wietrzyk. Zatrzymałam się, aby kupić benzynę. Chłopcu, który mnie obsługiwał, dałam pięćdziesiąt centów napiwku, ponieważ jego oczy uśmiechały się do mnie przyjaźnie.

— A to dopiero piękny krążownik — powiedział z uznaniem.

— Tak, niezły z niego samochodzik — przyznałam. — Nigdy jeszcze mnie nie zawiódł.

Mała dziewczynka pomachała mi na skrzyżowaniu, a ja podniosłam wysoko rękę i odpowiedziałam jej wesoło. Gdy byłam mała, także lubiłam w ten sposób pozdrawiać kierowców. I pamiętałam,

że było mi bardzo przykro, kiedy mi nie odpowiadali. Nie chciałam, żeby tej dziewczynce było przykro.

Spojrzałam na zegarek, dochodziła osiemnasta. „Lepiej już wrócę — powiedziałam do siebie. — Nie ma sensu przyjeżdżać zbyt późno i robić zamieszanie w kuchni”.

Teraz pomyślałam o nim, po raz pierwszy w tym dniu. Zbliżała się osiemnasta naszego czasu. To oznaczało piętnastą według czasu Wybrzeża Pacyfiku. Trzy godziny różnicy. Jeszcze przez sześć godzin miał być w San Francisco. Odlatywał o dwudziestej pierwszej tamtejszego czasu.

A potem pomyślałam o niej, czy raczej o *tymi* — o tym, co próbowała mi powiedzieć. Pojawił się uśmiech, ale po chwili zgasł i ciągle widziałam ją, czułam, jak wciska się do moich myśli. Nie miałam zamiaru znowu jej wpuszczać, ale nie chciała zostawić mnie w spokoju.

Słońce było już nisko nad horyzontem i poczułam chłód; jednak spowodowała to późna godzina, a nie moje myśli. Otuliłam się szczelniej płaszczem i wcisnęłam głębiej w fotel, aby uniknąć chłodnego wiatru.

Minęłam urząd Western Union i przez chwilę patrzyłam, jak się oddala we wstecznym lusterku. Potem nagle zjechałam na pobocze, włączyłam wsteczny bieg i wróciłam do miejsca, które właśnie minęłam.

Zatrzymałam się, wysiadłam i weszłam do środka. Działam jak w transie. Nie uświadamiałam sobie, że wchodzę, aby zrobić to lub tamto. Tylko weszłam.

Usiadłam przy stole, chwyciłam plik blankietów, wzięłam jeden z wiszących na łańcuszku ołówków i zaczęłam pisać: HARLAN REID BIURO REID I SEWELL MARKET STREET, SAN FRANCISCO WRACAJ POCIĄGIEM ZAMIA... Zwolniłam, przerwałam i rozejrzałam się wokół. Nie zdawałam sobie sprawy, na co patrzę. U sufitu paliła się już duża mlecz-nobiała lampa, chociaż słońce jeszcze nie zaszło. Mały posłaniec w szarooliwkowym mundurku, wyglądający na jakieś dwanaście lat — chociaż pewnie był starszy — siedział na ławce; nie sięgając

podłogi nogami, machał nimi i czekał na przesyłkę, jaką miał zanieść. Mężczyzna, który stał przy ladzie i uderzał ołówkiem w blankiet telegramu, liczył słowa bez czytania. Wiszący na ścianie kalendarz kartkowy zatrzymał się na czarnej cyfrze „16”.

Zgniotłam zapisany blankiet, wrzuciłam go do kosza i zaczęłam od początku:

HARLAN REID

BIURO REID I SEWELL

MARKET STREET, SAN FRANCISCO

NIE LEĆ DZIŚ WIECZOREM.

LEĆ SAMOLOTEM WE WTO... To było jeszcze gorsze.

„Co ja tu robię?” — zadałam sobie pytanie. Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Jestem niespokojna? Oczywiście, że nie. Boję się? Naturalnie, że nie. Czy *naprawdę* uwierzyłam w te brednie? Przecież nie można dać się tak ogłupić! Wobec tego, dlaczego tu jestem?

Wiesz dobrze, co *on* by na to powiedział, prawda? Śmiałyby się tylko. A potem nigdy nie przestałby kpić z ciebie.

Nie, lepiej tego nie robić.

Odłożyłam ołówek, który wraz z przymocowanym doń łańcuszkiem, padając na szklany blat stołu, utworzył ciekawą arabeskę.

Wstałam i skierowałam się ku drzwiom. Ale zawróciłam i zniszczyłam nie dokończony telegram, aby ktoś niepowołany nie mógł odczytać adresu, potem zgniotłam go i wrzuciłam do kosza tak jak pierwszy — i dopiero wtedy opuściłam urząd.

Było chłodno. Słońce zaszło, ulica tonęła w mroku, wiał przenikliwy wiatr; do domu wróciłam z prawdziwym zadowoleniem. Rzadko doznawałam takiego uczucia po powrocie z samotnej przejażdżki.

Pani Hutchins znalazła hożą, miłą Szwedkę, aby usługiwała dzisiejszego wieczoru do stołu, i za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju, zdawała się go rozjaśniać, chociaż jako nowicjuszka nie była zbyt zręczna. Zastanawiałam się, dlaczego tak silnie uświadomiłam sobie, iż dotychczas w tym pokoju brakowało ciepła. Przecież nic się tu nie zmieniło. Ale jeżeli tamta osoba odeszła, a ja zostałam, to znaczy, że chłód emanuje ze mnie. To ja jestem winna.

— Czy mówiłaś, jak ci na imię? — zapytałam.

— Signe, panienko.

— Proszę, podejdź do drzwi i naciśnij ten włącznik. Tak, właśnie ten.

Nagle w pokoju zrobiło się jasno, pochyliłam się i zdmuchnęłam te przekłete świece. Do tej pory nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że nie lubię świec. Ale może naprawdę ich nie lubię? Zastanawiałam się, dlaczego przestałam je lubić tak nagle, w środku kolacji, podczas gdy paliły się już dość długo.

Skinęłam głową z aprobatą. — Tak jest lepiej. Światło świec pasuje do kościoła. Tu robi się zbyt ponuro.

Resztę wieczoru pamiętam jedynie we fragmentach. Widzę siebie, jak spoczywam w miękkim fotelu w salonie w pozycji rozleniwienia, na którą nigdy nie pozwoliłabym sobie w czyjejs obecności — oczywiście z wyjątkiem mojego ojca. Tak głęboko zapadłam w fotel, że ramiona miałam prawie na wysokości poduszek siedzenia, a głowa spoczywała tuż nad nimi. Pod głową skrzyżowałam ręce. Nogami, sięgając daleko poza fotel, uderzałam w podłogę w rytm muzyki. Moje buty stały przy mnie, jak para małych, porzuconych łódeczek wyciągniętych na plażę. A wciśnięty w wycięcie na brzegu małego, kryształowego spodeczka, który stał na krześle koło mnie, papieros wysyłał w powietrze delikatną smużkę dymu, podobną do bawełnianej nici, która czasem zmieniała się w silniejszy splot i unosiła się na dużą wysokość.

Zwykły wieczór w domu, jak setki innych poprzedzających go wieczorów, jak setki tych, które nadejdą. Zadowolenie, nic, co można by opisać; pewien nastrój, raczej stan istnienia aniżeli zdarzenie.

W takim nastroju chętnie śpiewasz. Nigdy nie miałam dobrego głosu. Kiedy mówię normalnie lub trochę głośniejszym tonem, mój głos jest pozbawiony śpiewności. Jeżeli mruczę pod nosem, wówczas mogę go odpowiednio zmieniać. W pokoju i tak nie było nikogo. Wobec tego wtórowałam temu komuś, kto akurat śpiewał, i powtarzałam po nim słowa.

A potem nagle zerwałam się z fotela. Buty zostały na miejscu. Nić szarego dymu spłaszczyła się na chwilę, żeby potem powoli unieść się wysoko w górę.

Wyłączyłam radio. Zerknęłam na miejsce, gdzie przed chwilą leżałam, i przesunęłam ręką po czole. Czy to byłam ja? Czy to ja tak szybko się poruszyłam? Po co? Co to było? Co się dzieje?

Nie wróciłam już na fotel. Zdawało mi się, że coś opuściło ten pokój, pozostawiając go bardziej pustym i większym niż przedtem. Światła paliły się jak przedtem, ale zdawało się, że teraz straciły swoje ciepło i były bardziej przymglone. Był to bardzo duży pokój i nie powinno się przebywać w nim samotnie. W dodatku nocą, gdy za oknami jest tak ciemno. Ale przecież jeszcze przed chwilą wcale

o tym nie myślałam.

Nagle stwierdziłam, że nie lubię muzyki — w każdym razie nie podobało mi się akurat to, co grano. Było to niespodziewane odkrycie — takie jak to, że nie lubię świec na stole.

Chwyciłam buty za paseczki i poszłam w samych pończochach. Kiedy gasiłam światło, wyciągnęłam rękę do tyłu, nie oglądając się. I na tym ten fragment się kończy. A teraz inny fragment, krótszy. Na górze, w moim pokoju, siedziałam przed lustrem na niskiej kanapce obitej jedwabiem. Nie widziałam swojej twarzy, tylko nagą szyję, ramiona i opadającą grzywę włosów, zasłaniającą twarz jak kurtyna. Regularnymi ruchami przesuwałam szczotką wzdłuż włosów. A potem nagle szczotka znieruchomiała, zawisła w powietrzu. Przez szczelinę we włosach dostrzegłam mały zegarek na toaletce. Wskazywał jedenastą trzydzieści w nocy. W sam raz, aby położyć się do łóżka, mój zwykły czas, kiedy nie musiałam już wypełniać jakichś nudnych obowiązków towarzyskich. Ale przecież nie musiałam zatrzymać ręki ze szczotką tylko po to, aby sprawdzić godzinę. Wpatrywałam się w zegarek. Poszerzyłam szczelinę we włosach i pozwoliłam, aby ukazała się część mojej twarzy. Potem odwróciłam głowę i spojrzałam przez ramię na łóżko. Właściwie nie na łóżko, ale na stoliczek z telefonem przy łóżku. Znowu spojrzałam na zegarek i zdawało mi się, że wskazówki przesuwiają się do tyłu. Przyglądałam się tarczy przez dłuższą chwilę. Jedenasta trzydzieści. Ósma trzydzieści. Definitywnie odłożyłam szczotkę; odchyliłam głowę, odrzucając włosy do tyłu.

Wstałam i podeszłam do łóżka. Usiadłam na brzegu i podniosłam słuchawkę.

— Proszę międzymiastową. Zamawiam rozmowę z przywołaniem. Mówi Jean Reid. Chcę rozmawiać z Harlanem Reidem z hotelu Pałace w San Francisco w Kalifornii.

Podaliśmy mój numer, odwiesiłam słuchawkę i natychmiast się ocknęłam. Po co ja to robię? Co się dzisiaj ze mną dzieje? Telefonuję właśnie do *niego*, a nie do kogoś tam innego. Przecież nie wiem, co mu powiedzieć. Roześmieje mi się prosto w twarz... a raczej do ucha! Lepiej zaraz odwołać rozmowę, zanim uzyskają połączenie.

Już wyciągałam rękę do telefonu, ale zatrzymałam się i cofnęłam ją. Moja ręka działała niezależnie od umysłu.

Wstałam, powróciłam przed lustro i usiadłam. Chwytałam różne przedmioty, których nie miałam zamiaru użyć i których nie użyłam. Odstawiałam je z powrotem na miejsce. Zupełnie, jakbym je liczyła i dokonywała czegoś w rodzaju inwentaryzacji.

Nagle zabrzmiał delikatny dźwięk, podobny do brzmienia fletu, dźwięk, który dobrze znałam. Zadrżałam na całym ciele. Nigdy jeszcze dzwonek telefonu tak mnie nie przestraszył. Tyle rzeczy zdarza się po raz pierwszy, gdy ktoś przekroczy granice mrocznej krainy strachu.

Podbiegłam szybko i chwytając słuchawkę, kurczowo przycisnęłam ją do piersi. Teraz wiedziałam już, co mu powiem, będę go błagała; powiem, że *wierzę* w to, że uwierzyłam, choćby na ten jeden krótki, przemijający moment...

— Panna Reid?

— Tak, mówi Jean Reid.

— Przykro mi, ale nie możemy pani połączyć z osobą, z którą chciała pani rozmawiać. W hotelu Pałace w San Francisco poinformowano nas, że pan Harlan Reid wyszedł kilka minut temu.

Zdruzgotana odwiesiłam słuchawkę.

Powoli powróciła odwaga. Ale była w niej jakaś rezygnacja. No więc dobrze. Załatwione. Nic już na to nie poradzisz — może tak jest lepiej. Cały czas wiedziałam, że nie powinnam tego robić, i dzięki temu nie zrobiłam z siebie kompletnej idiotki.

Zgasiałam wszystkie światła, poza tym, które paliło się przy łóżku, ponieważ chciałam jeszcze trochę poczytać. Pokój zatonął w matowozłotym półmroku.

Nakręciłam zegarek, zaniiosłam do nocnego stolika i postawiłam obok lampki. Potem wzięłam książkę, którą zabrałam ze sobą na górę z biblioteki. Odwiązałam pasek zawiązany w talii i zrzuciłam biały frotowy szlafrok. Narożnik koca, którym się przykrywam, był odchylony, odsunęłam go dalej i wsunęłam się do łóżka.

„On jutro wróci. I powiem mu o tym, co niemal zrobiłam dzisiaj w nocy. I oboje będziemy się z tego śmiać”. Zapaliłam papierosa, podniosłam książkę i ustawiłam ją tak, aby krążek światła padał na stronicę.

„AA/ *Manon, Manon — repris-je avec un soupir — il est bien tard de me donner des larmes, lorsque vous avez causé ma mort*”*

Odwróciłam wzrok od książki. Za dziesięć dwunasta. Niedługo przyleci. Nigdy nie wracał wcześniej, niż musiał. Znowu spojrzałam na stronicę książki.

„... *U est bien tard... vous avez causé ma mort*”**.

Musiałam zacząć od początku.

„... *il est bien tard...*”

To nie może nastąpić, to nie miałoby sensu. Książka zsunęła się na koc, ciągle była otwarta. Chwyciłam słuchawkę.

— Jeszcze raz proszę międzymiastową. Proszę mnie szybko połączyć. Mówi Jean Reid. Z przywołaniem. Harlan Reid. Port lotniczy w San Francisco, sala odlotów. Transcontinental and Western. Ma zarezerwowane miejsce w samolocie na wschód. Och, proszę nie powtarzać. Proszę się pośpieszyć, to pilne.

Odwiesiłam słuchawkę.

Już myślałam, że telefon nigdy nie zadzwoni. Niewygodnie było tak leżeć, wspierając się na łokciu, przechylając się do przodu — prawie wisząc nad telefonem. Palcami bębniłam bezgłośnie po kocu. Potem zaczęłam go nerwowo miąć, formując nie kończącą się serię zakładek. Po chwili przeczesalam odrzucone do tyłu włosy. Do głowy przychodziły mi przeróżne dziecinne myśli. A może nachyliłam się za nisko nad telefonem i przyduszam go, uniemożliwiając... Odsuń się dalej, pozwól mu zadzwonić.

*** „Ach, Manon, Manon, odezwałem się z westchnieniem, już za późno, abyś płakała nade mną, ponieważ to ty spowodowałaś moją śmierć”, (fr.) ** „...już za późno — spowodowałaś moją śmierć”, (fr.)**

Czekałam z ręką na słuchawce. Zdjęłam rękę, pstryknęłam w kierunku telefonu dwa razy palcami jak na psa, kiedy chce się go przywołać.

Nagle zabrzmiał przenikliwy dzwonek, tak bliski i natarczywy, że aż mnie przeraził.

— Panna Reid?

— Tak! Tak!

— Przykro mi, ale lotnisko nie może pani połączyć z panem Harlanem Reidem. Samolot lecący na wschód o dwudziestej pierwszej już wystartował.

Na moim zegarku była dopiero za cztery dwunasta. Zaszło mi w gardle. — A dokładnie którą ma pani teraz godzinę? — zapytałam.

— Dokładnie minutę po dwunastej czasu wschodniego. Poruszyłam się dopiero po dziesięciu minutach. Miałam na to

świadka, był nim zegarek. Wskazywał sześć po dwunastej. Sięgnęłam po niego i przesunęłam wskazówkę do jedenastej po. A następnie nastawiłam budzik na siódmą trzydzieści i odstawiłam na miejsce. W ciągu tych dziesięciu minut siedziałam tylko w świetle lampki; nie przypominam sobie, abym cokolwiek robiła. Zapewne po prostu siedziałam i patrzyłam — ale nie patrzyłam na nic konkretnego.

Zgasiłam lampkę i padający na poduszkę krążek światła zniknął. Po chwili z ciemności powróciła do mnie muzyka, ta muzyka, którą słyszałam wcześniej tego wieczoru; z początku brzmiała cicho, a potem zaczęła się wzmacniać, aby wreszcie wybuchnąć w mojej głowie z całą mocą.

Rzucałam się gwałtownie w ciemności; chwyciłam za oba końce poduszki i wcisnęłam w nią głowę, rozpaczliwie zatykając uszy. Ale muzyka nie ustawała. Huczała gdzieś wewnątrz mnie, więc jak mogłam ją uciszyć? Jednak niedostrzegalnie zmieniała się. Słowa i melodia zatarły się i przytłumiły, pozostał tylko rytm, który mimo że brzmiał ciszej, stawał się szybszy, aż w końcu zmienił się w metaliczny szum silników lecącego samolotu. Był to znany dźwięk, który tak często słyszymy, gdy samolot

przelatuje nad głową. A potem i on zaczął cichnąć, zanikając w niekończącej się dali. I w tym mo-

mencie, w chwili gdy zaległa ta zapierająca dech w piersiach cisza, zapadłam w niespokojny sen.

Gdy zadzwonił budzik, było jasno, *on* był już prawie na miejscu, czas jechać na jego spotkanie.

Odsunęłam zasłony, słońce przypominało krążek miedzi. Dziwne myśli i nocne obawy teraz gdzieś się rozwiały. Mój umysł rozjaśniło słońce, usuwając nocne strachy. Teraz liczyło się tylko to, co można było widzieć, dotknąć i słyszeć, jedynie to było czymś realnym, jedynie to było prawdziwe.

Wzięłam lodowaty prysznic i jak zwykle byłam dumna, że nie skrzywiłam się, że nawet nie drgnęło mi ramię pod wpływem uderzenia kłujących strumyczków wody. A potem, wycierając się i ubierając, zaczęłam gwizdać.

Na dole podano mi kubek kawy, którą wypiałam przy stole, będąc już w płaszczu. Nie chciałam nic jeść, powiedziałam, że śniadanie zjemy razem, gdy oboje wrócimy do domu. Jechałam dość szybko, czułam się zbyt dobrze, aby się zastanawiać, czy ściga mnie jakiś gliniarz, choćby dla zabawy — ale nikt mnie nie ścigał. Jednak później zwolniłam, aby niepotrzebnie nie prowokować losu i nie uderzyć w coś. Po wyjeździe z miasta znów przyśpieszyłam. Czułam przyjemny wiatr rozwiewający za mną włosy i prostujący je w równą, poziomą linię.

Zajechałam na miejsce pięć minut przed czasem, zaparkowałam i weszłam do poczekalni. Na tablicy informacyjnej anonsowano już przylot samolotu o 8.30. Kupiłam paczkę papierosów, a potem spacerowałam bez celu. Przez chwilę stałam przy kołowrotku wyjściowym, przeglądając czasopisma, których wcale nie miałam zamiaru kupić. Potem odłożyłam je, odeszłam dalej i usiadłam, z błogim zadowoleniem paląc przez chwilę papierosa; przejrzałam się w kieszonkowym lusterku i sprawdziłam, czy należycie wyglądam. Nagle spojrzałam w górę i ujrzałam mężczyznę, który wspinał się na przenośne schodki. Potem wyjął litery z tablicy rozkładu lotów. W ten sposób usunął napis: „San Francisco — 8.30” i miejsce po tym napisie pozostawił puste.

Wstałam i podeszłam, aby go zatrzymać. Chwyciłam go za ramię i zapytałam: — To znaczy, że za chwilę wylądują, prawda? Na moim zegarku jest już dwadzieścia dziewięć minut po...

Spojrzał na mnie i szybko potrząsnął głową. — Jest opóźniony — odparł niechętnie i próbował iść dalej.

Zatrzymałam go po raz drugi. — Ale jak bardzo jest spóźniony, wie pan coś o tym? Przyjechałam z daleka specjalnie, aby zdążyć na jego przylot.

— Trudno powiedzieć — odrzekł ostrożnie.

— No to niech się pan dowie... proszę. Proszę zapytać. Przecież ktoś musi wiedzieć.

Poszedł do biura i zamknął za sobą drzwi. Czekałam, nie ruszając się z miejsca. Po chwili wyszedł i powiedział: — Nie wiemy, kiedy przyleci. Nie ma sensu, aby pani tu czekała. Proszę wrócić do domu i zadzwonić do nas. Może przed południem będziemy mogli udzielić dokład...

— Ale przecież wy *musicie* wiedzieć — upierałam się. — Gdzie lądował przed przylotem tutaj... w Pittsburgu? O której wyleciał z Pittsburga? Czy mogę wejść do biura?

— Przykro mi, proszę pani, ale obcym wstęp wzbroniony. Proszę zaczekać. — Znowu wszedł do środka. Tym razem pojawił się inny mężczyzna.

Wyglądał na roztargnionego, błędził gdzieś myślami, nawet wtedy, gdy zwracał się do mnie, co wcale mi się nie podobało. — Jeżeli zechce pani zostawić u nas numer swojego telefonu — powiedział — wydam polecenie, aby do pani zatelefonowano, gdy tylko...

— O której odleciał z Pittsburga? — powtórzyłam. Popatrzył na mnie, jakby nie miał zamiaru odpowiedzieć. — On nie przyleciał do Pittsburga — odparł.

— Miał jakieś kłopoty? Stało się coś? Kiedy odleciał z Chicago?

Spojrzał na drugiego mężczyznę. A później zamruczał pod nosem coś, co brzmiało jak: — Ona ma prawo wiedzieć; w każdym razie to i tak wkrótce przestanie być tajemnicą. Nie da się tego ukryć.

I odwróciwszy się mówił dalej do mnie: — Nie mamy żadnych wiadomości o tym samolocie od dwudziestej trzeciej wczorajszego wieczoru czasu Pacyfiku, zamilkł po upływie dwóch godzin od wystartowania z San Francisco.

Mówił do mnie, ale ledwo rozumiałam jego słowa. Przypuszczam, że próbował mnie uspokoić, że zapewniał, iż wszystko będzie dobrze, że nie mają żadnych złych wiadomości. Poprowadził

mnie w stronę samochodu, ale zatrzymał się w drzwiach poczekalni, prawdopodobnie chciał się mnie pozbyć i upewnić się, że odjechałam. Byłam zadowolona, gdy skończyła się ta krótkotrwała eskorta.

I znowu znalazłam się na otwartej przestrzeni. Słońce koloru biszkoptu; wyraźne, ciemnoniebieskie cienie; jasnoniebieskie niebo, tylko że teraz upstrzone kilkoma plamkami chmur przypominającymi pianę z szamponu.

Wróciłam do samochodu, zapuściłam motor, a potem siedziałam bez ruchu przez dłuższą chwilę. Wiedziałam, że powinnam nacisnąć na pedał gazu i ruszyć, ale nie zrobiłam tego; wydawało mi się to zbyt trudne.

Myślę, że siedziałam tam bardzo długo, nie wiedząc, co ze sobą począć. W końcu podszedł do mnie parkingowy, pytając, czy nie potrzebuję pomocy. Usłyszał pracujący silnik, ale nie widział, żeby samochód ruszył.

— Ma pani jakieś kłopoty? Czy coś nie działa?

— Nie — odparłam. — Wszystko w porządku, mogę w każdej chwili ruszyć. — Przycisnęłam gaz, pokazując, jak ruszam, i odszedł.

Jechałam potem wolno w kierunku domu. Wlokłam się. Samochód chwilami prawie stawał.

Byłam otepiała i oszołomiona. Wiedziałam, że to jeszcze nie było takie złe; gorzej, gdy szok minie.

Jechałam potem przez miasto, które lśniło w słońcu. Wystawy sklepów odbijały promienie słoneczne. Piaskowe i granitowe fasady domów sprawiały wrażenie świeżo wymytych. Nawet chodniki błyszcząły drobnymi cząsteczkami miki, która w nich tkwiła.

Stałam przed światłami i nagle wydało mi się, że przecież powinien być ze mną, że powinien teraz siedzieć obok mnie w tym swoim luźnym płaszczu, z podniesionym kołnierzem i z dyplomatką na kolanach; powinniśmy wesoło paplać, nie powinnam jechać sama w milczeniu. Obróciłam się i spojrzałam na puste siedzenie obok, wysunęłam rękę w geście niemej tęsknoty. Potem cofnęłam ją i chwyciłam kierownicę.

Trochę dalej ujrzałam samochód z prasą, który cofał się do kiosku na placu, gdzie rozładowywano nowe wydania gazet. Podjecha-

łam bliżej i kiwnęłam ręką, aby roznosiciel, przed rozpakowaniem wielkich, kwadratowych paczek, przyniósł mi jeden egzemplarz do samochodu.

Już pisano o tym. Ale nie dowiedziałam się wiele więcej. Jednak to, co zostało uwiecznione słowem drukowanym, było czymś bardziej przejmującym, czymś, co brzmiało jak wyrok przeznaczenia. „Donoszą nam, że zniknął samolot z czternastoma pasażerami na pokładzie. Ostatnią wiadomość odebrano, gdy leciał gdzieś ponad Górami Skalistymi. Zorganizowano już poszukiwania...”

Poczułam narastający ból. Zgniotłam gazetę w bezkształtną masę i rzuciłam na błotnik, z którego zsunęła się na ulicę. Odjechałam od krawężnika.

W domu już o tym słyszeli, mogłam to wyczytać z ich twarzy. A fakt, że nic na ten temat nie powiedzieli, nie spytali, dlaczego nie ma go ze mną, świadczył o tym najlepiej. Sądziłem, że nic nie mówiąc, będą bardziej taktowni.

Chciałam pójść do swojego pokoju i zostać w nim sama, ale wpierrw musiałam przejść obok nich.

Widziałam, jak pani Hutchins na mnie patrzyła. — Odbyłam wycieczkę na próżno — rzuciłam i uśmiechnęłam się sztucznie.

Zrobiłam błąd, wstępując do jadalni; przyłapałam ich na gorącym uczynku, jak usuwali ślady powitalnego śniadania.

— Możecie to wszystko sprzątnąć — powiedziałam i odwróciłam gwałtownie głowę.

— Może kubek kawy? — spytała Signe.

— Nie, dziękuję. Możesz mi podać brandy. Zabiorę ze sobą na górę.

Kiedy wróciła, musiała mnie szukać. Stałam przy radiu. Wiedziałam, że podano informację w wiadomościach przed moim przyjazdem i służba słuchała jej, ponieważ radio było jeszcze ciepłe.

— Były jakieś nowe wiadomości?

— Nie, panienko. Pani Hutchins próbować. Ale oni tam tylko mówić, jak piec ciasto.

— Tu, na tej stacji nadają audycję: „Wiadomości co godzinę”. Proszę nastawić. Niech jedna z was słucha. Będę na górze. Wezwijcie mnie, jeżeli... jeżeli coś usłyszycie.

Natychmiast przykucnęła przed radiem, robiąc wielki krąg ze swojej spódnicy. Wyglądała groteskowo. Nie miałam jednak ochoty na śmiech. Prawdopodobnie była przekonana, że będąc bliżej radia, ponagli je. Jej oczy przesłaniała mgiełka łez. Należała do kobiet, które płaczą przy lada okazji.

Nie chciałam, żeby płakała przy mnie. Poszłam do swego pokoju, aby mogła się wypłakać.

„Wiadomości co godzinę”. To zdanie nabrało teraz szczególnego znaczenia, jakiego nigdy przedtem nie miało. Wiedziałam, że już nigdy nie będę słuchała tego szablonowego zdania bez przenikającego mnie dreszczu i bez nawrotu bólu. I to na zawsze naznaczy te godziny tego dnia, które powoli, bardzo powoli mijały jedna za drugą.

. Myślę, że południe było tym pierwszym razem po moim powrocie z lotniska. Ktoś zapukał do drzwi pokoju i wezwał mnie na dół.

Weszłam do salonu i stwierdziłam, że wszyscy już tam byli: cisi, nieruchomi, pełni oczekiwania. Pani Hutchins stała obok radia, z ręką ułożoną na jego skraju, jak gdyby się bała, że wiadomości natychmiast się skończą, jeśli ją zdejmie. Szwedka kuciała na podłodze; chyba bez przerwy tkwiła w tej pozycji. Inna służąca stała w pół drogi do ściany, między wejściem a radiem, starając się być jak najmniej widoczna. Szofer zatrzymał się tuż przy wejściu, jak wypadało komuś, czyje obowiązki nie pozwalały wchodzić do środka, chyba że otrzyma specjalne polecenie. Kucharka znajdowała się jeszcze dalej, jakby ją ktoś powstrzymał przy drzwiach prowadzących do jej królestwa. Był tam jeszcze lokaj, Weeks.

Weszłam między nich, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Zauważyłam, że wszyscy starali się na mnie nie patrzeć, aby uniknąć sprawienia mi przykrości. Ktoś usłużnie przysunął mi krzesło, ale potrząsnęłam głową i nadal szłam w stronę okna. Stałam przy nim, odwrócona do nich plecami.

„Wiadomości co godzinę, najnowszy serwis informacyjny. Dotąd nie mamy żadnych nowych informacji o samolocie, który zaginął minionej nocy o dwudziestej trzeciej. Na pokładzie samolotu znajdowało się czternastu pasażerów. Wydaje się, że musiał spać gdzieś w rejonie Gór Skalistych...”

Odetchnęłam głęboko, aby mieć dość sił, by przejść koło nich i wspiąć się z powrotem na górę. Odwróciłam się, ale pokój był już pusty. Wszyscy wyszli, usunęli się taktownie, najprawdopodobniej na dyskretny sygnał pani Hutchins.

Odeszłam od okna. Nadal słychać było wiadomości: „Dla tych, którzy dopiero teraz włączyli odbiorniki, powtarzamy: dotąd nie ma żadnych nowych...”. Podeszłam szybko i wyłączyłam radio. Potem poszłam na górę pustymi schodami, wzdłuż troskliwie pozamykanych drzwi.

Nie płakałam; prawie w ogóle nie płakałam. Płacz pomagał w małych kłopotach, ale nie w takim jak ten. Przetrwałam większość najgorszych chwil, siedząc przed toaletką, z czołem opartym o blat i rękoma założonymi na głowie. Tkwiłam tak w milczeniu, bez ruchu. Z toaletki spadła mała kryształowa buteleczka; widziałam ją, ale nie mogłam się ruszyć.

O pierwszej ponownie zeszłam na dół, a potem o drugiej, o trzeciej i znów o czwartej, na seanse wspólnej rozpacz i udręki. „Wiadomości co godzinę, najnowszy serwis informacyjny. Wiadomości co godzinę, najnowszy serwis informacyjny”. I nic więcej. Miałam wrażenie, że zwariuję. „Wiadomości co godzinę, najnowszy serwis informacyjny. Wiadomości co godzinę, najnowszy serwis informacyjny...”

Około wpół do piątej usłyszałam nieśmiałe pukanie do drzwi i przez moment poczułam nadzieję, która zgasła, zanim zdążyłam spojrzeć w stronę tych drzwi. Ponieważ to pukanie było zbyt nieśmiałe, zbyt niepewne, aby być zwiastunem jakichkolwiek wiadomości, złych czy dobrych.

W końcu otworzyłam — stała tam Signe. Trzymała w ręku tackę z parującym kubkiem kawy. Nawet bała się spytać, czy ją przyjmę, tylko wyciągnęła tackę ku mnie, gotowa odejść na pierwszy znak odmowy.

Odebrałam od niej tackę, ponieważ był to najszybszy sposób pozbycia się jej, a szczególnie nie chciałam dłużej oglądać wyrazu jej twarzy. Zamknęłam drzwi, postawiłam gdzieś kubek i zapomniałam o nim.

Uznałam, że istota strachu i smutku, tego wszystkiego, co dziś przeżywałam, nie tkwiła w samej katastrofie, a nawet nie w stracie, którą ona spowodowała, ale w fakcie, że zostałam przed tym

ostrzeżona. To było przerażające, przypominało jakiś horror. Byłam do głębi wstrząśnięta.

Powtarzałam sobie, że tego rodzaju rzeczy *nie mogą* być znane z wyprzedzeniem! Nie mogą! To nieprawda! Nieprawda!

Za każdym razem nadchodziła cicha odpowiedź: Ależ to prawda. Wiesz, że to prawda. Nie pozwól się okłamywać. Powiedziano ci i wiedziałas o tym. Przyszła do ciebie i powiedziała ci. Przyszła i płakała. Zaryzykowała zwolnienie — i w końcu to sprowokowała — a przyszła tylko po to, aby ci o tym powiedzieć. To nie tak! To nieprawda! Mówię ci, że to nieprawda (i nagle odsuwa się krzesło i spada buteleczka z perfumami)! Nie uwierzę! Nie chcę w to uwierzyć! Psuje się silnik samolotu, maszyna o północy spada w płomieniach i rozbija się na zboczu góry. Nikt w samolocie nie mógł tego przewidzieć. I taka jest prawda. Jedynie Bóg w swej łaskawości może rozkazać, aby coś się stało. A ty próbujesz sobie wmówić, że ta dziewczyna, z odległości trzech tysięcy mil, na dwa dni przedtem, a nawet na trzy dni przedtem, *wiedziała*, że to się wydarzy? Zwykła służąca, wiecznie zapracowana, takie nic...

A jednak... I znowu ta cicha odpowiedź jak szept do ucha:

Uważaj, spójrz w tamtą stronę. W stronę drzwi. Tam, gdzie stoi szeslong. Ona stała w tym właśnie pokoju, właśnie w tym miejscu, na które teraz patrzysz. Nie było jej tutaj? Czy nie załamywała rąk mniej więcej w ten sposób, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Otwórz szafę. Zajrzyj tam, sięgnij pod ten leżący po lewej stronie celofan. To ta luźna, biała suknia. Wyjmij ją, ujrzysz na niej małą plamkę, tę samą plamkę, która powstała jako efekt strachu przed przewidywaną przyszłością.

Jean, napij się trochę brandy. Nie pozwól opętać się tym myślom. Pij tak długo, aż je utopisz. Trzymaj się od tych myśli z daleka. One w końcu doprowadzą cię do szaleństwa.

Zaczęli pukać do drzwi, aby przekonać się, co się u mnie dzieje. Przewracałam wiele krzesel i innych przedmiotów, zataczając się po całym pokoju, bardziej pijana strachem i poszukiwaniem odpowiedzi aniżeli brandy.

— Nic się nie stało, wszystko w porządku. Nie zwracajcie na mnie uwagi — zawołałam. — Przynieście mi trochę brandy. Albo najlepiej całą karafkę i postawcie przed drzwiami.

Nie miałaś nawet śladu przeczucia, prawda? Ty sama niczego nie przeczuwałaś, informacja została ci przekazana przez nią pośrednio? To kłamstwo. Tchórzliwe kłamstwo. W takim razie, dlaczego zatrzymałaś samochód i poszłaś wysłać telegram o szóstej wieczorem? Dlaczego zatelefonowałaś z tego pokoju przed dwunastą? A potem jeszcze raz telefonowałaś o dwunastej na to właśnie lotnisko?

Możesz temu wszystkiemu zaprzeczyć? Przyznajesz się. A jeśli tak, to dlaczego nie chcesz się przyznać, że miałaś przeczucie? Przyznaj, że miałaś. A zatem, czy możesz zaprzeczyć, że jego źródłem była właśnie ona? Przyznajesz, że ona była źródłem, wobec tego, czy możesz zaprzeczyć, że przynajmniej *ona* coś przewidziała i próbowała ci to przekazać?

Brandy, szybko brandy! Tyle brandy, ile możesz przełknąć.

To nie pomogło, niewiele pomogło. Myśli są silniejsze od alkoholu. Paliło, spływało w dół płomieniem, tak jak wtedy, gdy usłyszałam pukanie do drzwi, a potem zmieniło się w niebieskawy płomyczek i prawie natychmiast zgasło.

Moje ręce są zimne i drżą. Wylewam więcej, niż zdołam donieść do ust. Kiedy miałam cztery albo pięć lat i kiedy pierwszy raz poszłam do szkółki niedzielnej, wtedy powiedzieli mi wszystko o Bogu. Nigdy przedtem o Nim nie słyszałam. Ale nie bałam się. Ponieważ to było coś dobrego — jak dach nad głową. A teraz mam dwadzieścia lat. I boję się. Ponieważ to jest niedobre. Niszczy otaczające mnie ściany, zrywa dach nad głową. Jestem teraz sama i słaba.

Oni o tym nie wiedzą. *Me mogą* wiedzieć.

A jednak wiedzieli.

Ktoś przybiegł, zapukał do drzwi i tym razem zawołał, nie czekając na moją reakcję: — Są jakieś nowiny, panno Reid. Niech pani szybko zejdzie.

Gwałtownie otworzyłam drzwi, minęłam ich biegiem i ciągle trzymając w rękę karafkę, zbiegłam szybko po schodach. Ale już nie zdążyłam, „...wczoraj o jedenastej wieczorem”.

Powtórzą to, spiker był jeszcze przy mikrofonie. To z pewnością nie była dobra wiadomość; zauważyłam, że nikt nie próbował powtórzyć słów spikera. Po prostu wymknęli się z pokoju; została tyl-

ko pani Hutchins, która z wahaniem zatrzymała się przy drzwiach, żeby się przekonać, czy nie będzie mi musiała pomóc w chwili, która miała nadejść.

Zorientowałam się, że wciąż trzymam karafkę w ręku, i odstawiłam ją obojętnie. Zaczęto powtarzać komunikat. Stałam cicho, z nisko pochyloną głową.

„Powtarzamy dla tych, którzy później włączyli radio: samolot, który zaginął z czternastoma pasażerami na pokładzie, został przed godziną odnaleziony przez samoloty poszukiwawcze. Spadł w głęboki śnieg na zboczu góry, w odosobnionym, trudno dostępnym miejscu. Otrzymaliśmy informację, że nie dostrzeżono śladów życia. Jest mało prawdopodobne, aby ktoś przeżył. Zapewne minie dużo czasu, zanim ratownicy dotrą do tego miejsca”.

Wyłączyłam radio.

Pani Hutchins stanęła za mną.

Odsunęłam ją łagodnie ręką. — W porządku — powiedziałam spokojnie. — Wracam do mojego pokoju.

Z jej gardła wydobył się zduszony jęk; odeszła.

Potem znów byłam w swoim pokoju. W domu panowała cisza, w domu panowała żałoba. Na zewnątrz ciągle jeszcze było jasno i ta jasność przesączała się przez okna; była to jasność, która zawsze poprzedza unicestwienie, tak jak płomień zapalniczki, który zdaje się żywiej płonąć tuż przed zgaśnięciem.

Założyłam sukienkę. Wyjęłam płaszcz z szafy, zdjęłam z drewnianego stojaka kapelusz. Wykonywałam różne czynności przed nieodwołalnym wyjściem. Kilka razy zarejestrowałam w lustrze moje przesuwające się odbicie. To uświadamiało mi, co robiłam.

Nie jestem pewna, czy z początku wiedziałam, co zamierzam i dokąd chcę iść. Wyszłam, zamykając drzwi; płaszcz miałam zarzucony na ramię, kapelusz byle jak nasadzony na głowę. Zanurzyłam rękę w torebce, aby sprawdzić, czy mam kluczyki do samochodu. Teraz wiedziałam już, co chcę zrobić, ale nie byłam pewna dlaczego, nie wiedziałam też, czy mi się to uda.

Poszłam wzdłuż holu na piętrze, zamiast zejść po schodach, a kiedy dotarłam do drzwi pokoju pani Hutchins, uderzyłam w nie

dwa razy paznokciem. To pukanie było bardzo ciche, ale nie uszło jej uwagi. Usłyszałam: „Wejść”. Otworzyłam drzwi i weszłam.

Siedziała w bujanym fotelu i wyglądała przez okno. Całą jej postać przepełniało melancholijne cierpienie. Jakaś świadomość straty, może nie tak silna jak moja, niemniej niezwykle szczerą. Ponieważ głowę miała bardzo przechyloną na bok, jak gdyby wyglądała oknem, chociaż wyraźnie nie patrzyła na nic konkretnego, a ręką podpierała pochylony policzek, pomyślałam, że boli ją ząb i naciskając go ręką, próbuje zmniejszyć ból. Na jej kolanach leżała mała chusteczka, która pewnie niedawno była w użyciu.

Pani Hutchins odwróciła się, gdy weszłam do pokoju. Była taka jak zwykle — przynajmniej chciała, żeby tak było. To leżało w jej naturze. Odczuwać, ale nigdy tego nie okazać.

Wstała z fotela, który zakołysał się lekko.

— Grace, masz adres tej dziewczyny, którą zwolniłam? Jeżeli tak, to czy możesz mi go podać?

— Eileen? — spytała. — Eileen McGuire? Tak, mam. — Jej twarz pozostała bez wyrazu.

Podeszła do biurka, była bardzo dokładną i systematyczną osobą. Zdawało się, że dysponuje starannie skatalogowanymi nazwiskami wszystkich zatrudnionych obecnie i w przeszłości. Szybko wyciągnęła odpowiednią kartę.

— Chcesz ten adres czyja mam się z nią skontaktować?

— Nie — odparłam — sama tam pójde.

— Ona mieszka w mieście. — Odczytała z karty ulicę i numer domu. — Holden Street sto dwanaście.

— Dziękuję. Zapamiętam.

Odłożyła kartę na miejsce. I spojrzała na mnie tak wymownie, że na chwilę przystanęłam.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

Odpowiedziała tak cicho, że ledwo zrozumiałam: — Nie idź tam, Jean. Może się okazać, że źle robisz.

Zorientowałam się, że wie, dlaczego służąca została zwolniona. Aż do teraz nie wiedziałam, czy ktokolwiek zdaje sobie z tego sprawę.

— Muszę gdzieś wyjść — powiedziałam. — I mogę pójść tylko tam.

Zamknęłam za sobą drzwi, zeszłam po schodach, przeszłam przez taktownie wyciszony dom i znalazłam się w przytłumionym świetle wieczoru. Wyprowadziłam samochód i odbyłam długą drogę do miasta.

Aż do dziś nie wiedziałam, że istnieje taka ulica. Aż do dziś było tyle różnych rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Bez pomocy nie znalazłabym tej ulicy. Podjechałam do funkcjonariusza ruchu drogowego, który stał na placu, i wychyliłam się z okna.

— Szukam Holden Street. Czy może mi pan wskazać drogę?

— O, to daleko na peryferiach — odparł. Obrzucił wzrokiem samochód i spojrzał na mnie. Miałam wrażenie, że próbuje skojarzyć nas z miejscem, do którego chciałam jechać. Machnął ręką, aby ci, którzy stali za mną jechali dalej, omijając chwilową przeszkodę. — Już mówię, co powinna pani zrobić. Proszę jechać Trzecią Ulicą cały czas prosto; przy końcu znajdzie pani Holden Street.

Jechałam wzdłuż szerokiego, brzydkiego kanału, który zdawał się ciągnąć bez końca; mijałam murowane kominy browaru, składy węgla i ogrodzone drucianymi siatkami matowe zbiorniki z benzyną. Nagle rozbłysły latarnie, ale ich światło tylko uwypukliło ob-skurność otoczenia. Latarnie ciągnęły się tak daleko, że wszystko zdawało się jeszcze bardziej opuszczone i smutne.

Dzień skończył się, a ta dzielnica miasta była jego cmentarzem. Na zachodzie wisiał obrzydliwy, żółty mrok — w jakimkolwiek innym miejscu byłby złoty — a ulica i wszystkie domy przypominały rozmazany rysunek węglem.

Spytałam o drogę kierowcę samochodu chłodni, który stał przygotowany do załadowania. Powiedział mi, gdzie mam skręcić i jak potem dalej jechać, aby dotrzeć do Holden Street. Wkrótce byłam na miejscu. W świetle reflektorów ujrzałam znacznie porządniejsze domy niż te, które dotąd mijałam.

Było tu biednie, tak, bardzo biednie. Ale bez śladu zaniedbania czy brudu, domy nie były ruderami. Stały poważne i wyniosłe w swojej biedocie.

Rząd domów mieszkalnych: wszystkie jednakowej wysokości i jednakowego kształtu. Nie można było rozróżnić, gdzie kończy się jeden,

a zaczyna drugi, dzieliły je tylko przełamujące monotonię drzwi wejściowe. Przed każdymi z nich było kilka schodków z żelazną poręczą. W oświetlonych oknach wisiały ładne firanki, szyby były czyste, na większości parapetów stały skrzynki z pelargoniami.

Znalazłam numer domu, zatrzymałam się, zgasiłam światła i siedziałam przez chwilę z ręką wysuniętą na zewnątrz przez okno.

Z najbliższych drzwi wybiegła mała dziewczynka i zaczęła krzyczeć: — Tiny! Mama mówi, że masz zaraz przyjść, bo dostaniesz lanie, jeżeli będzie musiała jeszcze raz wołać!

Dołączyła do niej jakaś druga postać; nastąpiła krótką, głośną sprzeczka i szarpanina, a potem obie zniknęły w środku. Nastąpiła taka sama cisza jak przedtem.

Ktoś szedł, szurając nogami po chodniku, wracał zmęczony z pracy, spojrzał na mnie oraz stojący bez ruchu samochód bez szczególnego zainteresowania, i wszedł do jednego z domów. Ciągle siedziałam wyczekująco.

Opuszczoną ręką uderzyłam w drzwiczki samochodu. Zastanawiałam się. To nie stąd — z żadnego z tych domów — tu nikt nie mógł przewidywać przyszłości! Nie, musiałam się mylić. To z pewnością nie to miejsce!

A jednak samolot spadł i mieszkająca na tej ulicy dziewczyna, zanim ją odprawiłam, przewidziała, że to nastąpi.

Wysiadłam i stanęłam niezdecydowana. Czego ja od niej chcę? — zastanawiałam się. Co jej powiem?

Zorientowałam się, że silnie ściskam rękami drzwi samochodu. Oderwałam się od nich i ten niedostrzegalny ruch zdawał się popchnąć mnie przez chodnik ku schodkom z żelazną poręczą i do drzwi wejściowych.

Nad drzwiami paliło się światło, było słabe, ale wystarczające, aby odczytać wizytówki przy guziczkach dzwonek. Przeważnie znajdowały się one pod guziczkami; na jednej odczytałam nazwisko McGuire. Był to drugi guzik od dołu, więc domyśliłam się, że mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze.

Próbowałam otworzyć drzwi, nie naciskając dzwonka, i zauważyłam, że były otwarte. Bez zastanowienia weszłam do środka i skierowałam się

do wydeptanych wieloletnim używaniem schodów. Bałam się, że nie zostanę wpuszczona, jeśli zaanonsuję swoje przybycie. Nie uświadamiałam sobie tego dokładnie, ale coś po-

wstrzymywało mnie przed naciśnięciem guzika tam, przy wejściu od ulicy.

Dotarłam do niewielkiego, prostokątnego podestu na półpiętrze i zatrzymałam się. Bałam się iść dalej, ale zarazem nie chciałam wracać. Mogłam słyszeć głosy lokatorów, czasem zbliżały się, to znów oddalały gdzieś w głąb mieszkania i cichły.

Wbrew woli nagle zapukałam do drzwi, jakby moją ręką kierował jakiś impulsywny skurcz.

Odezwała się kobieta: — Zobacz, kto puka.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, stanęła w nich mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, wypełniając całą ich szerokość.

— To jakaś bardzo strojna pani — powiedziała, nie spuszczając ze mnie oczu. Nagle na jej ramieniu pojawiła się szeroka dłoń, odsunęła ją na bok niecierpliwym ruchem, który jednak nie był brutalny, i nagle, jak po zmianie przezrocza na ekranie, zastąpiła ją tęga kobieta około czterdziestki.

Wydawało mi się, że gestem bardziej wyrażającym uprzejmość niż konieczność, zaczęła fartuchem wycierać ręce.

— Czy tutaj mieszka Eileen McGuire? — zapytałam.

— Tak, proszę pani, mieszka tu. — W tym momencie przypomniała sobie o swoich włosach i nerwowo przygładziła je gestem sprawiającym wrażenie przesadnej chęci przypodobania się.

— Czy mogłabym porozmawiać z nią przez chwilę?

— Jeszcze nie wróciła do domu — odparła. — Powinna być lada chwila — dodała z tym samym niepokojem, jaki wykazała, przygładzając włosy. Wylewnością próbowała złagodzić moje rozczarowanie. Nawet zawołała głośno przez ramię: — Cath-reen! Która teraz jest godzina? — A potem, nie czekając na odpowiedź, dodała przepraszająco: — Trochę się spóźnia. Może czeka na autobus. — Gościnnie otworzyła drzwi szerzej. — Zechce pani wejść i spocząć?

To, co zobaczyłam dzięki szerzej otwartym drzwiom, pasowało do tego, czego się spodziewałam, pasowało do niej i do całego domu — może powinnam powiedzieć, że pasowało do moich wyobrażeń o tym. Nie zastanawiałam się, co innego mogło to oznaczać, jeśli chodzi o konkretne środowisko, ale wiem, że wszystko tu było bardzo na miejscu.

Ściany były w kolorze jasnej, wodnistej zieleni. W tej części, którą akurat widziałam, wisiała masywna, pozłacana, drewniana rama o zawiłym i bardzo złożonym deseniu. W ramie rozciągnięty był wiśniowy plusz, z umieszczonym centralnie owalnym wycięciem. W tym wycięciu znajdowała się wyblakła ślubna fotografia, przedstawiająca mężczyznę i kobietę; mężczyzna siedział, a kobieta stała.

Stojący na środku stół wysuwał się trochę poza ramę drzwi, która ograniczała mi widok, a na nim, przedzielona niemal z geometryczną precyzją na pół przez zasłaniającą ramę, stała godna uwagi lampa. Miała mleczny klosz, który podierały druty jak w parasolu, a całość nawet trochę przypominała miniaturowy parasol. Z dolnego brzegu klosza zwisały szklane wisiorzy. Długi, poskręcany drut wychodził z boku klosza i biegł do gniazdka.

Przed tą lampą, z brodą opartą na blacie stołu, siedział mały chłopczyk, nawet mniejszy niż dziewczynka, która otworzyła drzwi. Wpatrując się we mnie okrągłymi oczami, chętnie zaniedbywał czynność, którą miał wykonać. Było to zapewne zadanie domowe; przed dzieckiem leżała zniszczona książka, rozpostarta kartka żółtego papieru, a z mocno zaciśniętej piastki wystawał kawałek ołówka. To chyba ten ołówek pobrudził mu górną wargę, ale mogło to być coś innego.

W tej krótkiej chwili, jaka upłynęła od zaproszenia kobiety do mojej odmowy, wybuchło jakieś gwałtowne zamieszanie, które nie miało ze mną nic wspólnego. Jakiś poskładany biały materiał wylądował bezszelestnie na blacie stołu, poza zasięgiem mojego wzroku, wysuwając się tylko małym narożnikiem, ale spowodował ruch powietrza, który wzburzył włosy na główce chłopczyka i uniósł kartkę papieru. Usłyszałam głos dziewczynki rozkazującej mu ostro: — Zabieraj się stąd. Muszę nakryć do stołu.

Falista kaskada bieli zalała powierzchnię stołu, pokrywając papier i książkę, a także prawie całą głowę chłopca. Wysunął się spod obrusa, zabierając ze sobą wszystkie przedmioty. Machnął dwa razy otwartą dłońią w stronę kogoś, kogo nie mogłam zobaczyć, a jakaś ręka poruszyła się w ten sam sposób.

W tym czasie odpowiedziałam matce: — Dziękuję. Poczekam na nią na dole.

— Proszę, niech pani wejdzie.

— Zaczekam przy wejściu.

Zastanawiała się, kim jestem, ale nie wiedziała, jak o to spytać. — A kto... Kto o nią pyta, jeśli można wiedzieć?

— Panna Reid — odparłam. — Jean Reid.

Wyraz jej twarzy zmienił się. Znikł z niej uśmiech. Nie było w tym złej woli, ale raczej rodzaj żalosej demonstracji.

Zastanawiałam się, czy wspomni o tym, gdy prawie natychmiast zaczęła mówić. Przynajmniej nie była hipokrytką.

— Panno Reid, a dlaczego to wyrzuciła pani w ten sposób moją pannę? — spytała z wymówką. — Z tego, co mi opowiadała, jestem pewna, że starała się panią ze wszystkich sił zadowolić.

Widocznie nie знаła przyczyny, a tylko skutek. Nie odpowiedziałam.

— Och, ale znalazła już inną robotę — powiedziała. — Jednak bardzo to przeżyła.

— Przykro mi — powiedziałam cicho. — Zaczekam na dole — i odeszłam.

Kiedy schodziłam w dół, światło poza mną utworzyło na ścianie blady wachlarz, który — niczym powoli składany — zwiężał się, aż oba jego końce się spotkały, i zniknął.

Schodziłam wolno, trzymając się wiekowej balustrady. Ileż rąk musiało się już po niej przesuwać... Wyszłam na ulicę i podeszłam do samochodu. Stałam przy nim, nie wsiadając do środka. Zamiast obserwować ulicę, patrzyłam na auto. Plecami byłam odwrócona do budynku. Pomyślałam, że może z oświetlonego okna spoglądają na mnie dwie małe twarzyczki. Najprawdopodobniej ona też wyjrzała, aby sprawdzić czy czekam; ale zapewne odgoniła dzieci od okna, mówiąc im, że to niegrzecznie kogoś podglądać.

Jednak nie odwróciłam się i nie spojrzałam w górę, aby się przekonać, czy mam rację. Niech się na mnie gapi cały świat, nic mnie to nie obchodzi.

Dostrzegłam jakąś sylwetkę i wiedziałam, że to ona, chociaż dzieląca nas odległość była jeszcze dość duża i nie widziałam jej na tyle często idącej, aby teraz rozpoznać. W dodatku było już za ciemno, żeby z tej

odległości rozpoznać rysy twarzy. Jednak to z pewnością była kobieta, bardzo szczupła kobieta, która wyraźnie śpieszy-

ła się. Szła szybko, chociaż widać było, że jest zmęczona długą pracą. Poruszała się z wyraźnym wysiłkiem, starając się zwalczyć zmęczenie i nie pochylać się, i po tym właśnie poznałam, że to ona.

Odwróciłam się szybko od samochodu, obracając się na pięcie. Stojąc tak sztywna i spięta, patrzyłam, jak się zbliża; czułam, jak mocno bije mi serce, choć nie analizowałam tego, co odczuwam.

Podeszła bliżej. W końcu padło na nią światło. Wyszła z neutralnego granatu nocy i zanim jeszcze ukazała się cała postać, dostrzegłam jej płaszcz w charakterystyczną kratkę. Potem w polu widzenia znalazła się przypominająca pończochę czapka robiona na drutach. Nie miała nic wspólnego z modą, zakrywała prawie całą głowę, przylegając do niej ściśle, z wełnianym pomponem na czubku, który stanowił jedyną ozdobę przełamującą jej funkcjonalność.

A potem w końcu ujrzałam jej twarz; wymizerowana, anemiczna, ściągnięta twarzyczka, jaką pamiętałam. A teraz w dodatku wydawała się bardzo zmęczona, nawet bardziej niż wtedy, gdy pracowała u mnie. Kąciki ust były opuszczone, wargi bezbarwne, nawet nie miała ochoty ich umalować.

Podchodząc do drzwi wejściowych, zauważyła mój samochód, ale w pierwszej chwili nie poznała mnie. Było to dziwne, choć wiedziałam, że nie udawała; ona nikim się nie interesowała, była zbyt zmęczona. Pragnęła jedynie jak najszybciej wrócić do domu.

Nie byłam pewna swojego głosu, ponieważ miałam zbyt ściśnięte gardło.

— Eileen — zawołałam cicho.

Zdawało się, że mnie nie słyszy. Wspięła się kilka stopni w górę.

— Eileen! Zaczekaj.

Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na mnie. A potem mnie poznała. Skrzywiła się z niezadowoleniem i zamierzała odwrócić się i iść dalej.

Czułam, że z trudem poruszam się w jej stronę. Rzuciłam się do podnóża stopni z takim wysiłkiem, że ten ruch wykonałam zbyt gwałtownie i musiałam jedną ręką chwycić żelazną balustradę, a drugą

wyciągnęłam ku niej. Była wyżej, górowała nade mną, stojąc na wyższym stopniu.

Potem opuściłam rękę, nie wiedząc, co robić. Może po prostu za-trzymać ją; może zaapelować do jej uczuć.

— Nie poznajesz mnie? Jestem Jean Reid.

— Poznają panią, panno Reid — odparła chłodno. Patrzyłam na nią, ona patrzyła na mnie. Tak jakbyśmy nawzajem hipnotyzowały się wzrokiem.

— To... to się stało — wyjąkałam. — Nie wiem, skąd wiedziałaś... Wiedziałaś? Ale to się stało.

Usłyszałam, jak wzdycha głęboko.

— Ja nie... wiedziałam — odparła. — Nie czytałam gazet... Jestem bardzo zmęczona. To ojciec przynosił je do domu, ale od jego odejścia...

Słyszałam, jak mówi, ale nie widziałam jej twarzy. Jej obraz rozplynał się, rozprysł na kawałeczki jak księżyc odbijający się w wodzie. Poczułam, że moja głowa gwałtownie opada w dół, jakby silnie przyciskana czyjąś ręką, a czoło spoczęło na balustradzie. Kręciłam głowę z boku na bok, od skroni do skroni, jakby kojące zimno gładkiego żelaza miało ulżyć uciskowi wewnątrz czaszki.

Poczułam na włosach delikatny dotyk jej ręki — jak gdyby próbowała mi ulżyć — jednak potem cofnęła ją, przestraszona własną śmiałością.

Spojrzałam w górę. Jej twarz trochę się rozpogodziła. W tym jednym spojrzeniu mogłam dostrzec, że nie było w niej złości, pretensji czy żalu, nie było satysfakcji z mojego bólu. Intuicyjnie wyczułam, że nie jest moim wrogiem, i to przekonanie głęboko ugruntowało się we mnie na zawsze.

Jej twarz wyrażała współczucie. Widziałam w niej też strach, przynajmniej równy mojemu. Jednak dostrzegłam również bezradność, może nawet większą niż ta, którą sama odczuwałam. Ujrzałam bezsilność, bezgraniczną, bierną bezsilność...

— Eileen, powinnam była cię posłuchać... — wyszeptałam.

— Nie winię pani o to. Cokolwiek się staje, musi się stać... i nie można tego później zmienić:..

Pozwoliła, żeby jej ręce, dotychczas przyciśnięte do pasa, teraz bezwolnie opadły po bokach. Były tak bezwładne, że zakołysały się jak u manekina. Pamiętam, że w jednej dłoni trzymała brązową papierową torebkę, która kiwała się przed moimi oczami jak tarcza wahadła.

— Czy on?... On był?...

— Nie wiem — powiedziała odrętwiała. — Cały dzień czekałam... Był tam, musiał tam być. Wczorajszej nocy próbowałam go złapać przed odlotem, ale spóźniłam się...

— To i tak nie miałyby żadnego znaczenia. Cokolwiek się staje, musi się stać i nie ma sposobu, aby tego uniknąć.

Noc wydawała się ciemniejsza, niż była w istocie; ledwie widziałam jej twarz tuż przed sobą.

Wreszcie zaczęłam walczyć z tym poczuciem niemocy. Nie! Nie! Nie! To *była* kwestia losu. Nie można przewidzieć tego, co się stanie; wydarzenia następują po prostu w sposób naturalny. I nie są znane do chwili, gdy się wydarzą. Nie można ich oczekiwać! One ukazują się dopiero wtedy, gdy się zdarzają.

Zaczęłam się trząść pod wpływem ogarniającego mnie jakiegoś osobliwego buntu i zdawałam sobie sprawę, że Eileen nie ma pojęcia, o co chodzi. Myślała zapewne, że drzę ze strachu lub z powodu poniesionej straty. Ale nie chodziło o to, ta walka była innego rodzaju. Przy schodkach przed budynkiem mieszkalnym mój rozum walczył z siłami ciemności.

— Niech pani na chwilę wstąpi do mnie — powiedziała ze współczuciem. — Pani jest chora, zmęczona...

Potrząsnęłam głową i nie ruszyłam się z miejsca. Płomyczek znów gasł, czułam to. Nie miałam go czym podsyć.

— A gdyby nie wyleciał właśnie teraz... Gdyby wyleciał za tydzień...

— Musiał polecieć — powiedziała łagodnie. — Tak jak pani musiała wyrzucić mnie z pracy. I tak jak nie udało się pani złapać go telefonicznie. I dlatego tak głupio było mi o tym wszystkim mówić. Ale trudno się do tego przyzwyczaić, człowiek zapomina się i...

Przycisnęłam mocno dłonie do uszu, próbując jej nie słyszeć, i potrząsnęłam głową.

— Nie! Nie! To nieprawda! Nie chcę tego słuchać! On wcale nie *musiał* wtedy lecieć. Mogło go coś zatrzymać.

— Nic nie mogło go zatrzymać. Tylko że my nie zdajemy sobie z tego sprawy, nie wierzymy w to. Ja też przez dłuższy czas nie wierzyłam. Widziała pani, co robiłam, próbowałam pani powiedzieć, jak gdyby to mogło go powstrzymać.

Opuściłam ręce, odsłaniając uszy. Nie wiedziała, co stało się właśnie w tej chwili. Nie jestem pewna, czy ja sama wiedziałam. Ten płomyczek po prostu zgasł. We mnie, na całym świecie; było bardzo cicho i bardzo ciemno. Nie było już o co ani z czym walczyć, nie było już nic.

Stała i obserwowała mnie, nie próbując zgadywać. Być może jej dusza była prostsza, ona nie walczyła.

— Chciałabym... chciałabym jakoś pani pomóc... — odezwała się w końcu.

Spojrzałam na nią, wyciągnęłam rękę i chwyciłam klapę jej płaszcza. — Ta przyjaciółka, ta osoba... Eileen, zaprowadź mnie do niej. Pozwól mi się dowiedzieć. Czy oni wszyscy... Wszystkich czternastu? Dlatego przyjechałam do ciebie, Eileen. Muszę się dowiedzieć. Nie mogę tego dłużej znieść, nie mogę tak czekać w nieświadomości...

Widziałam, jak z powątpiewaniem przygryza wargi.

Zacisnęłam mocniej palce na klapie płaszcza i przyciągnęłam ją do siebie rozpaczliwie. — Eileen, przynajmniej pozwól mi iść ze sobą... Pozwól mi się dowiedzieć... Powiedziałaś, że to jakaś twoja przyjaciółka...

— Tak, to prawda — odparła. — Ale *on* nie lubi, aby mu zadawać tego rodzaju pytania. Nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że powiedziałam pani. Nie lubi innych... no, nie lubi obcych, wie pani... nie chce, aby o nim wiadano.

I tak właśnie okazało się, że to był mężczyzna.

A wyraz jej twarzy mówił mi, że zaczynała ulegać. Poruszyła się niepewnie, obejrzała się na drzwi, a potem znowu spojrzała na mnie i odwróciła głowę, spoglądając na fasadę domu. Sądziłam, że patrzy na okna swojego mieszkania, ale równie dobrze mogły to być jakieś inne okna. Potem znów spojrzała na mnie.

Ciągle nalegałam: — Chcę tylko wiedzieć, chcę, żeby mi powiedziano... To czekanie, ta nieświadomość... nie zniosę tego, Eileen...

Oszaleję. Pomóż mi... Jeśli mi choć trochę współczujesz, to błagam cię, pomóż.

Dostrzegła, że zamierzam przed nią klęknąć na brudnych stopniach tego nędznego domu. Szybko chwyciła mnie i przyciągnęła do siebie w odruchu litości; był to jakiś przebłysk zwykłej stanowczości, lecz bardzo krótki, nie pasujący do jej zachowania i charakteru. Ale ta stanowczość nagle znikła, jak błyszczący okruch miki w bezkształtnej masie piasku.

— Proszę zaczekać — powiedziała — ja... — I obejrzała się jak dziecko, które nie jest pewne, czy to, co robi, jest dozwolone. — Proszę tu zaczekać, spróbuję się dowiedzieć.... Zobaczę, czy będę mogła z nim porozmawiać... Nie lubi bezpośrednich pytań, ale może czegoś się dowiem... — Potem szybko dodała: — Pani na pewno się nie boi? Na pewno pani chce, żebym to zrobiła?

— Tak — wykrztusiłam — tak. Chcę wiedzieć najgorsze. Wszystko. Nie mogę już dłużej tak cierpieć...

— Proszę więc zaczekać tu na mnie. Lepiej, żeby nie wiedział, że próbuję się czegoś dowiedzieć dla kogoś innego. On mieszka w tym samym domu... — Położyła obie ręce na moich ramionach i potrząsnęła nimi w pocieszającym geście.

— Ale jest choćby cień szansy? — błagałam. — Dowiedz się, czy wszyscy zginęli...

— Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła — szepnęła. Odwróciła się, weszła do środka, a ja zostałam sama przy ponurym wejściu do siedziby wyroczni.

Słyszałam, jak szła po schodach, potem kroki ścichły, aż wreszcie umilkły. Zaczęłam rozmyślać: „Słyszysz to? Przecież to tylko kroki zmęczonej dziewczyny pracującej jak niewolnica w jakiejś fabryce lub w sklepie, dziewczyny, która wchodzi do zwykłego domu czynszowego — i nic więcej. Po co tutaj przyszedłaś? Dlaczego stoisz tu i czekasz na jakąś informację, której nikt w tym miejscu nie może znać, której nie zna nikt w całym mieście? Ty głupia, głupia, po co nadstawiasz uszu, aby wyłować jakieś dźwięki? To tylko zwykłe kroki po lichych schodach biednego domu. Dlaczego tak uparcie tu czekasz i intensywnie nadśluchujesz?”

Stałam przez dłuższy czas sama. Tam, przy krawężniku był mój samochód i błyszczał w ciemności pomarańczowym światłem odbi-

tym od lampy nad drzwiami, w których stałam. Wreszcie poruszyłam się, podeszłam do samochodu i uchwyciłam się drzwiczek jak ktoś, kto nie jest pewny, że ustoi o własnych siłach, i z pochyloną głową wpatrywałam się intensywnie w tapicerkę oparcia foteli.

Tak, samochód był czymś realnie istniejącym, on tu stał. Mogłam go czuć rękoma, mogłam go widzieć, dotknąć włącznika i zapalić światła, którym nie oprą się żadne cienie; ale teraz cienie panowały niepodzielnie, oczy i umysł były bezsilne, nie mogły przebić pokrywającego wszystko całunu ciemności. Nie mogłam wy dostać mnie z tych cieni, to ja sprowadziłam je ze sobą; jego siła była bezużyteczna, stał się jednym z otaczających mnie gotyckich cieni. Ponieważ te cienie pochodziły z wnętrza, wszystko, na co padły, zostało pokryte cieniem. Tak jak wtedy, gdy przesłania się oczy przydymionym szkłem i nawet najbardziej roziskrzone słońce staje się ponure. Każdy widzi świat na swój własny sposób i chociaż ktoś inny znalazłby się w tym samym miejscu, na którym stały twoje stopy, i byłby prowadzony tymi samymi znakami wytyczonymi kredą, nie widziałby tych samych rzeczy w ten sam sposób co ty. Byłyby dwa, nie jeden, punkty widzenia. Czy w ogóle istnieje jakiś świat, zastanawiałam się, tam *przed nami*, na zewnątrz, kiedy na niego patrzymy; może on też nie istnieje poza zasięgiem oczu, a przed oczami nie ma nic, tylko nieskończona nicość? Ale gdy poczułam, że nadpływa ku mnie szaleństwo, szybko odwróciłam się.

Na pustej ulicy pojawił się mały, beżowy pies. Biegł truchtem. Gdy mnie dostrzegł, skierował się w moją stronę i zdawkowo obwąchał moje buty. Spojrzałam na niego i na moment nasze oczy spotkały się. Poruszył raz ogonem, w jakimś wspomnieniu dawno okazanej przyjaźni, a potem odwrócił się i pobiegł dalej.

No i już wpadłeś w pułapkę, pomyślałam, tak samo jak i ja. Musiałeś zjawić się właśnie tutaj i przebiec akurat tę ulicę, dokładnie w tym momencie. Nie mogło być inaczej. To musiało wydarzyć się tu i teraz. Ten twój przystanek, to węszenie, ten ruch ogonem, to wszystko musiało się stać, było zaplanowane, było ci zapisane przed setkami godzin albo przed setkami lat, tego nie wiedziałam. To wszystko było, istniało już przed tobą, nie mogłeś tego uniknąć, nie mogłeś przed tym uciec, *musiałeś* to zrobić.

Tak, jesteśmy w pułapce, ty i ja; ale ja jestem uwięziona w tej pułapce, może bardziej niż ty, ponieważ ty robisz to wszystko bezwiednie, a ja... teraz... wiem, że musiałeś to zrobić.

Uniosłam twarz, dotąd ukrytą w obramowaniu rąk opartych o dach samochodu, i usłyszałam powolne kroki na schodach wewnątrz domu. Ten dźwięk zdawał się narastać, jakby dochodził z wnętrza pustej muszli, tak że mogłam go nawet z tej odległości wyraźnie słyszeć, chociaż nie był zbyt przenikliwy. Kroki przypominały raczej szelest suchego liścia, leniwie spadającego ze stopnia na stopień.

Przez moment stałam bez ruchu, nie mogąc odejść od samochodu, nie mogąc rozkazać memu ciału, aby się obróciło. Ten dźwięk, przypominający szelest liścia, dotarł do podnóża schodów i ucichł. Wtedy wreszcie odwróciłam się i ujrzałam ją stojącą w drzwiach. Nieruchoma, lekko pochylona patrzyła na mnie, z głową bezwładnie opartą o ceglana fasadę przy drzwiach.

Zginał! — przemknęło mi przez myśl. Całe jej ciało wyrażało...

W jednej chwili znalazłam się przy niej, na stopniach.

— Słuchanie go — jęknęła — zawsze mnie przeraża. Nie mogę tego znieść... Czuję, że mam w żołądku bryłę lodu...

Jej usta drżały bezdźwięcznie, a zatem stało się.

— On wie... on wiedział... — wykrztusiła. — Zanim zdążyłam zebrać się na odwagę, aby cokolwiek powiedzieć... Może odczytał pytanie z mojej twarzy. Ale to zawsze mnie przeraża. Musiał wiedzieć, że pani jest tu na dole. „Idź i powiedz jej...” — powiedział do mnie.

— Może zobaczył przez okno mój samochód. — Nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to głośno, ale widocznie tak było, ponieważ usłyszałam jej odpowiedź.

— Okna jego pokoju wychodzą na podwórze.

Chwyciłam ją, jak ktoś rozpaczliwie szukający pomocy w chwili niebezpieczeństwa, chwytałam ją za klapy płaszcza i przyciągałam ku sobie.

— I co? — dyszałam. — Eileen, co?

— Wszyscy nie żyją. Wszystkich czternastu nie żyje. Nikt nie ocalał.

Ogarnęła mnie ciemność, niczym uderzenie lodowatego bicza, który zaciskał się mocno na mojej szyi.

Jej głos dochodził do mnie z daleka. Teraz już nie trzymałam jej, to ona trzymała mnie. Byłyśmy blisko siebie.

— Potem dodał: „Powiedz jej jednak, że znów zobaczy swojego ojca”. Czy pani mnie słyszy, panno Reid? Czy rozumie pani, co mówię? On powiedział: „Powiedz jej, żeby wróciła do domu, gdzie czeka na nią wiadomość”.

— Ależ on leciał tym samolotem. Wiem, ponieważ telefonowałam w chwilę po starcie i powiedziano mi, że samolot już wystartował i on w nim był. A jeśli tak i nikt nie ocalał, to...

— Proszę zrobić tak, jak powiedział. Niech pani wraca do domu...

Już siedziałam w samochodzie. Ona stała, patrząc na mnie. Jak przez mgłę widziałam jej twarz.

— Dobrze się pani czuje? Może coś dla pani zrobić? Może pani prowadzić samochód?

— Myślę, że tak — odparłam. — Nie muszę się zbytnio wysilać. Trzeba tylko trochę przycisnąć stopą pedał i mocno trzymać kierownicę...

Jej twarz powoli rozplynęła się w ciemności; ruszyłam.

Znowu go zobaczę. O, tak, przypuszczalnie zobaczę — tylko jak? Czy jako martwe ciało na noszach, wynoszone z samolotu?

Dwie rzeczy wzajemnie się wykluczały. Jeżeli wszyscy zginęli, zatem i on też zginął. Ale jeśli zobaczę go żywego, to znaczy, że wszyscy nie zginęli. I z tych dwóch możliwości wierzyłam raczej w tę pierwszą.

Raz, przy ruchliwym skrzyżowaniu, zatrzymało mnie czerwone światło. I zapewne nie stanęłabym przed tym światłem, ale jechał przede mną samochód i zatrzymał się, a ja zbliżałam się do niego tak długo, aż przypomniałam sobie o istnieniu hamulców. Jakiś inny samochód podjechał obok po zewnętrznej i zatrzymał się tuż przede mną. Myślę, że to była taksówka, ale nie jestem pewna. Z radia sączyło się monotonne sprawozdanie z meczu bokserskiego, a kierowca i dwóch pasażerów z tyłu pochylali się, aby nie uronić ani słowa.

Potem nagle przerwa, chwila ciszy i głos czysty jak dzwon: — Przerwywamy program, aby podać najświeższe wiadomości. Naziemne zespoły poszukiwawcze dotarły do miejsca katastrofy samolotu. Ustalono

ostatecznie, że nikt nie przeżył. Odnaleziono ciała wszystkich pasażerów, którzy nim lecieli. Niektóre znaleziono w tak dużej odległości, że...

Nagle usłyszałam za sobą gniewne sygnały. Już od dłuższego czasu zmieniły się światła i samochody przede mną odjechały. Tamowałam ruch uliczny.

To było łatwe, nie musiałam wiele pamiętać. Po prostu kładziesz stopę na pedale, lekko naciskasz, o, właśnie tak... i trzymasz kierownicę, aby nie obracała się swobodnie. Potem czekasz, płacząc, aż wreszcie dojedziesz do domu. I starasz się utrzymywać spokojny wyraz twarzy.

Potem nie jesteś nawet pewna, czy to już twój dom, nawet wtedy, gdy już znalazłaś się przed nim. Twoje ręce spoczywają na kierownicy, zdając się prowadzić ją bez twojej wiedzy. Otwierają się drzwi i oni stoją w nich, czekając na ciebie, i wiesz, że mimo wszystko przyjechałaś do właściwego miejsca.

Wszyscy czekali na mnie w holu. Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak ludzie, którzy chcą coś powiedzieć, ale nie wiedzą, jak to zrobić.

— Już wiem o wszystkim — odezwałam się spokojnie. — Słyszałam w czasie jazdy.

Z wahaniem wyciągnęły się ku mnie czyjeś ramiona.

— Nie, nie, mogę wejść sama na schody. Pozwólcie mi tylko przejść... — powiedziałam.

Ktoś za mną cicho załkał, ale natychmiast został przez kogoś uciszony cichym szeptem. Sądzę, że to była pani Hutchins.

Gdyby nie stali tak i nie obserwowali mnie, jak wchodzę po schodach, z pewnością mogłabym iść pewnie. Już pięć stopni i żadnego wahania.

— Panno Reid — usłyszałam czyjś słaby głos.

Obróciłam pytająco głowę i zobaczyłam, że to była Signe. I że lekkie uderzenie ręki pani Hutchins dotyczyło właśnie jej osoby.

— Słucham?

— To przyszło...

Zobaczyłam, w którą stronę zwrócone były ich oczy. Bali się tego dotknąć. Na brzegu stołu leżała jasnobrązowa koperta. Telegram śmierci. Oficjalne zawiadomienie.

— Podajcie mi kopertę — powiedziałam. — Zabiorę ją ze sobą. Pani Hutchins chwyciła przesyłkę, wspięła się trzy czy cztery stopnie i podała mi ją.

Odwrociłam się i weszłam na następny stopień. A potem jeszcze jeden. Było mi coraz ciężiej iść. Telegram zdawał się ważyć tonę.

Znowu się zatrzymałam. Rozdarłam papier i wsunęłam palce do środka. Koperta spadła za poręcz.

Fioletowy atrament był częściowo rozmazany; wszystkie litery pomieszane ze sobą. Potem, gdy zaczęłam się w nie intensywnie wpatrywać, zaczęły układać się w zrozumiałe zdania.

WŁAŚNIE USŁYSZAŁEM. NIE MARTW SIĘ. JESTEM CAŁY I ZDROWY. ZATRZYMAŁY MNIE INTERESY. PRZYJEŹDŹAM POJUTRZE POCIĄGIEM.

OJCIEC

Znowu usłyszałam głos pani Hutchins, ale jakby gdzieś z daleka: — Szybko! Pomóżcie mi! Niech mi ktoś pomoże! Nie widzicie, że ona mdleje?

Na dworcu, czekając na pociąg, w pierwszym odruchu postanowiłam od razu wszystko mu powiedzieć. Ale potem, gdy zobaczyłam, jak przechodzi przez bramę, kiedy przez poprzeczną kratownicę dostrzegłam poszatowaną plamę jego płaszcza z wielbłądziej wełny i kiedy wyszedł na zewnątrz, a ja podbiegłam do niego, przytuliłam się w milczeniu, nie mogłam wydusić z siebie słowa. Pragnęłam tylko być przy nim, czuć go w ramionach, to mi wystarczyło. Wtulona w jego płaszcz czułam się bezpiecznie, było tam tak ciepło... Nie było już żadnej nocy. Żadne gwiazdy nie patrzyły na mnie. Tylko jego twarz, tylko ciepło jego oddechu nade mną.

Staliśmy tak, aż wypływający tłum przerodził się w cienki strumyczek, a potem pojawili się już tylko pojedynczy spóźnialscy, którzy wkrótce gdzieś zniknęli, a my pozostaliśmy sami na środku dworca. Stojąc nieruchomo, objęci, sprawialiśmy wrażenie samotnej skały, która nagle wynurza się z wody podczas odpływu.

— Coś źle wyglądasz — powiedział zatroskany.

Próbował unieść moją twarz ku sobie, aby ją lepiej zobaczyć. Ale odsunęłam się.

— Chodźmy stąd — wyszeptał. — Wyjdźmy na zewnątrz i jedźmy do domu.

Wyszliśmy z dworca, nadal przytuleni do siebie.

— Długo czekałaś? — zapytał.

— Od świtu.

— Ależ ten pociąg przyjeżdża dopiero o dziewiątej. Myślałem, że wiesz o tym.

— Wiedziałam. Ale *musiałam* wyjść na spotkanie, nawet gdybym miała tylko stać i czekać przed bramą. Zdawało mi się, że to jedyny sposób, aby szybciej cię tu sprowadzić.

— Biedne dziecko — mruknął pod nosem.

Aż do tej chwili nie widział wyraźnie mojej twarzy; mógł jedynie spojrzeć na nią przelotnie w chwili, gdy opuściliśmy mroczną salę dworca. Teraz zobaczył ją w wąskim tunelu dziennego światła, między wejściem na dworzec a samochodem. Nic nie powiedział. Zatrzymał się tylko na chwilę, lekko się skrzywił i potem szedł dalej. Szliśmy spleceni ramionami, ja obejmowałam go ręką wsuniętą pod płaszcz.

— Mam prowadzić? — zapytał, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi auta.

— Tak, jedź.

Nasze dłonie zetknęły się na brzegu kierownicy.

— Masz zimne ręce.

— Były zimne przez trzy dni. — Chuchnęłam. — Ale teraz rozgrzeją się. — Jedną rękę wsunęłam pod jego ramię, a drugą położyłam z góry i złączyłam razem dłonie.

— Musiałaś to bardzo ciężko przeżywać — dodał drżącym głosem skupiony już na drodze.

Zamilkł. Wydostaliśmy się z zatłoczonych ulic i podjechaliśmy pod dom.

— Próbowałem jak najszybciej przesłać ci wiadomość. Czy upłynęło dużo czasu między wiadomościami w radiu a nadejściem mojego telegramu?

— To nie o to chodziło — odparłam krótko. I zaraz uściśliłam: —
Wcale nie o to chodzi. Nie o tę katastrofę.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę; odniosłam wrażenie, że nie rozumie.

— Jean — powiedział zatroskany — jesteś teraz jakaś inna. No, nie wiem, ale zdaje mi się, że nie było mnie przez dziesięć lat.

Już chciałam powiedzieć, że to nie ja się zmieniłam, ale otaczający mnie świat.

W domu wszyscy byli uszczęśliwieni jego widokiem; wyrazili to w różny sposób. Dla nich sprawa była zakończona. Ale ze mną było inaczej, ja już nigdy nie znajdę się tam, gdzie byłam przedtem.

Weeks ze szczególnym szacunkiem odebrał od ojca płaszcz i kapelusz, i niemal pieszczotliwym ruchem przerzucił płaszcz przez ramię — niczym coś delikatnego i cennego. Właśnie w ten sposób okazał swą radość. Kucharka powiedziała: „Upiekłam dla pana magdalenki z melasą”; jej oczy były dziwnie wilgotne. Pani Hutchins wydawała służbie masę krótkich i całkiem niepotrzebnych poleceń.

Ale oni mieli szczęście. Dla nich to już się skończyło.

Teraz usiedliśmy razem do śniadania.

— Och, jak dobrze! — powiedział i z radością zatarł ręce. Promienie słońca padały na obrus. Szkło połyskiwało radośnie. Przerzucił zaległą pocztę, ale nie otworzył żadnego listu.

Czekałam. To musiało nadejść, wcześniej czy później. Było tam, musiało się ukazać. Słoneczne światło nie mogło tego ujawnić. I fakt, że wrócił, też nie mogło tego wydobyć. Coś na podobieństwo bryły lodu otaczało moje serce. Potrzebowałam czegoś, co rozbiłoby ten lód.

— Jean, co ci jest? — zapytał. — Co się z tobą dzieje?

Oboje zaczęliśmy jeść wolniej. Drobne odgłosy odstawiania kubków i odkładania sztućców ustały, siedzieliśmy spokojnie i patrzyliśmy na siebie.

— Posłuchaj — zaczęłam z ożywieniem. — Muszę ci o tym powiedzieć. Muszę z tobą porozmawiać. Na nic wysiłki, aby tego nie robić. Przez cały czas o tym myślę. Muszę się wreszcie tego pozbyć. Muszę to zrobić! — Uderzyłam kilka razy pięścią w stół.

Wstał gwałtownie i podszedł do mnie, stanął za moim krzesłem i mocno przytulił do siebie moją głowę. Ja też przytuliłam się do niego, odwracając ku niemu twarz.

— Ale to już minęło, Jean. Już po wszystkim. Musisz o tym myśleć w ten sposób.

— Próbowałam, zanim wsiedliśmy do samochodu. Nie chodzi o katastrofę, której cudem uniknęłaś.

— No więc o co chodzi? Co ci się stało?

— Chodzi o to, że dowiedziałam się, iż to się stanie, zanim to się stało. W tym mieście jest ktoś, kto to przewidział. I sprawdziło się.

— O, nie, Jean — odparł z niedowierzaniem. — Czy to ta historyjka o służącej, którą mi opowiedziałaś? Teraz sobie przypominam. Nie, kochanie, nie. Jesteś zbyt rozsądna, zbyt inteligent...

— Potem, tej samej nocy poszłam tam. I to, że nic ci się nie stało, również zostało przewidziane. A po powrocie do domu zastałam twój telegram. I to też się sprawdziło. — Lekko zadrżałam.

Tym razem nie odpowiedział. Jedną ręką puścił mnie i gładził nią podbródek.

— Jak to się stało, że nie poleciałeś tym samolotem? — zapytałam po chwili.

Zdawało się, że lekko zadrżał, jakby nagle próbował zebrać rozproszone myśli.

— W ostatniej chwili otrzymałam telegram. Już prawie wsiadałem do samolotu; przypuszczam, że mój bagaż był już w środku, gdy usłyszałem w głośniku, że ktoś wywołuje moje nazwisko...

Przecież to ja zaczęłam pisać ten telegram. Zapisałam dwa blankiety. Ale żaden nie został nadany.

— O mój Boże! — szepnęłam i przyłożyłam rękę do czoła.

— O co chodzi? — spytał.

— Byłam przekonana, że go nie wypełniłam... Wiem, że go nie wysłałam...

Trzymając mnie za ramiona, powiedział uspokajająco: — Ten telegram nie był od ciebie. Poczulałam, że moja głowa opada bezwładnie, tak jak zbyt dojrzały melon na wędnącej lodydze. Słyszałam swój ciężki oddech.

Jego głos stał się bardziej oschły. — To wszystko wcale mi się nie podoba. Pójdę chyba tam i dam temu komuś nauczkę. Nie lubię, jak ktoś kpi sobie z mojej dziewczynki.

A potem kilka razy pogładził mnie po głowie.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział łagodnie. — Pójdziemy tam i... i udowodnię ci, że to nie ma żadnego sensu.

Widziałam, że była przerażona. Nie bała się nas, ale wiedziała, że będziemy jej zadawać pytania i że przyszliśmy właśnie w tym celu. Na nasz widok odskoczyła od drzwi.

A potem wyjąkała: — Jak się panienka czuje? Dzień dobry panu! — Chwyciła się za ramię drugą ręką i rozejrzała bezradnie dookoła, jakby szukając za sobą kogoś, kto mógłby jej pomóc.

— Możemy wejść, Eileen? — zapytałam.

— Tak... tak, proszę — odparła i przesunęła krzesło. Ojciec, próbując ją uspokoić, uśmiechnął się i powiedział:

— Jak się masz, Eileen? Jak się czujesz?

— Och, dobrze — odparła bez tchu — bardzo dobrze, proszę pana. — I znowu chwyciła to samo krzesło, tym razem odstawiając je na poprzednie miejsce.

Potem pochyliła się, oparła na nim, jak gdyby traciła równowagę.

Patrzyłam na niego, a on spoglądał na mnie. Uważałam, że najlepiej będzie jak najszybciej przystąpić do rzeczy.

— Możemy się z nim zobaczyć? — zapytałam. — Możemy z nim porozmawiać? No wiesz, z twoim przyjacielem. — Pytając, ściszyłam głos; wydawało mi się, że przez to wzbudzę jej większe zaufanie.

Przygryzła na moment dolną wargę; miałam wrażenie, że nagle jej ciało przeszły ból. Potem prawie z ulgą podeszła do drzwi.

— Zobaczę, czy jest u siebie — zadeklarowała. — Pójdę na górę i zapukam do drzwi. Nie słyszałam, żeby przechodził korytarzem, więc nie sądzę, żeby już wrócił do domu.

Wybiegając, zostawiła uchylone drzwi. Usłyszeliśmy, jak podeszwy jej bucików szybko uderzają o schody.

Do drzwi dzielących pokoje podeszła jej matka i spojrzała na nas od progu. W rękach trzymała talerz, powoli obracając go między zakładkami ścierki.

— Dobry wieczór — powiedziała niechętnie. Wpatrując się w nas, przestała obracać talerz.

Ojciec skinął głową uprzejmie; odpowiedziałam jej w ten sam sposób.

Drzwi otworzyły się szerzej, wróciła Eileen. Była teraz dużo spokojniejsza.

— Nie odpowiada — odezwała się. — Jeszcze nie wrócił. Starsza kobieta chrząknęła. — Chcesz ich zabrać do niego na seans i pokazać, jaki ma dar? Nie powinnaś tego robić. Wiesz, że tego nie lubi.

— To nie jest wina Eileen — wtrąciłam. — To my poprosiliśmy o spotkanie.

— Chciałbym go poznać — powiedział uprzejmie ojciec, nie zwracając uwagi na ich niechętnie zachowanie. — Pragnę tylko z nim porozmawiać. Chyba nie ma w tym nic złego, prawda? — Rozejrzał się i wybrał sobie krzesło. — Możemy usiąść i poczekać?

— Tak, proszę — mruknęła niepewnie Eileen. I jakby ostatnim wysiłkiem chcąc nas zniechęcić, założyła ręce i dodała: — Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo. Jednak może tak szybko nie wrócić.

— Nigdzie nam się nie śpieszy — odparł. — Czuję, że warto z nim porozmawiać. — Zaczął z uwagą zdejmować celofan z cygara. Robił to z niezwykłą precyzją, w sposób, jaki często stosował, gdy zamierzał odgrodzić się od świata zewnętrznego.

Widziałam ludzi o wiele bardziej wyrafinowanych, którzy nie mogli przebić się przez tę osłonę, przez tę jego obojętność, która w gruncie rzeczy była z pewnością całkowicie sztuczna.

— Nie przeszkadza pani, że zapalę? — zapytał potem, trzymając w palcach przygotowane cygaro.

— Absolutnie nie! — szybko wykrzyknęła Eileen. — Proszę się nie krępować. — Chciała być gościnna. Podbiegła, żeby postawić przed nim popielniczkę, i bez tchu cofnęła się na poprzednie miejsce.

Patrząc na ojca, zastanawiałam się, ile lat minęło od czasu, gdy ostatni raz przebywał w miejscu, w którym jego osoba była niepożądana, a mimo to nie zamierzał rezygnować. Może w młodości musiał przesiadywać w jakichś biurach, tak długo ignorując oschłość urzędników, aż w końcu osiągnął cel, który z całą determinacją za-

mierzał zrealizować. Ale byłam pewna, że nigdy potem nie znajdował się w podobnej sytuacji. A jednak nie stracił tych umiejętności.

Oparłam się na tym samym krześle, na którym siedział, i położyłam mu rękę na ramieniu, aby nadać naszemu pobytowi bardziej nieformalny i przyjazny charakter.

Matka odwróciła się i zniknęła za drzwiami, dając w ten sposób do zrozumienia, że pozostawia nas, abyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Eileen stała przez chwilę oparta o ścianę, jakby przyparła ją do niej nasza obecność. A potem, czując sztuczność tej pozy, osunęła się na brzeg najbliższego krzesła i wyprostowała się na nim sztywno, zbyt daleko od oparcia, aby sprawiać wrażenie swobodnej i odprężonej.

W pokoju zapanowała cisza.

Rozległy się kroki matki, która tym razem weszła zdecydowanie do pokoju. Trzymała w rękach stos talerzy. Postawiła je na stole. Potem otworzyła drzwiczki małego kredensu stojącego pod ścianą i zaczęła kolejno układać naczynia na półce.

— Zmyłam wszystko poza sztukami — zwróciła się do Eileen. Dziewczyna poderwała się z krzesła, korzystając z okazji, aby

wyść z pokoju. To jej gorliwe odejście nie było spowodowane słowami matki, a jedynie pragnieniem ucieczki od nas.

— Dokończę za ciebie — zaofiarowała się i szybko wybiegła. Matka nadal układała talerze, kompletnie nas ignorując.

— Czy pani wierzy, że on ma jakiś dar, pani McGuire? — zapytałam ją nagle.

— Tak, wierzę — odrzekła, nie odwracając się.

— Zna go pani od dawna?

— Tak, od dawna — odparła krótko.

Nie sądziłam, żeby coś jeszcze zechciała dodać. Wzięła do ręki talerz i przetała go brzegiem fartucha. Potem nagle odezwała się, jakby nie było żadnej przerwy:

— Jako dzieci, on, ja i mój mąż, bawiliśmy się razem. Pochodzimy z tego samego miejsca. — Potem znowu przerwała.

Trzeba było zadać to pytanie. Gdyby ojciec akurat tego nie zrobił, ja spytałabym o to. — I wtedy już miał w sobie coś?

— Myślę, że tak. On to zawsze w sobie nosił.

— A zatem wówczas zauważyła pani, że posiada ów dar?

— A w jaki sposób miałabym to zauważyć? Dzieci nie zważają na takie rzeczy.

— Przecież musiał być jakiś pierwszy objaw, coś, co zwróciło pani uwagę, prawda? — ojciec naciskał łagodnie.

— Tak, był. Pewnego dnia, gdy miał mniej więcej dwanaście lat, we trójkę bawiliśmy się na wzgórzu. Można było stamtąd widzieć farmę w dole i krzatających się tam jego rodziców. Nagle przerwał zabawę i powiedział: „Muszę tam szybko pójść. Płonie nasza stodoła”. Ja i Frank odwróciliśmy się w tamtą stronę. Był jasny, słoneczny dzień...

Trzymałam głowę lekko przechyloną, ale nie patrzyłam na nią, tylko w podłogę. Ojciec przestał palić. Baliśmy się, że ona na tym przerwie.

— „Nie, tam nic się nie pali”, powiedzieliśmy. Powietrze było bardzo czyste, bez śladu dymu. Ale zbiegł na dół, a my za nim. Dotąd nie widzieliśmy żadnego znaku. Gdy już podchodziliśmy blisko, z drzwi stodoły zaczęły wydobywać się pierwsze białe smużki dymu, a po chwili jego kłęby otuliły całą stodołę. Wszyscy wybiegli z domu, z pół przybiegli ludzie i zaczęliśmy gasić pożar. Uratowaliśmy stodołę, a potem pamiętam, że leżąc i odpoczywając, Frank powiedział do niego: „Ty chyba masz sokoli wzrok. Przecież tam, gdzie staliśmy, nic nie było widać”. A on, żując trawkę, odparł: „Nic nie widziałem. Po prostu wiedziałem, że zacznie się palić, i to wszystko”. Nie śmialiśmy się z niego, ponieważ miał rację. Zapytaliśmy tylko, skąd o tym wiedział. Odparł, że sam nie wie. Zauważyliśmy, że próbuje się nad tym zastanawiać, marszcząc brwi. A potem dodał, tych słów nigdy nie zapomnę: „Tak jakoś pomyślałem o tym i poszedłem tam. Za każdym razem, jeżeli myśli się o czymś, pojawia się obraz tej myśli i ukazuje się przed twoimi oczami to, o czym myślisz. Jeżeli myślisz o drzewie, przed twoimi oczami ukazuje się drzewo. Jeżeli myślisz o domu, w tym momencie ukazuje ci się dom. I wtedy właśnie pomyślałem o stodole. I nagle moje myśli stały się bezbarwne i czyste, jak gdyby świeciła bardzo jasno, a potem ujrzałem obraz płonącej stodoły. Wiedziałem jednak, że jeszcze nie płonie, wywnioskowałem więc, że będzie płonąć”.

Milczeliśmy. Ojciec strząsnął popiół z cygara w zagłębienie dłoni i trzymał go tam przez chwilę. Nikt się nie poruszył. Po chwili wyciągnął rękę i przesypał popiół do popielniczki.

Wciąż wpatrywałam się w podłogę. Mówiła o tym tak zwyczajnie, że nie mogła kłamać, pomyślałam. Jak mogło w tego rodzaju prostym przekazie tkwić jakieś oszustwo, jakieś udawanie?

Właśnie skończyła układać talerze. Zamknęła drzwiczki kredensu, a potem stała jeszcze, niepotrzebnie polerując fartuchem małe, szklane klameczki; miałam wrażenie, że myślami błądzi gdzieś daleko i nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi.

— Potem zdarzyło się jeszcze wiele podobnych rzeczy — powiedziała cicho. — Może żadna z nich nie tak wyraźna, nie tak dostrzegalna. Ale wtedy był to właśnie pierwszy przypadek.

— A inni ludzie też dowiedzieli się o tym? — zapytał ojciec.

— Paru się dowiedziało. Tak. Ale niewielu. Wieści rozchodziły się w okolicy wśród tych, którzy znali nas i jego.

— Jak je odbierano?

Wzruszyła ramionami. — Nie wiem. Przypuszczam, że tak jak my. To było coś, czego nie mogliśmy zrozumieć. Po prostu uznaliśmy, że posiada jakiś cudowny dar, ale poza tym nie czuliśmy, żeby różnił się od nas. Jego ojciec nieraz dał mu po uszach, tak jak inni ojcowie karzą dorastających synów. — Ludzie nie próbowali jakoś wykorzystać tego, jak to pani określiła, daru?

— Kilku rzeczywiście próbowało to zrobić. Kobiety w ciąży czasem przychodziły do niego, aby im powiedział, czy będą miały córkę czy syna. Sąsiad spytał, czy jego ziemia obrodzi. Tego rodzaju niezbyt ważne rzeczy, jeśli tylko szczerze o nie prosili. Ale kiedy ludzie zaczęli przychodzić tylko z ciekawości, aby go sprawdzić, wtedy nie mógł tego znieść, bolało go to i zawstydzalo. Pewnego dnia uciekł i próbował się powiesić. Frank znalazł go w stodole i na czas odciął sznur. I od tej pory chroniliśmy go. Nikomu już nie mówiliśmy o jego darze i pozwoliliśmy mu żyć w spokoju.

— Czy on teraz mieszka sam?

— On zawsze był sam. Tego rodzaju ludzie są samotni. Mniej więcej w rok po ślubie przyjechałam z Frankiem do miasta, a póź-

niej i on przyjechał za nami. Zmarli jego rodzice, sprzedał farmę, a my byliśmy jego jedynymi przyjaciółmi. Dokąd miał pójść?

Ojciec odezwał się zamyślony: — Ale mając tego rodzaju dar, posiada coś w rodzaju władzy. Mógłby być bogaty... Dlaczego więc?...

— To dobry człowiek — powiedziała z nabożeństwem. — Bierze tylko to, co Bóg daje. Nie prosi o więcej.

Znowu milczeliśmy przez chwilę. Patrzyliśmy, jak przechodziła przez pokój, zatrzymała się przy stole i pochyliła tak, jakby patrzyła na swoje odbicie w jego politurowanej powierzchni.

— I co to może być, pani McGuire? Co pani o tym sądzi?

— Nie do mnie należy osądzanie — odparła. — I nie mnie w to wątpić. Nie wątpiłam, gdy byłam młoda, i nie będę wątpić teraz. Nie znam nikogo, komu wyrządziłby krzywdę. To dar od Boga...

Do pokoju weszła Eileen. — Skończyłam — oznajmiła.

— Dziękuję, kochanie — odpowiedziała odruchowo matka.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy — czułam, że powinnam to powiedzieć.

— Nie, zupełnie nie przeszkadzacie — zapewniły mnie obie, ale ten ich protest był tak samo zdawkowy, jak moje słowa.

Ojciec nie brał udziału w tej typowo kobiecej paplaninie, mężczyźni czują się mniej zobowiązani do wygłaszania tego rodzaju grzecznościowych zwrotów.

— Teraz lepiej zawołaj tu Cathreen i Danny'ego — zaproponowała starsza kobieta. — Już czas, żeby poszli spać. — A potem dodała częściowo pod naszym adresem: — Te dzieciaki zostałyby na ulicy przez całą noc, gdybym ich nie zawołała.

Eileen podeszła do okna, żeby je otworzyć i przywołać dzieci, jak to było w zwyczaju tej dzielnicy.

Ale nagle zastygła, nasłuchując. My usłyszeliśmy to również.

Były to odgłosy wolnych kroków na schodach. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, mogliśmy słyszeć je zupełnie wyraźnie. Idący zapewne trzymał się poręczy, ciężko się na niej wspierając

Czuliśmy się dziwnie, będąc tak blisko i nie widząc go. Dzielili nas jedynie cienkie ścianki... tup, tup, tup, tup, kroki bardzo wolne, kroki zmęczonego człowieka.

Oddychaliśmy szybciej — podnieceni. Przynajmniej ja. Ojciec wyprostował się na krześle, nie był już tak obojętny.

— To on — oznajmiła Eileen. Ale my już wiedzieliśmy.

Odeszłam nagle od krzesła, odwróciłam się i skierowałam ku drzwiom.

Pani McGuire powstrzymująco wyciągnęła rękę. — Chwileczkę, proszę nie otwierać drzwi i nie patrzeć na niego. Niech pani pozwoli mu spokojnie przejść. Za kilka minut możecie pójść do niego razem z Eileen — jeżeli bardzo tego chcecie. — Na jej twarzy malowała się dezaprobata. Potem wstała i bez słowa opuściła pokój.

Czekaliśmy w milczeniu. Zastanawiałam się, o czym ojciec myśli. Czy na jego twarzy dostrzegłam sceptycyzm i zdecydowanie, aby się usprawiedliwić? Eileen siedziała teraz przy stole z łokciami na blacie, z głową przechyloną na jedną stronę i splecionymi dłońmi. Przepojona strachem i niechęcią, że wypełnia wymuszone na niej polecenie, ale zarazem bezsilna, niezdolna uniknąć naszego milczącego nacisku. Zorientowałam się, w nagłym przypiływie litości, że całe jej życie musiało być serią takich rozpaczliwych decyzji, ponieważ tam, gdzie brakło wystarczającej siły woli, aby stworzyć równowagę, trwało nieustanne rozdarcie między wewnętrznymi przymusami. Tak musiało być wtedy, pomyślałam, gdy pierwszy raz mówiła mi o samolocie.

Przez sufit dochodziły do nas słabe odgłosy, które powoli cichły, aby wreszcie całkowicie ustać; wszedł do swojego pokoju.

Ojciec wstał z krzesła. — Możemy już iść? — zapytał.

Ujrzałam, że Eileen przygląda mi się, oceniając mój ubiór. — Ale nie tak — powiedziała nagle, patrząc na mnie.

Poprosiła, żebym weszła za nią do jej małej sypialni, delikatnie zdjęła ze mnie futrzany szal i rzuciła go na łóżko. Potem odpięła diamentową broszkę, którą włożyła mi do ręki, a ja wrzuciłam ją do torebki. Widziałam, że jej ręce z wahaniem kierują się do mojego kapelusza, więc zdjęłam go i położyłam na łóżku.

Otworzyła drzwi szafy, wyjęła szary, zwykły płaszcz i podała mi go. — Proszę to założyć. Wtedy on... on będzie czuł się z panią swobodniej. — Podała mi zdefasonowany, zużyty beret. — To też. — Znowu gest bezradności. — I... i...

Wyjęłam z torebki papierową chusteczkę i starłam szminkę z ust.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, ojciec spojrział na mnie, unosząc brwi. Usłyszałam, że mruczy coś pod nosem.

Otworzyliśmy drzwi i, prowadzeni przez Eileen, we troje wspięliśmy się po schodach.

Ojciec uniósł głowę i szepnął do mnie: — W tym jest jakaś sprzeczność. Niby wszystko wie, ale możemy go oszukać, zakładając inne ubranie.

Podeszliśmy do drzwi piętro wyżej; panowała za nimi cisza; można było sądzić, że nikogo tam nie ma. Jednak szparę pod drzwiami wypełniało żółte światło.

Zatrzymaliśmy się blisko siebie. Strach po prostu paraliżował Eileen. Ja również czułam się nieswojo. Nie wiedziałam, co odczuwa ojciec. Z natężeniem wpatrywał się w drzwi, jak gdyby próbował coś z nich wyczytać lub przeniknąć je wzrokiem.

Dotknęłam Eileen, dodając jej odwagi; wtedy jej ręka uniosła się jak za pociągnięciem sznurka, który porusza marionetką.

Zapukała i usłyszeliśmy męski głos: — Wejść.

Jego brzmienie sugerowało kogoś masywnie zbudowanego, być może brodatego.

A potem drzwi otworzyły się i ujrzeliśmy go.

Był bardzo szczupły, wręcz wychudzony, miał zapadnięte policzki. Głowa spoczywała na długiej żyłastej szyi.

Spojrzałam na jego twarz. Była taka zwyczajna, bez jakichkolwiek znaków szczególnych odzwierciedlających cechy charakteru — dobre lub złe. Miał niebieskie, łagodne oczy. Ponad nimi rysowały się jasne brwi. Nie podkreślały żadnych emocji. Mogły się zmarszczyć, ale to niczego by nie zmieniło, nie wyraziłoby groźby, kpiny ani pogardy.

Jego rudozłote, bardzo rzadkie i delikatne włosy zaledwie okrywały czubek głowy. Jedyne z boków były dość gęste.

Miał ładny wykrój ust. Stanowiły najlepszą część jego twarzy. Wargi nie były ani wąskie, ani obwisłe. Ale nie były też pełne i nie wyrażały agresywnej determinacji, ale raczej napięte, opierające się wewnętrznemu przymusowi, umocnionemu świadomością własnych możliwości.

Siedział w koszuli, z plamami wilgoci pod pachami. Miał szelki na ramionach. Zdjął buty i jego blade, pokryte niebieskimi żyłami stopy tkwiły w rozczłapanych pantoflach. Przy świetle padającym na stół czyścił kawałkiem szmatki fajkę, która leżała na gazecie przed nim, rozłożona na części.

Od czasu do czasu wycierał ją o spodnie.

I tak oto ujrzeliśmy go po raz pierwszy.

Było to tak, jakby na scenie, po długich fanfarach, podniosła się kurtyna i niespodziany snop światła ukazał pustą scenę oraz dekoratora bawiącego się gwoździem lub kawałkiem drewna.

Patrzył na nas przez chwilę. A potem znowu zaczął oglądać fajkę.

Eileen zawahała się. — Jerry, ja... ja chciałam, żebyś poznał moich przyjaciół.

Nie odpowiedział, całą jego uwagę pochłaniała fajka.

— To pan Reid i jego córka, panna Reid. Spojrzał raczej na nią aniżeli na nas.

— Czy to są ci ludzie, u których pracowałaś?

— A to pan Tompkins, nasz stary przyjaciel — Eileen z desperacją dokonała prezentacji.

Ktoś powinien coś powiedzieć. Zatem odezwałam się: — Czy możemy usiąść?

Nie śpieszył się. Wpierw spojrział w górę, potem w dół, na fajkę. — Proszę — odparł niechętnie.

— Ja... wydaje mi się, że woła mnie matka — powiedziała wtedy Eileen. — Będzie lepiej, jeśli zejdę zobaczyć, czego chce. Potem wrócę. — I wycofała się z pokoju.

Zostaliśmy z nim sami. Już chciałam coś powiedzieć, gdy ujrzałam wzrok ojca, który pragnął wyraźnie, żeby Tompkins odezwał się pierwszy. Chciał w ten sposób zyskać nikłą psychologiczną przewagę, o ile miało to jakieś znaczenie.

Po długich minutach milczenia Tompkins wreszcie złożył fajkę. Gdy się odezwał, mówił z nagłą szorstkością, nie podnosząc głosu.

— Już się na mnie napatrzyliście?

Ukradkiem westchnęłam głęboko. — Nie wpatrywałam się w pana.

— Przyszlście tutaj jako przyjaciele, czy tylko z niezdrowej ciekawości? Z równym zainteresowaniem patrzylibyście na mnie, gdybym miał uschnięte ramię albo szpotawą stopę?

— Bardzo przepraszam, jeśli odniósł pan wrażenie, że wpatrujemy się w pana — powiedział ojciec z męską godnością.

— Przyszliśmy panu podziękować... — zamruczałam taktownie.

On mówił dalej, zwracając się do ojca: — Pan przyszedł kpić ze mnie. Ma pan ochotę mnie pouczać i przez to dać lekcję swojej córce. Pan chce, aby przestała o tym myśleć.

— Zapewniam pana, że mój ojciec wcale nie ma zamiaru... — zaczęłam prosząco.

— Może pani tego nie powiedział, ale miał to na myśli. Ojciec nagle zaczerwienił się. To była odpowiedź.

Tamten nadal z kamiennym spokojem patrzył na mojego ojca. — Pan sądził, że podda mnie jakiemuś testowi. No cóż, nie zgadzam się na to. Nie będę z panem prowadził słownego pojedynku. Nie jesteśmy w sądzie.

— Nikt tak nie twierdzi — zastrzegł się ojciec.

— Już przysyłano mi różnych agentów. Ofiarowywano mi pieniądze, obiecywano dostatnie życie, gdybym wystąpił na scenie. Po prostu trzy razy dziennie miałbym siedzieć przed publicznością i mówić ludziom, co mają w kieszeniach. Jeden z agentów, tak jak pan teraz, chciał mnie sprawdzić, i pozwolił mi. Chciałem się go pozbyć, a to był najprostszy sposób. Wyciągnął papierośnicę i spytał, ile jest w niej papierosów. Mogłem mu od razu powiedzieć, że nie było żadnego, że używa jej do przechowywania tabletek aspiryny, ale odparłem, że są trzy. Otworzył ją i w środku leżały tabletki aspiryny. Zapytał, jaki napis jest wyryty na wewnętrznej stronie koperty zegarka kieszonkowego. Mogłem natychmiast powiedzieć, że nie było żadnego, tylko podkowa z drobnymi diamencikami i że jednego diamencika brakowało. Odparłem jednak, że jest tam wyryty napis: „Takiemu a takiemu, od kochającej żony”, zacytowałem podane przez niego nazwisko, które ściśle mówiąc, nie było jego prawdziwym nazwiskiem. Otworzył kopertę i pokazał, że nie ma tam żadnego napisu, tylko wizerunek podkowy z diamencikami i że jednego diamencika brakuje... Zapytał mnie, od kogo dostał list,

którego kopertę trzyma w kieszeni płaszcza, i pokazał mi jej skraj z przestemplowanym czerwonym znaczkiem. Mogłem mu od razu powiedzieć, że w kopercie nie było żadnego listu i że trzymał w niej tylko kwitki z wyścigów konnych. Odrzekłem, że jest w niej list od kobiety. Wyciągnął kopertę i pokazał, że nie było w niej listu, lecz kwitki z zakładów wyścigów konnych. Nawet zaadresowana była męską ręką... Zamruczał coś pod nosem, a potem wyszedł, krzywiąc się, właśnie tak jak chciałem. Milczeliśmy.

Nagle podniósł pięść i uderzył w stół z niespotykaną gwałtownością, skóra wokół jego ust pobladła i zmarszczyła się.

— Ale pan jest od niego dużo bystrzejszy! — krzyknął rozgoryczony.
— Pan wszystko tak odwrócił, że teraz moimi własnymi ustami opowiedziałem wszystko to, czego nie chciałem powiedzieć!

Spojrzałam na ojca z niewinnym zaskoczeniem i ujrzałam lekki uśmiech na jego twarzy. A potem odpowiedział łagodnie: — Nie wkładałem żadnych słów w pańskie usta.

— Jednak teraz może pan opowiedzieć o mnie swoim przyjaciołom. Oni tu przyjdą i zaczną mnie męczyć. — Jego stres i podniecenie wydawały się szczere.

Próbował zapalić fajkę, ale ręka tak mu się trzęsła, że zrobił to z trudem.

— A teraz proszę odejść — rzekł stanowczo. — Ujrzeliście już to coś dziwnego. Zaspokoiliście ciekawość. Już nic was nie powstrzymuje.

Ojciec wstał gwałtownie, jak gdyby ten docinek bardzo go dotknął. Jednak potem spokojnie odsunął się i odwrócony plecami do gospodarza stał w zamyśleniu przy zniszczonej komodzie. Zauważyłam, że bezmyślnie przesuwa na niej pudełko z tytoniem i inne stojące tam przedmioty, zastanawiając się, co teraz powiedzieć.

W końcu odwrócił się ku niemu. — Przykro mi, jeśli uraziliśmy pana — powiedział łagodnie. — Nie przyszliśmy tu pana sprawdzać ani drażnić, ale podziękować i wyrazić uznanie.

— Pan nie jest mi nic winien — odparł ponuro Tompkins. — Nic dla pana nie zrobiłem. — Palił fajkę, patrząc gdzieś w bok.

— Ale my czujemy, że jesteśmy panu coś winni — ciągnął ojciec. — Jeśli zaś chodzi o opowiadanie o wszystkim przyjaciołom, to

mogę pana zapewnić, że nie powiemy nikomu ani słowa. Wiem, że mogę również ręczyć za moją córkę. Podszedł do niego i wyciągnął rękę.

— Jeżeli mógłbym coś dla pana uczynić, jeżeli mógłbym jakoś panu pomóc, to...

— Niczego — powiedział Tompkins z uporem — niczego od nikogo nie potrzebuję. O nic nikogo nie proszę, chcę tylko, żeby pozostawiono mnie w spokoju.

Zastanawiał się, czy przyjąć wyciągniętą dłoń. Wreszcie zrobił to, ale raczej niechętnie, bez entuzjazmu i szybko ją puścił.

Patrząc na niego, przez chwilę pomyślałam, że to człowiek małego ducha, że jest małostkowy, bez względu na to, jakie tkwią w nim moce; świadczył o tym ten drobny incydent. Byłoby nawet lepiej, gdyby nie przyjął ręki. To był prosty chłopak wychowany na farmie, przez całe życie nieprzystosowany, rozgoryczony obciążeniem go ciężarem, do przyjęcia którego nie był przygotowany.

Widziałam, jak patrzył na rękę mojego ojca, i przypomniałam sobie, co jako chłopiec powiedział matce Eileen, a co ona powtórzyła nam na dole: „Za każdym razem, gdy o czymś myślisz, zjawia ci się przed oczami obraz tego, o czym myślisz”.

— Nie mamy ze sobą nic wspólnego — odparł zgryźliwie. — Po pierwsze, nie prosiłem, aby pan tu przychodził. Ale skoro już tak się stało, zostawmy wszystko w spokoju i uznajmy, że to było po raz ostatni. Jeżeli pan tu jeszcze przyjdzie, pewnego dnia może mi pan sprawić wiele kłopotów. Proszę teraz wracać do swojego środowiska, do swojego wspaniałego domu, swoich kolacji z bogatymi gośćmi, którzy noszą diamentowe zegarki przy kolanach, do swoich interesów na giełdzie, do kupowania akcji. I proszę uważać, żeby po drodze nie przejechać przypadkiem jakiejś małej dziewczynki...

— Chodź, Jean — powiedział krótko ojciec i otworzył przede mną drzwi.

Zobaczyłam, że zanim je zamknął, obejrzał się i jeszcze raz spojrzął na Tompkinsa. Nie mogłam widzieć jego oczu, ponieważ miał twarz odwróconą ode mnie, ale po sposobie, w jaki trzymał głowę, domyśliłam się, że to spojrzenie wyrażało naganę za okazaną nieuzasadnioną nieuprzejmość.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na zwężający się otwór zamykanych drzwi, aby zobaczyć tego dziwnego człowieka. Siedział przy stole, z fajką w zębach, z opuszczoną głową. Wlepiął w nas swoje małe, niebieskie oczka. W żółtobrazowym świetle elektrycznym wyglądał bardzo przeciętnie. Zwykły człowiek w tandetnym otoczeniu. Zaczęłam się nawet zastanawiać, co my tu w ogóle robimy.

Kiedy drzwi zamknęły się, ojciec sprowadził mnie na dół.

Nie rozmawialiśmy. W milczącej zgodzie minęliśmy drzwi mieszkania McGuire'ów, wyszliśmy na ulicę i podeszliśmy do samochodu.

— Ja poprowadzę — mruknął. — Jesteś z pewnością zmęczona.

Były to pierwsze słowa od chwili, gdy wyszliśmy z tego domu. Dobrze mi zrobiło świeże powietrze. Zapaliłam papierosa.

Wiedziałam, że wcześniej czy później będziemy musieli o tym mówić, i pomyślałam, że lepiej zacząć tu, póki wrażenia są tak świeże.

— Nie wierzysz, prawda? — zapytałam.

— To było dość dobre przedstawienie. Doskonała gra. — Wydał mi się trochę niespokojny. Ale nie byłam pewna.

Myślałam o samolocie. O telegramie. Sama usilnie chciałabym nie wierzyć. Pragnęłam, żeby mi w tym pomógł. Byłam bardzo zadowolona, że nie wierzył. Ale życzyłam sobie, aby ta niewiara była wyrażana bardziej stanowczo. Chciałam pławić się razem z nim w pełnym słońcu sceptycyzmu. Wciąż jeszcze byłam tym bardzo przejęta.

— Okazał wielką inteligencję — kontynuował. — Na szczęście nie mamy już żadnych przesądnych irlandzkich pokojówek.

— Dlaczego jednak ta cała jego obrona polegała na zaprzeczaniu? — spytałam.

— Ale to jego zaprzeczenie było zarazem potwierdzeniem. Nie widzisz, jak to działało? To była sztuczka w sztuczce, wewnątrz innej sztuczki. Tak jak te nalepki, które umieszczano na puszkach z proszkiem do pieczenia. Był to krążek z obrazkiem innej puszki. A na tej puszcze znów okrągła nalepka z wizerunkiem następnej puszki, na której była nalepka z wizerunkiem następnej puszki itd. Aż w końcu te nalepki stały się tak małe, że nie można było ich dostrzec gołym okiem. Podkreślił, że jestem bystry, a potem wszystko przeinaczył i powiedział to, czego nie chciał mi mówić. Ale może był bystrzejszy ode mnie i to, co poprzednio

przekreślił, później znowu przeinaczył tak, żeby się wydawało, że mówiąc to, czego niby nie chciał mówić, było właśnie tym, o czym najbardziej chciał mi powiedzieć.

— Jakoś nie mogę tego ze sobą powiązać. To stało się jakąś dziwną łamigłówką.

— Jesteś tym zmęczona, wycofujesz się, on zaś, mając teraz nad tobą przewagę, pozostaje bezpieczny w swoich krętościach.

— Ale co on, wbrew sobie, chciał osiągnąć, pozostawiając nas w przekonaniu, że posiada jakąś moc?

— A co w ogóle chce się na tym świecie osiągnąć? Co jest do osiągnięcia? Jakie znaczenie ma świat jako taki?

— Pieniądze? Ale przecież spytałeś go, czy jest coś, co mógłbyś dla niego zrobić.

— Przewidywałem, że odmówi albo zignoruje to. Wiedziałem o tym, zanim go zobaczyłem.

— Jak to?

— Wiedziałem już o tym, kiedy dziewczyna wystroiła cię w ten wytarty płaszcz. Potwierdzał mi typową technikę stosowaną przez ludzi, którzy uważają się za świętych i dla których wszelkiego rodzaju dary i zapłaty są klątwą...

Spojrzałam na siebie i nagle zdałam sobie sprawę, że się nie przebrałam. — O nie, ja zostawiłam swoje rzeczy na górze! Zwolnił nieco, czekając na moją decyzję.

— Nie dziś — powiedziałam w końcu. — Dziś już nie mogę tam wrócić.

— W porządku. Pójdiesz tam kiedy indziej. Chociaż polecił nam wyraźnie, abyśmy się więcej do niego nie zbliżali. To następna przewrotna technika. Może to twoje przebranie miało służyć temu właśnie celowi.

— Ależ to nienormalne, to zwykłe szaleństwo — zaprotestowałam, zakrywając oczy. — Jak oni mogli przewidzieć, że zapomnę się przebrać?

— Ale zapomniałaś, prawda? Opuściłam bezwładnie ręce.

— Wracajmy więc do tego, o czym właśnie mówiłem — kontynuował.
— Zastawiłem na niego pułapkę. Nie chciał, abym mu pomógł. Niczego od nas nie chciał... Widziałaś to pudełko z tytoniem, które stało na komodzie przy ścianie?

— Tak.

— Zostawiłem pod nim pięćset dolarów.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. — I jeżeli teraz on bez słowa to zaakceptuje...

Zadrżał lekko. — Sama zapytałaś, co chciał zyskać przez, powiedzmy, przekonanie nas o swej mocy.

— Jeśli jednak odmówi, wówczas będziesz bardziej skłonny uwierzyć...

Potrząsnął głową. — I tak nie uwierzę — oświadczył po prostu. — Myśląc o jakichś rzeczach, może niby ujrzeć jakieś obrazy, ale nie dojrzał pięciuset dolarów pod pudełkiem stojącym dwa czy trzy kroki od niego.

— Może dlatego, że nie myślał o tym pudełku z tytoniem, gdy byliśmy razem z nim w pokoju.

Zachichotał sarkastycznie.

Nie jest zupełnie bezstronny, pomyślałam. Stacza wewnętrzną walkę. Jest w to zaangażowany emocjonalnie. A może robi to tylko dla mnie? Czy to mnie chce przekonać, żebym nie wierzyła, czy też pragnie to zrobić dla samego siebie?

— A czy ty przypadkiem nie zagrywasz z nim podstępnie? — zauważyłam po chwili. — Pięćset dolarów to nie jest napiwek dla taksówkarza. Na stole w jego pokoju dostrzegłam gazetę z ogłoszeniami o pracy.

— Ja też ją zauważyłem — powiedział szorstko. — Ale może celowo była tak złożona, abyśmy to zauważyli.

Ostatnio wszystko było takie dwuznaczne. Westchnęłam i zaczęłam już tęsknić do tego jednowymiarowego świata, w którym żyłam przedtem.

Dotknął mojej ręki. — Ja nie wierzę — zadeklarował z pewnego rodzaju szorstką delikatnością — i nie chcę, żebyś ty wierzyła!

Samochód nagle zatoczył się i bokiem opadłam na ojca; zaklął pod nosem.

— Co to było? Co się stało?

Zobaczyłam, że się odwrócił, więc również się obejrzałam.

Za nami klęczała jakaś mała postać — pewnie przed chwilą nagle odskoczyła w bok. Podniosła się cała i zdrowa. Z powiększającej się stale odległości mogliśmy dojrzeć ginący w mroku biały fartuszek. To była mała dziewczynka. Przez chwilę patrzyła za nami z zuchwałym oburzeniem, a potem odwróciła się i oddaliła od jezdni.

Samochód przejechał jeszcze kawałek; w chwilę potem ojciec zatrzymał go nie dlatego, że coś się stało, ponieważ ten epizod już minął, ale dlatego, że zostaliśmy w coś zamieszani, w coś, co powoli sobie uświadamialiśmy. Przypuszczam, że zahamował bezwiednie, jak ktoś, kto odruchowo stosuje w zdaniu znaki przestankowe i stawia na końcu kropkę.

Siedzieliśmy, patrząc przed siebie. Sądzę, że myślałam o tym, czego oboje chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć. Za nami, w ciemności, nie było już nic widać, to upiorne dziecko zniknęło.

Nie mówiliśmy o tym, nie potrzebowaliśmy. Oboje znaliśmy nasze słowa bez ich wypowiedzania.

Myślałam: oto wreszcie mamy zwykły przypadek. Ma on tylko jedno wyjaśnienie, jedną stronę. Ale nie chciałam, aby odbyło się to w taki właśnie sposób.

Uświadamiałam sobie obecność ojca obok mnie; zadałam sobie pytanie: gdzie się podziało to całe twoje logiczne myślenie? Gdzie znikło? Mój ty kochany biedaku.

— No dobrze, tato, jedźmy już do domu — powiedziałam cichym, zduszonym głosem.

Samochód ruszył powoli.

— Może ja poprowadzę? — zaofiarowałam się.

— Nie — odparł — przynajmniej mam coś do roboty; to lepsze niż...

Wiedziałam, co ma na myśli. Wciąż patrzył przed siebie, ale nie widział drogi zbyt dobrze. Otworzyłam torebkę i wyjęłam chusteczkę. — Tato, masz mokrą twarz. — Wytarłam mu czoło. — Ten dzieciak musiał cię bardzo wystraszyć...

A gdy trzymałam potem w palcach papierosa, on sięgnął do kieszeni i podał mi innego. — Może spróbuj jednego z tych, są całkiem niezłe...

Myślę, że staraliśmy się być dla siebie bardzo uprzejmi i okazywaliśmy sobie wzajemnie przesadną troskę. Oboje bez słów wzajemnie się okłamywaliśmy.

Teraz zbliżaliśmy się do domu. — Jean — wyrzucił z siebie. — Nigdy nie byliśmy hipokrytami — ani ty, ani ja. Zawsze byliśmy wobec siebie otwarci i szczerzy. Nie zmieniamy tego. Oboje o tym myślimy. Nie zabieramy tego ze sobą do domu. Skończmy z tym.

Skinęłam głową i czekałam.

— To, co się wydarzyło przed chwilą, było zwykłym przypadkiem. — Jego głos zmienił się prawie w krzyk. — Mówię ci, że to był tylko wypadek!

— Czy tak właśnie chcesz o tym myśleć?

Uderzył pięścią w kierownicę. — Chcę, żebyśmy tak myśleli oboje! Właśnie tak! Nie może być nic innego. Jean, ja nigdy nie próbowałem wnikać w twoje myśli i teraz też nie będę tego robił. Każdego, kto jedzie samochodem, może coś podobnego spotkać. On rzucił taką sarkastyczną uwagę, bo pewnie zazdrości posiadaczom samochodów. Ten wypadek był bardzo prawdopodobny. Ulice zawsze są pełne dzieci. I każdemu kierowcy może się przydarzyć coś podobnego.

Ale do tej pory jeszcze nic takiego się nie stało. I to była mała dziewczynka. Jednak nie powiedziałam tego głośno.

Wiara jest niczym płomień, którego nigdy nie można zgasić, ale taki jest również sceptycyzm. Tak samo trudno go zdusić. Zauważyłam, że teraz znów zapłonął w nim jaśniejszym płomieniem.

— To tylko zbieg okoliczności — stwierdził i zacisnął mocniej szczęki. — Taki strzał na oślep i traf chciał, że trafił w cel. — Odwrócił się i mruknął do mnie łobuzersko: — A skoro tak, wracamy do naszych „kolacyjnych gości”, dobrze mówię?

— Nikogo dziś nie zaprosiliśmy na kolację — odpowiedziałam. — Będziemy tylko we dwoje, ty i ja.

— Wiem o tym. A co do gości, czy znasz kogoś, kto nosiłby przy kolanach zegarek z diamentami?

Zaśmiałam się, wysiadając z samochodu.

— No cóż, taki tam zwariowany zbieg okoliczności — rzucił, podsumowując wieczór. — Bujda na resorach.

Odwrociłam się i ścisnęłam jego ramię z prawie konwulsyjną wdzięcznością. — *Bardzo* się cieszę, że tak to odczuwasz! — zapewniłam go gorąco. — Żebyś wiedział, jak *bardzo* się cieszę!

Naprawdę odczuwałam radość, chociaż moje obawy i rozterki nie zniknęły.

III

Kiedy wysiedliśmy z samochodu i szliśmy w kierunku domu, zdawało mi się, że okna w salonie są wyjątkowo jasne. A w czasie naszej nieobecności światła nie powinny być zapalone.

On również to dostrzegł. — Ktoś ze służby musiał zapomnieć zgasić światło — zauważył.

— To prawdopodobnie ta nowa dziewczyna. Ona jeszcze nie umie posługiwać się naszymi kontaktami.

Kiedy otworzyliśmy drzwi, dom wydawał się pełen głosów. Nadpływały ku nam śmiechy i szum rozmów.

Z głębi holu szybko podbiegł lokaj z nowinami. — Przyszli pan i panna Ordway, proszę pana. I jeszcze jakaś pani. Mówili, że chcą zaczekać na pański powrót.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ordwayowie byli rodzeństwem i przyjaźnili się z ojcem od czterdziestu lat; natomiast ja od dziecka nazywałam ich „wujkiem” i „ciocią”.

Weszliśmy do środka i szum rozmów natężył się gwałtownie. Louise Ordway podbiegła, by mnie ucałować, co było jej odwiecznym zwyczajem. A potem zwróciła się do ojca: — Harlan, chyba nie gniewasz się na nas, prawda? Wiesz, my tak po drodze... i wtedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy blisko twojego domu i nie możemy przejechać bez zobaczenia się z tobą i z Jean... a poza tym jakoś mało chętnie się tam wybieram... No i Maria w minionych latach usłyszała od nas tyle o was dwojgu, że...

Należała do tych osób, które mówią bez pauz i intonacji. Kiedyś sądziłam, że wzorowała się na damach z komedii salonowych, ale potem byłam raczej skłonna uważać, że było akurat odwrotnie.

— Gniewałbym się, gdybyście tego nie zrobili — odparł ojciec.

Trzecią osobą była posągowa blondynka około czterdziestki: typ z kontynentu, mówiąca z lekko obcym akcentem. Miała na sobie obcisłą, czarną suknię wieczorową, która podkreślała jej zgrabną figurę. Wszyscy troje byli ubrani wieczorowo.

— To Maria Lisetta — szepnęła do mnie na stronie Louise, dodając swoiste post scriptum do formalnej prezentacji — z Rumuńskiego Państwowego Teatru w Bukareszcie. Znamy ją jeszcze z Paryża. Po raz pierwszy bawi w Stanach, i jest naszym gościem. Widziałas ją już kiedyś? To żywe zaprzeczenie sądów, że kobiety ustępują mężczyznom intelektem. Osiem języków, moja droga...

— Louise to moja rzeczniczka prasowa — wtrąciła na to „sława”. Uśmiechnęła się z drugiego końca pokoju.

Po prostu emanowała czarem. Człowiek zwyczajnie mu ulegał. Mogłaby to być cecha przemawiająca na jej niekorzyść; nie lubię tak nachalnie narzucającego się uroku. Jednak u niej było to coś tak naturalnego, że podobała się większości ludzi.

Weeks dyskretnie stał tuż przy drzwiach, oczekując porozumiewawczego spojrzenia ojca.

— A jeśli chodzi o kolację, proszę pana?...

— Hm, tak — odezwał się ojciec. — Oczywiście dla pięciu osób. A cóż innego miał powiedzieć?

Potem odwrócił się; zauważył, że patrzę na niego i nasze oczy spotkały się na krótko, ale zrozumieliśmy się.

Mimo wszystko mieliśmy „gości na kolacji”. A kto chwilę przedtem mógł wiedzieć, że ich będziemy mieli?

— Sądę — powiedział niepewnie — że przygotuję dla nas podwójne martini. Wtedy zrozumiałam.

Louise odezwała się bystro: — Jesteś pewien, że w niczym nie przeszkadzamy? Oboje wyglądacie na zmęczonych i... szczerze mówiąc, jesteście zdenerwowani.

— Przed chwilą wróciliśmy z dłuższej przejażdżki — wyjaśniłam.

— Ale skąd wytrzasnęłaś ten obrzydliwy płaszcz, kochanie? Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Ojciec przyszedł mi z pomocą. — Pożyczyła — powiedział szybko. — W samochodzie było chłodno.

— Przebioreę się — oznajmiłam. — Czy chciałaby pani, mademoiselle, pójść ze mną i przypudrować nos? A ty, Louise?

— W moim wieku niewiele już można poprawić — odparła Louise — i cały wysiłek praktycznie idzie na marne. Zostanę tutaj.

Kiedy tylko znalazłyśmy się na górze, Lisetta zwróciła się do mnie konfidencyjnie: — Bardzo się cieszę, że prosi mnie pani na górę. Pani... nie wiem, jak to powiedzieć?... pani ratuje mi życie. Ma pani jedną z tych... — bezradnie zakreśliła w powietrzu palcem kółko — ...żebym mogła pożyczyć. To takie angielskie słowo, którego jeszcze nie znam. Miałam wypadek w samochodzie. Nie chciałam o tym mówić przy Tonym...

Wyciągnęła swoją wspaniałą nogę i podciągnęła czarną suknię prawie do bioder.

— Och wiem, podwiązka — powiedziałam szybko.

— *Elastique** — skinęła głową. — Zrobiłam, co mogłam. Byłam *ingénieuse*** , co?

Tuż poniżej kolana przypięty miała okolony diamentami ręczny zegarek. Zegarek trzymał się dzięki czarnemu jedwabnemu pa-seczkowi, który był rozciągnięty do granic możliwości i w ten sposób przytrzymywał równocześnie pończochę, tak aby była nieskazitelnie gładka.

— Zdjęłam go, jak widać... i założyłam tam... ale gdy ktoś w tym czasie zapyta mnie o godzinę, to... — ze śmieszną rozpaczą wzruszyła ramionami.

Potem nagle suknia znów opadła w dół, a dziewczyna szybko ruszyła w moim kierunku, z wyraźnym zatroskaniem.

— O co chodzi, mademoiselle Jean? Tak pani zbladła... Dobrze się pani czuje? Powinnam po kogoś zadzwonić?

— Nie — odpowiedziałam słabo. — Za chwilę mi przejdzie...

— Proszę tutaj, proszę na chwilę usiąść. — Objęła mnie i doprowadziła do krzesła. — Ma pani wodę kolońską? Odświeżę pani czoło.

— Nie, dziękuję, za chwilę mi przejdzie. — Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością. — W każdym razie cieszę się, że pani tu ze

* *Elastique* — chodzi tu o gumową podwiązkę. ** *Ingénieuse* — pomysłowa (fr.).

mną przyszła. — Rozejrzałam się dookoła nieco niepewnie. — Czy ten pokój nieco pani nie przeraża? Czy nie ma w nim czegoś...

— Ależ to bardzo miły pokój — powiedziała i kilka razy pogłaskała mnie po głowie uspokajająco.

— Pośpieszę się i przebiorę — odparłam, schylając się do buta. — Nie możemy pozwolić, żeby na nas czekali... — Wiedziałam, że stoi, patrząc na mnie bez słowa. — A pani niech coś mówi, mademoiselle — błagałam. — Proszę do mnie mówić, gdy będę się przebierała. Proszę mówić o Bukareszcie albo o Paryżu, o pani teatrze, o sobie. Proszę mówić głośno i szybko. Och, bardzo panią proszę, niech pani przez cały czas mówi! — Nagle odwróciłam się, ukryłam twarz w dłoniach i zaszlochałam jak przerażone dziecko.

Kiedy wróciliśmy na dół, byliśmy już trochę spóźnione.

— Wypiłeś swoje podwójne martini? — zaczęłam ojca. — Teraz ja należę sobie. Potrójne.

Wychodzących gości odprowadziliśmy do drzwi i obserwowaliśmy, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Staliśmy w drzwiach obok siebie. Patrzyliśmy za nimi tak długo, aż noc pochłoneła ich całkowicie. Pozostała pustka usiana gwiazdami. Potem zamknęliśmy drzwi i znowu pozostaliśmy sami. Nie, nie sami; och, gdybyśmy mogli być sami — ale to coś było razem z nami.

Poszliśmy ku schodom, nadal rozdzieleni szerokością drzwi, w których przed chwilą staliśmy, on po jednej stronie holu, a ja po drugiej. Nie wiem dlaczego, ale było tak, jakbyśmy bali się iść razem.

Bez słowa udałam się do siebie na górę, a on podszedł do szafki z alkoholem; usłyszałam, jak ją otwiera.

Po kilku minutach rozległy się jego kroki na schodach; zamknął drzwi do swego pokoju.

Odczekałam chwilę, potem wyszłam na korytarz i zapukałam do jego drzwi.

— Wejdz, Jean, wejdz — usłyszałam z pozoru opanowany głos ojca.

Miał na sobie szlafrok i piżamę, siedział na brzegu łóżka, odwrócony do mnie plecami. Na małym stolyczku stała butelka brandy, obracał kieliszek w ręce, jakby go ważył.

Nie odwrócił się. — Jesteś bardzo wstrząśnięta? — zapytał, nie patrząc na mnie. A potem, nie czekając na odpowiedź, dodał: — Tak, wiem, ja też.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na niego. — Ona nawet miała zegarek pod kolanem... ta rumuńska przyjaciółka Lou. — Już nie pamiętałam jej nazwiska.

Przełknął brandy tak szybko, jakby bał się, że ktoś mu ją odbierze. — Załatwił nas na cacy — powiedział z lekką czkawką.

Wygładziłam kapę na łóżku. — Było wszystko poza interesami na giełdzie.

W jego kieliszku znowu pojawiła się brandy. — No, musimy uwzględnić niewielki margines błędu. Od miesiący też nie miałem żadnych wiadomości od naszego maklera, Walta. Dawno już minęły czasy, gdy bawiłem się w kupno akcji. Ale kto o tym może wiedzieć poza tobą? Jednak, Jean, ten zegarek z diamentami na nodze... — mówił dalej zduszonym głosem.

Wypił brandy do dna.

— Kto mógłby o tym wiedzieć? — zapytałam miękko. — Przecież nawet Louise, która jechała z nią w jednym samochodzie, nie wiedziała o tym.

Milczał. Przez chwilę zrobiło mi się przykro, że tak powiedziałam. A jednak gdybym tego nie zrobiła, to i tak myślałby o tym.

Znowu lekko poruszył głową. Wydawało mi się, że skinął nią w stronę sufitu.

— Takie coś może do tego stopnia wstrząsnąć człowiekiem. Nagle wszystko odwróciło się do góry nogami. A ja chciałbym, aby mój wszechświat był miły i spokojny.

Odkorkował butelkę.

— Mam ochotę na coś, czego nie robiłem od piętnastu lat; po prostu upiję się, padnę na łóżko i zasnę.

Wyciągnęłam rękę i poklepałam go ze zrozumieniem po plecach. Potem wstałam. — Lepiej już wróć do siebie.

— Będiesz się tam dobrze czuła? — zapytał.

— Tu czy tam... — odparłam. — To i tak jest ze mną. Nie ma nic wspólnego z miejscem.

— Masz rację. To, co ma coś wspólnego z miejscem, jest łatwiejsze do uniknięcia.

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je.

Nie obejrzał się, wciąż siedział z opuszczonymi ramionami. — No, ale musimy się do tego przyzwyczaić — dodał. — Prawie do wszystkiego można się przyzwyczaić. Musimy nauczyć się z tym żyć.

Podniósł w górę kieliszek i spojrzał na niego.

— Ale dzisiejsza noc nie należy do zabawnych, prawda?

— Tak, dzisiejsza noc nie jest zabawna — zgodziłam się, zamykając drzwi.

Rano zszedł na dół przede mną. Choć ciągle jeszcze myślałam o nocy, nie mogłam nie cieszyć się pięknym porankiem i słońcem.

Na podłożu z tartego lodu czekał już na stole jego melon. Obok leżały listy, ale ojca nie było przy stole. Znalazłam go w sąsiednim pokoju ze słuchawką przy uchu.

Słuchał czegoś w milczeniu.

Odwrócił się, spojrzał na mnie i kiedy zaczęłam się wycofywać, kiwnął głową, abym podeszła bliżej.

— Nadeszło to ostatnie — powiedział do mnie cicho. — Mam na linii Walta Myersa. Nie... Walt, mów dalej, ja tylko rozmawiałem z Jean.

Zauważył, że znowu cofam się, i chwycił moją rękę, trzymając ją z rodzajem błagalnego nalegania. — Nie, zaczekaj, nie odchodź. Chcę, żebyś stała tu przy mnie.

W tym drobnym, niezręcznym geście było coś nieskończenie żalnego; *on* chce, abym *ja* stała przy nim; instynktowny krzyk samotności, bezsilności i spośród wszystkich ludzi — to właśnie *on*! Tak, świat nagle zwariował.

Stałam przy nim, a on wolną ręką objął mnie i mocno przycisnął do siebie. Czułam bicie jego serca — szybsze niż zwykle. Nie z powodu tego, co Myers do niego mówił. Ale dlatego, że to *był* Myers.

— Moje akcje Consolidated — szepnął mi do ucha. — Nawet nie pamiętałem, że takie mam...

A potem znowu słuchał. I powiedział:

— Wczoraj po zamknięciu giełdy coś się wydarzyło... *on* sam nie wie co. W każdym razie akcje spadają na łeb na szyję...

Słuchał dalej.

— Chce wiedzieć, czy ma się ich szybko pozbyć, póki są jeszcze coś warte.

Patrzył na mnie, ale wiedziałam, że nie o mnie myśli. Nie myślał też o Myersie. Wiedziałam, o czym myśli. Nie mógł zrozumieć, nie mógł zrozumieć, jakim cudem właśnie ten człowiek telefonował do niego, i to akurat teraz.

— No, ale czy to takie ważne? — spytałam.

— To nie ma znaczenia, gdy ma się ich setkę, ale przy pięciu lub dziesięciu tysiącach każdy cent, każdy punkt może...

Przerwał, a potem dodał: — Za późno. Zysk diabli wzięli. Teraz już są utopione, poniżej ceny zakupu.

Myers musiał bardzo głośno krzyczeć, ponieważ ze słuchawki wydobywały się dźwięki przypominające szlifowanie blachy pilnikiem.

— Chce wiedzieć, czy mamy ratować to, co zostało, i mimo strat upłynnić je. Nie chce czekać. — Potem powiedział do słuchawki: — Słyszę cię, Walt, słyszę. Rozumiem, co mówisz. Nie musisz powtarzać... — I znowu zwrócił się do mnie: — A ja tylko myślę o tym, że wczoraj wieczorem już czekałem na taki telefon, zanim Myers w ogóle zdawał sobie sprawę, że zatelefonuje.

Ja też o tym myślałam.

— Lepiej będzie, jak coś mu powiesz — powiedziałam bezradnie.

— Co on właściwie powiedział? — spytał. — Jak wtedy dokładnie brzmiały jego słowa? To było coś o interesach i kupowaniu akcji...

Nagle puścił moje ramię. Zaczął mówić do słuchawki — szybko, wyraźnie, z napięciem:

— Ile mam teraz tego pasztetu, Walt? Nie, w akcjach. — Wyciągnął z kieszeni ołówek i zapisał jakieś cyfry na gazecie leżącej przy telefonie; były to sumy czterocyfrowe. — W porządku. Podwój to. Kup mi identyczną ilość. Potem kupuj następne...

W słuchawce coś gwałtownie trzasnęło. Wyraźnie ktoś głośno krzyknął.

— *Kupuj*, powiedziałem. *Kupuj*. Teraz to ty mnie nie słyszysz. Powiedziałem *KUPUJ*. Kupuj.

W telefonie słycać było głośne trzaski.

— Kupuj — powtórzył niewzruszenie ojciec. — Takie jest moje polecenie. — I odwiesił słuchawkę.

Nie uśmiechał się, nie był uszczęśliwiony.

— Warto zaryzykować dodatkową stratę — oświadczył — żeby tylko dowieść, że to wszystko jest bzdurą. Mam nadzieję, że zejda do pięciu. Mam nadzieję, że spadną nawet do zera. Mam nadzieję, że eksplodują nam prosto w twarz.

— Twój melon czeka — powiedziałam.

Poszedł ze mną i usiedliśmy przy stole. Cały pokój tonał w słońcu, ale czułabym się lepiej, mając na sobie coś cieplejszego; zapięłam wyżej sweter.

Wbiliśmy łyżki w melon i zostawiliśmy je tam sztywno sterczące. Zaczął otwierać listy, a ja siedziałam, bawiąc się łyżką; poruszałam nią tam i z powrotem, ale nie chciałam jej wyciągnąć.

— Spójrz — powiedział. — Spójrz na to.

Adres napisany był bardzo niewyraźnie. Nawet nasze nazwisko napisano błędnie: tam gdzie powinno być „i”, widniało „e”. A w lewym narożniku ktoś nabazgrał „J. Tompkins”.

W kopercie nie było listu. Tylko pieniądze. Pięć banknotów. Trzymał rozciętą kopertę i potrząsał nią, a papierki kolejno osuwały się na blat stołu.

Nie dotknęłam ich. Nawet odsunęłam się, jak gdybym się ich przestraszyła. I rzeczywiście mnie przestraszyły.

— To są te spod pudełka z tytoniem — oświadczył. — Stempel wskazuje, że list wysłano o północy. Widocznie jak tylko je znalazł, poszedł na pocztę i wrzucił list do skrzynki.

— A przed naszym wejściem do pokoju czytał jeszcze ogłoszenia o pracy... Ojciec zauważył, że boję się tych banknotów. Chwycił je i szybko wetknął do portfela. Chociaż zdawało się, że uczynił to niedbale, to jednak jego ruchy były trochę niezręczne, lekko zawahał się, nie był całkiem spokojny. — Pułapka nie zadziałała — stwierdziłam. — Nie chce tego. Nie można go kupić.

Zamachał kopertą. — I prawdopodobnie chciał nam przesłać taką właśnie wiadomość — zgodził się.

Zgniół kopertę i wyrzucił ją.

— A może wart jest pułapki większej niż pięćset dolarów — zauważył, patrząc na mnie znacząco. — Może jest tak cwany, że planuje coś większego. Nie zamierza za szybko kasować, może chce, aby narosły mu procenty... — Zabębnił palcami po stole. — Jeżeli przyjmie pięćset dolarów, to kto zechce mu potem dać, powiedzmy, tysiąc? Ale jeśli odrzuci pięćset dolarów, to co możesz zrobić innego, jak ofiarować mu tysiąc? I tak w nieskończoność. Oczywiście używam przenośni.

Ale zauważyłam, że sam w to nie wierzy; mogłam się o tym przekonać, obserwując go i słuchając. Mówił tak ze względu na mnie. A może chciał przekonać samego siebie? Wiem tylko, że żadne z nas nie wierzyło w to w chwili, gdy to mówił.

Po południu Myers znowu zadzwonił, ale ojca nie było. Obiecałam, że powiem ojcu, żeby zaraz po powrocie zadzwonił do niego. A jeśli nie zostanie go w biurze, zadzwoni do domu. Chciał mi coś przekazać, ale nie chciałam słuchać. Bałam się i szybko odwiesiłam słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Mówił jak nieprzytomny; zdawało się, że przeżywa wielki stres.

Potem telefonował jeszcze trzy razy w piętnastominutowych odstępach; poleciłam, żeby telefony odbierała służba. Wiedziałam, że im niczego nie będzie przekazywał.

Potem przestał dzwonić. Do tego czasu zamknięto już giełdę.

Kiedy ojciec wrócił na kolację, powiedziałam, ile wytrwałości wykazał Myers, próbując go złapać. — Pewnie wydzwaniał po całym mieście. Mówił, że nigdzie nie może cię zastać.

— Wiem. Specjalnie się ukryłem, chciałem być nieuchwytny przez cały dzień. Chciałem, żeby cała sprawa rozwinęła się na dobre.

— Czy teraz zadzwonisz do niego? — zapytałam.

— Nie — odparł. — Nie mam odwagi, po prostu boję się. — I wiedziałam, że nie obchodziło go to, czy stracił, czy zyskał na giełdzie.

Podczas tej naszej rozmowy nagle zadzwonił telefon. Oboje podskoczyliśmy — niczym przesyłani prądem elektrycznym.

— To on — oznajmił. Nasze oczy spotkały się. — To prawdziwe piekło — mruknął. — Nie wytrzymam dłużej.

Poszedł odebrać, a ja odeszłam na bok dostatecznie daleko, by nic nie słyszeć. Tak daleko, jak tylko mogłam.

Czekałam długo, ale nie zawołał mnie, nie przyszedł do mnie i wreszcie, kiedy już nie mogłam wytrzymać, sama do niego wróciłam.

Było po wszystkim. Siedział lekko pochylony i nalewał sobie brandy, tak samo jak wczoraj wieczorem w swoim pokoju. Jego twarz była bardzo blada, prawie jak kreda. Wydawało się, że ciężko mu się znowu wyprostować i puścić narożnik szafki.

— Kiedy wydałem to polecenie Myersowi, akcje spadły o ćwierć punktu — oznajmił ojciec. — A potem stanęły w miejscu, przez jakiś czas wahały się, później zaczęły rosnać. Może dlatego, że je skupowałem. Tego nie wiem. W każdym razie od tej pory cena akcji ciągle zwyżkuje, szybciej, coraz szybciej. Na pół godziny przed zamknięciem giełdy akcje osiągnęły wartość punktu, od którego startowały. O trzeciej, kiedy zamykano giełdę, były już dwa i jedna ósma punktu powyżej i wygląda na to, że jutro pójda jeszcze wyżej.

Przełknął brandy i zakaszłał, ale jego twarz nadal była blada.

— Dzisiaj o trzeciej zarobiliśmy dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Jutro może to być czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt tysięcy.

Jego twarz nadal była blada.

— Och, zaraz — rzucił — nie napiłabyś się jednego? Widocznie moja twarz również była blada.

A może właśnie to jest pułapka, pomyślałam ze strachem. Nie te pięćset dolarów, wetknięte pod pudełko do tytoniu.

Ale jeśli tak, to ser jest po drugiej stronie. Mysz i przynęta zamieniły się miejscami.

Dwa czy trzy dni później przyszła Eileen. Signe powiedziała, że ktoś czeka i chce ze mną porozmawiać. Nie pytając, kto przyszedł, zesłam na dół. Zeszałabym tak czy tak, nawet gdybym wiedziała, ale zaoszczędziłabym sobie lekkiego dreszczu, jakiego doznałam na jej widok. Nie chodziło o Eileen, ale o to, skąd przyszła, z kim się stykała. Teraz wszystko wiązało ją z tą sprawą — słusznie czy niesłusznie.

W każdym razie znalazłam ją stojącą skromnie pod ścianą; zawsze miałam wrażenie, że w czasie rozmowy przylepie się do ściany, nie mając odwagi znaleźć się na środku pomieszczenia. Stała przy małej kanapce, ale była zbyt skrepowana, by czekając, usiąść na niej, chociaż ona wyraźnie służyła do tego celu. Przez rękę miała przerzucony futrzany szal, który natychmiast rozpoznałam, a w dłoni trzymała niewielką papierową torebkę z czymś okrągłym w środku, co mogło przypominać kształtem mój kapelusz.

Odezwałam się ze schodów: — Och, to ty, Eileen... witaj...

I po krótkim zawahaniu szybko zeszłam na dół.

— Nie chciałam sprawiać pani kłopotu, panno Jean — powiedziała drżącym głosem. — Nie wiedziałam, czy mam to przynieść i po prostu zostawić, czy... Dlaczego więc tego nie zrobiłaś? — pomyślałam.

— Zostawiła to pani wtedy wieczorem... i jeśli mogę prosić, to chciałabym, żeby oddała mi pani moje rzeczy.

Zupełnie o nich zapomniałam. Czy rzeczywiście potrzebowała ich, a może była to tylko wymówka, aby się ze mną osobiście spotkać? Co jest białe, a co czarne? Najmniejsza rzecz, coś, co ma wspólnego z tymi ludźmi... jest wprost nie do zniesienia; miał rację, to było prawdziwe piekło.

— Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, przyniosłabym je ze sobą. — A potem zapytałam o to, co rzeczywiście mnie gnębiło:

— Czy powiedziałaś Signe, kim jesteś?

— Nie — przyznała zmieszana — po prostu powiedziałam, że chcę z panią rozmawiać. Bałam się... że może pani nie zechce mnie widzieć. A ja bardzo chciałabym odebrać swoje rzeczy...

— Przecież i beze mnie dostałabyś je.

— Tego nie wiedziałam, panno Jean — odparła skromnie. — Myślałam, że może oni tutaj muszą mieć pani zezwolenie. Albo nie wiedzieliby, jakie rzeczy mam na myśli. Mogliby mi dać przez pomyłkę coś *dobrego*.

Która była ta ciemna, zła strona? A która jasna, właściwa?

No, ale jakoś to wyszło. Jakoś uzasadniła powód, dla którego chciała się ze mną zobaczyć. Ale w jakim celu? Czego chciała? Powinien pojawić

się motyw, w przeciwnym razie ten incydent był czymś zupełnie niewinnym i niewyrachowanym.

Posłałam na górę jedną z dziewczyn, żeby przyniosła rzeczy Eileen — opisując je i podając dokładnie, gdzie się znajdują.

Nastąpiło krępujące oczekiwanie. Obie milczałyśmy.

Wreszcie dziewczyna wróciła, niosąc płaszcz i beret, wyraźnie okazując Eileen swoje obrzydzenie. Podała jej rzeczy, wyciągając daleko ręce i starając się nie zbliżyć. Była to najbardziej teatralna demonstracja snobizmu, jaką widziałam, i to mi się nie podobało. Przecież mimo wszystko *miałam* na sobie to ubranie i nie czułam się w ten sposób. Odczuwałam strach, ale nie pogardę.

Czekałam, aż zostaniemy znowu same. — Posłuchaj — spytałam — czy podoba ci się ten kapelusz? Podoba ci się futro? Chciałabyś zatrzymać je dla siebie? Ja tego już nie chcę.

Szybko położyła rzeczy na kanapce. Zdawało się, że przeraża ją zwykły podarunek. — Och, nie, panienko, ja... dziękuję bardzo, bardzo jestem wdzięczna, ale... ja nie mogę... nie mogę tego przyjąć.

— Dlaczego? — spytałam z naciskiem. — Dlaczego nie? Dlaczego nie możesz?

— Och, nie wiem, panienko... — cofnęła się o krok, jakby chciała w ten sposób bardziej podkreślić swoją odmowę.

— Ale przecież musisz wiedzieć — nalegałam. — Posłuchaj, ja już nigdy tego nie włożę. — Nie mogłabym. Były przesączone strachem, cuchnęły nim. Nie mogłabym więcej na nie spojrzeć. — Dlaczego nie chcesz ich wziąć? — Nie mogę. — Cofnęła się jeszcze bardziej. — To tak, jakbym kupczyła... — nie dokończyła.

— Czym byś kupczyła?

Nie mogłam tego z niej wydusić. Ale nie potrzebowałam, dość łatwo mogłam sama udzielić sobie odpowiedzi. Nie była to wdzięczność; wdzięczność wynika z przysługi, której ona jawnie odmówiła, choć się jej spodziewała. Było to coś, czego zwykle się nie nagradza: nieszczęście, niepowodzenie, rozpacz, kłopoty.

Odprowadziłam ją do drzwi. Zatrzymała się tam na chwilę, odwróciła do mnie, jakby wreszcie zdecydowała się powiedzieć to, co przez cały czas chciała powiedzieć, ale zabrakło jej odwagi i odczekała do ostatniej chwili.

Motyw. Pojawił się motyw wizyty.

— No to do widzenia, panienko Jean. I... i życzę pani wszystkiego najlepszego.

Czy to było pożegnanie? Dlaczego?

Chciała powiedzieć coś więcej. Męczyłam się razem z nią, ale nic nie dałam po sobie poznać.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i szybko wyszeptała: — Niech pani tam więcej nie przychodzi, panienko. Proszę spróbować.

I szybko cofnęła się o krok, spodziewając się nagany.

— Tak? — To wszystko, na co się zdobyłam.

— W pani interesie, w pani i pana Reida... — wykrztusiła żałośnie.

Tym razem nie odezwałam się.

— To tylko może się źle skończyć — zamruczała płacząco.

Natychmiast po tych słowach odeszła od drzwi, więc zamknęłam je.

Zbiegła szybko po stopniach na chodnik.

To był ten motyw. I znowu dwie strony. Która była właściwa? Która zła? Podstęp czy szczerłość? Chęć zwabienia nas przez zniechęcanie? A może była to szczerza prośba? Może ona była po prostu uczciwą, niczego nie domyślającą się pośredniczką, a przynętę zrecznie spreparował ktoś inny i teraz chce nas na nią schwytać?

Stałam tam z twarzą ukrytą w dłoniach, ściskając mocno głowę. To było nie do wytrzymania, sprawiało, że życie stawało się ogromnym, męczącym labiryntem; strach, strach, wszędzie wokół tylko strach. Nie sposób skryć się przed nim, nie wiadomo, jaką obrać drogę, wędrując bezsilnie w kółko, aby wreszcie paść kompletnie wyczerpanym.

Z holu obserwowała mnie służąca.

— Czy to z jej powodu boli panienkę głowa?

— Wszystko mnie boli — rzekłam — całe ciało, od stóp do głów.

Przeszłam obok rzeczy leżących na kanapce.

— Zabierz to — poleciłam — i daj komuś, niech to zniknie z moich oczu.

Złapała chciwie ubranie i zabrała je ze sobą.

Już było po wszystkim. Skończyło się. Została zerwana ostatnia nić. Teraz już nic nie może nas tam zwabić; nie ma niczego, co by ich ściągnęło do nas. Chyba że nasza własna głupota.

Och, jakimiż oboje byliśmy głupcami!...

Trochę dni minęło, kiedy to zastałam go w samochodzie, czekającego na mnie przed drzwiami domu. Nie wiem, czy było to osiem, dziesięć czy dwanaście dni, a może dwa pełne tygodnie.

Dzięki dwóm rzeczom mogłam domyślić się, że czekał tam na mnie: ponieważ nie siedział za kierownicą i też dlatego, że patrzył wyczekująco w stronę drzwi.

Zastanawiałam się, dlaczego patrzył na mnie z takim napięciem, kiedy schodziłam po schodach.

Podeszłam do samochodu i zatrzymałam się.

— Jean, jadę *tam* — powiedział wprost.

— Nie musisz podkreślać słowa „tam”, wiem, dokąd chcesz jechać.

— Pojedziesz ze mną?

— Oni pozbawili nas jedyne go pretekstu. Przecież odniosła moje rzeczy i ty wiesz, że to zrobiła.

— Wiem, ale, Jean, jesteśmy tylko ludźmi. Jadę tam bez żadnego pretekstu.

— Tylko... tylko z czystej ciekawości? Chcesz go bardziej wypróbować? — To był jeden z rzadkich momentów w moim życiu, w którym byłam nim rozczarowana.

— Och, mam w tym swój interes — kontynuował.

— A zatem masz pretekst...

— To nie to samo. Gdybym tak twierdził, nie byłbym względem siebie uczciwy. Gdybym jechał tam z jakiegoś błałego powodu po to tylko, aby go znowu wypróbować, mógłbym powiedzieć, że ostatecznie mam jakiś pretekst. Ale jadę do niego w sprawie czegoś, co jest dla mnie niezwykle ważne. I nie nazywam tego zwykłym pretekstem. To powód, który jest bardzo ważny dla mnie, a nie dla niego. I nie dlatego, że może mi w coś pomóc; nie wiem, czy wiesz, o co mi chodzi...

— Sądę, że wiem — odparłam, a potem dodałam ze smutkiem: — Ale *jednak* jedziesz.

— Jean, ja po prostu nie wiem, co robić. Nie wiem, co z tym począć. Nie wiem, do kogo mam się z tym zwrócić.

— To dlatego byłeś dziś przy kolacji trochę niespokojny.

— Dziś wieczór? To już trwa od wielu dni...

Otworzyłam drzwi samochodu. — Zawiozę cię tam — oświadczyłam.

— Nie musisz jechać, jeśli nie chcesz.

— Wcale nie chcę tam jechać — odpowiedziałam, wsiadając. — Ale chcę być tam, gdzie ty. I jeżeli ty *tam* jedziesz, to i ja *tam* pojedę.

Zatrzasnęłam drzwi i przekręciłam kluczyk w stacyjce.

— Teraz to będzie trudniejsze niż poprzednio — dodałam.

— Wiem, Jean — odrzekł przygnębiony — wiem. Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu.

— Czy znowu chodzi o akcje?

— Nie, to byłaby tania sztuczka. — Potem milczał, a kiedy zbliżaliśmy się, powiedział bez związku: — Czy wiesz, że na Wybrzeżu był strajk?

— Wiem.

— Mam do odebrania przesyłkę surowego jedwabiu, która jest warta tysiące i teraz została zatrzymana na wiele miesięcy w Honolulu. Nie mogę jej wylądować w Frisco. Miałem ofertę od dealera na wyspach, znacznie poniżej faktycznej wartości ładunku, nie mówiąc o zysku. Wygląda na to, że powinienem brać, co dają, albo wszystko stracę. Ten impas może trwać w nieskończoność. Już nawet sporządziłem szkic telegramu z akceptacją oferty. Mam go tu, w kieszeni...

Zahamowałam, byliśmy na miejscu. Wysiadł.

— Myślisz, że postępuję dziecinnie, Jean?

— Jesteś tylko zwyczajnie ludzki — odrzekłam — i każdy z nas może się takim okazać.

Wszedł do środka.

Ja pozostałam w samochodzie.

Wyszedł.

Odjechaliśmy. O nic go nie pytałam. Po chwili wyciągnął z kieszeni telegram, odwrócił go na drugą stronę i napisał nową wiadomość do agenta w Honolulu. Nie mogłam nie widzieć tych sześciu słów, litery były duże: „Powiedz mu, żeby poszedł do diabła”.

Burmistrz zajął się tym osobiście i w niespełna dwadzieścia cztery godziny wszystko zostało załatwione. Ładowanie i rozłado-

wywanie przeprowadzono po raz pierwszy od sześciu miesięcy. W gazetach pisano potem, że nawet najbliżsi doradcy ojca nie wiedzieli, jak to załatwić.

Nasza przesyłka dotarła do San Francisco przed innymi — i wtedy okazało się, że było to dla nas niezwykle zyskowne. Ojciec zarobił dokładnie dwa razy tyle, ile towar był wart. Krótka wyprawa do tego biednego domu przyniosła zysk w wysokości dwustu tysięcy dolarów.

Powiedział mi, że dokładnie właśnie to zostało przewidziane.

Siedziałam tam znowu, czekając na niego z papierosem w ręce, w jasnoniebieskim płaszczu narzuconym na ramiona. Nie poszłam na górę. Sama nie wiem dlaczego. Nigdy nie pytałam go o nic. Też nie wiem dlaczego. On schodził na dół, za każdym razem mówił coś do mnie. Zawsze chciałam, aby tego nie robił. Wtedy czułam ścisk serca.

— On wiedział, że moja matka umarła, gdy miałem czternaście lat.

Ja sama nie wiedziałam, ile wtedy miał lat.

— Wiedział, że nosiła te piękne, jedwabne kimona i inne jedwabne okrycia, które sprawiły, że później zająłem się importem i eksportem jedwabiu.

— Tak było faktycznie?

— Tak, ale nawet ja, aż do teraz, nie pamiętałem o tym. Znowu ścisk serca.

Siedziałam tam, czekając na niego, w rdzawym, modnym płaszczu narzuconym na ramiona. I nie poszłam na górę. Nie pytałam go o nic. Mówił coś do mnie. Zawsze chciałam, aby tego nie robił.

— Czy pamiętasz ten wieczór, kiedy wszyscy pojechaliśmy do klubu Embassy, by świętować urodziny Louise Ordway? Wtedy nie bardzo mieliśmy na to ochotę. Pamiętasz, że miałaś na nogach nowe buty, po tańcu piekły cię stopy, więc zdjęłaś je pod stołem? Pamiętasz, jak inni tancerze wykopali je stamtąd, a potem krążyły po podłodze i wcale już ich nie znalazłaś, a Tony musiał wynieść cię do samochodu w samych pończochach?

— Czy on... czy on też wiedział o tym?

— One leżą w oknie sklepu ze starociami, w dzielnicy lombardów, przy Norfolk sto dwadzieścia. Nie można ich dojrzeć od ulicy. Znajdują się za dość dużym, używanym banjo.

Następnego dnia pojechałam tam, wysiadłam z samochodu, ale zobaczyłam tylko banjo i nic więcej. Weszłam do środka.

— Ma pan parę złotych, skórzanych, wieczorowych sandałów w oknie. Mogłabym o nie poprosić?

— Nie, proszę pani, nic o tym nie wiem. Pani chyba się pomyliła... — Podszedł do okna i spojrzął na wystawę — a ja zajrzałam mu przez ramię.

Ale nie było ich widać również od środka. Można było tylko zobaczyć tył używanego banjo i masę różnego rodzaju staroci bez wartości. Poczułam się lepiej.

Sięgnął ręką i zaczął grzebać w tym bałaganie, aby nie stracić potencjalnej klientki — i wtedy je zobaczyłam.

Z otwartymi ustami podrapał się w głowę.

— Sam o tym nie wiedziałem... — wykrztusił.

Usiadłam i przymierzyłam buty. To był mój rozmiar. Mam tak cholernie małe stopki, że mogłyby należeć do chińskiej księżniczki.

Wstrząśnięta kopnęłam buty wysoko w powietrze i wyskoczyłam stamtąd jak oparzona. Wybiegłam, jakby to miało uratować moje życie.

Siedziałam tam, czekając na niego, w śliwkowym, modnym płaszczu narzuconym na ramiona. I nie poszłam tam, na górę. Nie pytałam go...

— Przypominasz sobie tę paczkę listów miłosnych, które pisałem do twojej matki, kiedy się do niej zalecałem... nie, tego nie możesz pamiętać.

— Ależ tak, opowiadałeś mi o nich. To było wtedy, gdy była w szkole, w Szwajcarii. Trzymała je przewiązane wstążeczką... nawet po waszym ślubie. A potem, po jej śmierci, miałeś je u siebie...

— Nie byłem pewny, gdzie się znajdują. Minęło już tyle lat. My... rozmawialiśmy tam o niej, sam nie wiem jak do tego doszło, i wtedy powiedział mi, że są w moim sejfie depozytowym, w National Security Bank. Musiałem je tam umieścić siedemnaście lat te-

mu. Powiedział, że wstążeczka jest niebieska. Powiedział też, że listów jest czterdzieści osiem. Nie było jej prawie rok, a ja pisałem co tydzień... Muszę tam pójść i sprawdzić...

Na moment zakryłam uszy dłońmi. On prowadził. Samochód jechał we właściwym kierunku.

— Jest tam też naszyjnik z rubinami i diamentami, który kiedyś jej podarowałem. Teraz sobie przypominam. A on mówił, że ma dziesięć diamentów, ale tylko dziewięć rubinów. Jeden rubin gdzieś zaginął i nigdy nie został uzupełniony — muszę tam pójść i... — powtórzył.

Po co? Wstążeczka będzie niebieska. Znajdzie tam czterdzieści osiem listów i w naszyjniku będzie brakowało jednego rubinu, pomyślałam.

— Czy wiesz, jaki jest numer naszego sejf? Zdawało się, że zadał mi zwykle, okazjonalne pytanie.

— Nie, a ty?

— Też nie — odparł.

A potem dodał: — On mi go podał. To numer 1805. Rano zatelefonowałam do strażnika podziemi banku.

— Mówi Jean Reid. Może mi pan podać numer naszego sejf depozytowego?

— Przykro mi, panno Reid — odparł strażnik. — Sam zatelefonuję do pani, aby sprawdzić, czy pyta o to właściwa osoba.

Czekałam przez dłuższą chwilę; w końcu zadzwonił.

— To tylko dla upewnienia się — wyjaśnił. — Numer, o który pani pytała, brzmi: 1805, jeden, osiem, zero, pięć.

Siedziałam tam, czekając na niego, w płowym, modnym płaszczu narzuconym na ramiona. I nie poszłam tam, na górę, nie pytałam go. Nie mówił nic do mnie. Byłam z tego zadowolona...

Siedziałam tam, czekając na niego, w zielonym, modnym płaszczu narzuconym na ramiona...

Siedziałam tam, czekając na niego, w czarnym, modnym płaszczu narzuconym na ramiona, tak jak czekałam już wiele razy przedtem. Tyle razy, że straciłam już rachubę. Przed tymi samymi

drzwiami, przed tym samym domem. Ulica rozciągała się daleko przede mną, tworząc dwie zbiegające się razem linie. Schodziła w dół, aż

wreszcie, gdzieś w oddali, domy zdawały się zatapiać w ziemi. Wszystko było szare — jakby pokryte pyłem węglowym.

Ponad moją głową były gwiazdy. One były częścią tego. Zdawały się oznaczać *to*.

A poniżej ja; sama w samochodzie, siedząca bez ruchu. Czasami przed przednią szybą unosił się dymek z mojego papierosa i znikał w mroku. Myślę, że raz wtedy odwróciłam przegub ręki, przysuwając go blisko świateł na desce rozdzielczej. Spojrzałam na zegarek, ale nie pamiętam teraz, która była godzina. Zrobiłam to zupełnie odruchowo.

Siedziałam i czekałam bardzo spokojnie.

Potem nagle ujrzałam go w drzwiach; musiał już tam stać przez chwilę, zanim go zauważyłam. Stał bez ruchu, nie zatrzymał się właśnie w tym momencie. Sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego.

Otworzyłam mu drzwi samochodu, aby jakoś pomóc. Zdawało się, że tego nie zauważa, albo zauważając, nie wiedział, po co to robiłam. Nie podszedł bliżej.

W końcu zrobił niepewny krok. Ale w złą stronę, gdyby dalej szedł w tym kierunku, oddalałby się ode mnie.

— Tato — powiedziałam. — Jestem tu.

Przez chwilę myślałam, że coś jest nie w porządku z jego oczami. A może tam było tak ciemno, że teraz trudno mu się przyzwyczać do świateł na ulicy, albo...

Potem odwrócił się i podszedł do mnie chwiejnie. I wtedy zorientowałam się, że to nie było spowodowane zakłóceniem widzenia. Chodziło o twarz, na której zastygł wyraz przerażenia, jakby nagle coś przed nim eksplodowało, pozostawiając po sobie zdumienie, oszołomienie i otepienie.

Nie mógł trafić do drzwi auta, błądząc, macał drżącymi rękoma wzdłuż krawędzi. A przecież miał je tuż przed sobą.

— Źle się czujesz? Jesteś chory? Co się stało? — pytałam.

— Pomóż mi — wykrztusił.

Pokierowałam nim i usiadł ciężko obok mnie. Samochód zakołysał się. To było takie ostateczne, definitywne.

Widziałam, że próbuje sięgnąć do kołnierzyka, szybko odpięłam go i ściągnęłam w dół węzeł krawata.

— Wszystko będzie dobrze — wyszeptał z trudem. — Nie zwracaj na mnie uwagi.

Wyjęłam jego chusteczkę i przez chwilę wycierałam mu czoło.

— Wyglądasz jak upiór — powiedziałam.

— Bo nim jestem — jęknął — bo jestem jednym z nich. Nagle oparł czoło o kierownicę. Zajął to siedzenie, ponieważ

musiałam się przesunąć, aby wciągnąć go do środka. Wydawało się, że wpatruje się w podłogę samochodu. Ręce spoczywały bezwładnie na kierownicy, co sprawiało wrażenie, że prowadzi kompletnie pijany.

Jego ciałem kilka razy wstrząsnął dreszcz, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku i nie zapłakał. Zbyt długo tego nie robił i teraz trudno było mu się zdobyć na płacz.

Otoczyłam go ramieniem i przez chwilę przytulałam. Teraz oboje byliśmy pochyleni do przodu.

— To nic — powiedział. — Nie przejmuj się. Wyprostował się.

— Co on ci takiego powiedział? Potrząsnął głową i odrzekł: — Nic. Zabrzmiało to jednak nieprzekonująco.

— Na pewno coś powiedział. Przecież widzę, że coś się stało. Świadczą o tym twój wygląd i zachowanie.

Czułam, że za chwilę dostanę napadu hysterii. Czułam, że ogarnia mnie straszne przerażenie.

— Co on ci zrobił? Powiedz mi...

Chwyciłam go za klapy płaszcza i zaczęłam nim potrząsać. Trochę przy tym popłakiwałam zagniewana, że nie wiem, o co chodzi.

— Mów. Musisz mi powiedzieć. Mam prawo wiedzieć.

— Nie. — A potem dodał: — Nie to.

— Mam prawo. Jestem Jean... Spójrz na mnie. Odpowiedz. Co on ci powiedział, że tak wyglądasz i tak się zachowujesz?

— Nie — odparł cicho. — Nie mogę ci tego powiedzieć. Nie powiem. — Oparł głowę na zagłówek i patrzył w sufit.

— Wobec tego pójde tam i sama go spytam! Jeżeli mi nie powiesz, pójde i zmuszę go!

Drzwi samochodu zaskrzypiały i byłam już na zewnątrz.

Podniósł gwałtownie głowę. A potem, z nagłym przestraczem, który tylko przyśpieszył moje kroki, krzyknął za mną: — Nie, Jean, nie! Nie zbliżaj się do niego! Na litość boską, nie idź tam — nie chcę żebyś wiedziała, nie chcę, żebyś wiedziała!

Wbiegłam w drzwi, wspięłam się na schody, wystukując staccato obcasami; płakałam z oburzenia, że on zrobił ojcu coś takiego. Nie bałam się, biegłam teraz na spotkanie strachu, biegłam, by z nim walczyć.

Dotarłam do drzwi, do tych właśnie drzwi, zaczęłam w nie walić pięściami, potem chwyciłam klamkę i otworzyłam je, nie czekając na odpowiedź.

Powoli uniósł głowę, aby na mnie spojrzeć. I to był jedyny ruch, jaki uczynił. Ten ruch był tak nieznaczny, że jego ręka, która w melancholijnym geście dotychczas była przyciśnięta do skroni, pozostała tam bez ruchu, wciąż zgięta, teraz podpierając pustkę.

Nie odezwał się. Cień uniesionej ręki padł przelotnie na dolną część twarzy, tworząc nieregularną plamę ciemności, co sprawiało wrażenie, że właśnie w tym miejscu był nieogolony.

— Co pan zrobił mojemu ojcu? — wybuchnęłam. — Co pan mu powiedział?

Milczał nadal.

Zamknęłam za sobą drzwi. — Co tu się przed chwilą wydarzyło?

Jego ręka wreszcie opadła, cień zniknął z twarzy. — Proszę nie pytać. Proszę odejść. Proszę stąd zaraz odjechać. Proszę pojechać z nim do domu — mówił uspokajająco, jakby miał do czynienia z rozdrażnionym dzieckiem.

Mój głos stał się bardziej szorstki: — Nie mogę. Nie będę mogła z tym żyć. Pan coś mu zrobił. Musi mi pan powiedzieć, musi pan, musi pan, musi!

Na mój wybuch podniósł się z krzesła, ale z jakąś defensywną pokorą, która miała mnie nakłonić do odejścia. — Nic mu nie zrobiłem.

— Zrobił pan. To z pewnością pan. A kto inny? Nie zachowywał się tak przed przyjściem tutaj, a potem gdy wyszedł...

Milczał, stojąc teraz za krzesłem i zaciskając ręce na oparciu.

— Jestem jego córką. Mam prawo wiedzieć. Jak pan może tak spokojnie na mnie patrzeć? Co z pana za człowiek!

Milczał.

Nagle padłam przed nim na kolana i chwyciłam go za brzeg marynarki.

— Wstań. Wstań z klęczek, dziecko.

— Mnie tylko o to chodzi. Tylko o to. Nie mogę patrzeć na niego w tym stanie.

Próbował odsunąć moje ręce, ale bez gwałtownego zniecierpliwienia.

— *Pani nie wie, o co pani prosi!*

Nie podniosłam się. Oparł ręce na moich ramionach, jakby chciał mnie unieść.

— Proszę mi wierzyć, że będzie lepiej, jeśli się pani nie dowie.

Pociągnęłam go za marynarkę; widział błagalną prośbę w moich oczach.

— Prosiłem panią. Mówiłem wam obojgu, żebyście więcej tu nie przychodzili. Od początku...

— To już teraz nie ma znaczenia. Nie chcę o tym słyszeć. On tu był — mówiłam ochryple. — Niech pan mówi. Niech pan mi powie, o co chodziło.

Westchnął z rezygnacją. Poczulałam, że unosi mnie za ramiona. Staliśmy teraz twarzą w twarz.

— Przyszedł zadać mi pytanie. A ja na nie odpowiedziałem.

— To nie to... To nie może być to... — Zachwiałam się.

— Powiedziałem mu więcej, aniżeli zamierzałem — dodał. Odwrócił się trochę, jakby chciał się odsunąć. Przesunęłam się w tym samym kierunku i znowu byliśmy zwróceni do siebie twarzami.

— Co? Co to było?

— To było pytanie w sprawie jego interesów, podobne do innych pytań, jakie mi zadawał.

— To już wiem. Powiedział mi po wyjściu stąd. Ale to nie wszystko. Jak brzmiało to pytanie? Jaka była odpowiedź?

— Spytał o pewną długotrwałą transakcję, nad którą się zastanawiał. Zapytał, czy ma ją kontynuować, czy też przerwać.

Zamilkł.

Gdybym nie wyciągnęła rąk, aby go chwycić, nie odczułby mojej psychicznej presji, wyrażonej tym gestem w sposób fizyczny, tak jak ja sama to odczuwałam.

Powiedział przyciszonym głosem: — Ujrzałem obraz... tego przedsięwzięcia. I powiedziałem mu, że to zupełnie obojętne, jak postąpi. Nie był zadowolony z mojej odpowiedzi i chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Wtedy powiedziałem, żeby zostawił mnie w spokoju i nie pytał. Upierał się. Jest sprytniejszy ode mnie. Jeśli czegoś bardzo chce, wie, jak to osiągnąć. Spowodował, że powiedziałem za dużo, powiedziałem to, o czym nie chciałem mówić.

Westchnął zmęczony.

— Proszę mi powtórzyć to, co powiedział pan jemu. Teraz nie może pan się wycofać. Za daleko zabrnęliśmy.

— On powiedział do mnie: „W takim razie ta transakcja ma dwa możliwe zakończenia”. Wtedy odparłem nieostrożnie: „Zgadza się. I potrzeba na to sześciu miesięcy od dnia dzisiejszego”. Skinął głową i powiedział: „To dobrze. Czyli będzie opłacalna. Ale wobec tego, które wyjście będzie dla mnie korzystniejsze? Tego właśnie chcę się dowiedzieć”.

Znowu głęboko westchnął. Wstrzymałam oddech.

— Odpowiedziałem: „Ani jedno, ani drugie”. A on na to: „To niemożliwe, jeżeli są dwa zakończenia, to oba nie mogą być identyczne. Jedno musi być dla mnie korzystniejsze”. Odpowiedziałem znowu: „Żadne nie jest korzystniejsze”. Wtedy powiedział: „Ale jeżeli oba są dla mnie korzystne, to jedno musi być lepsze od drugiego. A jeżeli oba są dla mnie niekorzystne, to jedno i tak musi być mniej niekorzystne. Proszę mi powiedzieć, które?” Powtórzyłem, że żadne, nawet w minimalnym stopniu i że nie ma innej odpowiedzi. Chwycił mnie silnie, przyciągnął do siebie, potrząsnął, a wtedy wymknęły mi się te słowa, na których wypowiedzenie tak nalegał: „Zakończenie nastąpi po sześciu miesiącach, ale pana i tak przy tym nie będzie”.

Na chwilę zamknął oczy.

— I wtedy, gdy to zrozumiał, ujrzałem wyraz jego twarzy, taki, jaki pani widziała. Mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczę takiego oblicza.

Malowała się na nim śmierć, śmierć, która nadeszła wcześniej, gdy ciało nie było na nią przygotowane. A potem zaczął się ze

mną targować, jak gdybym mógł to jakoś zmienić. „Pięć?” — spytał. „Pięć miesięcy od teraz?” Czytał z mego milczenia. „Cztery?” Milczałem. „Trzy?” Wpatrywał się w moje oczy. „Dwa?” Potrząsnąłem głową. „Więc jeden. Chociaż jeden?!” Błagał o coś, czego nie mogłem mu dać. „A zatem, kiedy? Kiedy?” Strasznie było patrzeć na niego i widzieć jak sam o tym nie wiedząc, powoli przede mną umiera. Ledwie zniosłem ten dławiący ból. Jestem tylko człowiekiem. „Za trzy tygodnie od teraz” — powiedziałem mu. „Na przełomie czternastego i piętnastego czerwca. Z wybiciem północy”. Pozostało mu już tylko jedno pytanie: „Jak?” Zadał je. „Spotkasz swoją śmierć w lwiej paszczy”.

I nagle w pokoju zrobiło się zupełnie cicho.

Cisza zdawała się nie mieć końca. A potem cichy głosik, słaby, delikatny, cienki; nie mógł pochodzić od niego, ponieważ nie widziałam, żeby poruszył ustami. Ktoś zajęczał: „Nie!” I czekał. A potem znowu: „Nie”. I czekał. I po raz trzeci: „Nie”. Później znowu zapadła cisza.

Musiał podprowadzić mnie do krzesła. Jego ręce spoczywały na moich ramionach. Czułam, że szukał sposobu, aby mi pomóc. Ale był zbyt niezdarły. Wreszcie cofnął je.

— Nie powinna pani tu przychodzić. Nie powinna pani pytać.

Patrzyłam na niego, nie widząc, słuchałam, nie słysząc. Pomyślałam, że nie bardzo zdaję sobie sprawę, gdzie się znajduję: co ja tu robię? Dlaczego tu siedzę? Dlaczego tu jeszcze jestem?

Wstałam, chwyciłam krzesło i obracając się na oślep w różne strony, szukałam wyjścia, wiedząc, że gdzieś musi być.

— On czeka na mnie na dole — zamruczałam. — Lepiej, jak do niego zejść. Jest sam.

— Wszyscy jesteśmy sami — odrzekł miękko. — Każdy z nas.

Pomógł mi podejść do drzwi, jego ręka lekko objęła moje ramiona. Nic nie czułam, musiał więc trzymać mnie bardzo delikatnie, przygotowany na moje zachwianie się lub potknięcie.

Potem otworzył drzwi, wsunęłam się w przejście, jego ręka zawisła w powietrzu na wysokości moich ramion.

Wydawało mi się, że wokół mnie panują ciemności, ale to moje wnętrze zalegały prawdziwe ciemności. Szłam po omacku wzdłuż ściany.

— Widzi pani drogę?

— Nie — odparłam cicho. — Ale i tak jej nie znam, więc to nie ma znaczenia.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos dobiegał już z większej odległości:

— Niech pani nie walczy z tym, moje biedactwo. Tego już nie można zmienić.

Było ciemno, strasznie ciemno, ciemności otaczały mnie zewsząd.

Siedzieliśmy w samochodzie. Po chwili jedno z nas się poruszyło. Zapomniałam które.

Jednak z pewnością ja odezwałam się pierwsza. Rozejrzałam się nieprzytomnie dookoła i zapytałam, jak długo już tu siedzimy.

— Nie wiem, Jean — odparł.

Uniosłam głowę, spojrzałam w górę i zamrugałam.

— Ciągłe jest jeszcze noc — powiedziałam. — I gwiazdy... Czy to ta sama noc, w którą tu przyjechaliśmy?

— Nie wiem, Jean — rzekł, z jakąś dziwną uległością, tak jak mały chłopiec, który próbuje zachowywać się grzecznie, odpowiada tylko na pytania i czeka, aż starsi pokierują nim i pomogą we wszystkim, czego nie może jeszcze zrozumieć.

— Czuję zawrót głowy — powiedziałam. — Kiedy tak się na nie patrzy, mieszają się w prążkowane kręgi jak szlachetne kamienie w zegarku, a głowa krąży razem z nimi.

Czułam, że moja uniesiona broda zatacza wraz z nimi małe kręgi, wiruje; zdawało mi się, że wyraźnie to widzę, szybko więc spuściłam głowę i pozwoliłam, żeby bezwładnie zwisała, patrząc w dół i unikając ich widoku.

— Myślę, że lepiej zrobimy, wracając do domu — poradził. — Ja nic nie czuję, ale sądzę, że jednak lepiej wrócić do domu. Przechodnie jakoś tak dziwnie nam się przyglądają. Nie podoba mi się to.

— Mnie też — zgodziłam się, nie poruszając głową.

— Tylko ja nie wiem, czy pamiętam dobrze drogę. Trudno mi się skupić... Możesz prowadzić? — spytał, patrząc bezradnie na deskę rozdzielczą.

— Nie sędzę. Jeśli chcesz, mogę spróbować, ale nie wiem, czy będę mogła.

— Przechodnie jakoś tak dziwnie nam się przyglądają — powtórzył. — Spójrz, jak przystają i patrzą na nas.

— Pewnie myślą, że jesteśmy pijani — powiedziałam. — Siedzimy tacy skurczeni.

Spróbowałam jedną ręką chwycić kierownicę, a drugą przekręcić kluczyk w stacyjce. Wtedy wysunął mi się z dłoni i upadł na podłogę. Odsunęłam rękę od kierownicy.

— Nie dam rady — wyszeptałam. — Nie dam rady. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Pozwól, że odpocznę przez chwilę. Potem znowu spróbuję.

— Pomogę ci — powiedział i położył rękę na kierownicy. Ja też ją chwyciłam. Potem oboje z całych sił trzymaliśmy kierownicę. Próbowaliśmy poruszyć nią, ale po chwili opuściliśmy ręce, bezsilni i zrezygnowani.

— Lepiej weźmy taksówkę i zostawmy tutaj nasz samochód.

— A dasz radę wyjść i zatrzymać jakąś? — zapytałam. Potem jednak szybko go powstrzymałam.

— Nie, nie chcę, żebyś szedł. Boję się, że nie wrócisz. Poproś tego człowieka, który patrzy na nas...

— Proszę pana — zwrócił się do niego słabym głosem — może pan sprowadzić dla nas taksówkę?

— O co chodzi, sami nie możecie tego zrobić? — spytał tamten kpiąco.

Nikt ci nie pomoże, gdy jesteś umierający — pomyślałam zrezygnowana.

— Oboje czujemy się bardzo źle. Nie możemy wysiąść z samochodu — odparłam.

Dotychczas widział tylko, że czekaliśmy na coś, ale teraz, gdy wyjaśniłam, o co chodzi, jego twarz przybrała wyraz pełen skruchy. — Ależ oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

Odwrócił się, poszedł do narożnika, skręcił i zniknął nam z oczu. Ale po chwili usłyszeliśmy, jak woła kilka razy, a potem przenikliwie gwizdże.

— Jakaż ona blada — powiedziała wtedy jakaś kobieta, zatrzymując się przy nas. Potem podeszła bliżej.

— Co się stało, mieliście jakiś wypadek? — zapytała.

Stało już tam kilkoro ludzi. Z uwagi na późną porę i ciemność zatrzymywali się tylko dlatego, że przystawał ktoś inny.

— Zostawcie ich w spokoju — powiedział z gburowatą litością ktoś stojący dalej.

Uniosłam głowę i spojrzałam na jego twarz.

— Tak, proszę zostawić nas w spokoju — błagałam niezdarnie. Kobieta odsunęła się.

Tymczasem podjechała taksówka i zatrzymała się przy naszym samochodzie.

Mężczyzna, który ją sprowadził, jechał na stopniu z jedną nogą w powietrzu. Zeskoczył i otworzył przed nami drzwiczki od naszego samochodu i od taksówki. Otwarte spotkały się, tworząc korytarz, którym przeszliśmy z jednego samochodu do drugiego. Pomógł nam, wpierv podając mi ramię, a potem oboje — on i ja pomogliśmy ojcu, tym razem chwytając go pod pachy, on z jezdni, a ja z wnętrza taksówki.

Gdy ojciec siedział już obok mnie, szofer sięgnął ręką do tyłu i zatrzasnął drzwi.

Staliśmy przez chwilę, a ja zastanawiałam się, dlaczego nie ruszamy. Nagle uświadomiłam sobie, że nie powiedziałam, dokąd chcemy jechać. Kiedy szofer zorientował się, że nie mogę sobie dać rady z dzielącą nas szybą, odwrócił się i odsunął ją. Wtedy podałam mu adres. Nareszcie opuściliśmy to miejsce, zostawiając samochód, w którym siedzieliśmy tak długo.

Teraz nie widziałam już gwiazd. Dach taksówki skutecznie je zasłaniał, a z siedzenia nie można ich było widzieć przez okna, ponieważ budynki po obu stronach ulicy zasłaniały niebo.

Zatrzymaliśmy się potem na chwilę i zapytałam ojca: — Chciałbyś się czegoś napić... po drodze, zanim zajedziemy do domu? Tu jest jakiś bar. Szofer mógłby nam coś przynieść.

— Nie, ja teraz... boję się. Wtedy, za pierwszym razem, gdy było to coś drobnego, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Myślałem, że to mi pomoże. Ale teraz... boję się.

Siedział blisko mnie; obejmowałam jego pochylone ciało, a jego głowa zwisała nad moimi kolanami.

— Czy to coś złego tak się bać, Jean? — zamruczał.

Nie wiem, co odpowiedziały moje usta, ale serce wołało, że to coś bardzo ludzkiego nie móc znieść świadomości, iż zna się termin własnej śmierci.

Taksówka zatrzymała się, a później zakręciła i odjechała, zostawiając nas samych w ciemności.

Skierowaliśmy się do oświetlonych okien przed nami. — Oprzyj się na mnie — poprosiłam. — Tu są tylko dwa stopnie.

Weszliśmy wreszcie i stanęliśmy przed drzwiami. A one były nad nami, trwały w górze jak srebrny ornament; baliśmy się odwrócić i spojrzeć na nie, lecz za chwilę otworzą się drzwi i znajdziemy się tam, gdzie nie będą mogły nas widzieć i podążyć za nami. I kiedy tak staliśmy blisko siebie, zbierając resztki sił, aby unieść ręce i zapukać, on westchnął i powiedział: — Jesteśmy już w domu, Jean.

— Tak, jesteśmy już w domu, ojczyźnie.

3

KONIEC OPOWIEŚCI: POCZĄTEK OCZEKIWANIA

Na zewnątrz małej restauracji było już jasno, gwiazdy zniknęły. Wewnątrz Shawn zauważył, że światła lamp na ścianach toczyły przegraną walkę ze wzmagającym się światłem dnia. Kiedy wreszcie ktoś je zgasił, trudno byłoby dostrzec różnicę.

Na zewnątrz coraz bardziej jaśniało. Błękit zaczynał ustępować, zmieniając się w biel. Potem ta biel zamieniła się w ciepłą żółć, a to oznaczało już pełnię dnia. Przez okna widać było pierwszych pojedynczych przechodniów. Z rozmazanych, anonimowych sylwetek zmieniali się w trójwymiarowe postacie z własnymi cieniami, które przesuwały się za nimi wzdłuż okna. Nawet odwrócone litery na szkle miały teraz swoje cienie, które padały daleko na podłogę, tworząc napis CAFE. W silniku przejeżdżającego autobusu coś zazgrzytało i ten dźwięk wtargnął do wnętrza restauracji. W chwilę potem dał się słyszeć dzwonek kasy i dźwięk spadającej monety. A potem pojazd z warkotem przejechał i zniknął. Przed restauracją kelner zamiatał chodnik.

Ktoś opuszczał przed sklepem markizę, która opadła z głuchym jękiem. Niezauważalny, lekceważony cud zdarzył się jeszcze raz — znowu był dzień.

Niedoceniany poza jedną osobą spośród setek tysięcy tych, którzy z niego korzystali.

Oboje siedzieli bez ruchu. Mężczyzna i dziewczyna. Wyglądało tak, jakby usnęli przy stoliku, jednak on trzymał się prosto, a ona pochyliła się ze zwieszoną głową. Jego oczy były otwarte, natomiast jej ukryte w ramionach, którymi objęła głowę, otaczając ją obronnym murem.

Oboje siedzieli bez ruchu. Nad tym małym stolikiem, przy którym tyle powiedziano, a zarazem tak mało wyjaśniono, unosił się dym z dawno odłożonego papierosa.

Patrzył na nią. Jej włosy były tak lśniące i gładkie. Przedziałek tak prosty i zdecydowany. Nawet strach nie zniszczył harmonii jej wyglądu.

Patrzył na nią. Jej jedna ręka leżała wyciągnięta ku niemu na blacie stolika, wydając się trwać w niemym błaganiu o pomoc. Palce zatrzymały się tylko cal lub dwa przed nim, tak jakby mogły sięgnąć jedynie do tego miejsca, a pomoc, której poszukiwały, musiała nadejść bez nacisku, bez żadnego przymusu. Te palce były smukłe, delikatne, nie nosiły śladów pracy fizycznej. Mogły zostać złamane tylko przez samo zginanie w jego ręce. Paznokci nie pokrywał lakier, były naturalnie różowe, wypolerowane, troskliwie przycięte, o doskonale zaokrąglonych brzegach. I te palce miały walczyć o życie! O dwa życia.

Patrzył. Na podłodze po drugiej stronie stołu obie jej stopy spoczywały przy sobie, z palcami skierowanymi na boki, jakby w celu utrzymania równowagi, gdy głowa i ramiona pochylały się nad stolikiem. Taka mała, taka pozornie nieważna podpórka. Jak te drobne stopki mogły nieść ją naprzeciw grożącej zguby?

Zaciśnięte palce na ręce ciasno obejmującej głowę nieco się rozluźniły, a potem znowu się zgięły. Z boku widział jej pochylone ciało nad stolikiem i mógł dostrzec, jak unosiło się i opadało z każdym głębokim oddechem. Zmrużył oczy i przyglądał się jej z wyrazem gniewnej, surowej litości. Surowość tego spojrzenia spowodowana

była przyczyną, a skutek wzbudzał litość. Ale kryła się też w nim w pewnym sensie bezsilna nienawiść. Było w tym jakieś zdumienie i oszołomienie, a także szczerą chęć zrozumienia. I było coś jeszcze, coś, co górowało nad całą resztą. Atmosfera przerażającego zagrożenia, z której zdawał sobie sprawę, nie chcąc zostać świadkiem czyjegoś cierpienia.

Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

— Jest już jasno — powiedział cicho. — Teraz ich nie ma. Spójrz. Już nie będziesz ich widzieć.

Nie poruszyła się. Dotknął jej rękę trochę wyżej, w okolicy łokcia, i łagodnie przycisnął.

— Podnieś głowę. Popatrz. One już odeszły. Nie wierzysz? Nie ufasz mi?

Zdawała się nie słyszeć. Nie czekał dłużej, przypuszczał, że się nie poruszy. Odsunął rękę.

Przez chwilę siedziała bez ruchu. Potem wolno uniosła głowę, ukazując twarz spoza opiekuńczego muru. I ta jej twarz w powolnym unoszeniu się zaczęła wyłaniać się fragment po fragmencie. Wpierw białe, zmarszczone bólem czoło. Potem ściągnięte cierpieniem brwi. A na końcu oczy.

Te oczy mówiły teraz bez słów. Po raz pierwszy zobaczył jej oczy w dziennym świetle. To spowodowało, że prawie zadrżał. Boże, pomyślał, te oczy! Jak mam pomóc, czytając w nich to, co próbują mi powiedzieć?

Odwróciła głowę i ze zdziwieniem rozejrzała się wokoło, jakby starała się zgadnąć, skąd mogłoby nadejść potencjalne niebezpieczeństwo.

Położył uspakajająco rękę na jej ramieniu.

— Świeci słońce. Tylko słońce. Widzisz? Jego promienie padają nawet tu, na dywan. Tam, ta żółta plama. Widzisz? Rozprzestrzenia się, rozprzestrzenia, rozprzestrzenia...

— Czy to tu właśnie przyszliśmy tak dawno temu? — spytała.

— Przed paroma godzinami — odpowiedział.

Przesunęła dłonią przed oczami. — Przeżyłam to wszystko jeszcze raz.

— Wiem. Przykro mi. Ale to był jedyny sposób.

— Czy ta moja opowieść pomogła?

— Jeżeli tylko sam będę mógł w jakiś sposób... Potrząsnęła głową. — Ale znowu nadejdzie noc... i gdzie pan

wtedy będzie?

Spuścił wzrok, nie odpowiadając.

— Nie może pan tego powstrzymać. Noc znowu wróci. To zamknięty krąg. Im bardziej się oddała, tym bardziej się zbliża. Już nadchodzi. A pana wtedy nie będzie. I znowu znajdę się w samym środku zupełnie sama.

— Co mogę pani przyrzec? — zapytał cicho, zagryzając dolną wargę. Ścisnęła obie ręce na stoliku i siedziała bez słowa, patrząc na nie.

— Czy chce pani, żebym zabrał ją teraz do domu? Chciałaby pani, żebym pojechał razem z panią i zobaczył...

— Do domu? — uwolniła ręce z uścisku. — Tam czeka śmierć. Śmierć, która jeszcze nie nadeszła. Ona czai się w łóżku, w pokoju mego ojca, śmierć we wszystkim. Wiem o tym. Co rano wchodzę do tego pokoju. On zwraca ku mnie bezradne spojrzenie; te oczy, gdy przestępuję próg, i mówi: „Pomóż mi, pomóż mi”. Widziałam wyraz pańskiej twarzy, gdy ujrzał pan moje oczy. Malował się na niej wyraz bólu i litości. A przecież jest pan kimś obcym, kogo spotkałam w nocy. Jak więc mogę się czuć ja, patrząc w tamte oczy?

— A więc chce go pani teraz zostawić samego i odejść? Przecież pani wie, że tak nie można.

— Próbowałam na swój własny sposób. Ale pan mi nie pozwolił. I teraz to już minęło.

— A więc?...

— Niech pan idzie. Nie musi pan tu siedzieć. Nie powinien pan. Pan ma swoje własne życie, swoją pracę. Pan podarował mi tę noc.

Potrząsał głową. Powoli, ale przez dłuższy czas. — Nie zostawię pani samej. Teraz to jest również moja sprawa. Pani przejęła ją od niego, a teraz ja przejąłem ją od pani. Nie będę już mógł spokojnie zasnąć. W przeciwnym razie co noc wracałyby pytania: „Dlaczego zostawiłem ją i zająłem się swoimi sprawami?” „Dlaczego nie dowiedziałem się wszystkiego do końca?”.

— To już i tak nie potrwa długo. Może jeszcze trzy dni. W tym dwie noce. Dwie całe i pół następnej, która skończy się o pół...

Wyciągnął rękę, położył palec na jej ustach i przerwał to słowo w połowie.

Jakiś człowiek wszedł i usiadł blisko drzwi. Zaczął czytać poranne wydanie gazety, opierając ją o cukiernicę; nie przerywając lektury, zastukał o blat stolika łyżeczką, aby przywołać kelnera.

Dosłyszała to i spojrzała na niego. Shawn odgadł myśli dziewczyny. Ten jej na pół zadumany, na pół pełen wyrzutu wyraz twarzy zdawał się mówić: „tamten gość ma przed sobą tak dużo czasu, dużo więcej ode mnie, ma przed sobą całe życie, a jednak tak mu się spieszy, że nie może poczekać pięciu minut na swoje jedzenie. Ja natomiast mam zaledwie trzy dni, do momentu zapadnięcia ciemności, a jednak siedzę tu, czekając, bez ruchu”.

— Jeżeli nie pozwoli pani, abym ją zabrał do domu — powiedział — to może pojedziemy razem w jakieś inne miejsce? Gdzieś, gdzie... mam kilku przyjaciół, kogoś, kto może będzie mógł nam pomóc.

— Dokąd? — spytała obojętnie.

— Nie będzie się pani bała?

Spojrzała na niego badawczo. — Na policję — powiedziała. — Tam właśnie chce mnie pan zabrać, prawda?

Obserwował ją uważnie przez chwilę, aby przekonać się, jak to przyjmie.

— Prawda? — powtórzyła.

— My nie musimy używać *tego* słowa — odparł uspakajająco. — To tylko taka symboliczna nazwa, ale nie dotyczy pani sprawy. Dobrze, wobec tego spójrzmy na to inaczej. Powiedzmy, że jestem biznesmenem, obojętnie jakim — handluję czy coś takiego — to nie ma znaczenia. Pracuję dla kogoś, kto jest ode mnie mądrzejszy i kto wie więcej. I właśnie dlatego ja pracuję dla niego, a nie on dla mnie. Znalazłem się tutaj minionej nocy i... zrobiłem to, co zrobiłem. A teraz chcę panią zabrać do mojego szefa, który nazywa się McManus, do człowieka, dla którego pracuję, aby omówić z nim tę sprawę — i to wszystko. Nie ma w tym nic, co mogłoby panią przestraszyć. On jest ode mnie starszy, mądrzejszy i

bardziej doświadczony. Jest uprzejmy, troskliwy i wyrozumiały, choć z pewnością nie dla ludzi,

których trzeba ukarać, ale to już całkiem inna historia. To nie ma nic wspólnego z pani sprawą. On nie zrobi nic, aby panią skrzywdzić lub przestraszyć...

— Pan lubi swego szefa, prawda?

— Myślę, że to wspaniały człowiek — odparł po prostu. Potem kontynuował swoje perswazje w obawie, że przerwa może być ryzykowna. — On też ma dziecko, córkę. Jest od pani dużo młodsza, ma może czternaście, piętnaście lat; zawsze, mówiąc o niej, pokazuje jej fotografię — to właśnie tego rodzaju człowiek. Pójdziemy, porozmawiamy z nim przez chwilę. Będzie tak, jakby mówiła pani do własnego... — Szybko przerwał, widząc skurcz jej twarzy. — Może będzie mógł pomóc, udzieli nam jakiejś rady. Przynajmniej nic na tym nie stracimy, prawda?

Wyciągnął ku niej dłoń w niemej kontynuacji podanego argumentu.

Potem opuścił ją niepewnie, widząc, że odsunęła swoje ręce i położyła je na brzegu stołu w geście zapowiadającym powstanie z miejsca.

Zaczęła powoli unosić się z krzesła. On nadal siedział i patrzył na nią zaniepokojony.

— Nie mam się dokąd udać poza... — mruknęła. Wyprostował się czujnie. — To znaczy...

— To znaczy, że pójdę z panem, Shawn. Pójdę do tego człowieka, dla którego pan pracuje.

CZESC 2

4

POCZĄTEK PROCEDURY POLICYJNEJ

Po wybraniu siedmiu resztę McManus odesłał. Zamknął drzwi swojego biura, wrócił za biurko i usiadł. Siedmiu wybranych stało przed nim w szeregu, z miejscami wolnymi po tych, którzy nie zostali wybrani. Poruszył chaotycznie ręką i połączyli się w zwarty szereg. Stali na baczność, niemal jak żołnierze na apelu. Z tym że nierówno trzymali ręce, jeden miał je złączone z tyłu, drugi przed sobą, u innego zwieszały się po bokach, a jeszcze inny trzymał się za wyłogi marynarki. Ale w każdym razie żaden z nich nie włożył ich do kieszeni.

Wszyscy wpatrywali się w niego z uwagą. Nie poruszali się. W ciszy słychać było krążącą w rurach wodę.

Długo zwlekał z zabranieniem głosu, tak że zdawało się, iż w ogóle nie ma zamiaru się odezwać.

Chwycił ołówek, zwykły biurowy ołówek, i mówiąc, stukał nim i obracał go z jednego końca na drugi, co przy każdym słowie wydawało delikatne dźwięki „tap” lub „tik”. Najwyraźniej robił to odruchowo, przez cały czas patrząc na nich.

Mówił wolno i cicho:

— To, o czym powiem, jest poufne. I takie musi pozostać, z uwagi na swój charakter. Nie można o tym rozprawiać w naszym biurze, nie wolno na ten temat mówić na zewnątrz. Nie wolno rozmawiać o tym z nikim, kto nie został wybrany. Jest to również nieoficjalne. Wszystkie działania podejmuję na własną odpowiedzialność, bez oficjalnych dyrektyw z góry. W związku z tym nie mogę wam *rozkazać*, abyście przyjęli zadania, o których myślę. Wolno wam odmówić. Ale możecie to zrobić tylko *teraz*. Nie wolno wam się wycofać w chwili, gdy sprawa zacznie się toczyć. Jeżeli zgodzicie się współpracować, będziecie musieli wypełniać moje polecenia, jak w normalnej służbie. Czy to jasne? Czekał.

— Teraz wyjaśnię w skrócie, o co chodzi. Jeden człowiek przepowiedział śmierć drugiego człowieka. Ma to się wydarzyć przypuszczalnie za trzy dni, licząc od dziś, czyli pojutrze o północy. Nie mamy nic, co pozwoliłoby nam tego drugiego człowieka, przepowiadacza,

aresztować przed upływem tego terminu. Nie doszło do naruszenia prawa, nikt nikomu nie groził. Co prawda istnieje zakaz przepowiadania uzyskania fortuny, ale nie możemy mu przedstawić takiego zarzutu, ponieważ to stwierdzenie zostało podane tylko słownie, w czasie rozmowy, a przecież mamy wolność słowa.

Osobiście nie wierzę w przepowiednie, ale w tym wypadku nie ma to żadnego znaczenia. Jestem jednak skłonny uwierzyć, że ta przepowiednia może się sprawdzić, chyba że zrobimy coś, aby do tego nie dopuścić. Ale *nie* dlatego, że to jest przepowiednia, tylko dlatego, że albo ten przepowiadacz osobiście, albo ten, kto z nim współpracuje, będzie się starał, aby się sprawdziła i żeby wydarzyło się dokładnie to, co przepowiedział.

Obecnie ta najbardziej znacząca przepowiednia stanowi zwieńczenie wielu pomniejszych, uprzednich przepowiedni. Została starannie przygotowana. Każda poprzednia przepowiednia dotyczyła zysków i sprawdzała się. Naturalnie aż do teraz; ofiara jest głęboko przekonana, że ta ostatnia również się sprawdzi. Na tym polegał pomysł.

I właśnie w tym momencie my musimy wkroczyć. Aby poradzić sobie z najważniejszą przepowiednią, należy przede wszystkim podważyć wiarygodność poprzednich, pozbawić je tajemnicy, wykryć podstęp i sprawdzić, co sprawiło, że się sprawdziły. Ta najważniejsza jeszcze się nie sprawdziła, więc nie możemy się nią zajmować. Pozostaje wam podążać śladem tych, które już się sprawdziły. I to właśnie one pomogą wam zakwestionować tę najważniejszą, dowiedzieć się, co się za nią kryje, skąd może nadejść zagrożenie i o co w ogóle chodzi.

Postępując w ten sposób, możemy uratować tego faceta na dwa sposoby: uchronić go od śmierci i wyzwolić od przekonania, że ta śmierć jest nieunikniona. Obecnie przekonanie, że musi umrzeć,

zawładnęło nim do tego stopnia, że w efekcie może go zabić. Czy teraz zrozumieliście, o co w tym wszystkim chodzi? Nadal stali bez ruchu. Milczeli.

— No, a teraz, jeśli ktoś chce się wycofać, to tam są drzwi. Jeden z tych siedmiu rozejrzał się dookoła, pozostali nawet nie drgnęli.

— W porządku — stwierdził z ożywieniem McManus. — Od tej chwili musicie słuchać moich rozkazów. Jesteście ochotnikami. Otrzymujecie zadanie, jakiego nie dostał dotąd żaden detektyw. Nie posyłam was na poszukiwanie morderców. Nie posyłam was na poszukiwanie zaginionej biżuterii. Posyłam was z zadaniem rozpracowania *przepowiedni*. Macie pracować nad *przepowiedniami*. Waszym zadaniem jest wyjaśnienie ich i... — podrapał się po brodzie. — No, jakby to ująć? Uczynienie ich zrozumiałymi, znalezienie dla nich możliwego wytłumaczenia. Jak zostały zaaranżowane i dlaczego się sprawdziły... A teraz do rzeczy. Oto wasze zadania.

Archer: telegram, który dotarł na lotnisko w San Francisco na pięćdziesiąt pięć sekund przed odlotem samolotu, którym Harlan Reid miał wracać. Ów telegram powstrzymał go, jako postscriptum do właściwej przepowiedni, dotyczącej katastrofy tego samolotu. Gdyby nie telegram, pan Reid zginąłby. Przepowiednia się sprawdziła. Tego telegramu nie wysłała jego córka. Musisz się dowiedzieć, kto to zrobił. I dlaczego. Nadawca telegramu nie może się zorientować, że go śledzisz. Jasne?

— Jasne — odparł cicho Archer — ale może powinienem użyć tabliczki ouija, jak do seansów spirytystycznych?!

— Daruj sobie. Ale, tak na margnesie, nie masz do dyspozycji trzech dni. Jeżeli ta informacja ma się na coś przydać, musimy ją otrzymać zaraz.

Drzwi zamknęły się i zostało ich sześciu.

— Dominguez: ty zajmiesz się parą butów. Parą damskich butów, które zniknęły z nocnego klubu Embassy. Znalazły się w lombardzie — albo raczej w sklepie ze starzyzną — na drugim końcu miasta. Dowiedz się, w jaki sposób z podłogi nocnego klubu trafiły na wystawę sklepu z rupieciami. Znajdź osobę, która im „pomogła” i dowiedz się, dlaczego to

zrobiła. Nie pozwól, aby ten ktoś dowiedział się, że go śledzisz. Termin ten sam co dla Archera. Tu masz adres.

Drzwi zamknęły się i zostało pięciu.

— Teraz ty, Bradley: dowiedz się, w jaki sposób Tompkins poznał numer sejfu depozytowego Harlana Reida: jeden, osiem, zero, pięć. I jakim cudem wiedział o jego zawartości. Ale nie zbliżaj się do Tompkinsa; to jest już robota dla innego faceta, który będzie działał po swojemu.

— Więc jak, u diabła, mam wykonać swoje zadanie! — jęknął Bradley.

— Spokojnie, Brad. Tego rodzaju informacje nie przedostały się do jego głowy za pośrednictwem krótkofalówki. Otrzymał je w zwykły sposób. Masz to zbadać.

Drzwi zamknęły się i zostało czterech.

— A teraz coś łatwiejszego. Już dość przepowiedni, prorocत्व, czy jak tam to chcecie nazywać. Powiem teraz o czymś ważniejszym. Muszę jednak dość dużo ważnych punktów opuścić, ponieważ nie mam dostatecznej liczby ludzi i dość czasu. Poza tym pewnych spraw po prostu boję się ruszać, bo będą one bardzo trudne. Mamy więc, między innymi, tę rumuńską aktorkę z zegarkiem na nodze. Potem ta mała dziewczynka, która ledwo odskoczyła spod kół samochodu. No i akcje, które zwykowały jak na rozkaz. Wystarczy to, co wybrałem. Jeżeli uda nam się znaleźć w tych trzech sprawach choćby ziarenko prawdopodobieństwa, uratujemy temu człowiekowi życie...

Schaefer, ty zajmiesz się tą dziewczyną, Eileen McGuire. „Zajmiesz” się nią to znaczy, że będziesz stale przy niej, staniesz się jej cieniem. Nawet na sekundę nie spuścisz jej z oczu.

Drzwi zamknęły się i zostało trzech.

— Molloy, ty zajmiesz się lwami.

— Czym? — wykrztusił Molloy.

— Lwami. Spenetrujesz wszystkie ogrody zoologiczne w promieniu pięciuset mil. Sprawdź, w których mają lwy. Jeżeli je znajdziesz, dowiedz się, czy któryś nie uciekł albo nie został wykradzony...

— Ktoś miałby ukraść lwa? — wysapał detektyw.

— Ostrzeż wszystkich strażników, aby przez następne dwa, trzy dni szczególnie uważali na klatki z lwami, zwłaszcza w nocy. Nie zapomnij też o wędrownych cyrkach, aktorach występujących ze zwierzętami i tym podobnych. Ze wszystkim, co dotyczy lwów, natychmiast przychodź do mnie.

Molloy wymknął się, wycierając czoło chusteczką.

— A wy będziecie pracować we dwójkę. Teraz dochodzimy do głównego pionka w grze. Facet zna ponoć cudze myśli. *A ja* mówię: macie się tak zachowywać, żeby sądził, że czyta w waszych myślach. Będziecie wtedy bezpieczni i nie popełnicie błędu. On nazywa się Jeremiah Tompkins i mieszka... tu macie adres. Nie wygląda na kogoś szczególnego, ale nie wolno wam z tego kpić, wygląd nie świadczy o niczym. Nie spuszczaście go z oczu. Jeżeli jednak będziecie musieli na *chwilkę* stracić go z pola widzenia, to przynajmniej tak to załatwcie, abyście go słyszeli. Użyjcie magnetofonów, pluskiew i wszystkiego, czym tylko dysponujemy.

Sokolsky spojrzął na Dobbsa. — A on podobno będzie *wiedział*, co my robimy, tak? — zapytał niepewnym głosem.

— Sokolsky, ile ty właściwie masz lat? — spytał McManus i mówił dalej, nie czekając na odpowiedź: — W każdej chwili bądźcie gotowi do ujęcia go. Czekajcie, jeżeli się tylko da, aż do chwili, gdy będziecie coś na niego mieli. Ale tak czy inaczej musi być śledzony do dwudziestej czwartej jutrzejszej nocy, cały czas aż do daty swojej głównej przepowiedni. A teraz do roboty! Drzwi zamknęły się i McManus zwrócił się do Shawna:

— A teraz ty. Będziesz działał w centrum. Ubezpieczysz cel. Potarł w zamyśleniu brodę.

— Boisz się lwów, Shawn? — zapytał.

— Nigdy zanadto się nad tym nie zastanawiałem — przyznał szczerze Shawn. — Przynajmniej do teraz nie miałem z nimi wiele do czynienia. One pilnowały swoich spraw, a ja swoich.

— Obawiam się, że od teraz — oznajmił sucho McManus — będziesz się musiał trochę nimi zająć, i to w sposób dosłowny. Ten „lew”, którego stawiam przeciwko tobie, może różnie wyglądać i działać na rozmaite sposoby. To może być kula, sznur zaciśnięty na szyi, zatruta kawa, ale

także autentyczne, żywe zwierzę. Tego nie wiemy. Znamy tylko czas: północ, pojutrze. A to już coś jest.

Mógłbym nafaszerować ten dom detektywami, ale wtedy lew wywęszyłby ich, odłożył wizytę i przyszedł w takim czasie, kiedy nikt by się go nie spodziewał. A ja nie chcę, żeby tak się stało. Chcę, żeby zjawił się w wyznaczonym terminie — podkreślił te słowa silnym uderzeniem pięści — i żeby, na Boga, już więcej nie przychodził! Dlatego właśnie posyłam cię tam samego. Idź teraz do pokoju, w którym ona odpoczywa, i zaczekaj, aż opiekująca się nią policjantka powie, że czuje się lepiej. Kiedy tylko to nastąpi, zabierz ją do jej domu. Będziesz tam w charakterze gościa, przyjaciela — mnie jest to obojętne. *Ale musisz dopilnować, aby ten facet żył pojutrze po północy!* Poza tym rób, co chcesz! Shawn odwrócił się i wyszedł bez słowa.

McManus został sam, przy swoim biurku, tylko z ołówkiem. Od tej chwili wszystko się zaczęło.

5

OCZEKIWANIE: OCHRONIARZ PRZECIWKO PLANETOM

Samochód zatrzymał się przed frontem budynku. Wyłączyła motor. — Jesteśmy na miejscu — orzekła, pokazując podbródkiem.

Shawn słyszał gdzieś, że detektyw musi się każdej rzeczy przyglądać wiele razy, a im dłużej się przygląda, tym więcej za każdym razem dostrzeżga. I że to właśnie jest istota działania detektywa: patrzeć i patrzeć, aż wreszcie widzi się wszystko, co można zobaczyć, i wszystko się rozumie. Jednak nigdy się z tym nie zgadzał. Może to było dobre przy zbieraniu cząstkowych dowodów. W przypadku czegoś, co tkwi w jakimś konkretnym otoczeniu, stanowi całościowy problem, który ma decydujące znaczenie dla sprawy, najwyżej ceniał pierwsze wrażenie. To, co zauważył później, zwykle nie wносиło już nic nowego. To tak, jak gdyby próbowało się naświetlić kilka obrazów na jednym filmie. W końcu nie miało się już ani pierwszego obrazu, ani następnych, zostawał tylko bałagan.

To nie znaczy, iż wystarczył mu jeden rzut oka, aby właściwie ocenić sytuację i wszystko wiedzieć, ale pierwsze wrażenia były za-

wsze bliższe prawdy niż następne. Shawn „myślał” wyobraźnią. Może dlatego nazywali go „marzycielem”.

I tak oto ujrzał teraz ten duży wycinek krajobrazu, to wszystko, co mieściło się na prywatnej posesji, z domem stanowiącym tylko jej drobną część. Stali w miejscu, z którego mieli doskonały widok. Gdyby znajdowali się w innym punkcie, dom mógłby ukazać się jako niewielki szaro-biały znaczek, zagubiony w zielonych przestrzeniach. Łagodnie wznosił się od tyłu, aby zginąć w gąszczu drzew. Po białej korze odgadł, że były to brzozy. Było ich za dużo i podchodziły zbyt blisko, tworząc potencjalnie niebezpieczną falangę. Wzrokiem można było spenetrować najwyżej dwie lub trzy warstwy zieleni. Z mroku między nimi coś mogło się niepostrzeżenie wyczółgać.

Dom nie podobał mu się. Nie miał pojęcia, w jakim był stylu, nie znał się na tym. Dwukondygnacyjny sprawiał jednak wrażenie parterowego; prawie wszystkie okna na parterze, szczególnie od frontu, otwierały się jak drzwi i były tak wysokie, że zajmując większą część fasady, pozostawiały tylko niewielki pas między oknami na piętrze, które w porównaniu z tamtymi były małymi kwadratami.

W żadnym wypadku dom nie sprawiał ani ponurego, ani złowieszczego wrażenia, ale był zbyt masywny, zbyt klasycznie zaprojektowany, aby być przytulnym i gościnnym. Nosił znamiona budynku użyteczności publicznej. Mogła na przykład mieścić się w nim galeria sztuki, biblioteka albo jakiś ośrodek kultury. Wtedy z przyjemnością wałęsałbyś się po nim. Ale nie miałbyś ochoty tutaj spać.

— Jak długo pani tu mieszka?

— Od urodzenia.

— Więc, jak sędzę, zdążyła pani polubić dom — zauważył cicho.

Wysiedli i przeszli wyłożoną kamieniami ścieżkę, zbliżając się do frontowego wejścia. U stóp stopni, jako znak potwierdzający własność, w kamień wciśnięty był wieniec z brązu z literami „W. R.”, także wykonanymi z brązu.

— Myślałem, że pani ojciec ma na imię...

— To był ojciec mego ojca — odparła. — On zbudował ten dom. W tamtych czasach trzeba tu było przyjeżdżać powozem. — Przesunęła pieszczotliwie stopą po inicjałach. — To on stworzył majątek

rodziny. Nigdy go nie znałam, ale w pewnym sensie zazdrościłam mu.

— Czy dlatego, że był twórcą rodzinnej fortuny?

— O, nie, zazdrościłam mu, ponieważ zanim zaczął się dorabiać, miał dla siebie pełne dwadzieścia lat. Ani ojciec, ani ja nigdy nie mieliśmy tak wiele.

Po obu stronach stopni stały na postumentach dwa marmurowe lwy, a może lwice, bo pozbawione grzyw. Nie były duże, mniejsze niż naturalnej wielkości. Prążkowany marmur pożółkł od deszczu. Wchodząc na stopnie, położył rękę na głowie jednej z rzeźb.

— To niezbyt fortunne, prawda? On musi je widzieć za każdym razem, gdy wchodzi i wychodzi z domu.

— Kiedyś, na samym początku, myślałam, żeby je usunąć. Obserwowałam go, ale wydaje się, że w ogóle nie zwraca na nie uwagi. Jest do nich tak przyzwyczajony, że zapewne dla niego są to tylko jakieś kamienie. Ojciec nie zastanawia się, co przedstawiają, stanowią jedynie część drzwi. On boi się... prawdziwych lwów.

W chwili gdy chcieli wejść, lokaj otworzył przed nimi drzwi. Zauważył, jak wysiedli, i czekał z ręką na klamce, aby w odpowiednim momencie wypełnić swój obowiązek. Był to czerstwy mężczyzna pod pięćdziesiątkę; w niczym nie przypominał owych wiekowych służących, którzy są w domu od zawsze.

Jeżeli jednak zdumiał go jej widok po całonocnej nieobecności, a w dodatku z kimś, kogo nie znał, to i tak nie okazał tego po sobie. Rzucił tylko na Shawna krótkie spojrzenie.

— To pan Shawn, Weeks... mój przyjaciel. Jego bagaż został na tylnym siedzeniu samochodu. I, och... proszę przygotować pokój naprzeciwko pokoju ojca, ten po drugiej stronie holu.

Shawn rozejrzał się pozornie obojętnie, tak jak powinien rozejrzeć się gość. — To bardzo miło, że mnie zaprosiłaś, Jean.

— Ojciec ostatnio nie czuje się zbyt dobrze. Dokładnie nie wiemy, co mu dolega. Prawda, Weeks?

Spojrzała na niego dyskretnie, co miało wskazywać, że włącza go do spisku, eliminując jednocześnie Shawna. W istocie było odwrotnie.

— Tak, istotnie, nie wiemy, panienko — odparł pojętnie. Zniżyła nieco głos, pytając: — A jak on się czuje, Weeks?

— Bez zmian, panienko.

I wyszedł, aby przynieść rekwizytowy bagaż Shawna.

— Najpierw oprowadzę pana... hm, ciebie, po domu, a potem pójdziemy do niego — zaproponowała. Poprowadziła go przez hol, weszli w wysokie prawie do sufitu drzwi, znajdujące się po lewej stronie. — To jest nasz salon... — Wszedł do środka i zaczął po nim krążyć, zostawiając ją w progu.

Był tam służbowo. Miał wykonać szczególne zadanie. Sumiennie zabrał się do pracy i wyraźnie to okazywał. Stojąc na środku, obejrzał pokój pobieżnie. Potem zaczął go obchodzić, sprawdzając wszystkie okna. Obejrzał zamki, otworzył okna, jedno po drugim, wyrztał na zewnątrz, zamknął je i jeszcze raz wypróbował zamki.

Poszła dalej. — Tutaj jadamy.

Zbadał wszystkie drzwi: te od szaf i te prowadzące do przejść między pomieszczeniami, na korytarze i do wnęk. Zauważyła to. Uśmiechnęła się lekko. — Tu jest gabinet ojca.

Przesunął kilka książek, jak gdyby chciał przeczytać tytuły. A może po to, aby sprawdzić, co jest za nimi na półkach. Kiedy w jednym z pokoiów podeszli do marmurowego kominka, pochylił się i zajrzał do środka, by sprawdzić, czy jest prawdziwy.

— Prawdziwy — mruknęła. Odwrócił się i zauważył wyraz jej twarzy.

— Widzę — odparł. — Ale moje zadanie polega na tym, aby uchronić twego ojca przed krzywdą natury fizycznej. W dodatku nie wiem, jaką formę może przybrać atak i skąd nadejdzie.

Poprowadziła go dalej.

— Została jeszcze cieplarnia — powiedziała. Była to odpowiedź na nie zadane pytanie, które wyczytała z jego twarzy.

— Nie wiem dokładnie, czemu tak to nazywamy — dodała — ale czasem używamy tego pomieszczenia, aby jakoś przetrwać czyjeś śpiewy lub grę na fortepianie.

Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się wysokie do sufitu, witrażowe okna.

— Te okna są fałszywe — przyznała, gdy podeszli bliżej. — Nie wychodzą na zewnątrz. Zaczekaj, pokażę ci, w jaki sposób osiągamy zamierzony efekt.

Dotknęła włącznika światła i poza szybkami zapłonęły światła, tworząc coś w rodzaju płaskorzeźb. Zabłyśzczały rubinowo, szmaragdowo, szafirowo i bursztynowo, niczym witraże w średniowiecznej katedrze. W centrum każdej płaszczyzny uwidoczniły się naturalnych rozmiarów figury świętych. W tle widać było otoczone ramkami z ołowiu wizerunki mitologicznych i heraldycznych zwierząt — jednorożca, gryfa, dzika, lwa i feniksa.

— One pochodzą z Anglii — powiedziała głucho. — Z jakiegoś królewskiego opactwa. Z czasów Plantagenetów. I tu również widać wkład mojego dziadka. Przeniesiono je w całości. Chyba wiesz, że w owych czasach bogaci Amerykanie skupowali zamki i przywozili je do swoich posiadłości, by chlubić się zabytkiem. Ale on był skromnym człowiekiem i zadowolił się tylko dwoma witrażami. — Odwróciła się, zgasiła światło i witraże zbladły.

Przyszło mu do głowy, że sądząc z ilości wizerunków zwierząt, ziarna przepowiedni mogły być posiane właśnie w tym domu w czyjejs zlej, zbyt pobudzonej wyobraźni — ale nie powiedział jej o tym.

Kiedy wracali do holu, jakaś kobieta schodziła po schodach.

— Jean — rzuciła bez tchu i podbiegła do nich.

— O, Grace. To pani Hutchins, a to pan Shawn, mój przyjaciel, Grace. Skinęła mu głową, ale w jej oczach czaił się niepokój.

— Jean — powtórzyła z wymówką. — Jean, kochanie.

— Niepokoiście się o mnie? Przykro mi. Całą noc przesiedzieliśmy, rozmawiając, w restauracji. To mi naprawdę pomogło. Pozwoliło przestać o tym wszystkim myśleć...

— Doprawdy nie zamierzałem tak długo zatrzymywać panny Reid — wtrącił Shawn. Znowu skinęła mu głową.

— Chyba nie mówiłaś o tym ojcu? — zapytała Jean.

— Cóż znowu, jak mogłabym? Nie mówiłam nikomu. Ale nie zmrużyłam oka aż do siódmej rano. Telefonowałam do Gilbertów, do Louise Ordway. Nie pytałam o ciebie — dodała pośpiesznie — coś wymyśliłam, żeby sprawdzić, czy cię tam nie ma.

— I tak nie poszłabym do nich... — zaczęła z naganą Jean, ale nie dokończyła. — Przykro mi, że cię przestraszyłam, Grace. Nie powinnaś martwić się o mnie. Jestem już dorosła.

- Weeks, jak sędzę, mówił, że pan Shawn zajmie zachodnią sypialnię - powiedziała tylko gospodyni. - Muszę tam pójść i dopilnować... Nie uprzedziłaś nas.

- Ona nam nie wierzy - mruknęła Jean, patrząc, jak tamta wchodzi z powrotem na schody. - Chciałam powiedzieć, że me wierzy w to, iż jesteś moim przyjacielem. Domyśliłam się, widząc, jak na ciebie patrzy. Przecież zna wszystkich moich przyjaciół i do teraz nigdy o tobie nie słyszała.

- Jesteś jeszcze wystarczająco młoda, aby poszerzyć krąg przyjaciół — zauważył.

- Ale tak nagle, znikąd?... Czy nie powinniśmy już pojsć na ^{gOT} Zatrzymali się w holu na piętrze. Stał, spodziewając się czegoś. Widział, że starała się opanować. - To tamte drzwi - powiedziała, ale nie ruszyli się z miejsca.

Znowu pojawiła się pani Hutchins. Wyszła z pokoju przeznaczonego dla Shawna i położonego naprzeciw tego, który wskazała Jean. Zamknęła za sobą cicho drzwi, przeszła obok nich, uśmiechając się bez słowa, i zniknęła na schodach.

- Teraz zabieram cię do niego. Przygotuj się. To będzie trudne dla nas obojga.

- Nie należę do osób, które łamią się w takich sytuacjach, panno Reid! Jestem tylko przydzielonym do tego domu agentem ochrony i mam zadanie przebywać tutaj.

Położyła rękę na gałce drzwi, a potem czekała przez chwilę. -Za każdym razem, gdy wchodzę do niego, muszę zebrać w sobie wszystkie siły. Nawet jeśli zostawiam go tylko na krotko. Bo widzisz, ja pamiętam, jaki był przed... przed tym wszystkim. Uniosła rękę, aby zapukać.

- Och coś jeszcze. Zauważysz tam mnóstwo zegarów. Otoczył się nimi. Spyta o godzinę. Odejmij kilka minut od czasu, który wskazuje twój zegarek, ale to musi zgadzać się z czasem, jaki wskazują inne zegary. Zawsze wcześniej rano trochę je cofam, gdy nie patrzy. To mu daje dodatkowo kilka minut; kradnę dla mego czas. Tylko w ten sposób mogę mu jakoś ulżyć. Potem nocą, kiedy zasypia, znowu przesuwamy je do przodu, aby wskazywały następnego dnia prawidłową godzinę.

— On nie powinien mieć przy sobie tylu zegarów.

— Bez nich boi się jeszcze bardziej. Boi się, że czas biegnie szybciej, że od niego ucieka. No wiesz, to takie złudzenie, które jest zawsze gorsze od rzeczywistości.

Wreszcie zapukała do drzwi. — To ja, Jean, tato — zawołała. — Jest tu ktoś ze mną. — Przekręciła gałkę i otworzyła drzwi, nie czekając na formalne zaproszenie.

Shawn w myślach wydał sobie odpowiednie polecenia: „Teraz musisz się temu dobrze przyjrzeć. Niczego nie przeocz. Jesteś u celu”.

Mężczyzna siedział w fotelu na środku dużego pokoju. Trudno było określić, ile ma lat, ponieważ śmierć jest bez wieku. A on był już martwy. Miał na sobie białą bieliznę, jego skurczone ciało okrywał szlafrok, a stopy wsunięte były w miękkie, skórzane pantofle. Jego nogi przykrywał jakiś dywanik. Miał dość gęste, całkiem siwe włosy. Niemniej Shawn przypuszczał, że przed kilkoma tygodniami jedynie te włosy zdradzały jego wiek, kontrastując z młodą twarzą. Teraz te siwe włosy okalały pomarszczone, starcze oblicze.

Wokół niego stały cztery zegary. Jeden znajdował się na toalecie pod ścianą, mały zegarek stał na stole przy nim, cienki jak wafel zegarek kieszonkowy leżał obok niego, a na skórzanym pasku zwisał z wychudłego przegubu złoty zegarek na rękę. Choć zapięty był na ostatnią dziurkę, zwisał na podobieństwo bransoletki.

Ich chóralne tykanie przypominało ćwierkanie mechanicznych ptaków.

Spojrzał na Shawna, zanim zdążyła go przedstawić. — Ktoś obcy! No, to teraz przynajmniej mogę sprawdzić. Ma pan zegarek? Co wskazuje? Jaką ma pan godzinę?

Shawn podniósł rękę, odsłonił przegub i odjął minutę od czasu, jaki odczytał z zegarka. — Dwadzieścia dziewięć po — oznajmił i opuścił mankiet, zakrywając zegarek.

Twarz Reida rozpromieniła się radością.

— Och, Jean! — wykrzyknął. — Jean, słyszałaś? To mi daje minutę więcej! Pomyśl, minutę więcej! Cofnij je...

— A w dodatku, jeśli się nie mylę, mój zegarek nawet się śpieszy — dodał Shawn ze ściśniętym gardłem. Pomyślał: „Już za to, co mu dotychczas zrobił, Tompkins zasłużył na krzesło elektryczne —

obojętne, czy zamierzał zrobić coś więcej, czy też nie. Powinien zginać rażony prądem nie tak silnym, aby zabić po pierwszych dwóch wstrząsach!"

— Ojcie — powiedziała i delikatnymi dłońmi uniosła opadły kosmyk jego włosów — chciałabym przedstawić ci Toma Shawna.

Jego entuzjazm gwałtownie zniknął. Miał wrażenie, że ktoś usiłuje go oszukać. — Jeszcze jeden lekarz? Jakiś psychiatra?

— Nie, kochany, nie. Przypominasz sobie Teda Billingsa, narzeczonego Marie Gordon? Tego chłopca, który kilka lat temu zginął na Florydzie w wypadku samochodowym? Był tu u nas kilka razy. No i właśnie Tom jest... a raczej był, jego kolegą ze szkoły. Spotkałam go wtedy na jakimś przyjęciu u Marie.

— Nie wiedziałem, że byłeś na jakimś przyjęciu — powiedział głucho; ta sprawa była dla niego zbyt odległa, aby teraz wzbudzić zainteresowanie.

— No, w każdym razie jest tutaj razem ze swoim bagażem. Poprosiłam go, żeby został z nami przez jakiś czas.

— Czy nie sądzisz, że należy mu powiedzieć, co tu się dzieje... A może już to zrobiłaś?

Shawn wyciągnął rękę i spytał serdecznie: — Jak się pan miewa?

Ściskając jego rękę, odniósł wrażenie, że chwyta wysuszoną lodygę.

— Pan przyjechał trochę za wcześnie, młody człowieku... — odpowiedział Reid bezbarwnie. — Niemniej jednak witam pana w naszym domu.

— Trochę za wcześnie? — powtórzył wesoło Shawn. — Nie wiedziałem, że oczekuje mnie pan w jakimś szczególnym...

— Przyjechał pan za wcześnie na pogrzeb.

O jedenastej wstała z krzesła. Siedzieli we troje w salonie.

— Chyba pójdę na górę. Nie spałam zbyt dobrze w nocy. — Jej oczy, w krótkim, porozumiewawczym spojrzeniu, spotkały oczy Shawna.

Podeszła do skurczonej postaci na krześle. — Dobranoc, ojcie. Nie poruszył się. Zdawał się jej nie słyszeć. Nie spuszczał oczu z zegara na ścianie.

— Dobranoc, ojcie — powtórzyła. — Dobranoc, kochany. Zdawało się, że mówi do umarłego.

Shawn poczuł złość. Miał ochotę uderzyć w coś pięścią lub krzyknąć do tego człowieka: „Ona do ciebie mówi, nie słyszysz jej?!”. Stłumił jednak w sobie ten impuls, wstał i zagryzł wargę.

Położył rękę na ramieniu Reida, aby zwrócić na siebie uwagę. Reid oderwał oczy od zegara i rozejrzał się nieprzytomnie wokoło. Spojrzał najpierw na rękę Shawna, a potem na twarz jego i swojej córki, aby stwierdzić, kto znajduje się razem z nim w pokoju.

Pochyliła się wtedy i pocałowała go lekko w czoło.

— Do jutra.

— Do... — Nie dokończył. Przerwał, jakby to opuszczone słowo rodziło wewnętrzny ból.

Shawn odprowadził ją za drzwi. Odwróciła się i uścisnęła mu rękę z niespodzianą żarliwością.

— Dziękuję.

— Za co?

— Za to, że tu jesteś. I za to, że *ja* tu jestem. — Na chwilę spuściła oczy. — Minionej nocy, mniej więcej o tej porze, wsiadałam do samochodu... Byłam sama tam, przed tymi drzwiami...

Nie zważając na jej słowa, powiedział: — Musisz spróbować zasnąć.

— Postaram się. Dzisiaj będę mogła zasnąć — spojrzała w głąb pokoju, z którego właśnie wyszła. Reid znowu patrzył na zegar. — Porozmawiaj z nim — dodała cicho. — Usuwam się na górę. Bywa, że dwaj mężczyźni, którzy są sami, otwierają przed sobą serca. Nie o wszystkim można porozmawiać z własną córką. — Zanim puściła jego rękę, ścisnęła ją w ostatniej, niemej prośbie. — Mów do niego, ocal go, tak jak mnie.

Dobranoc, niech cię Bóg błogosławi.

— Możesz spać spokojnie — zapewnił ją.

Patrzył za nią do połowy schodów. A potem, gdy zaczynała już znikać, cicho zamknął drzwi za sobą.

— Panie Reid.

Tamten wsłuchiwał się w bicie zegarów. W ich rytm jak bicie serca.

— Panie Reid, nie. Niech pan tego nie robi. Zaczął celowo hałasować butelką i szklankami.

— Może napije się pan strzemiennego? — zapytał Reida. — No, dalej, proszę.

Musiał chwycić jego rękę, podnieść, rozchylić palce i włożyć między nie szklanę.

Szklanka powoli przechyliła się, zawartość znalazła się na brzegu i zaczęła wypływać.

— Proszę ją podnieść. Wyżej, razem ze mną.

Ujął głowę Reida i odwrócił ku sobie, chcąc przerwać to jego wpatrywanie się w zegar.

Shawn uniósł swoją szklanę i uderzył nią w szklanę Reida z taką siłą, że omal nie wytrącił mu jej ze słabej ręki. — Za zbrodnię — ochrypłym głosem wznosił prowokacyjny toast.

Wypił i mrugnął do Reida. Ale nie było to mrugnięcie przyjazne lub żartobliwe, ale twarde i zdecydowane.

Reid patrzył na Shawna z nikłym zaciekawieniem, jakby widział go po raz pierwszy. — Kim jesteś, synu? — spytał nagle.

Oczy Shawna rozbłysły niespodzianie. — Nazywam się Shawn. Mam dwadzieścia osiem lat. Co jeszcze?

— Nieważne, wiem, kim pan jest. Nauczyłem się dobrze rozpoznawać ludzi, gdy jeszcze żyłem. Uczyłem się tego przez pięćdziesiąt lat. Pan jest detektywem. Albo prywatnym, albo policyjnym.

— Czyżby? — zapytał niezręcznie Shawn.

— Powiem więcej. Pan jest uczciwy. Proszę uważać na swoją twarz. Kłamstwa ukazują się na niej jak krople potu. — Gdyby mógł się uśmiechać, grymas, który pojawił się na jego obliczu, można by nazwać uśmiechem. Ale teraz tylko lekko skrzywił usta i zmrużył oczy.

— Tak, jestem detektywem — odparł spokojnie Shawn, patrząc na pustą szklanę, jakby chciał z niej wyczytać następne słowa. — Mnie samemu nie podobało się okłamywanie pana i udawanie, że jestem kimś innym. To było...

— Czy możesz mnie uratować, synu? — przerwał mu krótko Reid.

— Przed czym? — spytał Shawn bardzo cicho. — Przed słowami? Przed...

Reid nie słuchał. — Proszę mnie podnieść. Tylne kieszeń. Niech pan sięgnie. Proszę wyjąć... I teraz podać swoje pióro... — Szybko

napisał coś na kolanie, było słycać rozdzieranie papieru; potem wręczył mu czek. Czek był całkowicie wypełniony, zostało tylko wolne miejsce na wpisanie kwoty. — Niech pan to sam wypełni. Nieważne, ile pan wpisze. Tylko... niech mnie pan ocali, niech mnie pan ocali.

Shawn zacisnął pięści. Znowu poczuł się dotknięty. Zgniółł czek i rzucił za siebie. — Ile podobnych czeków dał pan Tompkinsowi? Ile?

— Teraz nie będziemy o tym mówić. Rozmawiamy o moim ocaleniu. — Jego ręce zaczęły się posuwać w górę rękawa marynarki Shawna, aż w końcu prawie dotknęły jego ramienia. — Może pan to zrobić? Może pan?

Shawn strącił je, jakby były pełznącymi gąsienicami. — Pan sam może siebie ocalić, panie Reid.

Ręce Reida opadły bezwładnie w dół. — I znowu wszystko wraca — powiedział.

Shawn czuł, że tężeje mu dolna szczęka i z trudem może nią poruszać. Wreszcie wydusił: — Dlaczego nie zdobędzie się pan na odrobinę odwagi? Dla własnego dobra i dla dobra innych.

— Łatwo być odważnym, kiedy ma się przed sobą jakieś czterdzieści lat życia. Co innego, jeśli pozostało panu mniej niż czterdzieści osiem godzin — powiedział wrogo Reid.

Odwrócił się, jakby Shawn przestał go interesować. Jego oczy znowu poszukały zegara, zatrzymały na jego tarczy i pozostały tak bez ruchu.

Drink pobudził gniew Shawna.

— Czy może pan tego nie robić? Niech się pan tak w niego nie wpatruje. To nawet mnie zaczyna już denerwować. Przestań pan! — rzucił, podnosząc głos, skoro byli sami.

Czuł, jak narastała w nim wściekłość, ale dotąd powstrzymywał się. Robił to dla Jean. Teraz dziewczyny nie było w pokoju.

Żywił jednakową nienawiść do Reida i do zegara. Z każdą minutą głos Shawna stawał się coraz bardziej ochrypły. — Może, dla odmiany, *odwróci* się pan od tego zegara! Proszę choć raz spojrzeć w inną stronę!

— Pan może trwonić swoje minuty — odparł głucho Reid. — Aleja muszę moje śledzić. Mam przed sobą tylko czterdzieści osiem

godzin. — Ciągłe wpatrywał się w zegar. — To, ile mi zostało, jest zapisane na tamtej tarczy...

Shawnowi udało się stłumić następny gwałtowny wybuch gniewu i odwrócić się od Reida, ale to było wszystko, co mógł zrobić.

Zanim się zorientował, dzierżył w ręku rewolwer. — No, już ja załatwię tego skurczybyka! Pokażę panu, że on jest niczym! Już nie będzie pan musiał na niego patrzeć!

Podszedł z rewolwerem, który trzymał za lufę. Był wściekły. Grube szkło rozprysło się w kawałki. Wskazówki zostały wgniecione w środek tarczy. Potem jeszcze kilka razy uderzył w zegar.

— Teraz niech pan sobie na to patrzy! Niech pan patrzy! Niech go pan zapyta, może coś odpowie!

Ale wówczas coś się stało. Wewnątrz zniszczonego mechanizmu zaczął się jakiś ruch, podobny do trzepotania skrzydeł. Wskazówki poruszały się na podobieństwo pary igieł kompasu. Minutowa szybciej, godzinowa wolniej. Złączyły się, tworząc jedną linię wskazującą górę tarczy. I w takiej pozycji zastygły. Trzepotanie ustało. Mechanizm zamarł. Czas się zatrzymał.

Ręka Reida uniosła się powoli. Wskazał bezkrwistym palcem na ten znak.

W pokoju panowała cisza.

Po chwili zabrzmiał ochryply głos Shawna: — Twierdzą, że to był tylko zwykły zbieg okoliczności! — warknął złośliwie. — Przecież sam pan widział! Niech pan coś powie, słyszy mnie pan? To było po prostu najbliższe miejsce na tarczy, gdzie się mogły spotkać. A ja tak je odkształciłem, że nie mogły przejść jedna nad drugą. Zaklinowały się i to wszystko. Mówię do pana! To był tylko zbieg okoliczności!

Reid musiał słyszeć płyn wlewający się do szklanki, musiał słyszeć to gwałtowne przełknięcie. Ale nie zareagował. Ciągłe wlepił wzrok w zniszczony zegar. Jego twarz wyrażała smutek — było to swoiste potwierdzenie złej przepowiedni.

— I kto teraz musiał się napić, synu, ty czy ja? — odezwał się z zadumą.

Shawn zbliżył się do oszklonych drzwi i odciągnął kotarę, jakby zabrakło mu powietrza.

Nagle stanął oko w oko z przestrzenią pokrytą gwiazdami.

W ich roziskrzonej jasności było coś kpiącego, było coś kpiącego w ich zorganizowanym ruchu rozsypywania się i zbierania wszystkich jednocześnie na całym niebie.

6

PROCEDURA POLICYJNA: DOBBSISOKOLSKY

Sokolsky trzymał w ręku małą walizeczkę. Dobbs miał w zewnętrznej kieszeni płaszcza złożoną gazetę, jak ktoś, kto chce ją w każdej chwili wyciągnąć. Była druga po południu. Skręcili za róg i dalej poszli ulicą razem. Nie śpieszyli się.

Przez jedną trzecią odległości między przecznicami szli w milczeniu.

— Tam — rzekł nagle Sokolsky i skręcił do krawężnika, aby przejść na drugą stronę ulicy.

Dobbs poszedł za nim. — To przecież nie tam.

— Wiem, ale nie widzisz ogłoszenia, że jest pokój do wynajęcia? Jeżeli poszukujemy pokoju, to nie możemy tego przeoczyć.

— Czy to nie lekka przesada?

— To nie jest żadna przesada. Jeśli przegapimy coś małego, możemy wszystko stracić.

Znaleźli się na drugiej stronie ulicy. Dobbs westchnął. — Tak czy owak, jaką mamy szansę, jeśli on potrafi czytać w naszych myślach?

— *Może* i potrafi odgadywać czyjeś myśli — ale wprawdzie musi o nich wiedzieć. Jeżeli jednak *nie wie*, że jesteśmy gdzieś w pobliżu, wówczas jak może czytać w naszych myślach? Przecież nawet nie przyjdzie mu to do głowy.

Dobbs z trudem wzruszył ramionami. — W ten sposób człowiek boi się za dużo myśleć.

— A to u ciebie coś *nowego*? — rzucił z sarkazmem Sokolsky. — No dobra, a teraz wejźmy w nasze role. Ja będę się zgadzał, a ty przeciwnie. Będziesz mi odradzał.

Podeszli do bramy. Nacisnęli przycisk dzwonka. Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich kobieta.

— Słucham?

— Szukamy pokoju. Widzieliśmy ogłoszenie.

Skrzywiła się. — Jest was dwóch? Szukam tylko jednego lokatora. Nie mogę zajmować się dwoma.

— Nie jesteśmy brudasami — powiedział zaczepnie Dobbs.

— W porządku, Eddie — uspokajał go Sokolsky.

— Będę musiała policzyć podwójnie — odparła kobieta.

— No, a ile to wyniesie?

— Dziesięć; po pięć od każdego — rzekła kobieta trochę niepewnie.

— Zapomnij o tym — powiedział Dobbs. — Idziemy, Bill. Kobieta poddawała się. — No, a nie chcecie przynajmniej obejrzeć?

— Dobra, jak już jesteśmy, to możemy spojrzeć — nalegał Sokolsky.

— Może jakoś się dogadamy.

Poszli obejrzeć pokój.

— No, a ile byście dali? — spytała kobieta.

— Trochę mały — powiedział Dobbs, rozglądając się z niezadowolaniem.

— Więc niech będzie dziewięć dla was obu.

— Tu jest tylko jedno łóżko — grymasił Dobbs.

— Przyniosę z piwnicy łóżko składane.

— I pewnie ja będę musiał na nim spać — Dobbs zaprotestował piskliwie. — O, nie, tylko nie łóżko składane!

Cierpliwość kobiety wyczerpywała się. — A czego się pan spodziewał? Dwa łóżka za dziewięć na tydzień? To znaczy dwa komplety pościeli i dwa razy tyle roboty. Nigdzie w tym mieście nie znajdzie pan za tę cenę takiego pokoju.

— Idziemy, Bill — orzekł Dobbs.

— Przykro mi — oświadczył dyplomatycznie Sokolsky. — Czy wie pani, gdzie tu w pobliżu są jakieś inne pokoje do wynajęcia?

Kobieta odprowadziła mężczyzn do wyjścia. Łypnęła na nich oczami. — Posłuchajcie lepiej. Ja próbuję wynająć *mój* pokój i nie jestem biurem informacji. — I zatrzasnęła za nimi drzwi.

Na ulicy Sokolsky machnął ostentacyjnie ręką. — Spróbujmy szczęścia tam.

Poszli we wskazanym kierunku. Za nimi ktoś ze złością zaciągnął firankę.

— Dla McManusa musimy być tak samo dobrymi aktorami, jak i tajniakami — mruknął pod nosem Dobbs.

— To mi wcale nie przeszkadza — zapewnił go partner. Zatrzymali się.

— To tu — mruknął Sokolsky. Podeszli i zadzwonili do stróżówki.

— To, czego chcemy, powinno być albo nad, albo pod jego mieszkaniem.

— Nigdy nam się nie uda — stwierdził pesymistycznie Dobbs.

— Pierwszy krok, to w ogóle dostać się do środka.

Pojawiła się dozorczyńni w płaszczu z dzianiny, narzuconym na nieokreślony strój, który, jak się wydawało, składał się z kilku warstw.

— Szukamy pokoju — powiedział Sokolsky.

— W tym domu nie ma odrębnych pokojów, tylko całe mieszkania. Ja się tym nie zajmuję, musi pan spytać lokatorów.

— A może słyszała pani, że ktoś w tym domu chce wynająć pokój? Już chodzimy po tej ulicy od jedenastej. — Dobbs wyjął z kieszeni gazetę i pomachał jej przed nosem. Wszystkie ogłoszenia o pokojach do wynajęcia były zaznaczone ołówkiem, jakby chciał wskazać, że tyle miejsc już obeszli bez skutku.

— Próbowaliście pod dwieście czternaście?

— Właśnie stamtąd przyszliśmy. Chciała z nas za dużo wycisnąć.

Dozorczyńni skrzywiła się. — Powinna była zmądrzeć. Od ośmiu miesięcy próbuje wynająć ten pokój.

— Atu, jak pani myśli? — nalegał Sokolsky.

Wzruszyła ramionami. — Próбуйте, jeśli chcecie, ale bardzo wątpię. Może Tomazzowie, pierwsze piętro od tyłu, zechcą coś wynająć; zwolnił im się jeden pokój. W ubiegłym miesiącu wydali za mąż najstarszą córkę.

Wspięli się na schody. Nikt ich tam nie prowadził.

— Odpada... to pierwsze piętro, od tyłu — dyszał ciężko Sokolsky, wspinając się po stopniach.

Dobbs szedł za nim posłusznie.

Sokolsky odezwał się szeptem, gdy dotarli do czwartego podestu: — To tutaj. Na lewo. Zgadza się?

Dobbs lekko odwrócił głowę, prawdopodobnie zupełnie odruchowo, gdy mijali interesujące ich mieszkanie.

Weszli jeszcze piętro wyżej.

— To jest właśnie to, o którym bym marzył — zauważył Sokolsky. Zapukał trzy razy.

Czekali.

— Nikogo nie ma — stwierdził Dobbs.

Sokolsky zatrzymał go i nadstawił uszu. — Coś usłyszałem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby ktoś pod nimi podsłuchiwał. Patrzyła na nich kobieta o ostrych rysach twarzy. Miała włosy w intensywnym kolorze terakoty.

— A czego wy dwaj tu chcecie? — spytała opryskliwie.

— Szukamy pokoju. Dozorczyńni powiedziała, że może pani będzie chciała...

Jej twarz ledwo drgnęła. — Wynoście się — rzuciła hardo.

— Ale dozorczyńni...

— Powiedźcie, żeby lepiej zamknęła gębę, bo jak nie, to sama pójde i jej zamknę. To wszystko? — dodała.

A potem sama sobie udzieliła odpowiedzi:

— Tak, to wszystko. Drzwi zamknęły się.

— Stare próchno — mruknął Sokolsky.

Stali przez chwilę. Potem odwrócili się i ruszyli w dół schodów.

— Zauważyłeś, jaki z niej numerek? — spytał Dobbs.

— Nie. Co masz na myśli?

— To prostytutka.

— Ona tylko tak się zrobiła — powiedział z powątpiewaniem Sokolsky.

— Jeżeli nawet już się tym nie zajmuje, bo przeszła na emeryturę i żyje z tego, co zarobiła, to jestem pewien, że kiedyś była albo prostytutką, albo stręczycielką.

Ponownie wstąpili do dozorczyńni. — Jak się nazywa ta dama, tam na górze, od tyłu?

— Elsie Moore... — Na chwilę przerwała. — Przynajmniej tak twierdzi.

Wyszli na ulicę.

— I co teraz robimy?

— Zatelefonujemy do McManusa. Znaleźli budkę telefoniczną.

Dobbs wyszedł z niej spocony. — Powiedział: „Daję wam godzinę na dostanie się do tego mieszkania. To nie znaczy, że chcę, żebyście byli w nim razem z nią. Pozbądźcie się jej. Macie tam być o trzeciej”. Sprawdza teraz, czy ona figuruje w kartotece. Wysłała nam do pomocy dwóch facetów.

— Jakiej pomocy? W czym? — dopytywał się Sokolsky. — Po co nas aż czterech?

— Nie wiem. Tak mi powiedział.

Czekali, nie ruszając się z miejsca; po dwudziestu minutach przyszło dwóch zapowiedzianych facetów.

— Jestem Elliot z obyczajówki — przedstawił się jeden z nich.

— A to mój partner. To wy na nas czekacie?

Sokolsky odsunął się jak bramin od niedotykalnego.

— Była już szesnaście razy zapuszkowana — oznajmił Elliot.

— Za pierwszym razem używała nazwiska Elsie Moore, potem porzuciła je, można więc sądzić, że było to prawdziwe nazwisko. Ostatni raz siedziała sześć lat temu. Od tej pory nie wpadła. Może teraz prowadzi uczciwy żywot.

— Jednak dzisiaj będzie musiała przenieść się do pudła — mruknął ponuro Dobbs.

— Tak, ale to świństwo — dorzucił Sokolsky.

— Ten jeden raz więcej nie zaszkodzi jej. McManus chce, żebyście wykonali swoją robotę, a ona blokuje nam ruch.

Wrócili blisko domu i ukryli się. Elliot wszedł do środka i wdał się w dyskusję z dozorczynią.

Po chwili wyszedł oznajmiając: — Nie musimy iść na górę. Ona ma psa, który przypomina taką frędzlowatą szczotkę do podłogi, i właśnie o tej porze wychodzi z nim na spacer. Powinna lada chwila zejść.

— I zrobicie to w jasny dzień, tu, na ulicy? — wykrztusił Sokolsky.

— Jeśli figuruje w naszym rejestrze, to zawsze można ją o coś zahaczyć. Nie ma szans.

Czekali. Po chwili pojawiła się.

— Bierz ją — rzucił bezpardonowo Elliot.

Drugi mężczyzna opuścił kryjówkę i poszedł za kobietą. Nie próbował się kryć. Obejrzała się podejrzliwie, ale szła dalej. Sięgnął do kieszeni i wyjął pomięty banknot.

— Halo! — zawołał szorstko. Zatrzymała się i odwróciła.

— Czy pani to zgubiła?

— Nie. — Rzuciła okiem na banknot i zawahała się. — Nie, chyba nie. Ale mogę sprawdzić, jeśli pan chce... — Myślała, że może coś jej się trafi.

— To z pewnością pani — powiedział. — Właśnie zauważyłem, jak spadał na ziemię. — Wcisnął go w jej rękę. — Lepiej niech pani schowa.

Poddała się, pokusa była zbyt silna. Otworzyła torebkę i włożyła do niej rękę.

Nie mogła jej wyjąć ani wypuścić pieniędzy, bo Elliot przytrzymał ją nagle za przegub.

— Czy to pan dał przed chwilą tej kobiecie jakieś pieniądze?

— Tak, dałem.

Elliot wyrwał jej rękę z torebki; pieniądze nadal tkwiły w zaciśniętej dłoni.

— Jest pani aresztowana — oświadczył.

Zaczęła krzyczeć. — Co ja takiego zrobiłam? Precz z łapami! — Pies zaczął piskliwie skowyczeć.

— Za publiczne nagabywanie. Zabrać ją. Psa odprowadzić do dozorczyń.

— Stanie przed sądem doraźnym — wyjaśnił Elliot, odchodząc na bok. — Z pewnością wlepią jej trzydzieści dni.

Aż do rogu słyszeli, jak im głośno wymyślała. Nie stawiała oporu — to byłoby bezskuteczne. Musiała już wiele razy odbywać podobną wycieczkę. Szli do rogu w eskorcie dość gęstego tłumu, nikt nie wstawił się za nią. Mężczyźni uśmiechali się z zażenowaniem, kobiety kiwały głowami z pochmurnym przyzwoleniem. Przez minione lata wlokła się za nią zła reputacja, a obecne aresztowanie stanowiło dla sąsiadów potwierdzenie podejrzanej przeszłości kobiety.

Dozorczyńni, uśmiechając się demonicznie, chwyciła psa. — Już od dłuższego czasu czekałam, aby zająć się tą włochatą zarazą! — syczała. — Jak tydzień długi muszę po nim sprzątać na schodach!

Przez chwilę stali, patrząc, jak ulica uspokaja się.

— A jednak, mimo wszystko, to jest zwykle świństwo — powtórzył w zamyśleniu Sokolsky.

— Tylko romantyczna sprawiedliwość — odparł Dobbs. — To za to, że kiedyś, kiedy należało jej się, nie została na czymś przyłapana. Mogę się założyć, że przynajmniej z tuzin razy uszło jej coś na sucho. A poza tym, co ona na tym traci? Przez trzydzieści dni zaoszczędzi na żarciu i elektryczności. A i tak nic już nie uratuje jej opinii... Idziemy — dodał. — Szef powiedział, że mamy tam być przed trzecią. A już jest za dwadzieścia trzecia. Musieliśmy poświęcić aż czterdzieści minut na zajęcie tego mieszkania.

7

OCZEKIWANIE: SZCZURY UMYKAJĄ

Kiedy człowiek śpi w obcym pokoju, w obcym domu, otwierając oczy, nie widzi nic znajomego i często nie wie, gdzie jest i skąd się tu wziął. Detektyw jest tylko człowiekiem. Postawmy więc detektywa w takiej sytuacji, a będzie odczuwał to, co każdy inny człowiek. Shawn otworzył oczy i był zawiedziony.

Obrazy, które zwykle witały go po przebudzeniu, gdzieś zniknęły. Znajome pęknięcie na ścianie przy łóżku; długie, pająkowane, rozszerzające się w otwór wielkości orzecha włoskiego i ukazujące mur pod tynkiem. Lustro nad toaletką, które zawsze było trochę pochylone do przodu, z deszczem jakichś czarnych, statycznych pasków na powierzchni, które powstały na skutek zniszczenia jego srebrnej polewy. A następnie widok podwójnych okien w prostej linii za nogami łóżka. Były to dwa okna dopasowane do siebie z matematyczną dokładnością. To bliższe, zewnętrzne, było jego własnym, dalsze i mniejsze, zaglądało ze ściany położonej po drugiej stronie małego, studniowatego podwórka. Na jego parapecie niezmiennie stała butelka z mlekiem. Zawsze po lewej stronie, i za-

wsze brakowało w niej około jednej szklanki płynu; reszta pozostawała za oknem aż do wieczora. Mleko sięgało do nasady szyjki. Jeżeli trzymał głowę nisko na poduszce i wpatrywał się prosto w butelkę, mógł „odciąć” jej podstawę od parapetu i widzieć ją tak, jakby stała na jego własnym parapecie, a nie na tym dalekim, po drugiej stronie podwórka studni. Parę razy, gdy na dworze panował chłód, a jemu nie chciało się wstać i wychodzić, pragnął gorąco, aby tak właśnie było. Mógłby wtedy po prostu otworzyć okno i bez wysiłku sięgnąć po mleko. Tamto okno zasłaniała pognieciona zasłona, ale nie zauważył, aby ją odsłaniano, a nawet żeby zafalowała. Nie miał pojęcia, kto tam mieszka. Nigdy nikogo nie widział. Nigdy nie widział ręki, która wystawiała butelkę z mlekiem.

Teraz tego wszystkiego nie było. Pozostały wspomnienia, które towarzyszyły mu po przebudzeniu. Nagle tamte ściany gdzieś zniknęły, przestrzeń rozszerzyła się podwójnie. Liczba okien uległa potrojeniu; wszystko znajdowało się w złych miejscach. Zamiast szarych, poprzecinanych spoinami cegieł za oknem ujrzał oszałamiającą, otwartą przestrzeń. Skrawek małego dywanika, który zwykle przesuwiał się, gdy spuszczał stopę na podłogę, nagle rozszerzył się na całą powierzchnię pokoju i zakwitł perskim wzorem.

Usiadł i spojrzał na siebie ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć, skąd wzięły się na piżamie te szerokie biało-niebieskie pasy. A poza tym, *on spał w piżamie*. To był już szczyt przesady.

Stał na podłodze. Gdzie ja jestem? Skąd się tu wzięłem? Pytania lotem błyskawicy przebiegły przez jego skołataną głowę.

Podszedł niepewnie do swojego ubrania i zaczął szperać po kieszeniach, jakby instynktownie kierował się do jedynej rzeczy, która mogłaby go naprowadzić na odpowiedni ślad. I wraz z dotknięciem rewolweru wszystko sobie przypomniał.

Och... jest przecież w *tym* miejscu. „Jestem tu po to, aby mu pomóc”.

Właśnie zawiązywał drugie sznurowadło, gdy gdzieś na zewnątrz usłyszał głosy. Dochodziły zza okien, z niezbyt bliskiej odległości, ale w panującej ciszy rozchodziły się daleko.

Podszedł i wyjrzał przez zamknięte okno, kończąc szamotaninę z krawatem.

U stóp ścieżki dochodzącej do domu stał jeden z detektywów McManusa i rozmawiał z kobietą. Shawn nie mógł jej rozpoznać; była tak ubrana, jakby w tej właśnie chwili przyjechała. Obok niej stała na ziemi walizka. Kobieta dwa razy sięgała po walizkę i dwa razy rezygnowała, aby dokładniej odpowiedzieć na to, co powiedział do niej detektyw. Widać było, że zawzięcie dyskutują.

Shawn otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz.

— O co chodzi, Gleason?

— Ona chce odejść. A ja mam rozkaz nikogo nie wypuszczać.

— Co mnie obchodzą pańskie rozkazy! — krzyknęła kobieta. —

Odchodzę!

Shawn poznał ją, kiedy w chwili podnoszenia walizki zwróciła się bardziej w jego stronę. Tym razem zatrzymała bagaż w ręku. To była kucharka Reida.

— Chwila, zaraz tam będę.

Wymiana zdań trwała przez cały czas, kiedy zbiegał po schodach i wychodził z domu. W chwili gdy zjawił się na ścieżce, usłyszał, jak Gleason się upiera:

— ...nikt nie może stąd wyjść ani tutaj wejść — takie mam polecenia.

Na co kobieta odparła z oburzeniem: — Nie polecono panu, aby nikogo nie wypuszczać, tylko żeby nikogo nie wpuszczać!

— O, *pani wie lepiej*. — odrzekł tajniak z pompatycznym sarkazmem. — I to pani będzie *mnie* pouczać, co mam robić?

Shawn podszedł do nich i odczekał, aż się uspokoili.

— No więc? Proszę nam powiedzieć, dlaczego chce pani odejść?

— Dlaczego? — powtórzyła z pogardą jak echo. — Przecież każdy wie.

— Każdy wie, co? — próbował zagadywać, rzucając tajniakowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Posłuchaj pan — powiedziała stanowczo. — Dość tego ogłupiania ludzi. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Proszę na mnie spojrzeć. Cała się trzęsę. — Wyciągnęła w jego kierunku drżącą rękę. — Ja stąd *odchodzę*, rozumie pan. Ja *cała* stąd odejść. Mam własną rodzinę. Męża i dwoje dzieci.

— Przecież tu się nic nie dzieje.

Mówiła coraz głośniej: — Posłuchaj pan, nie będę z panem dyskutować. Jeżeli nawet nic się tu nie dzieje, to i tak nie chcę zostać. Czy to wreszcie trafiło do pana? Chcę po prostu *wynieść się z tego domu*, wynieść na zawsze!

Zauważył, że prawie dostaje hysterii, z czym nie można było walczyć. — Czy panna Reid wie o tym?

— Wychodząc, powiedziałam jej. A teraz niech mi pan odda walizkę i pozwoli odejść. Nie może mnie pan zatrzymać siłą. Ten drugi też nie ma takiego prawa.

Shawn puścił walizkę. — Co pani ma w tej walizce? To pani rzeczy?

— Moje! — wybuchnęła. — Zaraz ją otworzę i może pan zobaczyć, jeśli pan chce! — Zaczęła szarpać nerwowo zamki.

Odsunął kobietę na bok. — Jeżeli pozwolę pani odejść — powiedział — to tylko dlatego, że nie chcę oglądać pani napadów hysterii w tym miejscu, nie chcę, żeby pani jeszcze bardziej wystraszyła tych dwoje. Próbuję im pomóc, a pani zachowanie mi przeszkadza.

Cofnął się z obrzydzeniem.

— W porządku, Gleason, puść ją.

Chwyliła walizkę i pobiegła wijącą się ścieżką w stronę głównego wejścia na teren posiadłości. Jej sylwetka zmniejszała się stopniowo, ale ścieżka była tak długa, iż zdawało się, że kobieta wcale się nie porusza, tylko kurczy do wielkości lalki. Od czasu do czasu rzucała za siebie przestraszone spojrzenia na dom.

— Jeszcze nigdy przedtem nie widziałem tak przerażonej baby — zauważył Gleason. — I to przez nic.

„A ja widziałem — pomyślał Shawn. — Tylko że to nie była kobieta, a mężczyzna w podeszłym wieku. I kto może zareczyć, że to jest nic?”

Nagle za nimi rozległ się odgłos otwieranych drzwi i stanęła w nich Szwedka Signe, w podnieceniu zaciskająca wokół szyi wełniany szal, z przewieszoną przez ramię wypchaną torbą. Zupełnie ich zignorowała. Poszukała wzrokiem i odnalazła znikającą w oddali postać.

Wydała z siebie okrzyk przestachu: — Anno! Zaczekaj! Ja też odchodzę! Idę z tobą!

Nie próbowali jej zatrzymać. Rozstąpili się; szybko przebiegła pomiędzy nimi, jak pomiędzy dwoma drzewami lub kamieniami, albo tymi lwicami, które stały przy wejściu.

Biegąca postać zatrzymała się, zaczęła ręką przywoływać Szwedkę, chcąc skłonić ją do większego pośpiechu.

Spotkały się i bez zatrzymywania pobiegły dalej razem.

— Zawsze wiedziałem, że panika jest zaraźliwa — zauważył Shawn.
— Ale teraz po raz pierwszy zetknąłem się z tym bezpośrednio.

Nagle daleko, u wejścia na podjazd, pojawiła się postać męska. Obie kobiety zostały zatrzymane. Jednak na znak ręką Gleasona tamtemu, pobiegły dalej. Mężczyzna zniknął. Nawet gdyby go dobrze obserwowali, to i tak nie zauważyliby, gdzie się skrył.

Shawn i Gleason odwrócili się jednocześnie. Teraz z drzwi wybiegł w pośpiechu Weeks. — Już sobie poszły? Jednak odeszły?

Gleason wskazał kciukiem przez ramię. — No, pośpiesz się, szcurze — odezwał się obraźliwie. — Może jeszcze je dogonisz, a może nawet przegonisz, jak się bardzo postarasz.

Ominął ich, obaj jednocześnie odwrócili głowy, odprowadzając go wzrokiem pełnym milczącej pogardy. Wychodząc z domu, upychał coś w kieszeń spodni i teraz, biegnąc, ciągle jeszcze był tym zajęty. A potem, wyciągając rękę, zgubił to. Był to przed chwilą otrzymany, pognieciony czek. Zatrzymał się, podskoczył do niego, nachylił się, podniósł paperek z ziemi i pobiegł dalej. — Kiedy tak się postępuje z czekiem, to znaczy, że jest się naprawdę wystraszonym — stwierdził Gleason i splunął na trawę. Nie czekali i nie obserwowali go tak długo, jak obu poprzednio umykających osób.

— No, to ja wracam — oświadczył Shawn.

W holu zastał Jean z jedną z dwóch służących. Nie była to młoda dziewczyna, ale kobieta w średnim wieku, która wyglądała dość poważnie. Jean zerknęła tylko, jak wchodził.

— Osiem lat, to bardzo długo — mówiła do tamtej. — Jestem wdzięczna, że zostajesz ze mną.

Kobieta milczała. Kiwnęła głową zakłopotana i spuściła oczy. Shawn nie wiedział, czy podejść do nich. Mógł odczytać z wyrazu twarzy Jean, że czuje się zraniona ucieczką trojga ze służby.

Kobieta odwróciła się w stronę kuchni. — To robota Anny — zamruczała. — Zanim zdążyłam się zorientować, już wszystkich wystraszyła i oni...

— Wiem o tym — powiedziała cicho Jean i kobieta wyszła. Shawn podszedł do dziewczyny, która stała teraz przy drzwiach do biblioteki.

Próbowała się uśmiechnąć. — To trochę boli, ale nic na to nie można poradzić. Czy ludzie zawsze są tacy, gdy chodzi o ich skórę?

— Nie — odparł — nie wszyscy.

— Tylko ona została... ona i pani Hutchins — powiedziała żałośnie. — Pani Hutchins nigdy mnie nie opuści. Ona *nigdy* nie odejdzie. Od dzieciństwa jest dla mnie jak druga matka...

Oboje odwrócili się, słysząc ciche kroki na schodach. Sufit holu nie pozwalał im zobaczyć, kto schodzi. Powoli zaczęły się wyłaniać nogi. Szare, jedwabne pończochy, schludna czarna spódnica. W końcu ujrzeli twarz pani Hutchins. W rękach miała nerwowo chusteczkę. Shawn wstrzymał oddech.

Jean odwróciła się, aby wejść do biblioteki, jakby próbowała przed czymś uciec. Nie chciała wiedzieć.

Shawn chwycił ją za rękę i ścisnął krótko, starając się choćby w ten sposób wyrazić współczucie. A potem odwrócił się w stronę < kobiety na schodach.

— Pani także? — spytał kwaśno.

— Nie — odparła cicho. — Ja zostaję. Niezbyt chętnie, ale zostaję. Byłam tu zbyt długo. Nie mogę jej opuścić.

8

PROCEDURA POLICYJNA: SCHAEFER

Tu porucznik Schaefer. Przykro mi, ale muszę donieść, że zgubiłem Eileen McGuire... no, wie pan, tę zwolnioną służącą Reidów.

— Zgubiłeś ją! Czy nie mówiłem, że masz ją mieć na oku we dnie i w nocy? Czy nie mówiłem, człowieku, że bez względu na wszystko nie wolno ci tracić tego obiektu z pola widzenia? Jak do tego doszło?

- To nie tak, szefie. Wiem, gdzie ona jest. Ona jest tu, razem ze mną...
- Jeśli jest razem z tobą, to... Czy może cię widzieć?
- Nie, szefie.
- Czy wie, że ją śledzisz?
- Nie, teraz już nie wie.
- Ale wiedziała czy nie?
- Nie wiem, szefie. Nie wiem, czy wiedziała, czy nie wiedziała...

Panie poruczniku, bo to było tak...

Wejście do staromodnego, siedmiokondygnacyjnego budynku fabrycznego było cofnięte w głąb fasady, chociaż wychodziło na ulicę, jednak zadaszono je wyższymi piętrami budynku podpieranymi przez dwie niezgrabne, kamienne kolumny, które ofiarowywały jedynie nikłą osłonę od wiatru i przeciągów. W tej enklawie tkwiły wahadłowe drzwi, przez które można było dostrzec zaniedbany, wyłożony płytkami korytarz i osiatkowaną windę, z wyraźnie widoczną instalacją. Zjeżdżająca winda była otwartą platformą; poprzez siatkę widać było plamę bladożółtego światła, poprzerwaną blisko siebie stojącymi nogami; światło rozdzielało się na snopy i padając na zewnątrz, pokrywało posadzkę korytarza aż do wyjścia. Nikt nie jechał w górę, wszyscy zjeżdżali w dół. Za wahadłowymi drzwiami znajdował się kamienny perystyl, a w nim wisiał pożółkły zegar wskazujący minutę po piątej wieczorem.

Po obu stronach westybulu przymocowano szorstkie, prostopadłe czarne pasy papieru ściernego, na którym widniały złożone litery nazw różnych podnajemców budynku. Trzeci napis od dołu, po lewej stronie głosił: „Towarzystwo Artystycznego Rzemiosła, Sztuczne Kwiaty”.

W płytkiej wnęce czekało pięciu mężczyzn, dwóch po jednej stronie, trzech po drugiej. Jeden z tych ostatnich znajdował się bliżej ulicy, niedbale opierając się o kolumnę, tak że nie stał *vis-à-vis* tych, którzy opuszczali budynek. Każdy z czekających, wyraźnie zajęty swoimi sprawami, zdawał się nie zauważać pozostałych. Raz jeden z nich poprosił najbliższego sąsiada o ogień i przyjął go w nieufnym milczeniu. Obaj nie wymienili przy tym żadnych grzecznościowych zwrotów.

Tymczasem winda znowu zjechała na dół i wypuła gromadę stłoczonych dziewcząt. Rozproszyły się po szerszym korytarzu, ale przy wyjściu znowu się ścieśniły. Przez chwilę wewnątrz wypełniło się ich piskliwymi głosami.

Były młode, niektóre nawet całkiem ładne, wszystkie zmęczone, z poszarzonymi twarzami, ale teraz ożywione perspektywą wydostania się wreszcie na wolność wraz z końcem pracy.

Mężczyźni spojrzeli na nie, a one przyjrzały się mężczyznom z wyzywającą ciekawością. W tych spojrzeniach kryło się prymitywne pożądanie. Jednak żaden z mężczyzn nie odpowiedział na ich spojrzenia.

Rozpierzchły się. W przejściu zapanowała cisza.

I znowu stało tam tylko pięciu mężczyzn.

Jeden z nich spojrzął na zegar, a w chwilę później splunął daleko przed siebie.

Winda znowu zjechała. Znowu wysypała się z niej grupka dziewcząt, która zniknęła wkrótce w drzwiach wyjściowych.

— Mojej daję jeszcze minutę — w przejściu zabrzmiał kpiąco jakiś piskliwy głos. Nie można było ustalić, kto i do kogo mówił.

Prawdopodobnie do żadnego z nich konkretnie, a raczej do wszystkich pięciu. Winda zjeżdżała teraz częściej. Zdawało się, że porusza się tam i z powrotem jak tłok w cylindrze. Budynek pustoszał.

Następna grupa. Nagle jedna z dziewcząt odłączyła się, podeszła do jednego z mężczyzn i stanęła tuż przy nim.

Jego oczy nie straciły ponurego, nieprzejrzystego wyrazu. Nie uśmiechnął się, nie dotknął kapelusza.

— Czy zawsze musisz wychodzić ostatnia?

— A kto cię prosił, żebyś czekał?

Pozostało czterech mężczyzn. Trzech przy drzwiach, czwarty na zewnątrz, przy pilastrze.

Winda zjeżdżała bez przerwy.

Tym razem odłączyły się dwie dziewczyny i podeszły razem do jednego mężczyzny. Jedna przystanąła kilka kroków przed nim, a druga bez zastanowienia przytuliła się do niego. Były tak samo jak inne podniecone końcem pracy.

— To jest właśnie on?

— Taaa... to on. I co, jak ci się podoba?

Prezentacji ich sobie dokonano trochę niedbale i niechętnie. Przedstawiająca natychmiast też rozdzieliła tych dwoje, zanim zdążyli się do siebie zbliżyć, i wcisnęła się w strumień wychodzących z towarzyszem u boku. Mocno przytuliła się do niego.

— Idziemy, Sam. Zobaczymy się jutro, Helen. My idziemy tędy. Sam obejrzał się przez ramię i wzrokiem oszacował dziewczynę.

— Cieszę się, że panią spotkałem. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

— Zawsze kończę pracę o piątej... codziennie o piątej — rzuciła szybko w odpowiedzi.

Został gwałtownie pociągnięty do przodu. — Idziemy, Sam — w głosie jego towarzyszkii ukryte było ostrzeżenie.

Ta odrzucona z trio stała bez ruchu, trzymając szminkę skierowaną bezmyślnie ku wargom, nie próbując jej użyć. Zachowywała się tak, jakby czekała na jakiś gest porozumiewawczy, który powinien teraz nadejść.

Twarz mężczyzny, który odwrócił się po raz drugi, była lekko zaczerwieniona. Tym razem obejrzał się przez drugie ramię, to po drugiej stronie jego eskorty.

Dziewczyna stojąca z tyłu lekko pozdrowiła go, zginając palce, lecz był to bardzo dyskretny ruch. Potem natychmiast odwróciła się, ale tym razem była uśmiechnięta. Porozumienie zostało zawarte.

Szybko oddalająca się para nagle też się rozdzieliła.

Szli dalej, ale teraz obok siebie. Dziewczyna gestykulowała gwałtownie. Łokieć mężczyzny wysunął się w jej kierunku niczym w pogardliwym lekceważeniu. Przy wejściu zostało tylko dwóch mężczyzn. Właśnie po raz kolejny zjechała winda. Jej pasażerowie rozeszli się w dwie strony. Nagle pojawiła się spóźnialska, skończyła poprawiać pończochę na nodze w oddalonym kącie korytarza. A potem zabrała jednego z pozostałych mężczyzn.

— Masz jakąś forszę? — zabrzmiało mrukliwe powitanie.

— To znaczy, że nie postawiłeś na właściwego konia, co? — spytała rozdrażniona. — Mówiłam ci, że źle robisz!

— Właśnie próbuję dobrze postawić. Nie widzisz tego?

— Widzę. I teraz musimy iść do mnie na kolację i przez cały wieczór będziemy mieć na głowie moją rodzinę!

Przy wejściu pozostał już tylko jeden mężczyzna. Ten, który stał oparty o kolumnę. Trzymał głowę spuszczoną w dół, z kapeluszem zsuniętym na czoło. Sprawiał wrażenie kogoś, kto umówił się na randkę, która nie doszła do skutku, został wystrychnięty na dudka i teraz w końcu to zrozumiał. Powoli poczłapał wzdłuż budynku z jedną ręką luźno zwisającą w okolicy kieszeni. Nie patrzył, dokąd idzie, i zdawało się, że w ogóle go to nie obchodzi. Wyglądał na całkowicie zgnębnego i można się było domyślić, że czekał na nią po raz ostatni.

Przed nim jedna z dwóch grup dziewcząt przerzedziła się nieco, ale mimo to ciągle jeszcze była dość zwarta. Jedna dziewczyna szła samotnie, ignorowana przez inne. Zachowywała się jak osoba odrzucona i opuszczona, tak jak ten mężczyzna wlokący się z tyłu wzdłuż budynku. Miała na sobie wytarty płaszcz w kratę i zawiązaną pod brodą chustkę. Była bardzo wychudzona, a w jej ruchach nie było śladu wdzięku.

Na skrzyżowaniu ta grupa jeszcze bardziej się przerzedziła. Zmniejszyła się do kilku osób, które w większości nie szły razem i nie znały się.

Mężczyzna zaczął zostawać w tyle. Wszystkie dziewczyny szły szybciej od niego. Nawet ta w chustce oddalała się coraz bardziej. Niemniej szedł dalej w tym samym kierunku.

Skreśliła do piekarni.

Po około dwóch i pół minuty mężczyzna dotarł do wystawy piekarni. Zatrzymał się i zerknął do środka; zdawało się, że uważnie przygląda się leżącym w rogu cyrkonowym bułeczkom. Potem przesunął się dalej i spojrzał na ciastka leżące na środku wystawy.

Przez szybę mógł widzieć plecy kobiet stojących w dwóch rzędach. Wśród tych, które znajdowały się z przodu, wyraźnie dostrzegł chustkę, ale twarz jej właścicielki była niewidoczna.

Stracił zainteresowanie ciastkami. Odwrócił się i odszedł wolno w kierunku, z którego właśnie przyszedł. Impuls nie był zbyt silny — zamarł bez ruchu jakieś dwa sklepy dalej, a potem stał tak, aby być jak najmniej zauważalnym na ulicy.

Maruder, leniuch, jakiś wyrzutek, takie postacie można spotkać na każdym rogu.

Tamta wyszła z piekarni z brązową papierową torebką. Postąpiła tylko kilka kroków w poprzednio obranym kierunku, a potem nagle obejrzała się. Pod wpływem tego spojrzenia mężczyzna jeszcze bardziej starał się przywrzeć do ściany. Ale ona nie patrzyła na niego, tylko na autobus, który był daleko za nim.

Zacząła biec, aby zdążyć na przystanek.

Mężczyzna poszedł dalej zwykłym krokiem, choć zmierzał ku temu samemu ostatecznemu celowi.

Autobus zatrzymał się. Doskonale wyliczył czas, by przy wsiadaniu nie być zauważonym przez innych. Do autobusu wsiadło siedmiu ludzi, dziewczyna w chusteczce była druga, a on nawet jeszcze nie dotarł do przystanku. Kiedy wsiadała siódma osoba, stanął za nią, stając się ósmym pasażerem. Poprzednicy mogli dostrzec jego obecność, oglądając się za siebie, ale oni byli zbyt zajęci płaceniem za przejazd i przeciskaniem się do wnętrza pojazdu.

Dziewczyna w chustce wcisnęła się do samego środka autobusu, gdzie zatrzymała się, chwytając białą rączkę nad głową. On pozostał na miejscu mimo bezustannego nawoływania konduktora: — Przesuwać się do tyłu! Proszę przesuwać się do tyłu! Tam w tyle jest dość miejsca! — Powtarzał to na każdym przystanku i wszyscy stosowali się do jego słów z wyjątkiem niego.

Stali daleko od siebie, patrząc w przeciwnie strony. Jednak przy jego ramieniu znajdowało się lustro kierowcy, dzięki któremu mógł widzieć to, co działo się z tyłu, i obserwować całe wnętrze autobusu; ale patrzył tylko na nią.

Ktoś ustąpił jej miejsca i znikła mu z pola widzenia. Nawet nie poruszył głową. Nadal mógł widzieć w lusterku miejsce, w którym przedtem stała.

Teraz, gdy zaczęło wysiadać coraz więcej pasażerów, jej postać znowu pojawiła się w lusterku.

Nie wyglądała już oknem, patrzyła przed siebie. Nie zauważała otoczenia. Jej myśli błądziły gdzieś daleko.

Następny przystanek był przy Purdoe Street i zdawało się, że miało to dla niego jakieś znaczenie. Po minięciu tego przystanku zmienił pozycję i przesunął się do wyjścia. Odwrócił się, podszedł do

miejsca zaraz za kierowcą i opuścił jedną nogę na stopień wyjściowy, w każdej chwili gotów wysiąść pierwszy. Chciał, tak samo jak przy wsiadaniu, nie wzbudzać zainteresowania. Najprawdopodobniej osoby siedzące w środkowej części autobusu będą wysiadać drzwiami środkowymi.

Kierowca oznajmił: — Holden Street. — Autobus zatrzymał się, drzwi otworzyły się jednocześnie. Mężczyzna zrobił krok na asfalt oszczędnym ruchem, który miał usunąć go z zasięgu wzroku wysiadających tak szybko, jak to tylko było możliwe. Obrócił się uczeplony rączki przy drzwiach i planował przejść na drugą stronę ulicy, tak by zdążyć przed autobusem, zanim ten ruszy z przystanku. Liczył na to, że autobus zasłoni go przed tymi, którzy wysiedli równocześnie z nim. Ale nikt nie wysiadł.

Środkowe i przednie drzwi zaczęły się zamykać. Zauważył to w samą porę.

Natychmiast podskoczył do swoich drzwi i zablokował je nogą. Cofnęły się, wrażliwe na najmniejszą przeszkodę. Wśliznął się do środka. Drzwi zamknęły się bez przeszkód. Autobus ruszył.

— Panie, na drugi raz niech się pan zdecyduje — powiedział kierowca zmęczonym głosem, ponieważ dość często upominał w ten sposób pasażerów.

Mężczyzna zdawał się nie rozumieć słów kierowcy, chociaż stał blisko i musiał je słyszeć.

Dziewczyna w chustce nie poruszyła się. Nadal siedziała jak w transie. Miała zmęczoną twarz. Wyraźnie coś ją gnębiło, przeżywała jakieś wewnętrzne rozterki. Teraz i twarz mężczyzny, w miarę mijania kolejnych przecznic, zaczęła wyrażać jakąś niepewność. Nieustannie wpatrywał się w lusterko.

Nagle dziewczyna podskoczyła niczym wyrwana ze snu, pociągnęła za linkę nad oknem. Szybko podeszła do środkowych drzwi i z niecierpliwością zaczęła w nie stukać dłonią.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się; nabrał pewności, uspokoił się. Ona po prostu przeoczyła swój przystanek — i to wszystko.

Drzwi otworzyły się. Wysiedli we dwojkę. Ona na środku, on z przodu. Przemykając bokiem, bardzo przybliżył się do błyszczącej, zielonej karoserii. Dzięki temu jego twarz stała się mniej widoczna.

Długa, zielona płaszczyzna autobusu przesunęła się, mężczyzna nagle się odwrócił i zerknął spod ronda kapelusza.

Szła szybko, jak ktoś, kto chce nadrobić stracony czas. Co parę kroków tak przyśpieszała, że prawie biegła. Tymczasem opadająca, chłodna, wieczorna mgiełka zaczynała już rozmazywać, zacierać kształty jej wyraźnej dotąd sylwetki.

Poszedł za nią szybciej. Znowu widział ją wyraźniej.

Skręciła w Holden Street. Przeszedł na drugą stronę, tę dalszą, a potem nadal podążali w tym samym kierunku.

Znowu skręciła, zniknęła w drzwiach — kontakt został przerwany.

Minał te drzwi, nie zatrzymując się, jakby ich w ogóle nie zauważył, i poszedł dalej. Minał jeszcze trzy lub cztery budynki. A potem nagle zawrócił. Skręcił w drzwi, które były tuż przy nim. Mimo wszystko to miejsce znajdowało się wystarczająco blisko wejścia, w którym zniknęła. Wszedł tam. Wewnątrz zatrzymał się bez ruchu, tonąc w ciemnościach. Mógł tylko dojrzeć fragment budynku po drugiej stronie ulicy. A pośrodku widział wyraźnie drzwi, w które weszła.

Westchnął ciężko. Nie z rozczarowania. Nie z zawiedzionej nadziei. Z nieskończonej cierpliwości.

Tam na fasadzie tego budynku, na drugim piętrze, rozjaśniły się dwa okna, które dotychczas były ciemne, jakby mieszkańcy przebywali gdzieś w głębi mieszkania, a to światło przypadkowo przeniknęło teraz z pokoiów położonych z tyłu. Częściowo opuszczone żaluzje zostały spuszczone niżej przez jakiś mglisty, szary cień, w którym trudno było rozpoznać kobietę, mężczyznę czy dziecko.

Czekał — i to wszystko. Skłębione chmury płynęły wolno po czarnym niebie. Ulicą od czasu do czasu przejechał zwykły zakurzony samochód osobowy albo nieforemna, oświetlona czerwonymi światłkami ciężarówka. Czasem przemknął jakiś przechodzień. Rozbłysło światłem jakieś przedtem ciemne okno, a drugie, dotąd oświetlone, stawało się ciemne, jak gdyby w otoczeniu musiała zostać zachowana jakaś mistyczna równowaga. Wokół stale zachodziły zmiany, tylko on trwał w bezruchu.

Minęła godzina i piętnaście minut. Okna na drugim piętrze znowu pociemniały, jakby zgasło to bliższe światło.

Minęło jeszcze kilka minut.

Znowu westchnął. Nie z ulgi. Nawet nie ze wzmagającej się nadziei. Westchnął z niewyczerpanej cierpliwości.

Potem nagle pojawiła się w drzwiach, wyszła na ulicę i udała się tą samą drogą, którą godzinę i dwadzieścia minut temu przybyła.

Stał na miejscu bez ruchu. Przez chwilę wyraźnie widział ją na ulicy, sam będąc niewidoczny. Kiedy zniknęła za rogiem, ruszył za nią.

Skręciła w trzecią przecnicę, która była szeroką ulicą z oświetlonymi sklepami po obu stronach, wzdłuż której jeździły autobusy. Kiedy wchodziła do drogerii, przez chwilę była wyraźnie widoczna w świetle padającym z otwieranych drzwi.

Minał tę drogerię, pozwalając, aby przez chwilę i na niego padło światło z wystawy: purpurowe ze stojącego po jednej stronie flakonu wypełnionego kolorową wodą, żółtobiałe ze środka wystawy i jaskrawozielone z flakonu stojącego po drugiej stronie; potem wszedł w ciemność za wystawą.

Zatrzymał się, raz jeszcze przeglądając obrazy, które zarejestrował jego mózg w chwili, gdy przechodził przed szybą wystawy. Błyszczące, chromowane płaszczyzny, wysokie stołki na cienkich nogach, osoby siedzące na nich i sączące przez słomki płyn ze smukłych szklanek — tego rodzaju detale pochodziły z przedniego planu, ale pomijał je. Dziewczyna znajdowała się w tylnej części pomieszczenia, stała tyłem do niego, a przodem do kontuaru. Sprzedawca trzymał w ręku małą buteleczkę i wskazywał na nią, jakby chciał ją zareklamować. Czekająca obok klientka wyraźnie zaczęła się już niecierpliwić z powodu przedłużającej się obsługi. Oparła na blacie kontuaru dłonie z palcami o długich jak szpony paznokciach i zaczęła nimi nerwowo stukać.

Odwrócił się na moment. Cofnął się i znowu zajrzał przez szybę wystawową do środka. Właściwie w sytuacji niewiele się zmieniło. Obie klientki wciąż stały przy kontuarze. Ale teraz nie było przed nimi sprzedawcy. Widocznie poszedł po coś na zaplecze. Postawa obu kobiet w jakiś sposób świadczyła o zamianie ról. Ta niecierpliwiąca się stała teraz uważnie wyprostowana. Właśnie była obsługiwana. Natomiast druga postać pochylała się nad kontuarem niepewnie, zwlekała, odkładała decyzję.

Wycofał się znowu. Minęło kilka minut. Mógł teraz usłyszeć słaby dźwięk dzwonka kasy. Odsunął się trochę dalej, do nie oświetlonego wejścia sąsiedniego sklepu. Obie klientki wyszły prawie równocześnie. Dzwonek kasy zabrzmiał tylko raz. Jedna z nich niczego nie kupiła.

Dziewczyna minęła go, przechodząc tuż obok miejsca, w którym stał. Druga skierowała się w przeciwnym kierunku. Dziewczyna niczego nie niosła. Ale miała pod pachą torebkę.

Wysunął się z cienia. Jednak tym razem zawahał się i odwrócił głowę, spoglądając w stronę oddalającej się postaci i w kierunku jasnego wejścia do drogerii. Wpierw ruszył w kierunku tego wejścia, jakby zamierzał tam wejść i zapytać, co kupiła albo o co poprosiła, aby jej pokazano.

Tymczasem jej postać zaczęła się już oddalać. Zdawał się szacować dzielącą ich przestrzeń i porównywać z odległością do kontuaru w drogerii; musiał się na coś zdecydować. Zbliżała się do ruchliwego skrzyżowania czterech ulic. Postanowił nie wchodzić do drogerii i szybko pobiegł za nią.

Szła i szła, jakby nigdy nie miała dojść do celu. Tego rodzaju spacer musi mieć przecież jakiś cel. Jednak ona nie szła w jakimś jednym, określonym kierunku; kierunki często się zmieniały, powtarzały się niepotrzebnie. A zatem była to bezcelowa wędrówka, spacer konieczny do przemyślenia czegoś. Jej myśli wędrowały gdzieś daleko, podczas gdy stopy prowadziły ją donikąd.

W końcu dotarła do bramy parku, skręciła i weszła, jakby odkryła jeszcze lepszą okazję do odseparowania się od świata zewnętrznego. A może uświadomiła sobie, że jest już zmęczona, i postanowiła poszukać ławki.

W każdym razie, kiedy szedł za nią wzdłuż wijącej się, słabo oświetlonej ścieżki i ujrzał, że siada na pierwszej z brzegu ławce, szybko się zatrzymał, a potem ukrył w atramentowym cieniu pobliskiego drzewa. Niedaleko ławki stała latarnia, która słabo ją oświetlała. W tej nowej sytuacji mógł lepiej, aniżeli poprzednio, zająć się obserwacją. On był całkowicie niewidoczny, podczas gdy ona była zupełnie sama i nic nie zakłócało pola widzenia. Miał ją wyłącznie

dla siebie. Nie poruszała się. Siedziała zwrócona plecami do lampy i hałasów miasta.

Teraz przeszedł obok niej policjant. Spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale nie zatrzymał się. Potem obejrzał się niepewny, czy powinien pozwolić jej samej tak siedzieć. Po chwili znowu się obejrzał, aby sprawdzić, czy nadal tam jest. Tym razem się zatrzymał. Stał bardzo blisko drzewa.

Spod drzewa rozległ się cichy gwizd, policjant podszedł w tym kierunku i na moment zniknął w ciemności. Kiedy znowu pojawił się na ścieżce, chociaż nie mógł się oprzeć, aby nie spojrzeć na ławkę — tym razem z podwójnie zaostrzoną ciekawością — to jednak zdecydowanie poszedł dalej.

Nadeszła, przytulona do siebie, młoda para. Zakochani zachowywali się tak cicho, że ledwo ich usłyszał. Przechodząc obok dziewczyny, trochę zwolnili niezdecydowani, a potem poszli dalej poszukać ławki wyłącznie dla siebie.

Dziewczyna poruszyła się, jakby dopiero teraz stwierdziła, że ktoś przeszedł obok, ale nikogo już nie zauważyła. Dostrzegł, że otwiera torebkę, sięga do środka i coś z niej wyjmuje. Widział, jak przygląda się temu, ale nie widział, co to było. To było coś bardzo małego.

Potem nagle, bardzo się śpiesząc, odłożyła to z powrotem, jakby przeszkodził jej jakiś dźwięk, który on usłyszał w chwilę później. Zjawił się jakiś samotny mężczyzna. Jednak wyraźnie nie śpieszył się.

Obserwator spod drzewa zwiększył czujność.

Tamten, przechodząc obok ławki, spojrzął na nią. Nie patrzył tak jak policjant, przyglądał się jej długo i pożądliwie.

Zwolnił kroku i zatrzymał się. Potem podszedł i usiadł na skraju ławki.

Mężczyzna stojący pod drzewem zaczął zbliżać się ku nim, skrajem, nie wchodząc na ścieżkę.

Siedzący na ławce przesunął się na środek, zmniejszając o połowę odległość od dziewczyny. Nadal siedziała tyłem; zdawała się nie uświadamiać sobie jego obecności.

Musiał odezwać się do niej cicho, ponieważ nagle odwróciła się zaskoczona, a potem podskoczyła ze zduszonym okrzykiem.

Zerwała się i pobiegła ścieżką do wyjścia z parku, mijając ukrytego obserwatora.

Mężczyzna, który pozostał na ławce, podniósł w górę ręce w filozoficznym geście: — I tak jesteś dla mnie za chuda! — zawołał za nią ze złością. — Możesz sobie oszczędzić butów. Nie będę cię gonił! — Skrzyżował nogi i wygodnie rozłożył ramiona na oparciu ławki, jak gdyby teraz, skoro już tu był, chciał na niej przesiedzieć całą noc.

Przestała biec po dotarciu do wyjścia z parku i kiedy wyszedł z ukrycia, mógł jeszcze dobrze widzieć ją przed sobą, teraz szła spokojnie. Znowu zaczęła się zabawa w kotka i myszkę.

Myślał, że teraz wreszcie wróci do domu. Wpierw skierowała się w tym kierunku, ale potem nagle skręciła, przeszła kilka bocznych ulic i dotarła do małego kościoła. Podeszła powoli, otworzyła małe drzwi umieszczone w ogromnych, masywnych wrotach, i zniknęła we wnętrzu.

Podszedł bliżej i zawahał się na moment. Nie wszedłby do środka, gdyby było tylko to jedno wejście, ale kościół stał na rogu i posiadał jeszcze inne, boczne drzwi. Nie będąc pewnym, czy przypadkiem nie odkryła, że ją śledzi, teraz podstępem chce umknąć owym bocznym wyjściem, podczas gdy on będzie czekał na nią przy frontowym, wszedł do środka.

Nie był w kościele od czasów dzieciństwa. Speszyla go panująca wewnątrz cisza. Nie mógł sobie przypomnieć, co się robi, wchodząc do takiego miejsca, i czy w ogóle coś się robi poza tym, że należy zdjąć kapelusz, co też natychmiast uczynił.

Przeszedł przez pusty przedsionek i wszedł dalej kolejnymi drzwiami, tak jak i ona. Przytrzymał te drzwi ręką i stanął przy nich.

Widział dziewczynę. Była daleko przed nim, na końcu nawy, klęczała przy barierce przed ołtarzem. Mały, skurczony kształt. Świece przypominały bukiety białych stokrotek, iskrzących się na ciemnoniebieskiej łące. Z góry, rozjaśniona pośrednią poświatą, wylaniała się z mroku twarz Matki Boskiej na obrazie, trzymającej Dzieciątka. Nawet z tej odległości, z miejsca, w którym stał, mógł dostrzec malujący się na jej obliczu wyraz nieskończonego miłosierdzia, które zdawało się odnosić nawet do niego i być może miało go

zmiękczyć. Prawie czuł brzemień tego błagania: „Zostaw ją w spokoju, zostaw ją w spokoju...”

Sięgnął ręką do kołnierzyka, chcąc go rozluźnić.

Byli sami. Teraz nie było tu żadnego myśliwego, żadnej zwierzyny. Prawo zatrzymało się na zewnątrz, przed drzwiami. Jeśli znajdował się tam jakiś przestępca, to był nim raczej on, a nie ona. Ta bolesciwa twarz z góry zdawała się go przestrzegać. Ponieważ ona przyszła tu szukać pociechy w bólu, a on, żeby jej ten ból sprawić.

Potrząsnął głową, czując, że to wrażenie rozstraja go.

Dziewczyna podniosła się z klęczek i zaczęła wracać wzdłuż nawy. Stał bez ruchu, niewidoczny przy czarnych drzwiach. Weszła do ławki i usiadła w niej, z głową ledwo widoczną na tle światła świec.

Skierował się w kierunku najbliższej ławki. Przyklęknął na jedno kolano, pozwolił, żeby kapelusz upadł na posadzkę, oparł ręce na ławce przed sobą i pochylił głowę.

Patrzył na nią przez szpary między palcami. Tkwili tak w ciszy i spokoju — obserwujący i obserwowana.

Czas w kościele się nie liczy, minuty i godziny zostały przed drzwiami.

Wreszcie podniosła głowę i wyszła z ławki. Przyklęknęła, przeżegnała się w kierunku ołtarza, a potem przeszła obok miejsca, w którym klęczał, rysując się w mroku niewyraźną sylwetką. Nie patrzyła na niego — mógłby stać zwrócony do niej twarzą, i tak by go nie zauważyła.

Otworzyła drzwi i wyszła.

Przeżegnał się. Uczynił to skrycie, jak ktoś, kto się za siebie wstydzi.

Wstał i poszedł za nią.

Włożył na głowę kapelusz; przez jakiś czas na ulicy pochyłał głowę, garbił się — niczym pod ciężarem nieuchwytniej winy.

Wydawało się, że zaczyna sobie uświadamiać jego obecność. Dwa razy się zatrzymała, ale nie obejrzała się za siebie. Wyglądała jak ktoś, kto staje, nad słuchując lub wyczuwając jakieś zagrożenie.

Potem nagle odwróciła się i zaczęła iść z powrotem, w jego stronę. Nie miał czasu, by się odwrócić. Gdyby się odwrócił tak jak ona,

wówczas mógłby to zauważyć i zorientować się, że wyraźnie idzie za nią — jeżeli jego obecność już nie została odkryta. Nie mógł uciec w bok,

nie było tam żadnych drzwi, w które mógłby się wsunąć. Znajdowali się przy ślepej ścianie fabryki, otaczającej coś w rodzaju placu.

Szedł dalej, nie mógł zrobić nic innego. „Teraz nasze drogi skrzyżują się i dla odmiany odwróca się nasze role”, pomyślał; on pójdzie przed nią, a ona za nim.

Ale kiedy się spotkali, zatrzymała się.

— *Czy pan idzie za m?ią?* — W jej głosie brzmiała rozpacz, jakaś prośba o zaprzeczenie. Nie oskarżała go, ale była zdumiona, jakby szukała pomocy u pierwszego przechodnia, na którego się natknęła.

— Nie, panienko, nie idę za panią — odparł po prostu, chociaż lekko się przy tym skrzywił. — Przecież idę w tamtą stronę, a pani w przeciwną.

Skinęła głową. — Ja wiem, że pan nie idzie za mną — powiedziała ze smutkiem. — Wiedziałam, że się pomyliłam. — Przyłożyła drżącą rękę do czoła. — Jak dzień długi, cały czas myślałam...

— Hm, ja nie widziałem pani aż do teraz.

— Tak, wiem. Ja pana też nie widziałam. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. — Była w niej jakaś dziecinna bezradność.

Poszedł dalej.

Ona też poszła dalej.

Zatrzymał się i spojrzął za siebie, klnąc cicho przez zęby.

Potem się odwrócił, ruszając za nią ponownie. Musieli go zmienić, teraz nie mógł już dalej wypełniać swojego zadania.

Oświetlona markiza nad wejściem do kina rzuciła na nią żółty poblask. Zdawało się, że tego nie dostrzega aż do chwili, gdy ją minęła, a ciemność zaczęła znów spływać po jej plecach jak rozprzestrzeniająca się plama.

Wtedy obejrzała się, spojrziała w górę i dostrzegła, co to było.

Zauważywszy to, jakby przypomniała sobie, że istnieje coś takiego jak kino, otworzyła torebkę i zagłębiła w niej rękę; sprawdziła, czy ma pieniądze. Potem podeszła do małej, oszklonej kasy, kupiła bilet i weszła do środka. Wszystko to robiła, nie patrząc nawet na rozwieszony wokół plakaty i nie czytając świetlnego napisu oraz reklam w jasnych gablotach po obu stronach wejścia.

Tak, jakby sama możliwość wejścia do środka, a nie to, co wyświetlają, była motywem jej postępowania.

W chwilę później też kupił bilet, minął pusty hol, podał bilet kontrolerowi przy drzwiach i pograżył się w bladozielonej ciemności, drżącej nieco przy ścianach.

Zapaliło się światło kieszonkowej latarki, rozpraszając ciemności, i przed nim słabo zabłyśły miedziane guziki. Wtedy spytał: — Gdzie siedzi ta dziewczyna, która weszła tuż przede mną? Ta, która przed chwilą przeszła przez te drzwi.

Rozprowadzająca obruszyła się: — Pan jest z nią? — spytała podejrzliwie.

— Nie chodzi o to, nie jestem podrywaczem. — Pokazał odznakę, przybliżając ją do światła latarki. — Proszę się pośpieszyć. Widziałem, jak tu wchodziła. Gdzie teraz jest?

— Tam — wskazała drzwi po drugiej stronie foyer, obok miejsc dla orkiestry. Nie było nic widać w ciemności. Lokalizację tego wyjścia wskazywała tylko płonąca pomarańczowa lampka.

— Och — jęknął tylko i nie ruszył się z miejsca.

Weszło dwóch widzów. Rozprowadzająca zostawiła go i poprowadziła ich wzdłuż sięgającego głowy przepierzenia za rzędem tylnych foteli. Kiedy zwracali się w stronę zajmowanych miejsc, przez chwilę twarze tych trojga przybrały bladozieloną barwę, a potem zniknęły.

Wpatrywał się w drzwi.

Rozprowadzająca powróciła. Tym razem tył jej głowy odbijał tę bladą zieleń. — Jest tam ktoś? — zapytał. — To znaczy, czy ktoś siedzi tam, przy drzwiach?

— Tak, zwykle nasza sprzątaczką.

— Aha... — mruknął.

Weszła następna para widzów. Zachowywali się głośno, ale natychmiast uspokoili się.

— ...poleciała już prawie połowa.

— ...no, ale musiałaś przecież jeszcze zmyć naczynia; nie mogłaś tego zostawić do naszego powrotu.

— Szszsz... — przypomniała im taktownie rozprowadzająca. Odeszła z nimi i po chwili wróciła sama.

Od strony ekranu dobiegła gwałtowna strzelanina, która spowodowała, że nerwowo podskoczył, a potem znowu spojrzał na drzwi.

— Może ona ją tam zatrzyma... Ale niech pani zaraz tam pójdzie. Niech pani rozejrzy się zamiast mnie.

Posłusznie poszła wzdłuż foyer. Ale nie zdążyła dotrzeć na drugą stronę. Zza tamtych drzwi dobiegł ich stłumiony krzyk. A potem drżący okrzyk starszej kobiety. Następnie usłyszeli łoskot, jak przy przewróceniu ciężkiego krzesła.

Pod pomarańczową lampką nagle coś zaszurało, jak gdyby jakaś ukryta sprężyna otworzyła zamknięte drzwi. Na moment ukazała się głowa siwej kobiety i czyjeś ramię odwróciło rozprowadzającą, popychając ją w przeciwną stronę.

Towarzyszył jej ochryply szept: — Sprowadź kierownika! Sprowadź kierownika! Tutaj coś się stało!

Mijając biegnącą naprzeciw kobietę, pognął w stronę tamtych drzwi. Ale wiedział już, że nie ma się po co śpieszyć.

9

OCZEKIWANIE: OTCHŁANIE NOCY

Reid drżącymi rękami nerwowo upychał rzeczy do pękatego worka, przypominającego worek marynarski.

— Pośpiesz się! — szeptała, z trwogą zaglądając za otaczające ten pokój — czy może alkowę? — zasłony. — Śpiesz się!

Chociaż wokół było ciemno, mogła jednak dobrze widzieć każdy jego ruch. Zdawało się, że ciemność rozprasza jakieś niezidentyfikowane światło padające gdzieś z dołu (a może z góry?), tworząc złudzenie, że w półmroku coś się zdarzyło.

Za każdym razem, gdy z przerażeniem szeptała: — Pośpiesz się! — odpowiadał jej również szeptem: — Przecież nie mogę iść bez szalika... — albo: — Muszę zabrać lekarstwo. — I nadal upychał przepełniony worek.

Nagle blisko jej twarzy ukazała się głowa mężczyzny. Zdawało się, że zasłony składają się z wąskich pasów materiału, które moż-

na rozdzielić w dowolnym miejscu. To był Shawn. Nagłe pojawienie się Shawna nie przestraszyło jej — bała się czegoś zupełnie innego.

— Mamy już bardzo mało czasu — ostrzegł ponurym głosem. — Lepiej będzie, jak się pośpieszycie.

— Ojczy, słyszałeś? — zwróciła się do Reida błagalnie.

Reid spojrział na nią znad worka. — Przecież nie zostawię swetra — mruknął niewzruszony.

Shawn cofnął głowę tak szybko, jak ją przedtem wysunął.

Podbiegła do ojca, załamując ręce. — On na nas nie poczeka, jeśli będziesz się tak guzdrał. Może już odszedł. Może zostawił nas tutaj samych.

Reid zawiązywał worek. — No, gotowe! Mogę iść — oznajmił wreszcie.

Chwyciła go za rękaw i ostrożnie podeszli do zasłon. Reid włókł za sobą worek jak ciężką kotwicę.

— Będziemy musieli przejść szybko przez te zasłony — powiedziała z wymówką.

Zaczęła szukać przecięcia, ale teraz nie mogła go znaleźć. Nagle znowu pojawiła się głowa Shawna. Jednak tym razem za nimi, po drugiej stronie alkowy.

— Tam nie — rzucił ostrzegawczo. — Tędy. Tam jest jeden z *nich*, zaczął się tam i czeka na was.

Wiedzieli, co ma na myśli, mówiąc: Jeden z *nich*" — i przeniknął ich lodowaty dreszcz. Odskokzyła wraz z ojcem niemal w ostatniej chwili w obawie, że nawet dotyk zasłon po tamtej stronie może być niebezpieczny. Przeszli na drugą stronę. Shawn rozsunął ręką kotary; zniżyli głowy i przeszli przez nie. Kiedy Jean przechodziła przez rozcięcie w kotarach, zauważyła, że Shawn trzyma w ręku swoją odznakę policyjną — sprawiała teraz jakby wrażenie jakiegoś talizmanu, który jednak przynosi szczęście tylko wtedy, gdy jest blisko.

Po wyjściu z kotar zauważyła, że Shawn zaraz zniknął w środku, za nimi, tam, gdzie znajdowali się przed chwilą. Teraz zamienili się miejscami.

— Ty nie idziesz z nami? — zapytała.

— Idźcie tym korytarzem przed siebie — polecił. — Ja pójdę za wami, ale będę się posuwał za kotarami. Jeżeli po drodze będziecie się bali, wyciągnijcie tylko rękę przez materiał i wtedy znajdziecie mnie, wtedy przekonacie się, że jestem tutaj.

Kotary nie były już ułożone w długie, wysokie fałdy, nie stanowiły czworoboku zamykającego alkowę; teraz biegły w linii prostej wzdłuż korytarza, który miał ich zaprowadzić w bezpieczne miejsce, ale jednocześnie oddziaływały ich od Shawna. Mimo to ta dziwna i złowieszcza zmiana jakoś jej nie przstraszyła — mogło ją przstraszyć tylko jedno...

Korytarz, którym szli, był ledwie widoczny, trochę przypominał jeden z korytarzy ich domu, ale całe podobieństwo wymiarów — szczególnie długość — wkrótce zniknęło. Korytarz był ciemny jak jaskinia; otaczała ich taka sama ciemność jak przedtem w alkowie, a jednak każda fałda kotar była wyraźnie widoczna.

— Ależ on jest długi... — narzekała po drodze. — Kiedy dzisiaj nim szłam, wydawał mi się krótszy.

— Może tak jest dlatego, że idziemy nim w drugą stronę — szepnął ojciec. — Kiedy się skądś wychodzi, droga zawsze wydaje się dłuższa.

Szli już dosyć długo, a wciąż nie widać było końca. Powoli zaczęła ją opuszczać odwaga.

— Shawn! — krzyknęła ochryłym głosem. — Shawn, jesteś tam? Idziesz za nami?

Natychmiast zza kotary ukazała się jego ręka, chwycił jej dłoń; poczuła, że trzyma w dłoni odznakę policyjną. To dodało jej otuchy. Puściła rękę Shawna i poszli dalej.

Korytarz znowu się zmienił. Ta zmiana nastąpiła z jakąś dziwną optyczną płynnością, podobnie jak odbicie w lustrze widziane przez wodę spływającą po powierzchni zwierciadła. Wreszcie na końcu ukazał się zakręt; zdała sobie sprawę, że na kolumnowych fałdach kotar widzi bladozielony refleks, którego źródło znajdowało się gdzieś w ukryciu. Było to coś bardzo nieokreślonego, coś bardzo niebezpiecznego, jakaś niezwykle słaba poświata. Patrząc w jej kierunku, wyczuła narastające zagrożenie — czuła, że gdyby mogli odwrócić się od tego, *zanim* to ujrzeli, wtedy może zdążyliby uniknąć niebezpieczeństwa.

Jednak teraz było już za późno. Świadomość niebezpieczeństwa osiągnęła punkt kulminacyjny. Groza potęgowała się, wypełzała

z zakamarków ciemności. Wreszcie pojawiło się źródło dotąd anonimowej, słabej poświaty. Było to dwoje oczu, rozciągniętych w podłużne, złowrogie szpary, błyszczące wściekłą zielenią. Te oczy tkwiły w zwięzającej się, przypominającej kocią czaszce, na której, w mściwej groźbie ataku, widniały płasko położone, małe, szpiczaste uszy. Ujrzeli szeroko rozwarte szczęki z ostrymi kłami.

Coś leżało nisko przy podłodze, prężyło się do skoku; rozciągało się powykręcane cielsko. Całość bardziej przypominała gada aniżeli lwa. Skręcający się koncentrycznie tułów, z nisko zwisającym brzuchem, z rozkraczonymi, odchylonymi na zewnątrz nogami i ogonem chłuszczającym wściekle powietrze.

Zaczęli uciekać. Choć wyraźnie niezdarnie.

— Rzuć to! Rzuć ten worek! — dyszała. — On nam wszystko utrudnia!

Wypuścił go z rąk i worek potoczył się w kierunku żarzącej się jak rozpalone węgle paszczy. A nim w niej zniknął, zaczął brązowieć, jakby przysmażał się przed konsumpcją.

I znowu ucieczka korytarzem nic nie dała. Korytarz zmieniał się w płynny zakręt i ponownie ujrzeli bladozieloną fosforescencję, pierwsze ostrzeżenie nadchodzącego niebezpieczeństwa. I znowu w ich myślach zrodziła się groza, która materializowała się w coś widzialnego i dotykającego. Tu też przy podłodze pojawiła się głowa, paszcza, a w niej obnażone kły. Ale nie była to ta sama głowa. Za nią ujrzeli następne, posuwające się z falującą konsekwencją.

Teraz oba końce korytarza były zablokowane.

— Puść mnie — błagał ojciec. — Już tylko *ja* wszystko utrudniam!

— Nie — wykrztusiła. — Nie! — Przyciągnęła go i ciasno objęła ramieniem. — Shawn! — krzyknęła z rozpaczą. — Shawn!

Głos ojca zabrzmiał stanowczym tonem protestu. — Był czas, gdy się nie bałaś — mówił, jakby chcąc, by to powtórzyła. Nie była w stanie. — Shawn! — krzyknęła jedynie.

— Powtarzaj tylko za mną: „Był czas, gdy się nie bałam”. To cię ocali.

Wyciągnęła rękę i wcisnęła ją między kotary. Tym razem nie otrzymała żadnej odpowiedzi, nikt nie chwycił jej ręki. Nie było go tam, nie było... mimo że zapewniał, iż będzie!

Powoli niczym pełzające płomyczki gazowe, przez szparę w kotarze, jaką utworzyła jej ręka, błyskało światło i zaczął wyłaniać się efekt potwornej metamorfozy. Było tam coś, co czołgało się po podłodze wzdłuż kotar; coś, co pełzało między kotarami a ścianą; coś, co przypominało olbrzymiego, żarłocznego robaka.

Szybko wyrwała rękę ze szpary w kotarze w obawie, że zostanie odgryziona, jak gdyby samo to światło mogło wytworzyć zęby zdolne ugryźć w chwili, gdy świeciło.

Odwróciła się ze zgrozą do ojca. — Nie ma go tam! I nie umiem wypowiedzieć tych słów!

Jednak ojca także za nią nie było. Teraz straciła również i jego w jakimś upiornym, nieodgadnionym akcie rozczłonkowania, jaki tymczasem rozegrał się za nią. Wszystkim, co z niego pozostało, była ręka, którą wciąż jeszcze ścisnęła pod pachą. Drugą mogła widzieć wyciągniętą w górę, w daremnym geście rozpacz, wystającą ze środka błyszczącej paszczy. Potem ręka nagle zniknęła.

Teraz zaczęła już głośno krzyczeć, pełnym głosem — głosem, który jakoś inaczej niż zwykle brzmiał w jej uszach. Zaczęła rozpaczliwie szarpać kotary, próbując odnaleźć Shawna, chcąc jakoś się do niego dostać.

Przed jej oczami, niczym kosa, zaczęło się poruszać coś, co przypominało wycieraczkę szyby samochodowej, przecierając zamglony obraz. To coś samo w sobie było niewidoczne, ale widoczny był efekt jego działania. Za każdym ruchem wahadłowym soczewki jej oczu oczyszczały się, stawały się bardziej przejrzyste, przepuszczały coraz więcej światła. Ciemność odbarwiała się, blakła, zmieniając się w światło dzienne.

Sobolowe kotary pojaśniały, stając się zbitą, prostokątną masą. Krzyki cichły, ginęły gdzieś wewnątrz niej. — Shawn — cicho szlochała. — Shawn... — I z rozpaczą uderzała piąstkami w poduszkę.

Podskoczyła do pozycji siedzącej i otworzyła oczy. Tak właśnie, choć powinno być odwrotnie.

Pokój tonął w ciemnościach, lecz zaraz rozproszył je dotyk lampy palcami. Zapłonęło światło realizmu, wszystko było w porządku, wszystko na swoim miejscu.

Jednak przerażenie nie minęło, nawet zwiększyło się, ponieważ teraz, świeżo pod wrażeniem snu, ciągle jeszcze przebywała pod-

świadomie w tym dziwnym otoczeniu. Tak bardzo była przerażona, że nie od razu przystosowała się do nowej rzeczywistości.

Nadal przeżywała główny wątek snu. Wyskoczyła z łóżka. Wiedziała, co ma zrobić. Musi założyć szlafrok, wsunąć stopy w pantofle, które stały przy łóżku, musi pośpieszyć do drzwi, które należy otworzyć, i dalej już do jego pokoju. Musi pójść wypełnionym nocą korytarzem, musi tam pójść i zobaczyć go. Wiedziała o tym wszystkim, to wszystko zrobiła, ale był to jakiś tkwiący w niej senny impuls, nadal jeszcze na tyle silny, aby pchnąć ją do działania.

Zataczając się, wyszła na korytarz. Szlochając, wymawiała jego imię i podbiegła do drzwi jego pokoju; obejrzała się przez ramię, przypominając sobie zakręt z koszmaru sennego, skąd dochodziło to straszne, znieawidzone światło i to coś jeszcze gorszego, i gdzie to coś materializowało się, czyhając na nią. Teraz nic tam nie było, korytarz kończył się prosto przy górnym stopniu schodów, pod umieszczonymi po obu stronach kinkietami na tyle rozjaśniającymi mrok, aby to światło uspokajało i jednocześnie pocieszało. Podbiegła do drzwi wciąż jeszcze przerażona, podczas gdy potajemne, smukłe widmo falującej granatowej satyny rozpostarło się za nią jak ogon pawia. Zebrała się w sobie i zapukała z cichą natarczywością.

To pukanie rozległo się pojedynczym, głuchym dźwiękiem wewnątrz i nagle drzwi rozwarły się tak, że jej ostatnie uderzenie padło na jego pierś jak nieme wezwanie, i pozostało na niej.

Na jego twarzy malowało się przerażenie. Nie obawiał się o siebie, ale o nią. Natychmiast odgadł, kto puka do drzwi. Ramiona trzymał sztywno odchylone do tyłu, z odgiętymi, niewidocznymi łokciami. Szlafrok był zarzucony na jedno ramię, drugie jeszcze nie było nim okryte, jakby zakładając go, bardzo się śpieszył. Wyprostował się, pusty rękaw wypełniła ręka, w której tkwił pistolet z krótką lufą.

Wolną ręką przygarnął ją do siebie. Przylgnęła ulegle. Potem rozejrzał się i wyrzwał za nią, na korytarz.

— Co się stało? Co...

— Tb sen, jak mi się wydaje. Ale nie mogę się z niego otrząsnąć.

— Coś nie w porządku? Chcesz, żebym sprawdził? — A potem dodał, mrużąc oczy: — Chyba nic nie słyszałaś, co?

— Nie. Nie. Nic. To był, jak sędzę, tylko sen.

— Zostań tu przez chwilę — powiedział. — Wejdź do środka. Podeszedł do drzwi jej pokoju i zniknął wewnątrz.

Patrzyła za nim, stojąc blisko ściany, jak kryjące się dziecko. Zdawało się, że zbyt długo nie wychodzi. Widocznie bardzo dokładnie przeszukuje jej pokój. Słyszała, jak bada okna i sprawdza zamki.

Potem wreszcie pojawił się. Poczula się taka szczęśliwa.

— Wszystko w porządku — oświadczył.

— Nie wiem, dlaczego przybiegłam do ciebie.

— A ja nie wiem, dlaczego miałabyś nie przybiec. Po to tu jestem.

Stał, patrząc na nią, a ona pomyślała: „Muszę tam wrócić, on się tego po mnie spodziewa”.

— Lepiej się czujesz? — zapytał, przyglądając jej się z bliska. Skinęła głową, zastanawiając się, czy to szybkie przytaknięcie

mogło go oszukać. Prawdopodobnie nie, ponieważ z niedowierzaniem zmrużył oczy.

— Może to cię przestraszyło? — spojrzał w dół, na pistolet, który ciągle jeszcze obciążał jego rękę.

— Nie. To nie to. Cieszę się, że go masz.

— No tak, ale nie powinienem nim wymachiwać jak w saloonie z Dzikiego Zachodu. — Schował broń.

Spojrzał na nią, a potem przeniósł wzrok na drzwi. Później znowu spojrzał na nią, jakby zastanawiał się, co najlepiej teraz zrobić.

— Chcesz już wrócić? — zapytał w napięciu.

— Nie wiem, czy będę mogła, ale spróbuję.

— Chcesz, żebym cię odprowadził do drzwi?

Szli bardzo wolno. Zdawać by się mogło, że mają do przebycia ogromny dystans, a nie zaledwie parę kroków.

— Już dobrze?

Odwróciła się, aby wejść do środka. Pokój zdawał się powiększać, wciąż jeszcze pozostawała pod wrażeniem snu. Bezwiednie cofnęła się. Musiał to zauważyć.

— Zaczekam tu — powiedział — aż nie położysz się do łóżka. Zostaw otwarte drzwi, nie będę zaglądał.

Odwrócił się i stał w otwartych drzwiach, patrząc na korytarz.

Weszła śmieiej. Zrzuciła szlafrok, wsunęła się pod kołdrę, naciągając ją na siebie.

— W porządku? Czy teraz już wszystko w porządku? — pytał, nie odwracając głowy.

— Nie mogę jednak — powiedziała nagle, krzywiąc się. — Nie mogę. Wszystko jest w porządku, gdy ty tu jesteś i wiem, że tam stoisz... Ale kiedy tylko pomyślę sobie, że odejdziesz...

Odwrócił się i zobaczył, że wyciąga ku niemu ramiona, chociaż z pewnością nie zdawała sobie z tego sprawy. Zachowywała się jak zagubione, przestraszone dziecko.

Wszedł zdecydowanie do pokoju, zatrzasnął za sobą drzwi. — W porządku — powiedział. — Na pierwszym miejscu jest twój spokój.

Przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł.

— No i co? Lepiej?

Jej ręce poruszały się niepewnie. Wyciągnął ku nim dłoń, którą natychmiast chwyciły i zacisnęły się na niej.

Na jej twarzy pojawił się przelotny, słaby uśmiech. Dziecko i opiekun. Dziecko i starszy brat. Teraz jestem bezpieczna w twojej obecności. Teraz mogę już zasnąć. Zawsze powinien być przy mnie ktoś starszy i mądrzejszy ode mnie...

Odwróciła twarz i przytuliła ją do poduszki. Przez chwilę wpatrywała się w niego, czuła promieniujący od niego spokój. Zamrugła oczami, powieki opadły, uniosły się jeszcze raz, a potem na dobre zamknęła oczy.

W pokoju zapanowała cisza.

Siedział posłusznie, pochylając się do przodu, z dłonią uwieczoną w błagalnym uścisku obu jej rąk.

Każdy musi mieć coś, na czym może polegać. Ona ufała, że od niej nie odejdzie.

Na jej uśpioną twarz wrócił uśmiech i już tam pozostał.

Wyciągnął ostrożnie rękę z rozluźnionego teraz uścisku jej dłoni i zgasił nocną lampkę.

Jego twarz zniknęła w ciemności.

PROCEDURA POLICYJNA: DOBBS I SOKOLSKY

Elektryk policyjny przyszedł o siódmej trzydzieści — była to siódma trzydzieści następnego ranka po zarekwirowaniu pokoju — przynosząc ze sobą niezbędny zwój drutu odpowiednio zgnieciony, aby zabierał mniej miejsca. Przypominał on owalny kawałek kości. Całość owinięta była dla kamuflażu w gazetę. Trzymał to pod pachą, a w drugiej ręce niósł niekształtne pudło, przypominające skrzynkę z narzędziami, które zawierało końcówkę aparatu odbiorczego.

Zapukał w umówiony sposób, krótki i tajemniczy, ale najwyraźniej łatwo rozpoznawalny, bo drzwi otworzyły się prawie natychmiast i prawie natychmiast się za nim zamknęły.

Stał przy nich Sokolsky. Dobbs klęczał na podłodze w odległym kącie. Pozycja, w której się znajdował, mogła sugerować, że jest przygnębiony. Jego twarz zwrócona była do linii połączenia dwóch ścian, jakby próbował to ukryć. W dodatku głowę miał silnie pochyloną ku podłodze, prawie ukrytą w ramionach. Ręce założył na karku, co sprawiało wrażenie, że próbuje złagodzić napięcie mięśni. Przed nim, niczym dzida, wystawała czarna rura wodociągowa, i znikła w suficie. Tkwił tak nieruchomo jak joga lub jakiś święty. Obaj nowi lokatorzy zdjęli buty, aby poruszać się bezgłośnie. Ale poza tym byli całkowicie ubrani, pozostali nawet w płaszczach. Sokolsky miał na głowie kapelusz. Przecież nie byli u siebie w domu. I tylko żółtobiała, dość spora dziura w skarpetce na uniesionej stopie Dobbsa stanowiła pewien dysonans w drobiazgowo zaplanowanej i efektywnej akcji.

— Jeszcze nic — mruknął Sokolsky do technika. — Ciagle leży.

— Zaraz to sprawdzę — powiedział przybyły.

Sokolsky wskazał skarpetkę. — Jak widać, każdy z nas mimo wszystko zdjął buty...

Elektryk położył pakunki na łóżku i też pozbył się butów. Potem ostrożnie przeszedł przez pokój, rozglądając się za jakimiś szparami lub zagłębieniami.

Ale zdawało się, że nie znajduje nic, co byłoby odpowiednie. Wreszcie klepnął pochylonego Dobbsa w plecy, a tamten powoli, boleśnie zaczął się prostować.

Poszukał brzegu łóżka, opadł na nie i począł rozmasowywać obolałe mięśnie.

— Wstaje — oznajmił. — Właśnie usłyszałem, jak zajęczały sprężyny. Zaszumiała woda w odkręcanym kranie.

Teraz elektryk przybrał poprzednią pozycję Dobbsa. Po chwili wyprostował się i wrócił do nich.

Wskazał kciukiem za siebie, w kierunku rury.

— Da się. Ta dziura w podłodze nie pasuje, ale jest dość miejsca naokoło. Będę mógł ją poszerzyć i przepuścić obok rury drut. Rura będzie rzucała cień, gdy zapali światło, i skryje go.

Sokolsky skleił palec wskazujący z kciukiem, w geście wymownej aprobaty. — Daję ci wolną rękę — powiedział.

Wyszedł bez butów na klatkę schodową. W kilku miejscach sprawdził balustradę schodów, badając jej pochylenie. Wreszcie znalazł miejsce, w którym opadała pod zadowalającym kątem, podparł się skrzyżowanymi ramionami i znieruchomiał. Wyglądało, że w razie potrzeby może tak tkwić przez cały dzień.

W pokoju Dobbs, teraz już wolny, kontynuował masowanie łydki. Elektryk wyprostował pogięty drut i sformował z niego krąg, który w czasie prostowania przewiesił przez ramię. Na rozłożonej na łóżku gazecie pojawiły się obciążki i inne narzędzia ułożone symetrycznie i precyzyjnie, co zawsze cechuje dobrych fachowców, którzy kochają swą pracę. Sokolsky poruszył się lekko, pochylił się niżej. Ta zmiana pozycji była tak mało zauważalna, że mogła ująć za złudzenie wywołane padającym na niego światłem. Jednak w kilka sekund później gdzieś poniżej gwałtownie otworzyły się drzwi, a potem zamknęły jeszcze głośniej i na schodach rozległy się twarde, ciężkie kroki kogoś, kto schodząc w dół, kłapie chodakami. Potem zaczęły cichnąć, aż wreszcie urwały się i na klatce schodowej zapanowała cisza.

Elektryk chwycił małą, kieszonkową piłkę do metalu i czekał. Teraz drut był już wyprostowany w linię prostą jak strzała. Przebiegał przez cały pokój w kierunku rury wodociągowej, kończąc się

kilka cali od niej i na końcu rozdwajając się jak język żmii, który zdawał się otaczać wysmukły, metalowy cylinder. Drut spoczywał na podłodze, przebiegał przez łóżko, potem z drugiej strony znowu opadał na podłogę. Jednak ta pozycja nie miała być jego stałym miejscem; leżał tam tylko po to, aby łatwiej można go było dosięgnąć. Ruchy elektryka były doskonale precyzyjne; musiał je wykonywać już wiele razy.

Sokolsky wycofał się, oparł piersiami o poręcz i zaczął schodzić w dół. Można było widzieć, jak schodzi, ale nie można było tego słyszeć. Jednak pozostali nie drgnęli. W zamku zgrzytnął klucz, krótko, z wprawą, niedosłyszalnie nawet dla najczulszego ucha. A potem zapadła cisza. Nie można się było zorientować, czy drzwi zostały otwarte.

Minęło kilka sekund. Nagle na schodach znowu pojawił się Sokolsky. Tymczasem obaj pozostali zbliżyli się do szczytu schodów, w każdej chwili gotowi do zejścia. Dał im znak, krzyżując i szeroko rozkrzyżowując ręce przed twarzą.

Nikt się nie odezwał, aż wszyscy trzej spotkali się na wyższym podeście.

— On zaraz wróci — szepnął. — Wchodźcie z powrotem. Zamknęli drzwi i zamarli bez ruchu. Dobbs znowu przypadł do kąta.

Teraz z ożywieniem skinął głową w kierunku pozostałych i kilka razy wskazał palcem na podłogę. Nadal czekali.

W końcu Dobbs wskazał kciukiem przez ramię w stronę klatki schodowej. Sokolsky ostrożnie otworzył drzwi. Doszedł ich odgłos kroków kogoś, kto schodził w dół tak wolno jak przedtem.

Powtórzyła się poprzednia procedura. Znowu Sokolsky pierwszy zszedł po schodach, znowu wrócił i znowu wyszedł. Tym razem pstryknął palcami dwa razy. W chwilę później obaj jego towarzysze zjawili się przy nim na dole.

Zamknęły się za nimi drzwi, tym razem inne drzwi, drzwi mieszkania Tompkinsa.

— Skąd wiedziałeś, że wróci? — wysapał Dobbs.

— Jego fajka leżała na stole. Była jeszcze ciepła, gdy jej dotknąłem. Musiał o niej zapomnieć, nie zostawił jej celowo.

Elektryk zaczął szybko działać. Przymocował mały przedmiot do rury w kącie pokoju, od strony ściany. Jeżeli ktoś dobrze się przyjrzał temu miejscu, mógł go zauważyć przy rurze. Niezadowolony przyciągnął go w dół, do podłogi, nie wypuszczając z ręki. Teraz zniknął w głębszym cieniu. Zapalił w pokoju światło i sprawdził. Nadal był niewidoczny; nawet bardziej, niż się spodziewał, ponieważ rura rzucała kryjący go cień.

Wyszedł. Po chwili usłyszeli cichy dźwięk w okolicy otworu otaczającego rurę w suficie. Kilka razy ukazał się koniec piłki i natychmiast zniknął. Skrząc się cienką, skręcającą się strużką, opadło kilka opiłków i trochę tynku. Drut pojawił się, opadając wzdłuż rury, widoczny jedynie wtedy, gdy się poruszał, ale nieruchomiejąc, natychmiast zniknął z pola widzenia.

Elektryk wrócił. Pociągnął drut niżej i połączył z tym, co już znajdowało się na poziomie podłogi.

— Wypróbuję dźwięk — oświadczył i znowu wyszedł. Sokolsky spojrzał na Dobbsa, jakby to do niego miał mówić, a nie do elektryka, który teraz był piętro wyżej. Ściszył głos, jakby mówił prawie do ucha tamtego.

— No jak? Słyszysz mnie, Graham? — zapytał cicho.

Rura przeniosła potwierdzający odgłos delikatnego stukania paznokciem.

Przeszli na drugą stronę pokoju.

— A teraz?

Znowu rozległo się stukanie.

— I jeszcze tutaj. Nie możemy mieć żadnych ślepych miejsc. Stoimy w kącie, na lewo od drzwi, Graham... Jak nas słyszysz?

Rura odpowiedziała.

— Nie ma więc ślepych miejsc — stwierdził Dobbs. Elektryk znowu się pojawił. Wyjął z kieszeni bibułę, zwilżył ją

pod kranem, przyłożył do podłogi przy rurze, w miejscu, w którym spadały z sufitu opiłki i okruchy tynku. Potem zawinał bibułę i schował ją do kieszeni.

Przy drzwiach zatrzymał się dłużej, połączył w kółeczko kciuk z palcem wskazującym na znak odniesionego sukcesu i wysunął je w ich kierunku: — W wasze ręce — powiedział i wyszedł.

Pozostali tam jeszcze około półtorej godziny. Dobbs ostrożnie coś schował do kieszeni.

— Zabierzemy czeki od Reida i sfotografujemy, a potem jak najszybciej należy umieścić je na poprzednim miejscu.

— Myślisz, że on wiedział, że one tu były? Co by mu z tego przyszło, żeby je tak długo peklować? Przecież to dwanaście tysięcy dolarów...

— Nie chował ich. Myślę, że poniewierały się, że przekładał je z miejsca na miejsce, aż wreszcie o nich zapomniał. Wskazywały na to miejsca, w których leżały. Jeden był wciśnięty między toaletkę a ścianę, jak gdyby dostał się tam od tyłu szuflady. Inny był pognieciony, poplamiony tytoniem, jakby czyszczono nim wycior do fajki.

— Co z niego za facet?

— Albo bardzo głupi, albo niezwykle cwany. Ale o tym zadecyduje McManus, nie my. Zabieram czeki, a ty leć i zakładaj słuchawki.

O szóstej czeki leżały na poprzednich miejscach, a Dobbs siedział ze słuchawkami na uszach, gotowy do przekazywania informacji Sokolsky'emu.

Ale nic nie słyszał. Panowała cisza, cisza pustego pokoju.

O 6.27 otworzyły się drzwi. Usłyszał zanikające szuranie stóp. Potem miękki szelest rzucanego na krzesło ubrania.

W pokoju na górze nic się nie poruszało, poza prawą ręką Dobbsa stenografującą od czasu do czasu jakieś informacje w notatniku.

Na zewnątrz zapadł zmrok. Wokół rury przy podłodze pojawił się cieniutki rogalik światła wielkości obciętego paznokcia, nie większy. W pokoju na górze panowały ciemności. Zaledwie mogli się nawzajem widzieć. Dobbs kreślił ręką różne zawijasy. Małym palcem zaznaczył sobie miejsce, w którym kończy się strona w notatniku.

O siódmej łyżka, którą opróżniano garnek, przenikliwie zaskro-bała o jego dno. Od tej chwili przez pół godziny słychać było od czasu do czasu brzęk naczyń. A potem hałas zbieranych naczyń, które zostały gdzieś zanesione. Potem płynąca woda, jej pluski i bulgotania. Następnie odgłosy pojedynczo wyjmowanych naczyń.

Znowu przez pewien czas cisza. Ręka Dobbsa spoczywała beczynn timer, poza chwilami, gdy zerkał na fosforyzującą tarczę zegarka.

O 9.12 mężczyzna zakaszał.

O 9.14 zaszeleściła gazeta.

O 9.16 odgłos opróżnianej fajki.

O 9.17 trzeszczenie przesuwanego krzesła.

O 9.19 szum płynącej wody, kaskada wody, ale z większej odległości.

Ręka Dobbsa uniosła się w ciemności i pociągnęła wyimaginowany łańcuszek. Sokolsky skinął głową.

O 9.20 but spadł na podłogę.

I zaraz drugi but.

O 9.21 zgasł krążek światła wokół rury. O 9.22 zajęczały sprężyny łóżka.

O 9.24 znowu zajęczały, ale tym razem dużo słabiej, niczym w ostatecznym dopasowaniu się ciała do materaca.

A potem już nic. Nastąpiła noc. O północy Sokolsky przejął słuchawki, ołówek i notes. Ale usłyszał ciszę. Była to cisza pokoju, w którym ktoś śpi.

Tak upłynęły pełne dwadzieścia cztery godziny, poruczniku. Do-tychczas nikt do niego nie przyszedł. On tylko przychodzi, śpi, wychodzi, przychodzi i śpi, i tak w kółko. Wszystko, co poza tym słyhać, to jakaś muzyka w tle; jeszcze ani razu nie słyszeliśmy jego głosu. Nikogo też u niego nie było.

— Ktoś musi się zjawić. Z pewnością ktoś wreszcie przyjdzie.

— Jeszcze nigdy dotąd nikogo tak skrupulatnie nie podsłuchiwalismy. Nigdzie się stąd nie ruszałem. Dobbs podczas zmiany przynosi jedzenie. Jem tu, na miejscu, w słuchawkach na uszach.

— Masz ich nie zdejmować z głowy. Cały czas nasłuchuj. A jeśli nic nie słyszysz, to słuchaj tego, czego nie słyszysz. Chcę, żebyś zarejestrował każde skrzypnięcie deski w podłodze, zachrobotanie myszy w nocy!

— Właściwie chciałbym, żeby tam zaczęła grasować jakaś mysz.

Przynajmniej nie byłoby tak monotannie.

— Dostaniesz swoją mysz, Sokolsky. Ale to będzie taka mysz bez ogona...

OCZEKIWANIE: POŻEGNANIE ŚWIATŁA SŁONECZNEGO

Shawn wracał do domu z obchodu inspekcyjnego, który odbył razem z człowiekiem strzegącym budynku bacznie z zewnątrz. Miedziane światło popołudnia odbijało się w oknach, na każdym drzewie, na każdym wybrzuszeniu, a idący mężczyźni wysyłali za sobą długie, skłaniające się ku wschodowi, szare cienie.

Zatrzymali się przy lwicach stojących u wejścia, aby tam się rozejść.

— To wszystko McManus wykombinował osobiście — oznajmił mężczyzna. — Cały dom jest otoczony trzema oddzielnymi kręgami. Droga dojazdowa została zablokowana z obu stron. Nic, co ma koła, nie może nią przejechać; mamy tam również radiowóz. Wzdłuż granic posiadłości rozstawiono naszych ludzi. Są niewidoczni, ale gdyby ktoś spróbował wejść bez zezwolenia albo opuścić posiadłość, wtedy przekona się o ich obecności. Na samym terenie mam ludzi we wszystkich strategicznych miejscach, tam gdzie tylko można się dobrze ukryć, gdzie są drzewa, jak na przykład tu, z tyłu...

— Tak, te drzewa bardzo mnie niepokoiły — przyznał Shawn. — I ciągle mnie niepokoją.

— To może się pan przestać niepokoić. Nikt nie zauważony nie przedostanie się przez nie. Wszyscy nasi ludzie mogą się wzajemnie widzieć i słyszeć. Wszyscy są uzbrojeni i mają rozkaz najpierw strzelać, a potem dopiero sprawdzać, do czego lub do kogo strzelali. Kiedy zapadną ciemności, wysyłam dwóch ludzi, którzy przez całą noc będą okrążać dom tuż przy ścianach. Będą się poruszać w przeciwnych kierunkach, spotykając się z frontu i z tyłu, za każdym razem mijając się w tych miejscach. Więc gdy zrobi się ciemno, niech pan nie próbuje wychodzić z domu bez ostrzeżenia, bo inaczej mógłby pan zarobić kulkę! Czy można stworzyć pewniejsze zabezpieczenie? Czy uważa pan, że coś zostało przeoczone?

— Nie, nic więcej nie można zrobić — zgodził się Shawn. — Kiedy McManus coś aranżuje, robi to fachowo. Proszę też pamiętać o sygnalizacji, która oznajmi panu, że coś złego dzieje się wewnątrz.

— Na światło zataczające kręgi w jakimś oknie — obojętnie w jakim — podchodzimy natychmiast z bronią gotową do strzału. Będę przez całą noc w miejscu, które panu pokazałem... Och, ktoś wychodzi.

— W porządku, wracam — rzucił szybko Shawn.

Za szybą drzwi wejściowych pojawił się miedziany błysk, jakby ktoś je uchylał, i na progu pojawiła się Jean, podtrzymując ojca. Była bez płaszcza, a on miał narzucony na ramiona płaszcz w jodełkę z luźno zwieszonymi, pustymi rękawami.

Przez moment Shawn pomyślał, że chcą uciec z domu, i szybko skierował się ku stopniom wejściowym. Wyciągnął ramiona, aby ich powstrzymać i wepchnąć z powrotem do środka.

— Dokąd?

— Ojciec... on chciał zobaczyć zachód słońca — wyjaśniła.

— Pożegnać je — wyszeptał Reid beznadziejnie — zanim zajdzie.

Shawn spojrzał na bok, jakby przez moment nie rozumiał, o co chodzi, i kiedy odwracał się, jego twarz odbiła pomarańczowe światło zachodu. Po rozmowie z kolegą policyjnym, która sprowadziła go na ziemię, teraz musiał przez kilka sekund zastanowić się nad makabrycznym znaczeniem słów Reida.

— Przecież jutro znowu...

— Ale nie dla mnie. Ja patrzę na nie po raz ostatni. Już nigdy go nie zobaczę.

Oczy Shawna spotkały wzrok Jean; „pozwól mu”, zdawała się błagać, lekko pochylając głowę.

— Dobrze, proszę wyjść — zgodził się. — Z tego trawnika będzie pan lepiej widział... Proszę tu, na froncie. — Chwycił go pod ramię i podtrzymał z drugiej strony.

— Nie — zaprotestował Reid. — Tam jest wzniesienie. Za domem, tam, w tym kierunku. Pamiętasz, Jean? Jeżeli tam pójdziemy, będzie dłużej trwało. Tam dłużej będziemy mogli widzieć, jak zachodzi.

— Ale to daleko od domu. Czy jest pan pewien, że...

— Pozwólcie mi tam pójść — jęknął Reid. — Pozwólcie mi tam pójść, abym mógł je widzieć do końca. Dojdę przy waszej pomocy. Nie odbierajcie mi tego.

Rzuciła Shawnowi błagalne spojrzenie.

— Dobrze — zgodził się.

Chwycili go i pociągnęli za sobą przez dobrze przycięty, gęsty trawnik, pozostawiając dom daleko w tyle, z płonącymi ogniście oknami. Potem wlekli go przez wznoszące się nierówności. A on, z wysiłkiem wyrzucając nogi do przodu, często nawet nie dotykając ziemi, parł do przodu, jak nie znajdująca oparcia gąsienica.

— Szybciej — ponaglał. — Ono coraz bardziej czerwienieje. A potem zajdzie już bardzo szybko.

— Zdażymy — pocieszała go.

Okружили grupę drzew, których Shawn nie lubił, drzew, które teraz wydawały się martwe. Nie można było dostrzec, czy ktoś znajduje się między nimi. Tylko czarne zęby cieni.

Ale słońce było szybsze, zachodziło szybciej, niż oni wspinali się w górę. Dolna część jego kręgu zaczynała już się spłaszczać jak balon, który uderza o ziemię, a potem spoczywa na niej coraz ciężej.

Teraz wyglądało jak półkula krwawo zabarwiająca wszystko dookoła, z której uchodzi życiodajny płyn, plamiąc ich ręce, twarze i ziemię, po której szli, a nawet niebo.

Potem wszystko zaczęło się rozplýwać. Ukazała się tylko górna część kręgu, niczym bułat wyzierający zza szczytu wzgórza, na które się wspinali.

— Jeszcze zupełnie nie zaszło — dyszał Reid, jak gdyby od tego zależało jego życie. — Jedyne zasłania je to wzgórze. Będzie dłużej widoczne, gdy dojdziemy do szczytu.

Wykręcał się pomiędzy nimi, jakby te wysiłki, a nie ich kroki, mogły przyspieszyć wejście na szczyt tego wzgórza.

Wreszcie dotarli na sam szczyt. Wzgórze nie było wysokie, ale wystarczyło, aby ukazać zniżające się słońce. Teraz znowu je ujrzeli, nie połączone z horyzontem, i znowu mogli podziwiać jego pełny krąg. Ten krąg posyłał w ich stronę eksplozję miedzianożłotego blasku, który na moment omal ich nie oślepił.

Shawn skrzywił się i odwracając twarz, ujrział, jak Reid z zamkniętymi oczami z radością zwrócił swoją twarz ku słońcu, oddychał nim, kąpał się w nim, jakby wydzielano siły życiowe. I Shawn musiał przyznać, że w istocie tak było.

— Jego niższy brzeg ciągle jeszcze jest wyraźnie widoczny — wykrzyknął z radością Reid. — Jeszcze widać pod nim pasek nieba. Wciąż jest całe.

Nagle brzeg słońca dotknął horyzontu. Delikatnie, szaleńczo miękko, prawie spodziewali się, że lekko podskoczy, odbije się, zanim ostatecznie zacznie się kryć.

— Jak ono bardzo się śpieszy — mówił z żalem. — Kiedy się na nie patrzy, to wyraźnie widać, jak się porusza.

Odepchnął ich od siebie i uwolnił ramiona. Wyciągnął ręce, tworząc z nich nie zamknięty krąg, jakby próbował schwytać w niego słońce i przytrzymać je w górze. Jednak przesączyło mu się przez palce. Każde z nich widziało je w innym miejscu; tuż przed nim samym. Ale słońce musiało się powoli wysuwać z tego uchwytu, nieodwracalnie opadając, bo widzieli, jak Reid kilka razy rozpaczliwie rozchyła i zwiera ręce, tak jak ktoś niezgrabnie próbujący utrzymać rzuconą przed chwilą, wyslizgującą się piłkę. Potem ręce złączyły się, dłoń do dłoni, ponad pustką; opuścił je zrozpaczony.

— Żegnaj — załkał cicho. — Żegnaj.

Shawn ukradkiem zerknął na Jean. Jej zabarwiona brzoskwiniowo twarz była pozbawiona wyrazu. To nieruchome oblicze przecinała od kącika oka do kącika ust cieniutka błyszcząca strużka.

Odwrócił wzrok. Nie chciał podglądać jej reakcji. Pomyślał: „Na to, co ona czuje, nie ma pocieszenia, nie można nic powiedzieć i nic nie można zrobić. Gdybym to ja był przekonany, że widzę słońce po raz ostatni, zachowywałbym się tak samo jak on — a może nawet gorzej”.

Słońce zniknęło. Pozostała po nim poświata przypominała otwarty wachlarz, wbijający się w wieczorne niebo. Niczym składane niewidoczną ręką, żebra wachlarza zniżały się do jednej ogniskowej tuż pod linią łączącą ziemię z niebem. Teraz został już tylko utrzymujący się przez moment słaby poblask, który w końcu zdławił przyptyw granatu i chłodnej szarości.

Reid zadrżał.

— Jak tylko ono zajdzie, zaraz robi się zimno. Czujecie wiatr? To oddech nocy.

Szybko spojrzął za siebie.

— Tam już jest jedna z nich! Widzicie? Pośpieszcie się, wracajmy. Szybko, zanim pojawią się...

Odwrócili się i zaczęli schodzić zwróceniem ku napływającej od wschodu ciemności. Pochylony, jakby tracił równowagę, parł do przodu, ciągnąc ich za sobą ze spuszczoną i wysuniętą do przodu głową, nie chcąc patrzeć w kierunku, z którego nadejdzie pierwsze uderzenie ostrza zimnego blasku, przecinającego czerniejące niebo, w obawie, że to ostrze zatopi się w nim.

Po drodze ciągle rzucał się do przodu, nie dotykając ziemi nogami, chwilami wiosłując nimi w powietrzu. Zataczali się na boki, ciągle podtrzymując go między sobą. Była to rozpaczliwa, potrójna ucieczka.

— Szybciej — dyszał. — Szybciej. Wchodźmy do środka, gdzie nie mogą nas osiągnąć. Z każdą minutą pojawia się ich coraz więcej. Nie patrzcie na nie, nie patrzcie. Odwróćcie wzrok.

Przebiegli trawnik i dotarli do wyłożonej kamieniami ścieżki, którą pośpieszyli do sanktuarium — czekającego na nich wejścia. Kiedy wnosili go do środka, jedna noga wlokła się za nim bezwładnie. Schowali się.

Usłyszeli jeszcze jego zduszony głos:

— Zamknijcie drzwi! Dobrze zamknijcie drzwi! Ktoś zatrzaskał drzwi. Noc pozostała na zewnątrz.

12

PROCEDURA POLICYJNA: MOLLOY

Inspektorze? Tu Molloy... Inspektorze?

(Staccato) — Co tam masz? Zdobyłeś coś? Co to jest?

— Jak pan wie, szukam lwów. Dał mi pan dość ogólne...

{Rozdrażnienie} — Wiem, co ci dałem. I kiedy ci to dałem...

przed dwoma dniami! A ty masz mi teraz zdać sprawozdanie.

— Tak, szefie. No więc najpierw sprawdziłem te wszystkie lwy, o których wiemy. A potem dotarłem właśnie do tego. Niewielki teatrzyk objazdowy pod namiotem, coś w rodzaju małego lunaparku,

właśnie zmierza do nas, jadąc przez nasz stan. Byłem w Hampton, gdy się o tym dowiedziałem. Wczoraj, około trzeciej po południu. Natychmiast tam pojechałem, ale gdy znalazłem się na miejscu, a po drodze miałem kłopoty z motorem, okazało się, że przybyłem za późno...

Podeszwy butów szeryfa tworzyły na blacie biurka literę „V”. Kiedy wszedł Molloy, w tej szczelinie ukazała się jego zboląta twarz.

— Czego? — spytał szeryf szorstko, jak ktoś, kto boi się stracić autorytet.

Ta szorstkość zniknęła, gdy Molloy pokazał legitymację z odznaką i dla odmiany pojawiło się coś, co miało być wyrazem sympatii.

— Nie widuję was zbyt często — powiedział leniwie. — Proszę siadać. Odprężyć się...

Pytanie, jakie zadał Molloy, zakłóciło atmosferę niespiesznie budowanego porozumienia. Tamten spojrzał trochę żałośnie, dziwiąc się przez chwilę, skąd taki pośpiech, a następnie odparł:

— Tak, mieliśmy tu wczoraj wieczorem taką wędrowną bandę żebraków. Nawet zabrałem na ich przedstawienie żonę i dzieci. Pozwoliliśmy, żeby rozbili namiot na placu obok kościoła metodystów. Oczywiście zapłacili co trzeba. Nawet z góry — dodał.

— Na tym dużym, otwartym placu? Teraz pustym? Byłem tam.

— Och, jasne. Zwinęli namiot zaraz po wyjściu ostatniego widza. To było około północy. A o pierwszej w nocy ruszali w drogę. Widzi pan, oświadczyli, że zgodnie z naszymi przepisami musieliby zapłacić za następny dzień zajmowania tego placu, gdyby namiot stał jeszcze po północy.

Molloy nie zwrócił uwagi na ten dość niegościnnie lokalny przepis. — Mówiono mi, że mieli ze sobą jakieś dzikie zwierzęta.

— Kilka mieli. Nic nadzwyczajnego — odparł szeryf z miną znawcy. — Strasznie śmierdziały.

Molloy przesunął knykciami po blacie biurka. — A były też lwy? To właśnie chciałbym wiedzieć.

— Taaa, dwa, para. Oba w tej samej klatce. Lew i lwica, jak sądzę. Jeden był bardzo owłosiony na karku, a drugi nie. Nie wiem, po co tam były, bo w ogóle nie brały udziału w przedstawieniu. Po-

kazywano je tylko w klatce. Cały czas spały z łbami na podłodze. Mieli też małą, tresowaną zebra, ale ta to na siebie zarobiła. Dzieci na niej jeździły, po dwoje naraz...

Molloy spojrział przeciągle na swego wolno mówiącego informatora.
— Dokąd pojechali?

— Nie przypominam sobie, aby komuś o tym mówili. Po prostu zwinęli się i znikli.

Molloy był już przy drzwiach, jak ktoś, kto chce przerwać rozmowę, oddalając się od rozmówcy. — No, ale w którą stronę odjechali? Jaka drogą?

— Jest tylko jedna droga — stwierdził szeryf. — Z Fairfield do Hanoverii. Wiem, że w nocy nie przejeżdżali obok mojego domu, ponieważ nie spałem, bo dzieciaki bolały brzuchy od...

— Chyba nie pojechali tam, gdzie już byli — zauważył Molloy. — Z której strony tu do was przyjechali?

— Od strony Fairfield — odparł szeryf.

— A co znajduje się przy drodze w drugą stronę? W jakim miejscu najprawdopodobniej mogliby się zatrzymać najpierw?

— To, jak już mówiłem, mogła być Hanoveria.

Molloy wrócił do biurka, nie zważając na ciężkość tej całej konwersacji.

— Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu? — spytał i chwycił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

Szeryf sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego. Przymknął powieki jak ktoś, kto przeprowadza w myślach jakieś kalkulacje.

Molloy odwiesił słuchawkę po chwili rozmowy. — W Hanoverii twierdzą, że nie zatrzymując się, przejechali dziś rano o świcie. Jechali wolno. Jaka jest następna miejscowość?

Tym razem szeryf był już poważnie zaniepokojony. Nawet odsunął dalej telefon na biurku. Dalej od Molloya. — Może lepiej, żeby pan... Przyjechał pan samochodem?

— Tak. Tak, może lepiej, gdy pojedę za nimi — zgodził się Molloy. Ruszył do drzwi.

Szeryf odchrząknął znacząco. — Nie chcę panu zwracać uwagi, ale... no, wie pan, jak to jest... może będzie pan tędy znowu przejeżdżać, a może jednak nie...

— A, tak — rzekł Molloy ze zrozumieniem. — To ile za telefon? —
Był zbyt zaskoczony, aby się rozgniewać.

— No, stąd do Hanoverii jakieś siedemdziesiąt pięć centów, za
pierwsze trzy minuty...

Molloy wygrzebał z kieszeni spodni banknot i rzucił go na biurko. —
Nie trzeba reszty. Ładny interesik pan tu sobie prowadzi. — Wyszedł i
zamknął za sobą drzwi.

Wsiadł do samochodu — ciągle jeszcze był spocony po podróży tutaj, a
teraz nadal pocił się w drodze do Hanoverii. Zmiana biegów, zatoczenie
półkola z piskiem opon i Hampton znikło w dali.

Na drodze skrzyło się popołudniowe słońce, a krajobraz przypominał
jakąś gazetową reklamę — traktorów lub wyrobów mlecznych. Po
niebieskim niebie płynęły białe chmurki, a zza płotów wyglądały krowy.
W takiej scenerii przykro było myśleć o grożącym niebezpieczeństwie.

Hanoveria nie okazała się miejscowością większą niż Hampton. Około
pół tuzina domów stojących pod różnymi kątami. Przejechał, nie
zatrzymując się. Nie było sensu rozpytywać, jeśli oni się tu nie
zatrzymali. Nie mieliby zbyt wielu widzów.

Gdzieś za Hanoverią mignął położony z dala od szosy, samotny dom
farmerski. Wzdłuż drogi biegła metalowa bariera. Nic specjalnego.
Huśtała się na niej mała dziewczynka. Z domu wybiegła kobieta.
Chwyciła ją i zabrała, trzymając silnie pod pachą w pozycji poziomej, w
sposób typowy dla matki, która bardzo przestraszyła się o swoje dziecko.

Jednak w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego ta kobieta tak się
wystraszyła. Przecież nie chodziło tu o wysokość bariery, bo nawet gdyby
dziewczynka z niej spadła, i tak nie zrobiłaby sobie krzywdy. Nie miało to
również nic wspólnego z jego samochodem, bo gdy ją zauważył, już
dawno była daleko od bariery. A poza tym bariera nie znajdowała się
blisko drogi i dziecku nic nie groziło ze strony ewentualnie
przejeżdżających samochodów, których i tak na drodze nie było. Kobieta
miała zaciśnięte usta, nie krzyczała na dziewczynkę; wyglądało na to, że
nie chce się przed nią zdradzić ze swoim strachem. A ponadto kobieta
wcale nie patrzyła w stronę samochodu, ona patrzyła w stronę ciemnej
linii drzew gdzieś w tle.

„Strach? — zastanawiał się Molloy. — Przed czym?” Ale zaraz przestał o tym myśleć. To było jak kadr z jakiegoś filmu.

Potem znowu minął jakąś miejscowość. Nawet nie zauważył nazwy. Nigdzie nie było też śladu namiotów wędrownej trupy.

Pomyślał, że jest w tym coś dziwnego. Przejeżdżając przez tę miejscowość, z początku nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Wyczuwał jednak jakieś panujące tam napięcie. Mężczyźni stali dwójkami, trójkami i rozmawiali z ożywieniem. Spojrzeli na niego, gdy przejeżdżał, ale wyraźnie byli zainteresowani czymś innym. Prawie w każdym domu z okna na piętrze wyglądała kobieta. I te kobiety wyglądające przez okna wcale nie patrzyły w dół, na drogę, ale gdzieś w dal — na coś, co znajdowało się na poziomie okien. Patrzyły w stronę drzew rosnących na peryferiach. „Jeżeli widzi się kobiety robiące to w iluś domach — powiedział do siebie Molloy — to oznacza to po prostu zwykłą ciekawość. Ale jeżeli widzi się kobiety we wszystkich domach, to już oznacza coś innego”.

Za każdym razem, gdy zobaczył jakieś dziecko, zauważał też biegnącą do niego kobietę. Zastanawiał go ten strach o dzieci, który zdawał się promieniować na całą okolicę.

Zwiększył i tak dość znaczną szybkość, ale z początku nie zdał sobie z tego sprawy. Zauważył to dopiero, gdy zerknął na szybkościomierz.

Gdy dojeżdżał do następnej wioski, zapadał już zmierzch. Cała miejscowość była skąpana w purpurowej łunie zachodzącego słońca, a w zaułkach czaiła się już krepowa czerń. Takie same małe grupki, ale tym razem któryś z mieszkańców trzymał strzelbę; podawali ją sobie z rąk do rąk i oglądali, szacując. Inna grupa zebrała się wokół psa na smyczy. I nie było ani jednego dziecka. Okna zasłaniały okiennice, przez które zerkano ukradkiem. Jechał dalej, teraz już dosyć zaniepokojony. Pomyślał też, że jak na tę porę roku powietrze jest zbyt zimne i lepkie.

Po chwili na lewo zobaczył jakieś światła, były jeszcze słabo widoczne, ale uznał, że to z pewnością Thackery, następna miejscowość, która mogła go zainteresować. Zastanawiał się tylko, dlaczego te światła pojawiają się tak daleko od drogi. Jednak potem ujrzał, że jakoś dziwnie się poruszają. Te światła nie oznaczały żadnych zabudowań. Przemieszczały się z miejsca na miejsce, podnosi-

ły się, opadały i znowu się podnosiły. Były to światła pochodni niesionych przez ludzi, którzy czegoś szukają lub polują na coś w lesie.

Trzeba się przekonać, czego oni szukają w ciemnym lesie. Wjechał do Thackery z pełną szybkością na długich światłach, które oświetlały całą długość głównej ulicy; zatrzymał się.

Wokół panował gorączkowy ruch. W samym środku dostrzegł namiot trupy wędrowniej. Wreszcie ich dopadł. Ale widok przypominał krajobraz po przejściu trąby powietrznej. Kilka namiotów leżało na ziemi.

Siedzenia widzów powywracane, a parasole w czerwone pasy ponieważ się podarte, z wystającymi drutami. Jeden z wozów, z oderwanym kołem, przechylał się na bok. Na ziemi było mnóstwo torebek z prażoną kukurydzą, które zostały stratowane przez uciekający w panice tłum. Tu i ówdzie leżały podziurawione baloniki. Jeden z nich, ciągle jeszcze nadmuchany, powiewał zawieszony na sznurku na dachu pobliskiego domu. W innym miejscu leżał rozdeptany męski kapelusz słomkowy. Wsiadł i zaczął iść wśród tego całego bałaganu. Wyglądało na to, że wszyscy ukryli się w domach. Wreszcie zauważył kogoś, kto rozglądał się wokoło tak jak on, więc podszedł do niego od tyłu i pociągnął go za rękaw. — Hej, co tu się właściwie stało?

Ten człowiek nadal wbijał wzrok w ziemię. Zachowywał się tak, jakby to pytanie było zupełnie nie na miejscu.

— A pan gdzie się podziewał? — odpowiedział ironicznie.

— Nie było mnie tu. Inaczej nie pytałbym pana. Mężczyzna nadal wpatrywał się w ziemię. — Uciekła para tych przeklętych stworzeń. Wpadły w środek tłumy.

— Jakich przeklętych stworzeń?

Mężczyzna nagle zmienił temat: — Właśnie kazałem go naprawić. Siedemnaście kamieni. I wyobraź pan sobie, został zerwany z mojej ręki. A razem z nim cały rękaw, aż do kołnierza. — Podniósł coś z ziemi. — O, tu jest mój rękaw. Ale nie ma zegarka.

Molloy chciał wiedzieć dokładnie. Chciał to wreszcie usłyszeć.

— Co to były za stworzenia? — zapytał ochrypłym głosem.

— Lwy... — odparł mężczyzna. — Innych by się tak nie bali. Molloy puścił jego rękaw, a właściwie odepchnął go od siebie.

— Lwy — powiedział gwałtownie. — Mnie też o nie chodzi.

Mężczyzna poszedł dalej, świecąc przy ziemi zapalkami.

— Czy ktoś został ranny?

— Jest z tego mnóstwo guzów i sińców...

— A one, kogo one zraniły?

— Tylko jednego faceta, tego, co się nimi opiekował. Tylko on się do nich *zbliżył*. Wszyscy inni mieli dość rozsądku, żeby prysnąć, i to szybko.

— Kto to widział na własne oczy?

Mężczyzna wzruszył ramionami. — To dobre pytanie — zgodził się.

— No dobrze. A gdzie teraz jest ten ich opiekun?

— Leży w domu pastora. Zabrali go zaraz po wypadku. Nie mamy tu szpitala. Dzisiaj wieczorem zawiozą go do...

— Pokaże mi pan, gdzie jest ten dom pastora?

— Niech się pan zwróci do kogoś innego — odpowiedział niegrzecznie. — Ja muszę teraz znaleźć swój zegarek.

— No to niech go pan dobrze szuka — rzucił opryskliwie Molloy. Zostawił tego mężczyznę siedzącego na ziemi z szeroko rozłożonymi nogami.

Patrząc potem na opiekuna lwów, odniósł wrażenie, że pokrywała go większa ilość bandażu, niż to było konieczne, i że był bardziej przygnębiony, niż zasługiwał na to stan, w jakim się znajdował. Leżał na składanym łóżku w frontowym salonie pastora, w towarzystwie opiekuńczych kobiet z trzech pokoleń, sprzeczącących się o rodzaj pierwszej pomocy, jakiej należałoby udzielić.

— Z tobą, mamo, zawsze jest kłopot. Nigdy nie wiesz, kiedy skończyć bandażowanie. Ma rozcięcie przy ramieniu, a ty zabandażowałaś go prawie do samych palców.

Molloyowi udało się niepostrzeżenie przenieść tę dyskusję do holu i został sam ze świadkiem zdarzenia. Zanim zdążył zadać tamtemu pierwsze pytanie, rozejrzał się jeszcze wokoło. Pokój rozjaśniła lampa naftowa z mlecznym kloszem. Wokół klosza biegł wianuszek fiołków, a może niezapominajek, które rzucały cętki na ich twarze i ściany.

Treser był wyraźnie przygnębiony, wiercił się na tyle żwawo, na ile pozwalały mu skrępowane ramiona, ale jego zdenerwowanie nie wynikało z przymusowego przebywania w pokoju.

— Zastrzelili Emmę — jęczał, krzywiąc się, jakby zamierzał się rozpłakać. — Zastrzelili ją. Nie musieli tego robić. Mogli inaczej.

— A czego się pan spodziewał? Mieli jej postawić miseczkę z mlekiem? Te zwierzęta są groźne.

— Ale nie *musieli* jej zabijać — upierał się treser. — Ona sama nikogo nie skrzywdziła...

— Nie? — spytał sucho Molloy. — A skąd te pańskie zadrapania? Przewrócił się pan na grabie?

— Przestraszyła się. Wszyscy potwornie wrzeszczeli, biegali dookoła. Była bardziej przestraszona od nich. I to wszystko.

— Każde zwierzę, które atakuje człowieka, robi to ze strachu — powiedział Molloy. — I to nie znaczy, że dlatego jest mniej niebezpieczne. Ale nie przyszedłem tu o tym rozmawiać. Jak do tego doszło?

— Nie mam pojęcia, proszę pana, nie wiem — odparł treser, próbując zasłonić się przed światłem zabandażowaną ręką.

— Pan musi wiedzieć. Przecież to pan się nimi opiekował. Cały czas niby spały, nawet nie unosiły pysków z podłogi. Rozmawiałem z człowiekiem, który je widział. Dlaczego nagle wpadły w szal, czy coś takiego? I dlaczego właśnie tutaj? Kiedy to miało miejsce?

— Nie mam pojęcia, proszę pana. Już prawie kończyło się przedstawienie popołudniowe, a ja nie tkwię przy klatce bez przerwy. Od czasu do czasu pójde sobie z kimś pogadać. Byłem naprawdę parę kroków dalej. Nagle usłyszałem jakiś trzask, coś jakby wystrzeliła petarda, ale nie zwróciłem na to uwagi. Mnóstwo dzieci rzucało je dookoła. A poza tym mamy też namiot, w którym jest strzelnica, a tam też wciąż strzelają. Potem usłyszałem krzyk kobiety i zanim zdążyłem się obejrzeć, oba lwy były już na zewnątrz. Wyszły bocznymi drzwiami, tymi, których ja używam, i jeden za drugim zbiegły po drabinie. Ta drabina ma tylko kilka szczebli. Jeden pobiegł w jedną stronę, a drugi w przeciwną. Próbowałem przeciąć drogę Emmie, wtedy uderzyła mnie łapą kilka razy, przewróciłem się; ona pognęła z szybkością błyskawicy.

— Kiedy pan był ostatni raz w klatce?

— Zaraz po rozbiciu namiotów dałem im wodę. Nigdy się ich nie karmi przed spektaklem. Są potem ospałe i widzowie narzekają, że zostali oszukani. Zawsze je karmię po przedstawieniu.

— Czy dobrze zamknął pan za sobą boczne drzwi?

— Panie, ja przez siedem lat wchodziłem i wychodziłem z tej klatki. Nigdy nie zostawiłem drzwi otwartych. Tu, przy pasku, mam zawieszony klucze... niech pan tam spojrzy, na tę sofę.

— Jak działa ten zamek? Jak on wygląda?

— Łańcuch z kłódką. Podróżując z nimi, od lat niczego innego nie stosowałem. To nie było potrzebne.

— Aż do teraz — poprawiając go, mruknął cicho do siebie Molloy. — Zauważył pan kogoś, kto krążył lub zatrzymywał się przy klatce przed tym zdarzeniem?

— Wszyscy to robili, przecież na tym polega nasz interes, właśnie w ten sposób zarabiamy pieniądze.

— Nie miałem na myśli zwykłych widzów. Mnie chodzi o kogoś, kto krążyłby stale, zatrzymywał się zbyt długo.

— Tak, *był* jakiś facet, który je trochę drażnił — przyznał treser. — Ale to było normalne. Prawie zawsze znajdują się tacy. Czasem jakiś półgłówek próbuje w ten sposób doznać podniecia, bierze kij, wpycha go do klatki albo... — I on właśnie to robił?

— Nie. Wpierw zauważyłem, że przez jakiś czas tkwi przed klatką jak wrośnięty. Z początku nie zwracałem na to uwagi; myślałem, że jest nimi po prostu zafascynowany. Potem zauważyłem, że jest jakiś niespokojny. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem, że drażni je jakimś materiałem, podobnym do skrawka damskiej sukienki. Kładł go na skraju klatki, między pręty, a potem, gdy próbowały zgarnąć go łapą i zniżały pyski, wyciągał go z powrotem. Tego rodzaju zabawa, to jak powiewanie czerwoną płachtą przed bykiem — no, wie pan, to rozdrażni każde zwierzę. — I co pan zrobił?

— Niewiele. Jak już powiedziałem, wszędzie, dokąd przyjeżdżamy, mamy takich mądrali. Chwyciłem go za ramiona, odsunąłem, popchnąłem, aż się potknął, i powiedziałem: „Spływasz stąd, bratku”. Zabrał tyłek i gdzieś zniknął.

— Jak wyglądał?

— Taki zwykły wieśniak o okrągłej gębie. Nie mogę go dokładniej opisać, nie zwróciłem na niego szczególnej uwagi.

— A czy wtedy sprawdził pan kłódkę i łańcuch?

— Nie, dlaczego miałbym to robić? Jego tam nie było, on stał przed klatką.

Molloy skrzywił się sarkastycznie. — Pan troskliwie opiekował się tymi zwierzętami? — podpuszczał go.

— Ale kto chciałby zabawiać się otwarciem klatki z lwami? — zapytał płacząco. — Po to, żeby je celowo wypuścić na wolność?

— To, że pan nie może na to odpowiedzieć, nie oznacza, że coś podobnego nie mogło się jednak wydarzyć. — Molloy stał już przy drzwiach. — Sądzę, że to wszystko.

Leżący wrócił do swoich poprzednich lamentów, okraszając je pełnym cierpienia grymasem twarzy, jak ktoś, kto utracił kogoś najbliższego.

„Zastrzelili Emmę — przypomniał sobie Molloy. — Nie musieli tego robić. Mogli inaczej...”

(...) Osobiście wszedłem potem do klatki, obejrzałem ją i oto co tam znalazłem, panie poruczniku. Końcowe ogniwo łańcucha, to, na które założono kłódkę, było tak nadpiłowane, że wystarczyło lekkie szarpnięcie, aby je przerwać, a z drugiego boku kłódky ogniwo było rozszerzone, najwyraźniej za pomocą obciążników, tak że powstała przerwa umożliwiająca zdjęcie kłódky. Ogniwa łańcucha były dość grube i mocne. Cały łańcuch poczerniał już od starości, ale na tym ogniwie widać było świeży, błyszczący ślad piłowania. Z podłogi zebrałem pełną kopertę opiłków.

— Jasne. I co?

— Od wewnątrz drzwi, od środka klatki, są świeże ślady pazurów. Te drzwi są drewniane. Wygląda na to, że jedno ze zwierząt rzuciło się na nie przestraszone — podobnie jak zwykły kot, gdy chce wyjść z zamknięcia.

— Mów dalej.

— No, rozumie pan, gdy się przestraszy. I kiedy wszedłem do klatki, znalazłem na podłodze kilka kawałków nadpalonego czerwonego papieru. Mam je dla pana.

— Co o nich sądzisz?

— To co wszyscy. To są pozostałości zwykłej petardy, którą z pewnością ukradkiem wrzucono do klatki.

(Usłyszał w słuchawce, jak McManus zagwizdał.)

— Sprzedawano je przez całe popołudnie w jednym z namiotów podczas przedstawienia. Jednak nie było tam żadnych dużych petard lub fajerwerków, tylko same małe. Sprawdziłem je i stwierdziłem, że sprzedano tylko dwa duże. Jeden dziecku, które miało siedem albo osiem lat. Drugi kupił dorosły, który twierdził, że to dla dziecka, ale żadnego dziecka z nim nie było.

— Czy dowiedziałeś się czegoś o tym dorosłym?

— Same ogólne. Ale z dwóch źródeł, od sprzedawcy i od tresera zwierząt. I chociaż oba opisy nie są dokładne, jednak z grubsza pokrywają się. Dlatego doszedłem do wniosku, że to ten sam człowiek.

— Wobec tego ucieczka zwierząt nie była przypadkowa. Z całą wręcz pewnością ta ucieczka nie była przypadkowa.

— I jeden lew został zastrzelony.

— Tak, jeden został zastrzelony.

— Ale drugi pozostaje na wolności.

— Tak, ten większy ciągle jeszcze jest na wolności. *(Kłopotliwa przerwa)* — To wszystko bardzo mi się nie podoba.

Teraz mamy i prawdziwego, i alegorycznego lwa. Musimy zająć się jednym i drugim. Zostaniesz na miejscu, Molloy. Masz mieć na wszystko oko i informować mnie. Ja natychmiast skontaktuję się z Shawnem i uprzedzę go o ewentualności stawienia czoła realnemu, żywemu zwierzęciu.

13

OCZEKIWANIE: OSTATNIA KOLACJA

Shawn wytarł brzytwę i odłożył na miejsce. Zamknął cicho szafkę łazienkową i wyjął klucz. Wziął z półeczki butelkę wody po goleniu, skropił nią dłoń, zmoczył od niej drugą dłoń i przyłożył obie do twarzy Reida. Zrobił to nieco niezręcznie, rozlewając po drodze trochę płynu. Potem delikatnie poklepał jego twarz rękawiczką.

— Jakoś mi się udało — oświadczył z zadowoleniem. — Biorąc pod uwagę, że nigdy dotąd nikogo nie goliłem. Nawet nigdzie pana nie zadrapałem. — Podniósł puszkę. — Używa pan talku?

Reid potrząsnął przecząco głową. — Mogłem zrobić to sam — powiedział sucho. — Ale pan bał się dać mi brzytwę do ręki.

— Proszę spojrzeć na swoje ręce — powiedział Shawn z łagodną wymówką.

Jedna ręka, która spoczywała, drżąc, na brzegu umywalki, osunęła się; Reid skrył ją pod ręcznikiem leżącym na ramieniu.

— Panu nie chodziło o to, że moje ręce będą niezgrabne — powiedział Reid — pan się bał, że będą zbyt szybkie i zbyt pewne.

— Ależ... — wycedził uspokajająco Shawn.

— I po co to wszystko? — dopytywał się Reid. — Sądziłem, że zwykle goli się dopiero zwłoki. Mógł pan oszczędzić sobie fatygi. Mógł to zrobić grabarz...

Shawn udał, że nie słyszy. Jego kciuk spoczywał na wyłączniku światła i gasząc je, policjant przerwał rozmowę.

Uniósł Reida ze stołeczka, na którym siedział w czasie golenia, odłożył ręcznik i zaprowadził go do jasno oświetlonej sypialni.

— Wszystkie rzeczy poukładałem na łóżku. Będzie pan mógł sam się ubrać? Potem pomogę panu założyć spinki. Ja też muszę się przebrać.

Niedługo musimy zejść na dół.

— W strój wieczorowy? — spytał drżącym głosem Reid.

— Urządzamy we trójkę małe przyjęcie — uspokoił go Shawn.

— I obaj musimy prezentować się elegancko. Chcemy jej pokazać, że my, mężczyźni, też potrafimy się wystroić, czyż nie? Przyjdę za dziesięć minut. Reid wyciągnął za nim ręce, chcąc go pochwycić, ale nie zdążył.

— Czy okna są dobrze zamknięte? — wyszeptał trwożliwie.

Shawn podszedł i sprawdził zamki. — Zamknięte na mur — oświadczył.

Wrócił do drzwi, otworzył je i odwrócił głowę pytająco.

— Będę naprzeciwko, w swoim pokoju. Czy chce pan, żebym zostawił drzwi otwarte tak, aby mógł pan mnie zobaczyć?

— Nie — odparł niechętnie Reid. — Jest wystarczająco bezpiecznie... jeszcze czas, jak sądzę.

— Teraz jest... — zaczął mechanicznie Shawn.

— Nie ma jeszcze siódmej, prawda?

— Przecież miał pan nie pytać o godzinę — odparł cierpliwie Shawn.
— Pan nie dotrzymuje naszej umowy.

— Jaka to wspaniała godzina, ta siódma wieczór! Gdyby taka godzina zechciała pozostać na zawsze. — Załamał błagalnie ręce.

— Niech się pan lepiej zajmie swoją koszulą — rzucił Shawn z profesjonalną bystrością. — Wrócę za dziesięć minut.

Zamknął za sobą drzwi, ale kosztowało go to wiele wysiłku. Jego twarz zmieniła się. Zniknął z niej wyraz bez troski. Shawn już się nie uśmiechał. Jego twarz była zmęczona, z wyrazem beznadziei. Przerazenie nadchodziło z zewnątrz, przerazenie, które widział u Reida.

Przetarł ręką usta, jakby długotrwałe uśmiechanie się zmęczyło jego napięte mięśnie.

W swoim pokoju ogolił się szybko i niezbyt dokładnie, prawie nie patrząc w lustro. Kilka razy przeczesał włosy grzebieniem, przeciągnął ręcznikiem po karku i zaczął się przygotowywać do założenia garnituru wieczorowego. Tego rodzaju strój miał na sobie tylko dwa razy w życiu.

Po kilku nieudanych próbach zawiązania krawata zaniechał założenia go, wrócił do drzwi pokoju Reida i zajrzał do środka. Kiedy światło z pokoju padło na jego twarz, pojawił się na niej uśmiech.

— Jak leci? — zapytał. — Będę musiał na minutę zbiec na dół i spytać, czy panna Reid pomoże mi z tym krawatem. Wszystko w porządku?

Reid siedział smętny na brzegu łóżka, z koszulą złożoną na kolanach. Najwyraźniej dopiero przed chwilą skończył zakładanie spinek, ale zapomniał — albo to odkładał — o następnej czynności, o włożeniu koszuli. Był całkowicie otepiały.

Teraz szybko spojrzął na Shawna i skulił się w sobie. Przez jego wyniszczoną twarz przebiegł skurecz strachu.

— Wróci pan zaraz?

Shawn nauczył się nie podchodzić za blisko, chyba że zamierzał spędzić z nim więcej czasu. Wówczas Reid „przyklejał się” do niego i trudno było zostawić go bez użycia całkiem niepotrzebnej brutalności. Nie wszedł do środka, pozostał na zewnątrz otwartych drzwi.

— Zaraz wracam. Będę niedaleko, u stóp schodów.

— Ale tym razem niech pan zostawi drzwi otwarte. Teraz nie będzie pan tak blisko jak przedtem.

— Tak jest. — Shawn uśmiechnął się do niego szeroko i pomyślał: Na co może zdać się taki uśmiech? Uśmiech na twarzy nie zmieni innego faceta w bohatera. Ale nie znam innego sposobu.

Rozwarł szeroko drzwi i przyklepał jeszcze, jakby chciał je przypiętować do ściany.

— A co by pan powiedział na coś mocniejszego? Mogę na dole coś przygotować. Co pan chce? Martini, manhattan, cuba libre?

Reid zaczął się śmiać. Bezdźwięcznie, pantomimicznie. Ale nie była to zbyt dobra gra. Śmiech szybko zmienił się w płaczliwy grymas, akompaniament do płaczliwego dźwięku, którego jednak nie wydał z siebie. Shawn odwrócił się nagle, jakby zdając sobie sprawę, że w tym momencie nie poradzi sobie z tym; chciał przed tym umknąć, udając, że nic nie zauważył. Zbiegł ze schodów bardziej hałaśliwie, niż to było konieczne. Boże Wszechmogący! Dzisiejszy wieczór będzie prawdziwym piekłem, a to jest dopiero początek.

Przeszedł przez jasno oświetloną jadalnię, minął krótki korytarzyk wiodący do spiżarni i znalazł ją w kuchni. Stała przy stole i energicznie ubijała coś w misce. Ubrała się dużo wcześniej od nich. Była już w sukni wieczorowej. Ale z tyłu mógł jedynie zauważyć, że była to suknia z jakiegoś materiału przetykanego srebrną nitką. Przewiązała się w pasie obszernym, o wiele na nią za dużym fartuchem, który najwyraźniej należał do kucharki.

— Jak on się czuje? — spytała.

— Źle — odparł. — Będziemy mieli dużo roboty. — Rozejrzał się po kuchni. — Sama to zrobiłaś?

— Wszystko zostawili przygotowane. Powiedziałam, że dokończę sama. A te obecne piece są naprawdę wspaniałe. Można je nastawić jak w zegarku. Dziękuję Bogu za te zajęcia, przynajmniej nie myślę. — Spróbowała jakiejś potrawy czubkiem palca. — Jak ci się podoba stół?

— Nie zwróciłem na niego uwagi — przyznał się.

— Pracowałam nad nim ponad pół godziny. Nie mogłam użyć ani świec, ani kwiatów; bałam się ich... znaczenia.

— Przyszło mi na myśl, że na minutę zejść i wszystko z tobą ustale. Potem możemy już nie mieć na to czasu. A musimy to odpowiednio zaaranżować. — Kilka razy pstryknął palcami. — Nie mo-

żemy mu pozwolić, aby za dużo się zastanawiał. Musimy się trochę wygłupiać, ale musimy działać zgodnie.

— Wiem, wiem — odparła, zagryzając w udreće usta i pozwalając na moment opaść powiekom.

— Poradzisz sobie? To ważne. Widzisz, teraz nadchodzi decydujący moment. Ta kolacja będzie zupełnie inna niż poprzednia. A jutro, miejmy nadzieję, to wszystko się skończy. Najważniejsza jest dzisiejsza kolacja. To może być przerażające, ale też może być...

— Czy nie uważasz, że trochę siebie przeceniamy? Może tak bardzo to podkreślając, wskazujemy na fakt, że to ostatni posiłek przed...

— On i tak będzie o tym pamiętał, nawet gdybyśmy zachowywali się jak najzwyczajniej. Jeżeli uda nam się odwrócić jego uwagę, to tylko przy użyciu tych wszystkich zabezpieczeń i pułapek. Nie zapominaj, że walczymy ze śmiercią, z samą śmiercią. Nie mówię o tym, co on sobie myśli, ale mam na myśli tę śmierć, która tkwi już w *nim* samym. Spróbuj, Jean, spróbuj. Możesz spróbować?

Skinęła głową w milczeniu. Bał się, że zacznie płakać, dostrzegł, że jej oczy zwilgotniały.

— Przygotuję teraz koktajle. Potrzebujemy czegoś mocniejszego, zanim wrócę po niego na górę.

— Ale zanim tam pójdziesz, zejź na chwilę do piwnicy. Tu jest klucz. Chciałabym, żebyś mi przyniósł... Znasz się na gatunkach win?

— Nie — przyznał szczerze.

— Zobaczysz tam otwartą skrzynkę z napisem: „Veuve Clicquot 1928. Champagne”.

— Czyli szampan?

— Tak. Przynieś ze trzy butelki.

— Trzy? Czy nie za dużo?

— Nie, to nie jest mocne. Jeżeli mamy szansę jakoś się rozweselić, to może to sprawić tylko ten szampan.

Zatrzymał się w drzwiach i zawrócił. — A jakie są jego ulubione płyty? Dobrze gdyby były przygotowane przy adapterze...

— Ostatnio często słuchał „Danse Macabre” Saint-Saensa, ale wczoraj wyrzuciłam tę płytę. Musisz bardzo uważać. Wystarczy coś do tańca, dla mnie i dla ciebie. To, co on lubi, będzie mu przypomi-

nało, że już więcej może tego nie usłyszeć. A to gotowe nam wszystko popsuć.

Po napełnieniu shakera, przyniesieniu butelek szampana i ustawieniu ich w kubelku z lodem znowu spojrzał na nią.

— Wszystko przygotowane? Idę po niego.

— Twój krawat...

— Och, zapomniałem. Nieważne. Należę do tych nielicznych mężczyzn, którzy nie potrafią zawiązać krawata.

— Mogę to zrobić.

Ich twarze na moment znalazły się blisko siebie.

Cofnęła się o krok i spojrzała na niego z aprobatą. A potem zapytała: — A ja? Wszystko w porządku? — Nie było w tym kokieterii, tylko niepokój i żal.

— Wyglądasz wspaniale. A teraz napij się. To cię uspokoi. Spojrzała na szklankę z alkoholem. Potem przysunęła ją do tej, którą trzymał w ręku. — Za to, co mamy zrobić.

— Za to, co nas czeka — uzupełnił. Odstawili szklanki.

I wtedy powiedziała: — Tom, nie zrozum mnie źle, ale chcę, żebyś pocałował mnie, zanim to się zacznie. Dodaj mi odwagi. Jego nie mogę o to prosić. Chcę, żeby pocałował mnie ktoś silniejszy ode mnie...

— Chciałbym być od ciebie silniejszy — odpowiedział. Ich wargi ledwo się dotknęły.

— Za to, co nas czeka — wyszeptała.

— Za to, co nas czeka.

Otworzyła oczy. Trochę zanadto błyszczały. Ale uśmiechnęła się z ufnością. — Teraz możesz już iść i sprowadzić go na dół — orzekła.

Czekała na nich w jadalni. Zdjęła obszerny fartuch kuchenny. Wyglądała oszałamiająco w srebrnej sukni z aksamitną granatową kokardą na ramieniu i na biodrze. Uśmiechała się, tak jak Shawn, tylko z większym wdziękiem. Poza tym w jej uśmiechu było więcej ciepła.

Zagryzała przy tym solone migdały, jak beztroska kobieta, która przy stole oczekuje nadejścia gości. Skąpana w jasnym świetle była naprawdę piękna. Prezentowała się wspaniale, bez trudu mogłaby złamać każde męskie serce.

Schodzili po schodach wolno, stopień za stopniem, Shawn podpierał go, podtrzymując pod łokciem i za przegub dłoni. Z drugiej strony Reid trzymał się poręczy, która stanowiła stabilną podpórę.

Stracili ją z oczu na półpiętrze, ale kiedy podeszli bliżej, znowu się ukazała.

Nie poruszyła się. Jej widok zdawał się rozjaśniać pokój.

Shawn pomyślał, że oddałby życie za jeszcze jedno spojrzenie na nią, a potem może też... Ale szybko zmitygował się, jakby teraz nie miał prawa o tym myśleć.

Skłoniła się z przesadną swobodą.

— Panowie — powiedziała na powitanie.

Podeszła do nich. Pocałowała Reida w policzek. — Dobry wieczór — dodała udając, że chce też pocałować Shawna. — Ciebie również witam. — W ostatniej chwili odwróciła twarz. — No, no...

— poskarżyła się żartobliwie — ależ ja jestem rozkojarzona.

— Pięknie wyglądasz — zauważył Reid.

— A drugi gość nic mi nie powie?

— Przytaknie — rzucił wesoło Shawn.

— Muszę wam wierzyć. — I mrugnęła ukradkiem w stronę ojca. — Choć intrygujące byłoby, gdyby jakiś dżentelmen podszedł do miłej, młodej panienki, właśnie przy takim jak ten stole, i nagle stwierdził: „Wyglądasz beznadziejnie!”?

— Założę się, że paru mężów już tak postąpiło — dodał Shawn.

— Założę się też, że gdyby ktokolwiek powiedział tak teraz, miałby podbite oko.

— To jednak również psułoby przyjęcie, nie sądzisz? — odcięła się.

Usta Reida bezwiednie ułożyły się do uśmiechu.

Ukradkiem trąciła czubek buta Shawna. Wiedział, co to oznacza. Ktoś mógłby sądzić, że przesadzają, ale do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem.

— Czy już teraz wypijemy koktajle? — zapytał.

— Tak. Przynieś shaker. W ten sposób nie będziemy musieli chodzić do drugiego pokoju i z powrotem.

Kiedy rozłączyli się i zaczęli krążyć po pokoju, udało jej się szepnąć:
— Bo w tamtym pokoju jest zegar...

Shawn przygotował koktajl i rozlał do kieliszków.

Stali teraz przy shakerze. Ona obejmowała Reida w pasie. Shawn stał z drugiego boku, z ręką spoczywającą na jego opuszczonym ramieniu. Trzymali w dłoniach małe lejkowate kieliszki wypełnione różowym płynem.

Uniosła swój kieliszek do światła. — Kto wzniesie toast?

— Pomyślności! — powiedział Shawn.

Trącili się kieliszkami. Ilość różowego płynu zmniejszyła się o połowę.

— Tb co, dolewamy? I kolejny toast?... Nie sądzicie, że dzisiaj zachowuję się okropnie? — zapytała.

— A kiedy zachowujesz się tak okropnie, jesteś naprawdę piękna — odparł cicho Shawn.

— Ale kiedy zachowuję się poprawnie, jestem bardzo samotna. No to, do dna! Trącili się kieliszkami.

Coś się stało. Shawn i Jean nadal trzymali w rękach kieliszki z różowym płynem. Ale w dłoni Reida pozostała tylko nóżka. Kilka małych kawałeczków szkła leżało na podłodze w wilgotnej plamie przy jego stopach.

Nastąpiło skonsternowane, porozumiewawcze spojrzenie między nią a Shawnem.

Potem odezwała się tak szybko, że się zakrztusiła i pierwsze słowa uwięzły jej w gardle: — ...ewnie dobry znak.

Shawn zacisnął kciuk, rozległ się suchy trzask i on również trzymał w ręku tylko nóżkę kieliszka. Ale jego odłupana część leżała nietknięta na podłodze; nie stłukła się.

Przełknęła swojego drinka, a potem rozmyślnie uderzyła kieliszkiem o kant bufetu. Tym razem roztrzaskał się na drobne kawałki. — No to mamy toast na szczęście.

Dziwna obawa owładnęła nią i Shawnem.

Shawn wysunął stopę i popchnął nią w kąt resztki szkła.

Twarz Reida pozostała bez wyrazu. Jego oczy pozostały nieruchome, jakby zostały wkomponowane w twarz namalowaną na płótnie. Odwrócił się do Shawna.

— Wyście wasze stłukli rozmyślnie — powiedział cicho. — Mój pękł sam.

Odeszła od nich szybko. Obróciła się, zarzucając szerokim kręgiem spódnicy, co przyciągnęło ich uwagę, jakby oglądali rozwijające się od środka płatki kwiatu.

— No, zaczynajmy. Już dość długo tu tkwimy. — Tanecznym krokiem poszła w kierunku krzesła i przechodząc dotknęła go. — Tom, ty tutaj. — Dotknęła drugiego. — A ty na swoim zwykłym miejscu, ojcze. Zaraz wasza nowa Gretchen przyniesie zupeę.

— Mogę ci pomóc — zaofiarował się Shawn.

Posłała mu krótkie spojrzenie, które oznaczało: „Nie zostawiaj ojca samego”. Uśmiechnęła się bez troski.

— Przyjęcie, na którym każdy jest kelnerem przypomina posiłek w koszarach — powiedziała i pobiegła w stronę kuchni.

— No i dostałem kosza — skarżył się Shawn, siadając. Wróciła bardzo szybko; niosła zupeę, idąc tyłem i popychając wahadłowe drzwi przed sobą.

— W tym miejscu najprościej narobić sobie siniaków — stwierdziła.

— W jakim miejscu? — zainteresował się Shawn. Wyprostowała się sztywno. — Coż za niesforne myśli, Tom....

— Ależ ja nic takiego nie myślałem.

— Akurat, nie wierzę ci.

— Choć przy tobie to bardzo trudne — przyznał Shawn. Oboje zerknęli kątem oczu na Reida, jakby chcieli sprawdzić, jaki efekt wywarły ich przekomarzanki.

Jego oczy na moment ożyły. Chore, ale żyjące. Nawet trochę wzruszał ramionami; chciał się zaśmiać, ale był za słaby, żeby uzewnętrznić jakiegokolwiek uczucia. Shawn wstał i odsunął jej krzesło.

— Skoro tak, to może się nie zbliżaj — rzekła zadziornie. Reid potrząsnął głową. Ciszę zakłócił gardłowy dźwięk, który przypominał śmiech.

W jadalni było bardzo jasno. Stół, nakryty śnieżnobiałym obrusem, wyglądał jak zalany słońcem, kryształ skrzyły się w świetle, srebra lśniły jak lusterka, a potem nastąpił jeszcze miły powiew bieli, gdy rozkładali serwetki. Do tego diament na palcu Jean

błyszczał jak jądro słoneczne, otoczone aureolą migotliwej zieleni i czerwieni.

— Świetna zupa — pochwalił Shawn.

— Nazywa się „creme de la creme de la creme”.

— O jeden „de la creme” za dużo.

— Ściśle mówiąc i tak już skróciłam nazwę.

Zapanowała krótka cisza. Nic dziwnego ani sztucznego przy posiłku. Ale na skutek tego do jadalni przeniknął pewien dźwięk z zewnątrz i stał się słyszalny, zanim zdążyli go zagłuszyć. Był bardzo słaby: tykanie dużego zegara w drugim pokoju. Perwersyjnie głośny, dotarł w najmniej odpowiedniej chwili, za sprawą jakiegoś dziwnego zjawiska akustycznego, albo może dlatego, że ich uszy były na niego bardzo wyczulone.

Dotknęła czubkiem buta nogi Shawna. — Drzwi — szepnęła. — Szybko. — A potem zaczęła hałasować talerzem i sztućcami, aby ten dźwięk zagłuszyć.

Wstał z krzesła, okrążył stół i wracając niepostrzeżenie, domknął drzwi. Dźwięk ustał.

Teraz ona wstała i powiedziała do siebie: — No cóż, Gretchen, możesz zebrać talerze. Służba też musi mieć wolne, by gdzieś wydać tygodniówkę...

Tym razem wyszła bokiem, używając łokcia.

Uśmiech Reida był zaledwie słabym grymasem towarzyszącym gromkiemu śmiechowi Shawna.

Drzwi wahadłowe uchyliły się i Jean zajrzała do jadalni z żalowaną miną.

— Obawiam się, że do mojego dania głównego będę potrzebowała tragarza. Tym razem pozwolę ci, abyś mi pomógł.

Natychmiast ręka Reida wysunęła się ku ręce Shawna, spoczywającej na stole, i próbowała zatrzymać ją na miejscu. — Nie odchodźcie oboje jednocześnie. Nie zostawiajcie mnie tu samego.

— Ja tam wcale nie pójdę — przyrzekł Shawn. — Stanę przy drzwiach. Cały czas będzie mnie pan widział. Podaj mi talerze — zwrócił się do niej — postawię je na stole. Wróciła do stołu razem z nim.

— Pokroisz dla nas? — zwróciła się z ożywieniem do Reida. Potem ich oczy, jej i Shawna, powiodły w stronę ostrego noża.

— Ach, może jednak ja to zrobię — powiedziała i zabrała się do krojenia. — Wiecie, jedynym pożytkiem z tego, że Weeks... hm... wziął sobie dziś wolne, jest fakt, że krojąc osobiście będę miała pewność, że dostanę taki kawałek, jaki naprawdę chcę. On zawsze tak wymownie na mnie patrzył.

— Weeks już nie wróci — rzekł ponuro Reid.

— Dlaczego? Ależ wróci, wróci! — udała zaskoczenie. — Poprosił tylko, żebym mu dała wolne na dzisiejszy wieczór. Będzie już jutro...

Shawn cicho chrząknął.

— Możesz teraz podać szampana, Tom, i zajmij się nalewaniem

— powiedziała szybko. — Będzie do tego odpowiedni.

Shawn zwrócił się do Reida z wyrazem zadowolenia na twarzy.

— Słyszał pan, jaka miła się robi dla mnie?

— I to przed szampanem — odparowała. — Możesz sobie wyobrazić, jaka będę dla ciebie miła po szampanie!

Oboje mówili tak szybko, jakby brali udział w konkursie szybkiego mówienia. Ale to nie działało specjalnie na Reida.

Shawn wyszedł i wrócił z szampanem. Otworzył go. Korek odbił się od przeciwległej ściany i podskoczył na podłodze.

Shawn napełnił kieliszki. — Ależ się pieni! I chyba nie tylko on sam tutaj...

— Zobacz jednak, jak się szybko uspokoił...

— Nie dam się nabrać. Usiedli.

Odegrali tę scenę znowu dla Reida. Na próżno.

Tym razem nie trącili się kieliszkami. Co być może, zamiast wymazać z pamięci poprzednią taką sytuację, jeszcze bardziej ją uwypukliło.

— No, to zdrowie nas wszystkich — powiedziała wtedy z ożywieniem.

— Jesteś ty i ja... Zaczekaj chwilkę, muszę sprawdzić. — Wyciągnęła rękę i chwyciła ramię Shawna. — Trochę sztywny, ale też jesteś.

— Zostaw już tego chłopaka w spokoju — wtrącił słabo Reid. — On jest w porządku. — Nawet spróbował mrugnąć przyjaźnie do Shawna.

Natychmiast trąciła pod stołem nogę Shawna z triumfem.

— Och, biedna, bezbronna dziecina — ironizowała. — A on cały taki przecież...

— No dalej, dokończ — rzucił wyzywająco Shawn. Zamruczała niewyraźnie: — ...grzeczniutki.

Wszyscy wypili jednocześnie. Piękne usta dziewczyny dotknęły brzegu kieliszka, lekko drżąc. Błyszczące pęcherzyki biegły w górę poprzez złoty napój.

— Kiedyś pijano szampan z damskich pantofelków — zauważyła z zadumą.

Shawn obracał kieliszek w dłoni, oglądając go ze wszystkich stron.

— On mi nie wierzy. Wtedy nie było pantofli wyciętych na czubku, miały też wyższe boki i raczej przypominały małe łódki.

— Były takie?! — mruknął niezbyt przekonany.

Pochyliła się z przejęciem, z rękoma wyciągniętymi na stole. — Pamiętam swój pierwszy kieliszek szampana. Było to w nocnym klubie w Rzymie. Miałam wtedy szesnaście lat i pojechałam tam na jakąś wycieczkę. Nie było cię wtedy z nami — zwróciła się do Reida. — Zabrali mnie ze sobą Louise i Tony Ordwayowie. A obok przy stoliku siedziała ta oszałamiająca kobieta: obawiam się, że trochę — no wiesz, co mam na myśli — *demi-monde*.

— Co to znaczy? — zapytał Shawn.

— To taka dziewczyna, która otrzymuje wiele propozycji, ale nie dotyczących małżeństwa.

Pokiwał poważnie głową i roześmiał się.

— Dlaczego te panie z półświatka zawsze tak nas niezdrowo fascynują, a szczególnie nastolatki? — kontynuowała. — Wciąż coś piła i stawała się coraz bardziej opanowana, coraz bardziej posągowa i wraz z upływem czasu była bardziej dystygowana. Musiała chyba mieć jakiś specjalny zbiorniczek do pochłaniania trunków. W końcu, gdy Ordwayowie przesiedli się do sąsiedniego stolika, zamówiłam dla siebie szampana. Zaczęłam pić. Nie smakował mi, piekł mnie w język. Ale jeżeli ta kobieta mogła go pić, to i ja mogłam. Ona mnie nabrała. Widziała, co robię, i musiała wiedzieć, dlaczego to robię. Ale zamiast się ze mnie śmiać, co prawdopodobnie miałyby ochotę zrobić, zachowywała się czarująco. A one potrafią być czarujące, możecie mi wierzyć. Podniosła kieliszek i z

całą powagą wzniosła ku mnie toast, tak jak ktoś, kto traktuje cię jak równego sobie. Tego tylko potrzebowałam. Wyobraźcie sobie, jaka byłam dumna. Oddałam jej toast. I za każdym razem, gdy ona napełniała swój kieliszek, ja napełniałam mój. Kilka razy zauważyłam, jak jej usta zadrżały zdradliwie, ale była zbyt dobrze ułożona, aby dać upust swym uczuciom, i to właśnie mnie zgubiło. Kiedy Ordwayowie wrócili do stolika, powstało przerażające zamieszanie, ale ja wówczas tylko niejasno zdawałam sobie z tego sprawę. Pamiętam jedynie, że za wszelką cenę chciałam uścisnąć jej rękę na pożegnanie, zanim mnie nie wyprowadzili, na pół niosąc. Pamiętasz, jak przynieśli mnie do domu? Próbowałeś być dla mnie surowy, zbesztać mnie w ich obecności — szczególnie w ich obecności — ale gdy tylko zostaliśmy sami, pomogłeś mi rozebrać się, odwracając co chwila głowę. Wiedziałam, że śmiałeś się, widziałam to, i wiedziałam też, że uważasz, iż jest mi z tym nawet do twarzy. Nie byłam na tyle wstawiona, żeby tego nie zauważyć.

— Moja mała dziewczynka — mruknął bardzo cicho Reid. Powoli zamknął oczy. Odwróciła się do Shawna zbyt gwałtownie. — No, a teraz ty nam opowiedz o swoim pierwszym kieliszku.

— Nie był tak wspaniały jak twój — odparł, pochylając się ku nim konfidencjonalnie. — I rzecz nie miała miejsca w Rzymie, tylko w Jackson Heights w stanie Nowy Jork. I to nie był szampan, lecz dzin. Mój stary wuj, Panie świeć nad jego duszą, był emerytowanym kapitanem policji. Nie mieszkał z nami, ale wtedy przyjechał z wizytą, na parę dni. Nasza rodzina coś podejrzewała, że lubi czasem skrycie pociągać z butelki, ale jako kawalerowi nigdy mu tego nie dowiedziono. No i, co najważniejsze, pobiłem cię o kilka lat, ponieważ miałem wtedy dokładnie trzynaście wiosen.

— Nie! — wykrzyknęła, a Reid zachichotał.

— W każdym razie, jeździłem wtedy po ulicach na rowerze i wróciłem spocony. Miałem straszne pragnienie. Musiał przyjść do pokoju tuż przede mną i wyszedł po swoje okulary, czy też po gazety, a może cygaro. Tuż pod moim nosem na stole stała szklanka napełniona jakimś bezbarwnym, zachęcająco wyglądającym płynem. Czy widziałaś kiedyś spragnionego chłopca w tym wieku, który pije wodę? Nie cackając się zbytnio, bierze szklankę i szybko wychylają

do dna. U nas w domu nigdy nie było żadnego alkoholu, więc skąd mogłem wiedzieć? W pierwszej chwili zdawało mi się, że sufit wali mi się na głowę. Potem pomyślałem, że zapaliły się we mnie wnętrzności. W każdym razie, gdy domownicy usłyszeli dziwne odgłosy i wbiegli do pokoju, znaleźli mnie z rękami zaciśniętymi na brzuchu, wykonującego jakieś indiańskie tańce wojenne wokół pokoju, z wyciem, okrzykami i tupaniem. Gonili mnie przez pięć minut, aby jakoś uspokoić i dowiedzieć się, co się stało. Poprzewracałem wszystkie krzesła. A potem, kompletnie zalany, zacząłem śpiewać, fikać koziółki; na koniec dostałem napadu czkawki. Wtedy matka kazała mi chuchnąć i przestała płakać w fartuch, wzywając na pomoc wszystkich świętych. Najgorszą niesprawiedliwością był fakt, że nigdy o nic nie oskarżono wuja. Rodzice byli przekonani, że to ja sam skombinowałem gdzieś ten alkohol. Pozwolili mi przespać noc, ale następnego dnia dostałem największe lanie w życiu. — No to dlaczego nie...

— Dlaczego nie poskarżyłem? Tak mnie wychowano, że nigdy na nikogo nie zwałem winy. I to mi się wiele razy w życiu przydało. Przed wyjazdem wuj dał mi ukradkiem pięć dolarów i mrugnął porozumiewawczo. Ale to wydarzenie sprawiło, że do dziś nie znoszę smaku, a nawet zapachu dżinu. Wolę piwo...

Reid odwrócił głowę i spojrzał z trwogą za siebie. — Te drzwi, Jean.

— To tylko drzwi do spiżarni, przecież wiesz, tato. To drzwi wahadłowe i nie można ich zamknąć na klucz.

— Zdawało mi się, że się poruszyły.

— Może to spowodował jakiś ruch powietrza. Może przeciąg — Shawn próbował go uspokoić.

Wstała i przysunęła do drzwi krzesło, blokując je. — Teraz już się nie poruszają.

Wróciła i stanęła za ojcem. Objęła jego ramiona rękami. Nie mógł przez chwilę widzieć jej twarzy, ale Shawn tak.

— Napij się jeszcze szampana, tato. I niech cię uściskam... Wypili. Uścisnęła go.

— Czy dżentelmen po drugiej stronie stołu również ma ochotę na jeszcze trochę szampana i uściski? Patrzy tak smętnie, ale nic nie mówi...

— Wyciągnęła rękę i pociągnęła za koniec jego krawata,

rozwiązując węzeł. — O ile dobrze pamiętam, oznacza to zaproszenie.

— Do czego? — zdziwił się Shawn.

— Właśnie, tego nigdy się nie dowiedziałam — przyznała. — Potem nigdy nie było dalszego ciągu. Może do tego, abym powtórnie zawiązała krawat...

Wtedy nagle pochylił się i kiedy niczego się nie spodziewała, chwycił granatową kokardę na ramieniu, próbując ją rozwiązać. Ale nie udało się.

— Głuptasie — powiedziała — ta kokarda jest zawiązana na stałe.

— No tak, teraz już wiem.

Pochyliła się ku niemu, palcami przeczesła jego włosy. Przypominały miotełkę z piór do odkurzania.

Załóżył ręce na piersi, spojrział na nią ojcowskim wzrokiem i ostrzegł:

— Uważaj, igrasz z ogniem. Możesz mieć kłopoty zanim minie dzisiejszy wie... — szybko przerwał.

Nagle powiew zimnego powietrza — a może strach i poczucie osamotnienia — zdały się przeniknąć Reida. Skurczył ramiona w obronnym geście.

— Jesteście oboje zbyt daleko ode mnie. Wokół jest tyle pustki.

Przysuńcie się bliżej — błagał. — Tylko trochę.

— Oczywiście, tato. Już siadam na samym rogu. A ty przesun się do swojego, Tom.

— Dzieli nas i tak prawie cały stół — mówił Reid, jękając się. — Siadźcie całkiem przy mnie.

Przesunęli krzesła.

— Ale teraz ta strona naprzeciwko pana jest strasznie pusta, prawda? — zaprotestował uprzejmie Shawn.

— Pusta? Przecież przed sobą mam cały stół — odparł po prostu Reid.

— Tak jest bardziej kameralnie — przyznała Jean. — Po głównym daniu nie ma znaczenia, gdzie się siedzi. W istocie mamy w ten sposób więcej miejsca.

I objęła ręką Reida od swojej strony, a Shawn szybko uczynił to z drugiej.

— Teraz wszyscy troje możemy zetknąć się głowami — powiedziała. Potem obróciła w palcach paczkę papierosów, którą położył przed nimi.

— Czy wy wiecie, że nie przepadam za kobietami, które nie przynoszą własnych papierosów na przyjęcia....?

Kiedy po chwili wstała, jakby odruchowo, kolejny raz przesunęła ręką po włosach Shawna. A on nie odsunął głowy.

Wyszła i niedługo później przyniosła na tacy filiżanki z kawą.

— W tej kawie jest koniak. Chcesz zobaczyć ładne niebieskie płomyczki? Podaj mi zapalki.

Był zdumiony, nigdy jeszcze nie widział płonącej *café-cognac*.

— Ale jak to pić? — spytał niewinnie.

Zaśmiała się. — Lubię cię takiego. Uważam, że mężczyźni powinni być bezpośredni. Boże, jak ja nie znoszę tych wszystkich mądrali.

Najpierw, oczywiście, zdmuchujemy płomyczki, *chéri*.

— To po co w ogóle zapalać?

— No nie, poddaję się — westchnęła. — To zabrałoby nam chyba całe życie...

Znowu się zreflektowała. Wciąż unikali tematu tabu. Za każdym razem Reid rejestrował te wpadki i skurcz bólu przemykał przez jego twarz.

— Nastawmy jakąś muzykę! — krzyknęła, uderzając rozkazująco w stół. — Chciałabym zatańczyć.

Zanim zdążył wrócić od gramofonu, już dotarły do nich dźwięki muzyki.

Wstała i uniosła ręce.

— Chodź — zaprosiła. — Wybieram ciebie. Zaniepokojony Reid odwrócił się, tak aby mógł ich ciągle widzieć.

— Tylko nie za daleko — szepnęła, patrząc na nich błagalnie.

— Tuż za tobą — przyrzekła. — Zaraz za twoim krzesłem. Będziemy poruszać się w jednym miejscu, jakbyśmy tańczyli na parkiecie wielkości dziesięciocentówki.

Shawn zaczął się kołysać, nie wiedząc, jak zacząć. — Co to jest?

— zapytał.

Wsluchiwała się w rytm muzyki. — To tango. Gdy tańczysz tango, na nic nie zwracasz uwagi. Zbliź się, pokażę ci jak... No, zaczynaj, rozluźnij się.

Przyciągnął ją do siebie. — Tak, i co dalej?

— Wyprostuj rękę... O, tak jak teraz. I potem idź za nią, na skos. Tak, właśnie tak, rób tak dalej.

— Ale w ten sposób dotrzemy do ściany.

Uniosła oczy w stronę sufitu. — Hm, my raczej nie mierzymy pokoju, tylko tańczymy. Potem po prostu się obrócimy i zaczniemy tańczyć w drugą stronę...

Wtedy tenor zaczął śpiewać refren.

— O nie...

Zatrzymała się, jakby coś było nie w porządku, i leciutko odepchnęła go od siebie.

— Idź i szybko to zmień — powiedziała cicho. — Te hiszpańskie słowa mogą go rozstroić. Oboje je rozumiemy, jak wiesz.

— A o co chodzi?

— „Adios, muchachos”. Taka piosenka pożegnalna. Podszedł szybko do gramofonu. A ona z czułością objęła wtedy

już głowę ojca i w pieśczośliwym geście udało jej się ręką zasłonić mu uszy.

Płyta zatrzymała się z jękiem. Potem rozległa się melodia w szybszym tempie i Shawn wrócił z westchnieniem ulgi.

Usiedli znowu po obu stronach Reida, by teraz razem wtórować muzyce z gramofonu. Ona zaczęła, potem przyłączył się Shawn, śpiewając z zapalem niezbyt pewnym głosem.

— No, dalej, ty też.

Zachęciła ojca, obejmując ręką jego ramiona. Shawn objął go z drugiej strony i teraz we trójkę tworzyli zespół pełen harmonii.

Wreszcie i Reid zaczął poruszać wargami, powtarzając za nimi słowa piosenki.

Trzy głowy były pochylone ku sobie. Wolną ręką dyrygowała w powietrzu. Shawn wybijał rytm widelcem, uderzając o nóżkę najbliższego kieliszka do szampana.

Teraz byli bliżej osiągnięcia sukcesu niż kiedykolwiek. Na wargach Reida ukazał się i pozostał ślad uśmiechu, jak grymas dziec-

ka, które czuje, że zrobiło coś godnego pochwały kochających go do przesady dorosłych.

Zdawało się, że na moment o wszystkim zapomniał. Szampan, muzyka, beztroska pięknej dziewczyny.

— Ja też chcę zatańczyć! — oświadczył nagle. — Chcę zatańczyć z moją małą dziewczynką!

Rzuciła Shawnowi triumfalne spojrzenie i ochoczo zerwała się na nogi.

— No, teraz my im coś pokażemy. Ci młodzi są tacy nieruchawi.

Zaczął poruszać się powoli i niepewnie, drobnymi kroczkami kręcąc się w kółko.

— Jak za dawnych, dobrych czasów, prawda, tato? — zaśmiała się w jego ucho. — Jak w Rzymie, jak w...

Shawn przy stole zapalił papierosa. Jego twarz promieniała. Nagle zeszywniał i wypuścił papierosa z ust.

Coś się stało. Reid stanął w miejscu i oparł się bezwładnie na Jean. Jego ciało zaczęło chylić się ku podłodze, mimo jej wysiłków, aby utrzymać go w pozycji stojącej.

Przez wesołą muzykę przebił się tragiczny szept:

— Jean, aleja umieram. Ja dziś umrę...

Shawn poderwał się, aby jej pomóc, i przewrócił jeden z kieliszków do szampana.

Reid zgiął się już bezwładnie do kolan, jakby wszystkie wysiłki były daremne, powoli poddając się. Ciągłe jeszcze opierał się na niej, leciał jej przez rękę, a ona podtrzymywała go.

W tej scenie było coś z męki ukrzyżowania.

Shawn zauważył, że Jean porusza wargami, i raczej domyślił się, niż słyszał, co mówi.

— Nie udało się, Tom. Nie udało się. Wszystko na nic...

Na stół wypływały ostatnie krople z przewróconego kieliszka i rozpląwały się na serwecie. Niemożliwością już było odzyskać to, co minęło — tak jak życie.

PROCEDURA POLICYJNA: DOBBS i SOKOLSKY

Tu Sokolsky, panie poruczniku. Nareszcie coś się dzieje. Tak jak pan przewidział. Przepraszam, że musiałem pana zbudzić o tak bezbożnej godzinie...

— Nieważne. Po to jestem. Co się dzieje?

— Mnóstwo ciekawych rzeczy. Przed około czterdziestoma minutami, mniej więcej o drugiej trzydzieści, miałem przerwę i odpoczywałem, a Dobbs czuwał przy odbiorniku. Nasz ptaszek też leżał w łóżku od około jedenastej. Słyszeliśmy skrzypienie sprężyn, a potem zapanowała cisza. Nagle, około drugiej trzydzieści, Dobbs przysunął się do mnie ze słuchawkami na uszach. „Lepiej będzie, jak się ubierzesz” — powiedział. — „Ktoś właśnie tam przyszedł...”

He? Co powiedziałeś?

Dobbs przyłożył do ust partnera dłoń i przytrzymał ją przez chwilę.

— Zbieraj się. Właśnie otworzył drzwi. Ktoś tam stoi. Ktoś do niego pukał. Cicho, ale dość długo.

Sokolsky założył drugie słuchawki, wyjął też notes i ołówek. Ołówek wymknął mu się z ręki i upadł na podłogę z cichym trzaskiem.

— Uważaj, cholerny głupku — zasyczał Dobbs. Usiedli przygotowani do słuchania.

Cisza.

— Chyba teraz wpatrują się w siebie — wyszeptał Dobbs. — Drzwi na pewno ktoś otwierał, słyszałem jak skrzypnęły.

— Może on go nie zna.

— Wtedy zapytałby: „Kim pan jest?” Szsz! Teraz. *(Zapiski według tekstu w notesie.)*

Szuranie nóg na gołej podłodze. Więcej niż jedna para. Drzwi zamykają się. Stopy przechodzą na chodnik. Głos (nie Tompkinsa): „Chcę z tobą pomówić”. Brak odpowiedzi. Głos: „Dalej, obudź się, słyszysz?”

Tompkins: „Zabierz rękę i nie szarp mnie”. Głos: „No to rozbudź się wreszcie”.

Tompkins: „Która godzina? Dlaczego przychodzisz o tej porze?”

Głos: „Bo wolę tak, nie chcę ryzykować. Nie chcę się do ciebie zbliżyć w dzień”.

Tompkins: „Teraz wcale tu nie jest mniej niebezpiecznie niż w dzień”.

Głos: „Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wysilaj się tylko na jakieś zawiłe wyjaśnienia”.

Odgłos krzesła, jakby ktoś na nim usiadł.

Głos: „Posłuchaj, nie mam wiele czasu. Przejdźmy do konkretów. Zobaczysz się jutro z Reidem?”

Tompkins: „Nie.” (*Wolno*) „Nie, nie zobaczę się”. (*Przerwa*) „Już nigdy go nie zobaczę. On umrze jutro w nocy”.

Głos: „Nie pleć, zobaczysz się z nim. Nie wstawiaj mi tu jakiejś lipy. To dobre dla kucharek. Mówimy o faktach. Wyślij jutro wiadomość, że chcesz się z nim widzieć. Przyleci tu jak strzała”.

Tompkins: „On tu nie przyjdzie. On już nigdy tu nie przyjdzie”.

Głos (*ze złością*): „Przestaniesz wreszcie truć? Już prawie sam uwierzyłeś w te bzdury. No, aleja nie! A teraz powiem, co masz zrobić. Słuchaj i zapamiętaj to sobie dokładnie”.

Trzask zapalanej zapalniczki. Przez szpary w podłodze przenika zapach dymu z cygara. Głos: „No, skup się. Wyślesz do niego wiadomość, że chcesz się z nim jutro zobaczyć. Ma przyjść sam. Bez dziewczyny. Ona nie może o tym wiedzieć. Napisz, że chcesz go zobaczyć — zgodnie z tymi wibracjami czy konstelacjami, albo jak tam to nazywasz”.

Tompkins: „Wcale tego nie nazywam”.

Głos (*arbitralnie*): „Napiszesz, że zaszła zmiana na lepsze. Będzie miał dużą szansę. To mimo wszystko nadejdzie, chociaż nie będzie takie pewne jak przedtem. Że teraz ma szansę walczyć, że w jakiejś mierze to zależy od jego woli, od niego samego. Zapyta cię, co ma robić, będzie błagał, żebyś mu powiedział, i oświadczy, że zrobi wszystko, co zechcesz — jestem o tym przekonany. A ty stwierdzisz po prostu, że może zrobić kilka rzeczy, aby poprawić swoją sytuację. Może, na przykład, dokonać pewnych zmian w testamencie. Obecnie wszystko zapisał córce. To w porządku, tego nie musi zmie-

niać. Ale powinien dodać, że w razie jej śmierci, jeśli nie będzie miała dzieci, ma cały majątek zapisać tobie i to ty masz zostać jedynym jego spadkobiercą. Zasugeruj mu, że w ten sposób najlepiej okaże ci swe uznanie — jeśli w ogóle chce je w jakiś sposób wyrazić. Ale zwróć mu uwagę, że tego rodzaju zapis niczego nie odbiera dziewczynie. A jeśli ona wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci, to jest tym bardziej bez znaczenia. Testament ma jedynie zawierać taką klauzulę: »na wypadek, gdyby umarła, będąc bezdzietną panną«. Nie sędzę, żeby trzeba go było bardzo naciskać. Jutro jest jego ostatni dzień i najlepiej, jeśli zrobi to właśnie jutro. Wyjaśnij mu, że jeżeli twoje życie w ten sposób połączy się z jego życiem, wówczas pomyślne aspekty twojej egzystencji będą miały większy wpływ na niepomyślne aspekty jego życia. Musisz wnikać w jego osobowość, czy jak to tam się nazywa — znasz przecież na pamięć te wszystkie bzdury. Musisz cofnąć swoją przepowiednię i przekonać go, że możesz go nawet ochronić przed złym losem".

Tompkins (*zmęczony*): „Ależ ja nie mogę. Nie mam takiej mocy. To nie jest zwykła przepowiednia. To jest coś, co się musi wydarzyć".

Głos (*z wściekłością*): „Nie przestaniesz bredzić? Myślisz, że kim jestem? Chyba wszystko dokładnie ci wyjaśniłem. On robi to, co zechcesz... zgadza się? A ty zrobisz, co ja powiem, albo..."

Tompkins: „Nie chcę jego pieniędzy. Już dawno mogłem mieć tyle, ile tylko chciałem. On przychodził do mnie i błagał, żebym przyjął od niego pieniądze. Zostawiał tu jakieś czek, potem już nawet ich nie odsyłałem..."

Głos: „Jasne, nie chcesz jego czeków, ani jego pieniędzy. Nie chcesz. Ale czy nie przerobiłeś jednego z pięciuset na pięć tysięcy dolarów? I oddałeś go mnie. Ten czek mam tu, przy sobie. Z twoim podpisem na odwrocie, że przekazujesz go mnie".

Tompkins: „Przyniósł pan tutaj alkohol, kazał mi pan pić i nie wiedziałem, co robię. Ja nie mogę pić. Nie pamiętam, co wtedy robiłem. Myślę, że pan sam to napisał".

Głos: „Zrobiłeś to na moich oczach. Mam twoje upoważnienie, to nie jest mój podpis. A jak teraz pójde z tym do banku, to wiesz, że za coś takiego dostaniesz dwadzieścia lat?"

Tompkins: „I tak pójde do więzienia. Ale nie za ten czek".

Głos: „Zrobisz to, co ci powiedziałem?” Długa przerwa. Tompkins (*obojętnie*): „Nie”. Gwałtowne trzeszczenie krzesła. Głos: „Zastanów się. No, zrobisz to?” Znowu długa przerwa.

Tompkins: „Niech pan to schowa. To mi nie zrobi krzywdy”.

Głos: „Nie robi ci krzywdy? Wystarczy, że tylko poruszę palcem, i zobaczysz. Ty głupcze. Ty głupi zapchlony kretynie. Mógłbyś być bogaty. Próbuję ci pomóc. Próbuję pomóc nam obu”.

Tompkins (*ze smutkiem*): „To *pan* jest tym głupcem, pan. Przyszedł pan w nocy, bo nie mógł pan zrobić inaczej. Ale nie dostanie pan jego pieniędzy, jeśli o to panu chodzi. Nie pożyje pan tak długo. Przecież umrze pan wcześniej niż on. Jego czas nadejdzie jutrzejszej nocy, a pański dzisiejszej. Nawet nie wyjdzie pan żywy z tego domu. Tam na schodach, za kilka minut...”

Głos: „A któż to zrobi? Ty?”

Tompkins: „W pokoju nad nami siedzi dwóch tajniaków i właśnie w tej chwili słyszą każde nasze słowo...” (Dobbs gwałtownie rzucił się do tyłu.)

Tompkins: „Cały czas wiedziałem, że tam są. Nie mogłem pana powstrzymać od przyjścia tutaj, nie mogłem powstrzymać pana przed tym, co pan powiedział. I na co to się przydało? Oni nazywają się Eddie Dobbs i Bill Sokolsky, i siedzą tam już od dwóch dni...”

(Sokolsky z przerażeniem rozplaszczył się na podłodze, wzniesając chmurę kurzu.)

Tompkins: „O właśnie. Słyszał pan? Czy teraz mi pan wierzy?”

(Odgłos szybkich kroków na podłodze.)

Tompkins: „To wszystko na nic. Nie uniknie pan tego. Śmierć idzie już po pana. Słyszę trzepot jej lekkich skrzydeł. Czuję ją, widzę, jest już na swej drodze. Pozostały panu tylko sekundy...”

Głos (*wściekle*): „Atu jest twoja śmierć, ty przeklęty skurczybyku! Za zdradę!”

Wystrzał z rewolweru.

Skrzypienie drzwi i tupot stóp na schodach.

*

Sokolsky zdarł z głowy słuchawki, rzucił nimi o ścianę, wyszarpnął rewolwer z kabury wiszącej przy nodze łóżka i wypadł z pokoju na schody; zbiegł na dół.

Mężczyzna był trochę niżej, zbiegał z wielkim pośpiechem. Sokolsky krzyknął: — Stać! Stój tam, gdzie jesteś! — Zatrzymał się na moment i spojrzał na podest. Mężczyzna oddalał się.

Zakręcał i w tym momencie, nie celując, strzelił w górę. Sokolsky poczuł w okolicy szczęki uderzenie powietrza od przelatującej kuli.

Nie poruszył się. Zniżył muszkę rewolweru, celując w podest poniżej, w ten, który dawał mu ostatnią szansę trafienia uciekającego. Był to trudny cel; musiał mierzyć prawie pionowo w dół. Mocno chwycił rewolwer obiema rękami. Postać mignęła na podeście, skręciła i wtedy Sokolsky strzelił. Mężczyzna przeszedł jeszcze dwa lub trzy kroki, ciągle wyprostowany, a potem pochylił się i runął w dół. Potoczył się jeszcze kawałek i znieruchomiał.

Kiedy Sokolsky doszedł do niego, mężczyzna już nie żył.

W minutę później pojawił się przy nim Dobbs, był blady jak ściana, raczej nie dlatego, że ujrzał martwego człowieka.

— Kto to jest?

Mężczyzna miał około pięćdziesiątki. Kula przebiła głowę z boku. Był dobrze ubrany. Bez żadnych znaków identyfikacyjnych. Z uwagi na cel wizyty z pewnością odpowiednio się zabezpieczył. W portfelu miał pieniądze, ale żadnych dokumentów osobistych. Widać było ślad usuniętych inicjałów. Nawet z podszewki wewnętrznej kieszeni płaszcza została oderwana naszywka krawca.

— To nam zabierze trochę czasu — stwierdził Sokolsky, pochylając się nad nim. — Lepiej idź tam i...

Od strony schodów dobiegł ich cichy dźwięk; odwrócili głowy.

Na schodach stał Tompkins. Schodził powoli w dół. Nie krył się, ale poruszał się tak wolno, że jego kroki były ledwo słyszalne.

Sokolsky wyprostował się. Stał po drugiej stronie leżącego ciała; miał ponurą twarz, w ręku trzymał rewolwer. Ten sam, który przed chwilą wystrzelił tylko raz.

— Oszczędziłeś nam kłopotu, Johnny — powiedział agresywnie. Uniósł rewolwer i dodał: — Podejź do ściany i stój tam spokoj-

nie, aż tutaj nie skończę. — Odwrócił się i znowu pochylił się nad zwłokami.

Wydawało się, że Dobbs nie miał przy sobie żadnej broni. Stał teraz, opierając się o przeciwległą ścianę. Wyglądał na mocno zszokowanego.

Sokolsky nagle podniósł głowę i spojrzał w stronę Tompkinsa. Nie stał, jak mu polecono. Ciągle szedł dalej, tak samo powoli, jak schodził ze schodów, ale teraz prosto przed siebie. Ponieważ zwłoki mężczyzny i stojący Sokolsky znaleźli się na jego drodze, obszedł przeszkodę.

Było to oczywiste niewykonanie polecenia policyjnego, które zostało wydane pod groźbą użycia broni. Sokolsky miał prawo zastrzelić go bez słowa.

Stał teraz wyprostowany, z lufą rewolweru bliską pleców idącego.

— Powiedziałem, żebyś tam stanął! — krzyknął. — Stań, gdzie ci kazałem, albo cię zastrzelę! Dobbs, chwyc go.

— Ja... ja nie mogę się ruszyć — wyszeptał Dobbs. — On nawet znał moje imię...

Tompkins zachowywał się jak ktoś, kto w zamyśleniu oddala się od miejsca, które przestało go interesować. Był już prawie przy drzwiach na ulicę.

Sokolsky przekroczył zwłoki, wysunął rewolwer.

— Już cię ostrzegłem — powiedział z groźbą w głosie. — Jeżeli zrobisz jeszcze jeden krok, będzie to twój ostatni krok na tej ziemi!

Tompkins odwrócił ku niemu poważną twarz i powiedział: — Nic mi nie zrobisz. Mój czas jeszcze nie nadszedł. — I poszedł dalej.

Sokolsky mógł dać mu szansę, strzelając w górę. Tamten był tak blisko rewolweru, że detektyw nie mógł inaczej postąpić.

Podniósł trochę broń i strzelił ostrzegawczo, tuż nad jego głową. Kula trafiła w drzwi z odgłosem przypominającym uderzenie w bęben.

— A teraz wracaj — rzucił z wściekłością Sokolsky — albo to będzie twój koniec!

Tompkins odwrócił się, ale tylko po to, żeby otworzyć do środka skrzydło drzwi. Był teraz zwrócony twarzą do rewolweru, nad którym unosił się dym po oddanym strzale.

Dobbs jęknął słabo i osunął się w dół z ramionami przylepionymi do ściany.

Tompkins spojrział na rewolwer. Nie uśmiechał się, nie drwił; na jego twarzy malowało się coś w rodzaju obojętnego zainteresowania, tak jak u człowieka, który zerka na jakiś przedmiot przed wyjściem z domu na spacer.

Potem puścił klamkę i znowu odwrócił się do drzwi w kierunku nocy — i jedną nogą przestąpił próg.

Sokolsky opuścił rewolwer i wycelował w nogę, aby zatrzymać go, nie zabijając.

Spust sucho szczęknął, ale nie usłyszeli wystrzału. Przecież w magazynku było sześć naboju, a wystrzelił tylko dwa.

Druga noga Tompkinsa znalazła się na ulicy.

Detektyw z wściekłością skoczył za nim i wymierzył prosto w tył jego głowy. Z odległości dwóch kroków nie można nie trafić, a on był dobrym strzelcem. Byłby to strzał śmiertelny, ale w obecnej sytuacji miał prawo go zabić.

Znowu rozległ się tylko suchy trzask i znowu rewolwer nie wystrzelił. Jeszcze nigdy przedtem nie przydarzyło mu się nic podobnego.

Tompkins wyciągnął rękę i powoli zamknął za sobą drzwi. Sokolsky nacisnął spust jeszcze dwa razy. I nic, tylko echo jeszcze bardziej pustego trzasku. Dobbs znowu słabo jęknął.

Sokolsky szarpnął drzwi i wybiegł na zewnątrz. Otoczyły go ciemności i niczego nie było widać.

Zaczął sprawdzać rewolwer, uniósł go i wystrzelił na oślep w ciemność. Rozległy się cztery wystrzały — teraz, kiedy w nic nie mógł już trafić.

Potem rzucił go na ziemię i ciężko oparł się o drzwi, jakby był kompletnie wyczerpany i nie mógł się poruszyć. I naprawdę nie był w stanie tego zrobić.

OCZEKIWANIE: PÓŹNY WIECZÓR

Cała ich trójka wydawała się taka zagubiona w tym wnętrzu. Raczej powinien to być przytulny pokój, w którym miło spędzałoby się czas. Ale tak nie było. Sufit wznosił się za wysoko i nawet jasno oświetlony, kryształowy żyrandol nie mógł go optycznie obniżyć. Na wysokich oknach gęsto pofałdowano na całej długości maskujące adamaszkowe zasłony w kolorze burgunda, co jeszcze uwypuklało ich dostojne rozmiary.

Gubili się w tym pokoju. Troje małych ludzi, wokół niewielkiego, kwadratowego stołu. Dwóch miało na sobie czarne ubrania, ramiona trzeciej osoby były obnażone.

Tasowała karty oszczędnymi ruchami i panującą ciszę przerywał jedynie ich cichy szelest.

Przegrywali walkę z ciszą, ponieważ za każdym razem mogli ją przerwać jedynie rozmawiając, ale potem ta cisza nieubłaganie do nich powracała. A wraz z nią wracało tykanie zegara na ścianie, tak jak przedtem w jadalni, kiedy drzwi były niedomknięte, i złośliwie wdzierał się do ich uszu szmer wahadła, jak coś w rodzaju syczenia płonącego lontu, które poprzedzało moment wybuchu.

Położyła talię kart przed Shawnem. — Przełoż — odezwała się cicho.

Przełożył szybko i zabrała je ze stołu.

Szmer rozdawanych kart był nawet cichszy od szelestu ich tasowania. Opadały na stół, niczym duchy kart. Czasem któraś głośniej zaszeleściła pod naciskiem jej kciuka.

Podnieśli trzy kupki kart z czterech leżących na stole i ułożyli je jak należy w rękach.

— Pas — powiedziała.

A potem dodała, zwracając się do Reida: — Licytujesz. — Ale to było zbyt wątle, zbyt krótkie, aby przerwać w tak dużym pokoju tak groźną ciszę.

Czekali.

To było męczące. Twarz Shawna zbladła. Jean patrzyła na ojca w napięciu.

Reid z rezygnacją złożył karty w ręce. Ale nie była to reakcja na widok otrzymanych kart, ponieważ nawet ich nie widział. Patrzył na nie niewidzącym wzrokiem.

Trąciła go w ramię, w delikatnym przypomnieniu.

Rozłożył ponownie karty, jakby ten dotyk automatycznie wskazał, co ma zrobić. Ale jego oczy nadal ich nie widziały.

— Chcesz spasować?

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, co do niego mówi. Nic nie odpowiedział.

— W porządku, wobec tego ja pierwszy licytuję — wtrącił Shawn. — No to raz... — Przerwał, zerknął w karty, jakby dopiero teraz uzmysłowił sobie, że powinny mieć one jakiś związek z tym, co powie. — Raz karo.

— Kier — odparła.

Kolejka wróciła do Reida. Teraz zakrywał dłonią oczy. W drugiej ręce ciągle trzymał wachlarz kart.

Podparła ją i powiedziała: — Nie rób tak, mogę zobaczyć, co masz w kartach.

Shawn podniósł z podłogi syfon z wodą sodową, napełnił nią szklankę i podał mu.

Trąciła stopą jego stopę pod stołem. Pokręciła przecząco głową.

Shawn cofnął szklankę.

— Czy ty też pasujesz? — próbowała go przywołać do rzeczywistości.

Znowu spojrzał na nią.

— Dwa kara — rzekł Shawn.

— Dwa kiery — odpowiedziała.

Shawn klepnął w stół palcami. Zmienili miejsca, każdy przesunął się o jedno miejsce w lewo i odwróciła karty czwartego partnera, które obecnie leżały przed nią na stole, i ułożyła je w odpowiedniej kolejności.

Teraz zegar znajdował się po prawej stronie Reida. Dotychczas wisiał za nim. Reid zaczął odwracać głowę — jak za pociągnięciem jakiegoś niewidzialnego sznureczka. Zauważyła ten ruch i wysunawszy rękę delikatnie skierowała brodę ojca na poprzednie miejsce.

Dźwięk wydawany przez wahadło zdawał się nasilać.

W kartach „dziadka” ukazał się prawie cały zestaw figur w karach, brakowało tylko króla.

Spojrzała na Shawna. Nie było to spojrzenie pełne wyrzutu, jakie zazwyczaj w takich wypadkach rzuca wytrawny partner brydżowy; jej oczy mówiły: „Nawet nie umiesz dobrze udawać. Graj jak należy”.

Pstryknął zakłopotany palcami. — Czułem, że tam są — powiedział. Kropla potu błysnęła na jego czole i zatrzymała się w niewielkiej zmarszczce.

— Wychodzisz — powiedziała do Reida. Czekali.

— Zagrywaj pode mnie — podpowiedział mu łagodnie Shawn. — Teraz jestem twoim partnerem.

Reid położył na stole kartę.

— Nie chcesz przypadkiem jej cofnąć? Przecież tak się podkładasz pod „dziadkowego” asa?

Reid cofnął. — Ją tak mogłem — powiedział głucho. — Ją mogłem... — Spojrzał z ciekawością na kartę i ze smutkiem przesunął kciukiem po jej błyszczącej powierzchni. — Ona tu będzie jeszcze potrzebna do innej gry, innego wieczoru — stwierdził żałośnie — ale jej gracz...

Syfon zaszumił gniewnie w ręce Shawna i zagłuszył resztę słów. Woda sodowa wypełniła szklankę po brzegi, rozbielając nalaną uprzednio szkocką. Shawn wymieszał płyn, hałasując pływającymi kawałkami lodu.

Jean z zakłopotaniem zagryzła dolną wargę.

— Papierosa i drinka poproszę — rzekła ochryple. — Może być to, co przed chwilą przygotowałeś.

Shawn dodał nieco szkockiej i podał jej. Dotknęła szklanki ustami i odstawiła ją na stół. Pociągnęła raz papierosa, którego dla niej zapalił, i natychmiast zdusiła go w popielniczce.

Wahadło zegara poruszało się z nieubłaganą konsekwencją.

Sama wyjęła kartę z wachlarza kart ojca i położyła ją za niego na stół. Następne trzy szybko spadły, przykrywając ją całkowicie. Zabrała lewą i umieściła przed sobą na brzegu stołu.

Reid nagle zacisnął palce na kartach, jakby próbował wycisnąć z nich soki życiowe, których nie mógł już znaleźć w sobie. Karty

niedostatecznie ściśnięte strzeliły mu prosto w twarz i opadły wokół niego: na ramiona, na rękawy, na przód koszuli, na kolana.

Dyszał z otwartymi ustami, jak ktoś, kto nie może złapać powietrza. — Torturujecie mnie — jęknął. — Już tego nie wytrzymam. Mówię wam, nie wytrzymam. Zabawiacie się takimi głupstwami, zapisując jakieś punkty w notesie, podczas gdy życie ze mnie uchodzi... Nie zależy mi na punktach w treflach czy w pikach, chcę mieć więcej czasu, chcę minut, godzin, dni! — Jego ręce zastygły, zwrócone dłońmi do góry, w niemej prośbie. — Dajcie mi je. Dajcie mi je.

Shawn i Jean odskoczyli od stołu, jakby zaistniało niebezpieczeństwo, że mebel się przewróci. Shawn przyłożył szklanekę do ust Reida. Drugą ręką zdecydowanie nacisnął czubek jego głowy.

— Już dobrze, staruszkule — mówił uspokajająco. — Już dobrze.

Na moment zostawili go siedzącego na krześle. Zgrabnie usunęli wszystkie rekwizyty gry; śpieszyli się, aby pod wpływem zaistniałej sytuacji zmienić aranżację wydarzeń.

— Ta gra, to nie był dobry pomysł. Było zbyt spokojnie — mruknęła.

— Też bałem się tego.

— No cóż, mamy jeszcze ruletkę; pomóż mi ją przynieść. Opowiadał mi, że w młodości grywał w Biarritz i Monte Carlo... Zaczynał o dziewiątej, potem gdy unosił oczy w górę, nagle pojawiała się światłość i noc zniknęła...

— Może zadziała to teraz.

Przygotowali odpowiednio stół. Reid przyglądał się obojętnie ich poczynaniom.

— Będziemy grać naprawdę — oświadczyła. — To nie będzie żadna zabawa salonowa.

— Dzisiejszej nocy wszystko jest prawdziwe — zgodził się Reid z grobową powagą.

Shawn sprawdził ruletkę. Na kole, wirując, zmieszały się oba kolory, a potem, kiedy zwalniało, znów się rozdzieliły.

— Wróć za sekundę — powiedziała wtedy Jean tajemniczo. Szybko wymknęła się przez drzwi i to niespodziewane wyjście zastanowiło Shawna; coś jeszcze wymyśliła?

Minęła może minuta. Drzwi otworzyły się i wśliznęła się do pokoju. Trzymała w ręku dużą chustkę, której cztery końce były związane razem i przypominały miniaturowy tobołek włóczęgi.

Rozwiązała ją na stole i w światłach żyrandola zabłyszczały tysiącem barw biżuteria z drogimi kamieniami: pierścionki, bransoletki, klipsy, wisiorki.

— To wszystko, co mam. A co wy stawiacie?

Stali zdumieni. Shawn patrzył na nią pytająco, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie żartuje. Unikała jego wzroku. Uderzyła piąstką w klejnoty, jakby wyzywając ich do walki.

Jakiś delikatny błysk pojawił się w oczach Reida. Jego usta wykrzywił makabryczny uśmiech. Gwałtownie odwrócił się do Shaw-na i chwycił go za ramię. — Chodź ze mną na chwilę. Chcę, żebyś tam ze mną poszedł. Boję się iść sam.

Shawn towarzyszył mu niepewnie do drzwi, kilka razy oglądając się na Jean. — A ty tymczasem rozgrzej koło — rzucił do niej Reid. Wyszli do holu i przeszli do gabinetu Reida.

— Zamknij drzwi — powiedział cicho Reid i dodał, kiedy Shawn już to uczynił: — Zapal to jasne światło. Tam... Nie, nie to przy kominku... Tak, to.

Otworzył dwie płyty w drewnianej boazerii. — Wiesz, co to jest, prawda?

— Teraz już tak — odparł poważnie Shawn. — Nie wiedziałem, dopóki nie zobaczyłem tarczy szyfrowej.

Przez chwilę obserwował Reida, jak nastawiał cyfry.

— Nie powinienem tu być razem z panem.

Reid wyciągnął rękę, chwycił go za ramię i trzymał mocno. — Chcę, żebyś to zobaczył. Jakie to ma teraz dla mnie znaczenie? Jeden, a potem dziewięć, potem trzy i dwa. To łatwe do zapamiętania. 1932. Rok kryzysu. Myślisz o bankructwie, ale jednocześnie wiesz, że gdy otworzysz kasę, przestaniesz być bankrutem.

— Nie powinien pan tego robić — powtórzył Shawn z uporem, wpatrując się w podłogę jak człowiek, który stara się odwrócić wzrok od czegoś nieprzyzwoitego.

Reid nagle wysunął coś ku niemu. Trzymał to w obu rękach. — To dla ciebie i dla mnie. Schowaj do kieszeni. Przechowaj dla mnie.

Tu jest dwadzieścia tysięcy w gotówce, to wszystko, co zwykle trzymam w domu.

— A zamknął pan kasę? — zapytał Shawn, próbując odsunąć się od niego.

— Nie, ktoś inny będzie musiał to za mnie zrobić... jutro. Prawdopodobnie będą chcieli ją otworzyć i w ten sposób zaoszczędzę im czasu.

Shawn sam sięgnął do tarczy, pokręcił nią tak, aby zamknąć kasę; płyty boazerii powróciły na swe dawne miejsce.

Wrócili do stołu z ruletką. Jean nie patrzyła na nich. Obserwowała koło. Musiała się domyślać, gdzie byli i po co poszli.

Shawn opróżnił boczne kieszenie marynarki. Nawet wówczas nie spojrzała ani na nich, ani na pieniądze. Shawn wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portfel. Wiedział, że ma w nim jedną samotną dziesiątkę i kilka pojedynczych banknotów dolarowych.

— Nie możesz grać z tym, co masz — powiedział Reid łamiącym się głosem. — Te drobne nic nie znaczą. Weź to. — Pchnął w jego stronę obanderolowaną paczkę. — Tysiąc.

— Nie mogę tego przyjąć — odparł chłodno Shawn.

— Wobec tego podpisz weksel — zasugerował cierpliwie Reid. — To nie jest prezent.

— A to już nie żarty — ostrzegła, zatrzymując koło i patrząc na nich w napięciu.

Shawn rzucił jej ostre spojrzenie. — W porządku, przyjmuję i zaryzykuję — powiedział.

Wyjął automatyczny ołówek, podszedł do drugiego stołu, napisał coś na kawałku papieru i wrócił.

— Czy to wystarczy?

Reid nawet nie spojrzał; chwycił papier i wcisnął go pod ułożone w stosik paczki banknotów.

Shawn ukradkiem otarł czoło, ale ona z pewnością to zauważyła.

— Pewnie nigdy nie grałeś o takie wysokie stawki — mruknęła.

— Ja w ogóle nigdy w to nie grałem — odparł.

— A ja nigdy nie miałem tak mało do stracenia — zauważył Reid.
— Albo tak mało do wygrania...

— Wszyscy gotowi? — Odsunęła bardziej krzesło, które stało za nią, zbyt blisko. — Kto będzie krupierem?

Obaj odwrócili się jednocześnie. — Ty.

— Wobec tego będę musiała kręcić kołem i stawiać. To niezbyt zgodne z regulaminem, ale koło jest uczciwe. A my, przynajmniej na tyle, mamy do siebie zaufanie.

— Kto będzie zgarniał przegraną? — spytał ojciec.

— Wygrywający bierze wszystko. Wygrywający bierze wszystkie przegrane — zamiast kasyna. Innymi słowy, stawiamy bezpośrednio między sobą, bez udziału kasyna. A ponieważ jest nas troje, musimy wyeliminować numery. Stawiamy tylko na kolory, czarny lub czerwony, parzyste i nieparzyste. Żadnych konkretnych numerów. Rozumiesz, o co mi chodzi, Tom?

Shawn skinął głową.

— Będę wywoływała po angielsku, ze względu na Toma. Stanęła przed kołem. Mężczyźni ulokowali się po obu stronach stołu, pieniądze trzymając przy sobie z boku.

— Proszę stawiać.

Wyciągnęła pierścionek, spojrzała szacująco i odłożyła na bok. Chwyciła giętką bransoletkę z brylantami, złożoną z pięciu paseczków, obróciła ją w ręce i powiedziała:

— Została kupiona u Cartiera i kosztowała sto tysięcy franków. A może dwieście pięćdziesiąt? Przypomina kajdanki, co, Tom? Czerwone, parzyste. — Położyła na dziesiątkę.

Reid zdjął z kupki paczkę banknotów. — Czarne, nieparzyste.

— Położył na piątkę.

Spojrzeli pytająco na Shawna. Chwycił swoją jedyną paczkę banknotów, zawahał się, a potem wsunął kciuk pod banderolę, aby ją rozerwać.

— Och, żadnych drobnych — zaprotestował lekceważąco Reid

— inaczej gra nie będzie emocjonująca. A ja nie mam za wiele czasu, Shawn, wciąż musisz o tym pamiętać; musimy grać szybko.

— Szsz — ostrzegła go cicho.

— No to zaryzykuję — zgodził się butnie Shawn. — Ale prawdopodobnie szybko wypadnę z gry. — Rzucił na stół nietkniętą paczkę banknotów. — Czarne, parzyste.

— Koniec stawiania.

Kolory rozmazały się na wirującym kole. Znowu oba kolory zlały się, a potem koło zatrzymało się z cichym stuknięciem. Wszyscy milczeli w napięciu.

Reid położył swoją paczkę na paczce Shawna i lekko pchnął je obie w jego stronę.

Shawn z niechęcią przyciągnął banknoty do siebie.

Ale zaprotestował, kiedy ona próbowała przesunąć ku niemu bransoletkę.

— O, nie — powiedziała, przeszła wokół stołu, odchyliła kieszeń jego marynarki i wrzuciła do niej bransoletkę. — To nie jest gra na niby.

— Mamy jeszcze czwarty wariant, którego nie wzięliśmy pod uwagę — odezwał się Reid, jakby próbował pomóc zakłopotanemu detektywowi. — A jeżeli koło wskaże kolor i cyfrę, których nikt nie obstawił?

— Wtedy ta runda zostanie unieważniona. A stawki będą ważne przy następnym obrocie. Proszę stawiać.

— Czarne, nieparzyste — powiedział Reid. — Zacząłem od tego i przy tym zostanę.

— Czerwone, nieparzyste. Brylantowy naszyjnik. Może szczęście się odmieni.

— Czarne, parzyste — rzekł Shawn. Przesunął całą wygraną.

— Tym razem nie musisz tego robić — zauważył Reid. — Możesz stawiać tylko część.

— Chcę wszystko — stwierdził z uporem Shawn.

— Koniec stawiania.

I znowu ciche stuknięcie, a potem cisza. Shawn zapalił papierosa, aby zająć czymś rękę.

— Och, nie bądź taki nieśmiały, zrelaksuj się — rzuciła trochę szorstko. — Czy nie wystarczy, że ja przegrałam? Czy stale mam ci wciskać do ręki wygrane? — I rzuciła naszyjnik na bransoletkę.

— Za chwilę będę się czuł jak chodzący lombard.

— To dobrze, jeżeli poprawi ci to humor — powiedział Reid; wyjął z kieszeni weksel, podarł go na kawałki i rzucił je na podłogę. Potem zabrał paczkę banknotów leżącą na wierzchu stosiku Shawna. — No, to teraz jesteś, jak to się mówi, finansowo niezależny.

— Ale wstępnie to inaczej...

— Proszę stawiać — przerwała.

Postawili w milczeniu, nic nie mówiąc, po prostu położyli je; pozwolili, aby wybór odpowiednich kwadratów mówił za siebie. Teraz nastąpiła w nich jakaś zmiana, z początku ledwo zauważalna, jednak wraz z każdym następnym ruchem koła coraz bardziej widoczna. Shawn mógł tylko obserwować, jaki to miało wpływ na pozostałą dwójkę. Twarz Jean zaczerwieniła się, a jej oczy zaczęły błyszczeć. Oblicze Reida, mimo że nadal ściągnięte i ponure, teraz nabierało życia.

Shawna zaczął uwierać krawat i próbował palcem rozluźnić zaciskającą się na szyi pętlę.

— Tom, czy już cię to wciąga? — zapytała i w źrenicach jej oczu odbiło się migotanie wirującego koła.

Popatrzył na nią zaskoczony, jak gdyby chciał podkreślić, że wszystko dzieje się wbrew jego woli. Pociągnął węzeł i rozluźnił krawat. Rozpiął kołnierzyk i odchylił go na bok tak, że sterczał nad ramieniem jak epolet.

Odgarnęła włosy. — Nalej mi drinka — zwróciła się do Shawna. — Zaschło mi w ustach. — Ale umoczyła tylko wargi i odstawiła szklanekę. — Och, a teraz wszystko! — wykrzyknęła, wysypując całą zawartość chusteczki. — Już tego dłużej nie wytrzymam, to tak jak umierać... — szybko przerwała.

— Proszę stawiać! — powiedziała po chwili, trochę za głośno i zbyt ochryłym głosem.

Po namyśle ściągnęła pierścionek z palca i dorzuciła do reszty. Kulka zaczęła krążyć i wpadła do przegródki. Odetchnęła głęboko.

— On ani razu nie przegrał — rzucił gorączkowo Reid. — Ani razu od początku nie zmienił koloru. Przecież kiedyś musi się to skończyć! To, jak sądzę, rekord, jeśli chodzi o numery nieparzyste...

— To koło oszukuje — stwierdził Shawn szorstko. — Ktoś mnie tu nabiera.

— Koło jest w porządku! — rzuciła z oburzeniem. — I gdybym próbowała manipulować na czyjąś korzyść, to...

Wiedział, co przez to chciała powiedzieć.

Znowu umoczyła usta w alkoholu i odchylając się, rozlała trochę drżącą ręką.

— Ja już odpadam. Szczęście nie lubi kobiet. — Przyłożyła na moment rękę do czoła. — Za chwilę będę wam dalej kręciła kołem

— jak się trochę uspokoje.

— Może skończymy? — zapytał Shawn, wyciągając ku niej rękę, ale zaraz ją cofnął.

— Nie zostawiaj mnie teraz na łodzi — jęknął Reid, prawie zrozpaczony. Pozostała mu tylko jedna paczka. — Chwileczkę... A gdzie moja książeczka czekowa? Mam sporo na koncie. Mam też papiery wartościowe.

— Nie — zaprotestował Shawn gardłowo.

Jej stopa szybko trąciła go pod stołem. — Spójrz na jego twarz

— szepnęła. — Wygrywamy. Kontynuuj.

Na stół upadł prostokąt jasnoniebieskiego papieru.

— Tu... nie jest wypełniony — oznajmił Reid. — Daję tyle, ile zechcesz. Potem możesz wypełnić. Jeżeli wygrasz.

— Wszystko — powiedział wtedy cicho Shawn i ponownie przesunął wszystko, co miał, na odpowiednie pole.

— Zostało nas tylko dwóch. Wobec tego będziemy stawiać na kolory. Kolor przeciwko kolorowi.

— Proszę stawiać — skinął głową Shawn.

— Ja stawiam na czerwony, na kolor życia. Ten drugi to kolor...

— Koniec obstawiania! — rzuciła szybko.

Zdawało się, że kulka nigdy nie zatrzyma się w przegródce. Koło kręciło się i kręciło, coraz wolniej i wolniej. Reid chwycił palcami fałdę skóry na wyschniętej szyi i zaczął ją rozciągać jak gumę. Ona zagryzała nerwowo wargi, Shawn uderzał rytmicznie dłonią w udo, jakby chciał rozmasować bolące miejsce. Wreszcie kulka wpadła do przegródki.

Patrząc na nich, nie można byłoby zgadnąć, kto wygrał. Zdawało się, że wszyscy troje przegrali, zarówno grający, jak i ona, która już nie brała udziału w grze.

— Ja skończyłem — powiedział Reid zduszonym głosem. — Nic nie mam. Shawn uczynił gest, jakby zamierzał przesunąć cały stos pieniędzy z powrotem ku niemu.

— Nie, to na nic! — rzucił Reid gwałtownie. — Nie zrozumiałeś? To małe koło fortuny ukazuje tę samą prawdę co duże. Myślisz,

że to tylko zwykłe, drewniane koło gry hazardowej. To koło mego życia. Powinienem wygrać choć raz, zanim będzie za późno. Wtedy byłby to jakiś znak, który wskazywałby na to, że... mam grać dalej, aż w końcu wygram! Spojrzał na zegar.

— Zaczekaj... Ten dom. Gdzieś jest akt własności. Moja córka będzie świadkiem. Daj mi kawałek papieru. Obojętnie jaki, obojętnie.

Narysował kwadrat. Dorysował komin i okno, a potem podpisał się.

— Ty podpisz jako świadek — przesunął papier ku niej. Podpisała. Przyniósł papier z powrotem do siebie, chwycił i rzucił na stół.

— Stawiam to przeciwko temu, co masz. Na czerwone. Shawn skinął głową.

Zakreśliła kołem.

— Odsuń się, odsuń się o krok — rozkazał jej. — Połóżcie ręce na głowę i tak stojcie. Chcę otrzymać znak, ale nie od was. Chcę go od... — Spojrzał na sufit, potem przeniósł wzrok w dół, na zamazany krąg wirującego koła. Przez delikatny szum można było usłyszeć ich oddechy. Krótkie, szybkie, chrapliwe z napięcia.

Kulka wpadła do przegródki. Zapanowała cisza. Reid uśmiechnął się. To był straszny uśmiech. — Teraz dom też jest twój — powiedział. — Dom i wszystkie pieniądze. Shawn milczał.

— Już nic nie mam. — Reid znowu zerknął na zegar. — Nie, zaczekaj... — Odwrócił się wolno, jego oczy spoczęły na Jean.

Shawn zbladł. — Nie, tylko nie to — wykrztusił. — Tego nie wolno robić. — Cofnął się o krok. — To wszystko było po to, aby pana zabawić, ale teraz...

— Zabawić mnie? — krzyknął ze złością Reid. — Ja nie gram przeciwko *tobie!* Ja gram o życie.

Ciągle patrzył na córkę.

— Zgadzasz się, Jean?

Shawn popatrzył na niego ze wstrętem.

— Pan oszalał — powiedział. — Czas już to przerwać. Pan nie wie, co robi...

— Nie wiem? — zapytał Shawna, ale nadal wpatrywał się w Jean. — Oczy śmierci widzą wyraźniej niż twoje, synu. Ty nie wiesz, że ją kochasz, ale ja wiem. Ona nie wie, że kocha ciebie, ale ja też o ty wiem...

Ciągle na nią patrzył.

— Zgadzasz się na to, Jean? — ponowił pytanie.

Jej oczy pozostały nieruchome. Nawet nie spojrzała na Shawna, jakby nie było go w pokoju.

Odpowiedziała bardzo cicho, ale ta odpowiedź była tak wyraźna jak czysty brząk cienkiego kryształu. — Zgadzam się, ojczu.

— Wobec tego stawiam ciebie na kole mego życia — powiedział Reid. — Ciebie, moją córkę.

Narysował niewyraźną postać na papierze, jakieś proste linie przedstawiające dwunożną istotę. Małe kółeczko imitowało głowę. Wokół bioder dorysował spódniczkę.

Podpisał się.

— A ty pod spodem dopisz swoją zgodę.

Shawn dotknął językiem górnej wargi i przełknął głośno. — Ależ to nie... to nie jest własność, którą można komuś przekazać... Nie może pan dać mi czegoś żywego, nie można traktować człowieka jak rzeczy.

— To nie jest moja własność, ja oddaję ci jej rękę, daję ci prawo ożenienia się z nią. Możesz odmówić.

Shawn odezwał się teraz tak samo cicho jak ona. Ale tak samo wyraźnie. — Nie odmawiam. Ale nie mam nic równie cennego do postawienia.

Reid przesunął papier z rysunkiem na planszę. — Ja postawiłem. Stawiaj wszystko, co masz. Shawn nie dotknął pieniędzy.

— Ponieważ nie podejmujesz decyzji, wobec tego stawiasz na czarny. Ty jesteś kołem. Ty jesteś życiem.

Jej ręka, oparta łokciem na blacie, nagle przesunęła całą jego wygraną na wyznaczone miejsce.

— Nie będę oddawała zwycięstwa walkowerem — oświadczyła cicho. — To byłoby znacznie gorsze.

Koło zawirowało. Gdy zaczęło zbliżać się do punktu zatrzymania, kulka zadrżała, aby w końcu opaść ciężko jak kamyk.

Jean odwróciła się plecami do stołu. Odeszła kilka kroków. Panująca cisza była odpowiedzią, zanim odwróciła się i spojrzała. Odwróciła się wolno, trochę bokiem do Shawna, a nie w stronę ojca, wciąż z założonymi rękoma. Ale teraz jej ramiona były bardziej zaciśnięte w napięciu. Z jej twarzy nie można było odczytać, czy była zadowolona z wyniku, czy nie.

— A zatem, to są właśnie twoje zaręczyny — odezwał się do niej Reid. Czekał. Nie odpowiedziała.

— Zgadzasz się?

— Już przedtem wyraziłam zgodę. Twoja córka dotrzymuje słowa.

— *A ty?*

Shawn zdjął prosty sygnet z palca i podszedł do niej.

Bez proszśnia podała mu rękę. Wsunął go na jej środkowy palec. Był za luźny. Oderwała skrawek chusteczki i wcisnęła go pod sygnet, aby nie zsunął się z jej palca.

— Przepraszam — szepnął ze skruchą.

Spojrzała mu prosto w oczy. — Wygrywający może odmówić przyjęcia wygranej. Ten, kto przegrał, nie może odmówić zapłaty. To sprawa honoru. — A potem nagle dodała miękko: — Ale przegrywający nie zamierza odmawiać. To jest zgodne z moim życzeniem.

— Jeszcze coś mi zostało — usłyszeli głos Reida i oboje odwrócili się ku niemu.

Drżącymi rękami grzebał w kieszeni. Wreszcie wyciągnął starą kopertę manilową, którą musiał wziąć z sejfu razem z pieniędzmi. Z koperty wyjął pożółkły dokument złożony we czworo, wyraźnie wielokrotnie składany i rozkładany, tak że był mocno przetarty w miejscach zagięć. Delikatnie manipulując palcami, rozłożył go; jego górna część leżała płasko na stole i treść mogła być łatwo czytelna. Na samej górze odcisnięta była grawiura miejskiego herbu, poniżej widniał tytuł wypisany dużymi dziewiętnastowiecznymi literami: „ŚWIADECTWO URODZENIA”. Pod tytułem, wyblakłym, brązowym atramentem wypełniono kaligraficznie: „Reid, William Harlan”, a dalej data: „dwudziesty trzeci sierpnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego roku”. Reszta była niewidoczna pod nie rozłożonym dokumentem.

— Na czerwone — zaskrzeczał Reid. — Ostatnia próba. Czysty fetyszym.

Shawn stał leniwie, opierając się rękami o blat stołu.

— A czego w zamian spodziewa się pan po mnie? — zapytał spokojnie.

— Odmawiasz gry? Twierdzisz, że to jest bez wartości? — zachrypiął Reid.

— Co mogę przeciwko temu postawić? To stawka hipotetyczna. Jeśli wygram, to co mi z tego przyjdzie? A jeśli przegram — to czym zapłacę? Przecież nie mam niczego podobnego?

— Chcę otrzymać znak — upierał się Reid. — Mogę go otrzymać dzięki temu kołu. To koło może mnie uratować. Jeszcze jest czas. Jeżeli wygram, będę uratowany. Jeżeli przegram...

— A co ja mam postawić? To? — Shawn zgarnął wygraną i rzucił na podłogę.

— Nie masz nic, co dla ciebie jest coś warte? Przecież każdy człowiek ma coś takiego. Coś, czego za nic nie chciałby stracić, tak jak ja tego, co teraz stawiam.

Nic nie powiedziała; nie pomogła Shawnowi. Nie można było odmówić jej ojcu, wiedziała o tym. Może czuła, tak jak on, że ten symbol wpłynie na rzeczywistość. A może chciała się dowiedzieć, co było dla Shawna najważniejsze, czy w ogóle miał coś takiego.

— No? — nalegał Reid. — Jeżeli nie masz nic takiego, to bardzo ci współczuję. Współczuję ci prawie tak samo jak sobie.

— Jest coś takiego — odparł powoli Shawn. — Ale tego nie mogę położyć na stół gry hazardowej. — Wyjął z kieszeni małe, czarne pudełeczko i otworzył je, trzymając uniesione w górę w ten sposób, aby nie widzieli, co jest w środku.

— Ale ja umieram — wyszeptał trwożliwie Reid. — Na czerwonym spoczywa moje życie.

Shawn położył na czarnym swoją odznakę policyjną. Symbole były w komplecie.

— Mój sen z poprzedniej nocy — szepnęła niewyraźnie. — Widziałam to, i to była jedyna rzecz, która mogła nas ocalić...

— Nie róbcie tego! — powiedziała do nich głośno. — Nie róbcie tego. Nie wolno nam tego robić. Och, na litość boską, nie stawiajcie odznaki!

— Już się stało — odparł Reid, odprowadzając ją machnięciem ręki.

— Stało się — zawtórował Shawn. — Zakręć kołem.

Tym razem wprawiła w ruch koło dwiema rękami, inaczej niż do tej pory. Przycisnęła je dłońmi, potem rozstawiła je daleko, jedną do przodu, drugą do tyłu i zakręciła nim tak szybko, jakby było rozżarzone i zbyt długie dotykanie mogło ją sparzyć.

Twarz Reida przypominała maskę, skóra była tak ściągnięta ku tyłowi głowy, że spłaszczony zarys dawnych rysów był ledwo rozpoznawalny.

Kostki dłoni Shawna wystawały na silnie zaciśniętych pięściach jak białe wysepki. Wraz z obrotami koła każda z pięści zdawała się coraz bardziej zaciskać, aż wreszcie przypominały niewielkie, kościste kule na końcach rąk.

A ona obserwowała jego twarz intensywniej niż koło, bardziej niż twarz ojca, z rodzajem zadumy i skrywanego podziwu. Tak jak obserwuje się kogoś, kogo do tej pory ledwo się znało, i nagle, po raz pierwszy, odkrywa się jego prawdziwe oblicze.

Tym razem koło zatrzymało się szybciej, jakby musiało zdążyć na czas. Ich oczy nadal wodziły po jego orbicie, kiedy zatrzymało się bez ruchu, jak wówczas, gdy ktoś próbuje zgubić ścigających poprzez szybkie zatrzymanie się i puszczenie ich do przodu.

Shawn powoli zabrał ze stołu odznakę. Zakrył ją obiema rękami i przez moment trzymał, pieszcząc gestem pełnym skruchy.

— Trzymaj go — powiedział nagle. Chwycił krzesło i podsunął je pod osuwające się ciało, które próbowała podtrzymać.

Posadzili Reida na krześle między sobą; był zupełnie bezwładny. Jego głowa opadła do tyłu i Shawn musiał ją podtrzymać.

— Przecież to tylko gra — mówiła mu do ucha zduszonym głosem. — To tylko drewniane koło wykonane w jakiejś fabryce, w jakimś warsztacie. Sam mógłbyś sobie takie zrobić. Ono nie może *wiedzieć*. Kulka zatrzymuje się raz tu, raz tam...

— Jest tu — przerwał jej Shawn. — Tutaj... Niech pan spojrzy, proszę to wziąć. — Chwycił zniszczone świadectwo urodzenia i wcisnął je w rękę Reida.

— Ty mi zwracasz tylko zwykły kawałek papieru.

— Właśnie to położył pan na stół — i nic więcej.

— Ja tam położyłem swoje życie. — Jego ręka zadrżała, tkwiąca w niej część dokumentu rozpadła się na małe kawałki, które posypały się na podłogę jak konfetti. — Widzisz? To właśnie *ono*. Tak właśnie odchodzi.

Jego głowa, podpierana u podstawy ręką Shawna, przechyliła się w przeciwną stronę — teraz do przodu. Opadła bezwładnie i spoczęła na leżącej na stole ręce. Druga ręka, z początku luźno kołysząca się, teraz bezwładnie zwisała ku podłodze i zatrzymała się podobnie jak wahadło nie nakręconego zegara.

Jean przesunęła z wahaniem ręką po jego pochylonych plecach, a potem odsunęła się bezsilnie. Okrążyła stół; mijając koło, obróciła nim pełna rozpacz, na pożegnanie.

Koło zawirowało i przez nikogo nie obserwowane zatrzymało się za jej plecami, tak jak robiło to wiele razy przedtem; ale teraz plansza była pusta.

Dostrzegła wyraz twarzy Shawna. Odwróciła się i spojrzała na koło.

Po raz pierwszy podczas tego wieczoru, teraz, gdy gra była już skończona, a jeden z graczy został zrujnowany, kulka zatrzymała się na czerwonym.

16

PROCEDURA POLICYJNA: MOLLOY

Znaleźli go przy dróżce prowadzącej do wsi przez kępę drzew. Było to boczne odgałęzienie od szosy przy farmie Hughesów, łączące się z centrum wsi. Główna droga dochodziła do wsi łukiem, a ta dróżka biegła prosto. Stanowiła jakby cięciwę łuku szosy. Dróżka była obsadzona drzewami i obrośnięta jeżynami. Ciało było bestialsko zmasakrowane.

Po ucieczce z klatki zwierzę musiało ukrywać się wśród drzew przy dróżce, a potem dostało się tutaj — ślady na ziemi dopowiedziały resztę.

Widać było, że przyszedł tu sam. Szedł samotnie w stronę wsi. To też było zupełnie jasne. Ponieważ wszyscy we wsi wiedzieli, że

zwierzę uciekło z klatki, przebywało na wolności i gdzie się kryło, nikt nie byłby tak głupi, aby kręcić się w pobliżu. Ale on wyraźnie o tym nie wiedział; to znaczy, nie słyszał o tym, co się stało; to znaczy, że nie było go we wsi i że szedł w jej kierunku.

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i Malloy udał się do miejsca, w którym znaleziono ciało. Dotarł tam po dziesięciu minutach od chwili, gdy je znaleziono. Podobnie jak większość mieszkańców Thackery — w każdym razie męska ich część.

Pochodnie oświetliły miejsce, w którym leżał. Było jasno jak w dzień. Widok był straszny. Ci, którzy dopchali się do przodu, szybko odwracali się i głęboko nabierali powietrza.

Można było rozpoznać, że zabity był mężczyzną, można też było określić kolor jego włosów. Cały był oblepiony liśćmi i wyglądał, jakby go wytarzano w smole i pierzu. Przyklejone do ubrania i włosów liście i chrust świadczyły o tym, że musiał walczyć, przewracając się i turlając po ziemi.

Walka musiała toczyć się wewnątrz kręgu całkowicie stratowanych krzaków i zdeptanej ziemi.

Dość daleko od miejsca kaźni znaleziono skrawek materiału, prawdopodobnie zerwany pazurami i zgubiony. Materiał był sztywny od zaschniętej krwi. Ale ta krew nie była jego, ślady już zbrzo-wiały.

Ktoś go wreszcie rozpoznał.

— To Rob Hughes. Wiem, że to on, poznałem ząb ze złotą koroną. Zobaczycie, jak błysnie, gdy zbliżycie pochodnię. Zawsze widziałem, jak błyszczała, gdy otwierał usta, zdmuchując zapalną, którą zapalał fajkę. Zróbcie to jeszcze raz, zbliżcie pochodnie do jego twarzy. — Usta leżącego były szeroko otwarte w śmiertelnym krzyku; nie było potrzeby szerzej ich otwierać. — Widzicie, jak błyszczy?

Głowy pochyliły się potakująco. — Taaa, to Hughes.

— Wystarczy — powiedział Molloy. — Dosyć tego widowiska. Wybrali delegację, aby zawiadomić jego żonę. Molloy z obowiązku poszedł z nimi. — Oni przez minione dziesięć lat żarli się ze sobą jak pies z kotem — powiedział ktoś po drodze.

— Ale to były ciche awantury za zamkniętymi drzwiami — dodał ktoś inny.

— Wobec tego jak inni się o tym dowiedzieli? — zapytał rzeczowo Molloy.

— Za każdym razem można było zobaczyć na niej ślady tych kłótni. Zawsze zdarzały jej się w domu jakieś „wypadki”, coś na nią spadało, przewracała się, potykając się o różne kubły, i potem kulała...

— Szszsz... — ktoś cicho ostrzegł. Nie ze względu na szacunek dla zmarłego, ale z uwagi na żywych. W oknie paliło się światło.

Podeszli do drzwi i wszyscy czterej weszli do pokoju, i zdjęli kapelusze. I odjęło im mowę. Być może z wyjątkiem Molloya; on nie próbował mówić, tylko obserwował.

Miała ponad pięćdziesiąt lat, była wysoka, szczupła i wyglądała na kobietę twardą, w której trudne życie wypaliło wszystkie dobre uczucia.

Odezwała się pierwsza, jakby przeczuła, że coś się stało.

— O co chodzi? — zapytała obojętnie. — Coś z Robem — stwierdziła. Skinęli głowami. Odgryzła nitkę, którą zszywała jakiś materiał. Potem dodała: — Tak mi się zdaje. Inaczej nie przyszliby-ście. W dodatku bez niego. — Wbiła igłę w materiał i czekała.

— Dopadł go ten lew, który uciekł z teatrzyku — powiedzieli z wahaniem.

Przyjęła to z dziwnym spokojem. Nie krzyczała i nie płakała. Nadal stała prosto.

— Bardzo z nim źle? — zapytała.

— Nie żyje, Hannah.

— To wiem — odparła, jakby nie o to chodziło. — Pytałam, czy bardzo go pogryzł.

— Wygląda na to, że bardzo, Hannah. Bardzo go pogryzł. Niektórzy z nich mówili później, że wtedy uśmiechnęła się;

gorzko uśmiechnęła. Inni twierdzili, że wcale tak nie było. Molloy nie opowiedział się po żadnej stronie.

Usiadła na fotelu na biegunach, z którego wstała na odgłos pukania do drzwi. Jednak nie usiadła z powodu ogarniającej ją słabości lub smutku, tylko najwyraźniej dała im w ten sposób do zrozumienia, że rozmowa już skończona. Ale żeby usiąść, musiała podnieść sukienkę w białe kwiaty na niebieskim tle, którą właśnie szy-

ła, po czym położyła ją z powrotem na kolana, przygotowując się do dalszego szycia.

Molloy wpatrywał się w nią przez cały czas. Przyniósł ze sobą ten zakrwawiony kawałek materiału. Wyjął go i odwinął przed nią z papieru. Niewiele zostało z oryginalnego wzoru.

Spojrzała na kawałek tkaniny bez mrugnięcia okiem, można by powiedzieć, że nawet z lekkim zainteresowaniem.

— To pochodzi z tej sukienki — oświadczyła. — Z tej, którą teraz naprawiam. To moja świąteczna sukienka. Zauważyłam, że ktoś wyciął z niej kawałek, i dlatego nie włożyłam jej, ale tylko wyjęłam z szafy. Wtedy też zdecydowałam, że zostanę w domu, aby to naprawić. — Odchyliła materiał, żeby pokazać zniszczenie. Kawałek zakrwawionej tkaniny pasował do wyciętego miejsca. — Właśnie wstawiałam tu łatkę.

Wszyscy milczeli. Odpowiedziała na nie zadane pytanie:

— Dzisiaj rano zabiłam kurczaka na kolację. Może użył tego kawałka materiału, aby wytrzeć po mnie, bo trochę nabrudziłam, no wiecie — i pewnie dlatego miał go przy sobie.

Twarze przybyłych pobladły. Kontynuowała szycie. Właściwie to tylko ona przez cały czas mówiła.

— Miał mnie dziś wieczorem zabrać na przedstawienie pod namiotem. Był dziś po południu w mieście i sądził, że pewnie będzie mi się podobało. Nie chciałam iść, ale bardzo mnie namawiał. Chyba mu na tym zależało. — Wygładziła starannie materiał. — Jednak potem stał się jakiś niespokojny i powiedział, że pójdzie sam wcześniej i że mam przyjść potem. Powiedział mi też, gdzie go znajdę. Miałam się z nim spotkać przy klatce z lwami. Powiedział, że tam będzie pełno ludzi, mam czekać dokładnie w tym miejscu i nie ruszać się.

Jeden z ludzi zaczął sięgać ręką do tyłu, aby chwycić klamkę, jak gdyby chciał wyjść z pokoju, w którym przestało mu się podobać. Ona mówiła dalej, przez cały czas szyjąc.

— Zanim wyszedł dzisiaj po południu, widziałam, że coś zabierał z pudła z narzędziami. No wiecie, mamy tu w domu taką skrzynkę z narzędziami. Nie widziałam, co zabrał, ale kiedy wyszedł, poszłam i zajrzałam do tej skrzynki. Brakowało obciążków i pilnika. Zdaje mi się, że właśnie to zabrał ze sobą. Nie mam poję-

cia, do czego mu to było potrzebne. A przede wszystkim, po co zabrał to do miasta...

— Idziemy — odezwał się jeden z przybyłych zdławionym głosem.

— No, ale on czasem robił jakieś dziwne rzeczy. Pewnej nocy, mniej więcej pół roku temu, znalazłam pod naszym łóżkiem siekiere. Wyciągnęłam tę siekiere, podałam mu i powiedziałam, że chyba położył ją nie na swoim miejscu. Zgodził się ze mną, zabrał ją i odłożył na miejsce. Od tej pory zawsze już była na swoim miejscu.

Molloy odezwał się po raz pierwszy: — Pani jest właścicielką farmy, pani Hughes?

— Tak. Ma się rozumieć. Jest zapisana na moje imię. Załatwiłam to przed wielu laty.

— Pani jest bardzo dzielna — mruknął pod nosem.

— To wcale nie znaczy, że kobiety zwykle są takie dzielne — zaprzeczyła. — Raczej większość mężczyzn to tchórze.

Kiedy wychodzili, dodała jeszcze:

— Dobranoc. Dziękuję, że przyszliście mi o tym powiedzieć. Pozwolicie, że teraz was przeproszę, ale muszę skończyć szycie. Muszę naprawić tę sukienkę, z której wydarł kawałek materiału. Potem ją przefarbuję. To jedyna rzecz, w którą mogę się ubrać na pogrzeb.

17

OCZEKIWANIE: CHWILE PRZED WIECZNOŚCIĄ

Pokój był zamknięty od środka. Klucz został wyjęty z zamka.

(11.46) Reid siedział skurczony w wielkim, miękkim fotelu; wyglądał jak szmaciana lalka, którą ktoś przez zapomnienie zostawił w pozycji siedzącej. Patrzył w przestrzeń szeroko otwartymi oczami. Sprawiały one wrażenie agatów osadzonych w migdałowych wycięciach w twardej, pomarszczonej skórze. Wyglądał jak nieżywy. Jednak jego powieki podnosiły się i opadały.

Shawn stał oparty bokiem o szeroką, zaokrągloną poręcz fotela, tworząc w ten sposób opiekuńczą osłonę dla siedzącego. Reid obie-

ma dłońmi trzymał silnie ramię, które było blisko niego. Zdawało się, że w tej jednej ręce szuka ocalenia. Drugą dłoń Shawn zanurzył w wypchaną kieszeń marynarki. To, co wybrzuszało materiał, było kawałkiem metalu o nieregularnym kształcie.

Ona siedziała po drugiej stronie pokoju, tyłem do nich, z głową pochyloną w kierunku małego stoliczka, na którym stała miska z wodą. Słychać było cichy, ostrożnie kontrolowany plusk, jak gdyby nie chciała, aby słyszano, co robi. Potem odwróciła się i podeszła do fotela, trzymając rozciągnięty między rękami świeżo zmoczony kompres z męskiej, płasko złożonej chusteczki.

(11.47) Pochyliła się nad Reidem. Jego oczy nie poruszyły się nawet na widok tego groźnego kompresu.

— Proszę cię, zamknij je na chwilę — błagała.

Położyła ten kompres na jego nieruchome oczy, wyrównała i delikatnie przycisnęła czubkami palców.

Po chwili ostrożnie odsunęła ręce, pozwalając, aby wilgotny materiał pozostał tam. Jego głowa poruszyła się słabo, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nic nie widzi. Próbował usunąć okład.

— Nie chcę, ja nie... — Jedna ręka puściła ramię Shawna i powędrowała ku twarzy, aby go zdjąć. Chwyciła ją, łagodnie powstrzymała i umieściła na poprzednim miejscu.

— Daj im choć przez chwilę odetchnąć. Nie patrz tam. Przestań na chwilę patrzeć.

— Ale kiedy go nie widzę, idzie szybciej. On mnie oszukuje.

— Jestem tuż obok ciebie, będę tuż obok ciebie.

Przysiadła na poręczy po przeciwległej stronie Shawna.

Teraz z obu stron otaczali Reida jak żywe ściany. Ich ciała pochylały się ku sobie, tworząc ponad nim coś w rodzaju ochronnego łuku, a Reid uporczywie ścisnął nie ramię córki, tylko Shawna.

Ona sama bez przerwy gładziła ojca po włosach. Delikatne ruchy stawały się coraz lżejsze, aż wreszcie ustały.

(11.48) Obserwowali go uważnie przez chwilę, milcząc konspiracyjnie.

Potem ich oczy spotkały się. Ona wskazała na zegar. Następnie zatoczyła ręką koło, w przeciwnym kierunku do obrotów wskazówek zegara, co miało oznaczać, że cofała czas.

On ruchem głowy wskazał na dół, na unieruchamiającą go zaciśniętą dłoń na ramieniu.

Skinęła lekko głową, dla odmiany wskazała palcem na siebie, dając mu do zrozumienia, że ona tam pójdzie.

Wtedy wyciągnął rękę z kieszeni obciążonej rewolwerem i wskazał na siebie. Potem zaczął zsuwać się z poręczy; najpierw wyprostował się do pozycji pionowej, a następnie stanął przy fotelu.

Reid, czując, że Shawn się porusza, natychmiast przylgnął do niego ze zdwojoną energią, drżąc na całym ciele.

— Zdrętwiała mi noga, muszę zmienić pozycję...

Shawn rozluźnił zaciśnięte palce Reida i wyciągnął tę rękę ku niej, aby zaopiekowała się ojcem. Odsunęła ją jednak na poprzednie miejsce.

Ale Shawn tymczasem zdążył już wstać.

(11.49) — Nie, nie wstawaj. — Twarz z zakrytymi oczami wykrzywiła się.

— Stoję tuż przy panu. — Stanął ciężko na jednej nodze, w udawanym wysiłku pobudzenia krążenia krwi. — Proszę pozwolić mi na minutę rozprostować nogi.

Kiwnęła głową w stronę zegara, dając znak, aby się pośpieszył.

Ruszył szybko, a jednocześnie ostrożnie, wydłużając kroki i cicho stawiając stopy, okrążał przedmioty, by nie potrącić jakiegoś mebla. Gdy szedł do zegara, położył na nim ręce i ciągle patrząc przez ramię na Reida, upewniał się, czy nie zauważył jego odejścia.

Na pół zakryta twarz była nadal nieruchoma. To jej twarz drżała w męczarni oczekiwania.

Odwrócił głowę w stronę zegara. Przykrył dłonią jego tarczę, próbując stłumić dźwięk otwierania szklanej pokrywy. Zabrzmiał cichy trzask.

Reid nie poruszył się.

Teraz okrągła szklana pokrywa znajdowała się pod kątem prostym do tarczy zegara.

Nagle Reid zaczął gwałtownie kręcić się w fotelu. Jedną rękę podniósł do twarzy, ściągając zasłaniającą oczy przepaskę.

(11.50) Ręka Shawna spoczywała już przy połączeniu dwóch wskazówek na tarczy zegara; właśnie chciał je bardziej rozdzielić w szerszy kąt. Opuścił ją tak nagle, jakby go sparzyły.

Wszyscy troje milczeli. Nawet Reid. Nie potrzebował mówić, jego oskarżający wzrok był wystarczająco wymowny.

— Wracaj, Shawn — westchnęła z rezygnacją. — Wracaj. Shawn powoli odsunął się od zegara i wrócił do fotela. Opadł na poręcz, którą zajmował przedtem.

Reid popatrzył na niego w napięciu. — Chyba jeszcze tego nie zrobiłeś? Nie dotknąłeś go?

— Nie, nie zrobiłem — odparł apatycznie Shawn.

— Przysięgnij. Przysięgnij.

— Nie zrobił tego, ojcze. Widziałam — zapewniła Jean. Palce Reida zaczęły błędzić wokół ręki Shawna. — Masz wciąż ten klucz? Klucz do tego pokoju?

— Tak, mam.

(11.51) — Pokaż mi go, porusz nim. Muszę to usłyszeć. Shawn poklepał się po kieszeni i coś w niej niespokojnie zadzwoniło.

— Czy twój rewolwer jest naładowany? Jesteś tego pewien?

— Przecież demonstrowałem to panu zaledwie parę minut temu.

— Chcę znowu zobaczyć, muszę się upewnić.

Shawn wyciągnął rewolwer, chwycił obiema rękami i otworzył komory nabożowe. Wykonał te ruchy wprawnie i szybko, nawet nie patrząc na broń. Reid zbadał komory palcami, po czym Shawn zamknął je.

— Ten pokój jest zamknięty na klucz — stwierdził głucho. — Cały dom jest szczelnie zamknięty, a teren wokół domu otoczony i dobrze strzeżony. — Jego oczy zwięzły się w szparki, wpatrywał się w coś, co tylko on mógł widzieć. — Nic, nic się nie przedostanie.

(11.52) Reid westchnął głęboko. — Ty mnie nienawidzisz, synu. Właśnie wtedy, przez minutę nienawidziłeś mnie tak bardzo. Wyczułem, że ta nienawiść nagle cię ogarnęła. Twoje ciało na minutę stężało.

Shawn odezwał się całkiem obojętnie: — Proszę mnie nie nazywać synem, proszę pana. Miałem swojego ojca. I on nie bał się umrzeć.

— Ale on nie wiedział, kiedy umrze.

— Moja matka też się nie bała, a wiedziała, kiedy umrze. Miała raka. Z uwagi na słabe serce nie mogła stosować żadnych środków znieczulających. Umierając, uśmiechała się do mnie. Ostatnie zdanie, jakie wypowiedziała, brzmiało: „Przykro mi, Tom, że sprawiłam ci tyle kłopotu”.

Po tych słowach zamilkł.

Wijące się palce zsunęły się z ręki Shawna. Potem Reid zakrył dłońmi twarz, pocierając policzki, jakby próbował zedrzeć z niej wyraz przerażenia.

— Spróbuję nie sprawiać wam więcej kłopotu — powiedział. — Spróbuję... — ciężko przełknął, opuścił ręce i złożył je stanowczo, jedną na drugiej. — Widzisz, Shawn? Siedzę teraz zupełnie spokojnie... I po prostu czekam.

Detektyw uśmiechnął się słabo, z wyrazem melancholijnej litości. Wyciągnął rękę, objął ramiona Reida i w geście pocieszenia przyciskał je do siebie przez chwilę.

(11.53) — Może mnie pan jednak nazywać synem — powiedział miękko.

18

ZAMIESZANIE

Był to rodzaj baru samoobsługowego, otwartego przez całą noc. Wewnątrz panowała biel. Blaty stolików białe, ściany do połowy wysokości pokryte białą glazurą, a powyżej — wraz z sufitem — pomalowane na biało, chociaż tu i ówdzie farba zaczęła już odpadać. Od środka sufitu rozchodził się rząd mlecznobiałych półkul lamp elektrycznych, między którymi wisiały, teraz nieczynne, elektryczne wentylatory. Nawet marynarka człowieka za ladą była biała, ale to określenie dodano tylko przez uprzejmość.

Na ścianie widniał napis: „Pilnujcie płaszcza i kapelusza. Nie odpowiadamy za garderobę”, poniżej były jeszcze jakieś mniejsze litery.

Przy wejściu drzemał za kasą mężczyzna w średnim wieku. Barman za ladą, z braku zajęcia, czytał gazetę.

Poza nimi w barze był tylko jeden mężczyzna. Siedział niedbale przy jednym ze stolików, z rondem kapelusza zsuniętym na oczy, chroniąc je przed śnieżnobiałym światłem lamp odbijającym się od białych powierzchni stolików.

Nie przyszedł, aby tam coś zjeść. Być może chciał odpocząć. A może po prostu nie miał dokąd pójść. Na stoliku przed nim stał kubek kawy. Dawno już wystygła, mleko wypłynęło na wierzch i utworzyło biały krąg. W kubku tkwiła łyżeczka. Poza tym na stoliku leżał jakiś tekturowy kwitek z numerami od jednego do stu, z przedziurkowaną piątką. I nic więcej.

Siedział bez ruchu w sennej ciszy, pogrążony w zadumie. Nie poruszył się od pół godziny. Nawet kasjer był bardziej ruchliwy, chociaż miał zamknięte oczy. Jego głowa kiwała się coraz niżej; od czasu do czasu prostował się, próbując na krótką chwilę utrzymać pozycję pionową. Barman za ladą odwracał chociaż strony gazety, za każdym razem śliniąc kciuk. Tymczasem mężczyzna przy stoliku siedział bez ruchu, zatracony w zapomnieniu, marzeniu, a może pogrążony we śnie, z jedną ręką złożoną na kolanach, a drugą zwisającą bezwładnie.

Nagle poruszył się gwałtownie, całym ciałem, jakby za sprawą jakiegoś impulsu, wewnętrznego przymusu. Z hałasem odsunął krzesło do tyłu, wstał całkowicie wyprostowany i patrzył na drzwi, chociaż ani przed, ani za drzwiami nie było nikogo.

A jednak szybko odsunął się od stolika, zostawiając nietkniętą kawę i nie zapłacony rachunek. Zaczął zbliżać się do wyjścia, jakby chciał wyjść na zewnątrz. Zatrzymał się w pół drogi. Może pod wpływem wewnętrznego ostrzeżenia? Obejrzał się, zdawało się, że szuka drzwi zapasowych, przez które mógłby przejść. Przy tylnej ścianie znajdowały się dwie kabiny telefoniczne. Skierował się w tamtą stronę; idąc między stolikami, znalazł się w końcu przy ścianie i wszedł do tej odleglejszej kabiny. Usiadł. Uspokoił się. Nie zdjął słuchawki z widełek i nie domknął drzwi. Z powrotem zapadł w bezruch.

Trwał tak mniej więcej dwie minuty.

W ciągu pierwszej minuty nic się nie zdarzyło. Potem przed wejściem do baru rozległ się dźwięk hamulców. A następnie ciężkie kroki na chodniku.

Czas mijał. Otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Dobbs, drugim Sokolsky. Ich zmęczone twarze wyrażały niepokój. Nie rozmawiali ze sobą. Wyglądali na bardzo wyczerpanych. Dobbs zsunął kapelusz z czoła na tył głowy.

Obaj wzięli tekturki z płaskiego, gumowego talerzyka leżącego przed kasjerem.

Kiedy byli w połowie drogi do tylnej części lokalu, w pół drogi do miejsca jego ukrycia, mężczyzna w kabinie zamknął całkowicie drzwi. Dobbs, który szedł przodem, zerknął pośpiesznie na znikającą czyjąś rękę, a potem obojętnie odwrócił wzrok.

Nad nieznanym zapaliła się lampa i wewnątrz kabiny zostało oświetlone mdłym, żółtym światłem. Ukazał się wierzch kapelusza, a potem można było zobaczyć ramiona jakby obsypane mąką kukurydzianą. Spojrzał w górę, ale nie zgasił lampy. Odwrócił nieco głowę do sali, jak gdyby pusta ściana przed nim, na którą teraz patrzył, męczyła go swą monotonią; wyjął z kieszeni żółty ołówek i z namaszczeniem zaczął na niej kreślić jakieś figury geometryczne. Czasem przerywał pracę i spoglądał krytycznie na rysunek. Potem rysował dalej. To, czym się zajmował, wynikało z wymuszonej beczynności, ale beczynności w całkowicie bezpiecznym miejscu. Był odprężony, nie obejrzał się ani razu, zdawało się, że wie z góry, iż nikt mu nie przeszkodzi.

Dobbs i Sokolsky nieśli teraz kubki z parującą kawą. Dobbs przodem prowadził ich obu do stolika, przy którym przedtem siedział mężczyzna przebywający teraz w kabinie. Może dlatego wybrali to miejsce, że tam właśnie jedno z krzeseł było częściowo odsunięte — niczym zaproszenie do odpoczynku. Kiedy Dobbs zobaczył samotny kubek z kawą, zawahał się i nie postawił swojego kubka na blacie stolika. Potem chwycił jeszcze tekturowy kwitek leżący obok i pokazał go Sokolsky'emu jako dowód, że ten stolik zajmował już inny gość, i odłożył go na miejsce. Poszli do sąsiedniego stolika i usiedli.

Zajęli miejsca naprzeciwko siebie, ale nadal nic nie mówili. Na poszarzałych twarzach malowało się obrzydzenie do całego świata.

Dobbs przyglądał się pomalowanemu w brązowe paski kubkowi z kawą, Sokolsky patrzył w sufit, obserwując jedną z mlecznobiałych półkul.

Posłodzili kawę, odruchowo wsypując do niej cukier z porcjującego pojemnika. Podnieśli kubki do ust; Sokolsky ciągle patrzył w górę, Dobbs w dół. Potem odstawili częściowo opróżnione kubki. Kawa była za gorąca, aby wypić ją duszkiem. Sokolsky otarł usta wierzchem dłoni. Dobbs wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów, potrząsnął nią w górę tak, że jeden, ostatni, papieros wysunął się przez rozdarty wierzch.

Wetknął go w usta, ale nie potrudził się, żeby go zapalić, jak gdyby ta czynność nie sprawiała mu żadnej przyjemności. Wyjął papierosa z ust i spojrzął na niego rozczarowany. Potem położył go w niewielkim wgłębieniu biegnącym wokół podstawki, gdzie w rozlanej kawie zbrazował od zamoczenia.

Mężczyzna w kabinie poprawiał niektóre fragmenty rysunku. Odwrócił ołówek i pracowicie wycierał gumką jakieś detale. Później pochylił się i zdmuchnął resztki gumki. Po chwili dalej szkicował. Zdawało się, że całkowicie zapomniał o sali na zewnątrz kabiny.

Sokolsky opróżnił kubek do dna. Znowu otarł usta i odezwał się po raz pierwszy od wejścia do baru.

— Chcesz to zrobić? — zapytał. — Czy może mnie to zostawiasz? Zdawało się, że Dobbs doskonale wie, o co chodzi.

— Ja to zrobię — odezwał się ponuro. — Jeden z nas musi. Wstał, odwrócił się i poszedł w kierunku kabin telefonicznych.

Podłogę w tej części sali mył jakiś kolorowy. Odsunął kilka stolików, aby zrobić sobie miejsce. Skurczona postać, kubeł, który należało ominąć, przestrzeń mokrej podłogi, przez którą trzeba było ostrożnie przejść, aby się nie poślizgnąć — to wszystko sprawiło, że podchodząc do kabin, Dobbs odwrócił od nich wzrok.

Chwycił rączkę drzwi do zajętej, tej oświetlonej w środku kabiny telefonicznej, i otworzył je. Tuż przed sobą ujrzał kark siedzącego mężczyzny.

Tamten nie odwrócił głowy. Jedyne na moment odchylił się, odsuwając czubek ołówka od rysunku, jakby biernie oczekiwał rozwoju wypadków.

— Och, przepraszam — wybełkotał Dobbs i wycofał się. Zamknął drzwi i wszedł do sąsiedniej kabiny.

Czubek ołówka tamten znowu dotknął do ściany i zaczął się przesuwać dokładnie po tych samych liniach co przedtem, aby je pogrubić i uczynić wyraźniejszymi.

Przez cienką przegrodę dzielącą kabiny można było słyszeć dźwięk wrzucanej monety, a później tylko dźwięk jednego, długiego ruchu obrotowego tarczy.

— Poproszę komendę główną — zabrzmiał ostrożny głos. Następnie już głos był słyszalny z przerwami, nie dlatego, że

brzmiał za cicho, ale rozmówca często musiał przerywać, ponieważ ktoś nie pozwalał mu dokończyć zdania.

— Nie ma po nim śladu...

— Próbowaliśmy wszystkiego...

— Biegaliśmy wszędzie bez tchu...

— Wiem, poruczniku, ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

— Tak, szefie...

— Tak, szefie...

— Tak, panie poruczniku...

— Tak, szefie...

Teraz przy kabinie zjawił się Sokolsky. Oparł się dłonią o szkło w drzwiach kabiny sąsiedniej. Kiedy cofnął rękę, na szkle pozostał zaparowany odcisk jego dłoni, spoconej ze zdenerwowania. Mężczyzna w drugiej kabinie odwrócił na chwilę głowę, aby spojrzeć za siebie i to zaparowane odbicie dłoni przysłoniło dolną część jego twarzy niczym delikatna, przezroczysta maska, ponad którą błyszczały nie zakryte oczy. Potem znów zwrócił twarz w stronę ściany, a odcisk dłoni na szybie powoli zniknął.

Dobbs wyszedł z kabiny i przez chwilę stali obok siebie.

— Ale mi dosolił. Powinieneś to słyszeć. Sokolsky gryzł nerwowo dolną wargę.

— On nas wszystkich wykończy — stwierdził Dobbs. — Musimy złapać skurwiela, bo inaczej...

Sokolsky przełknął ślinę. — Czy on sobie wyobraża, że robimy go w konia?

— Zabierajmy się stąd — oświadczył Dobbs. — Opieprzanie się tu nic nam nie da.

Odbicie jego profilu znikło z szyby i dwie cieniste plamy przesunęły się wachlarzowo przez szkło.

Poszli skrajem sali ku drzwiom, w tej samej kolejności, w jakiej weszli.

— Nie zapomnij kwitków — powiedział Sokolski idący jako drugi. Dobbs skierował się do stolika, przy którym siedzieli.

Bezwiednie podszedł do stolika, który był zajęty przed ich wejściem, i przez pomyłkę chwycił bezpański kwitek, po czym rzucił go na blat, tym razem ze zniecierpliwieniem; poszedł dalej i wziął odpowiednie kwitki.

Przyłączył się do swojego towarzysza przy kasie. Zapłacili i wyszli.

Mężczyzna w kabinie grzebał w kieszeni. Wyciągnął dwie dziesięciocentówki, jedną dwudziestkę i kilka centów, i przejrzał je rozkładając na dłoni. Potem wrzucił monety z powrotem do kieszeni i wstał.

Wyszedł z kabiny, podszedł do kasy.

— Proszę dwie pięciocentówki — powiedział pokornie i położył dziesięciocentówkę. Kasjer zmienił monetę, krzywiąc się nieuprzejmie.

Wziął pięciocentówki i wrócił do kabin.

Zaskrzypiały frontowe drzwi; wrócił Dobbs. Położył przed kasjerem drobne. — Poproszę paczkę papierosów. Zapomniałem kupić, gdy tu byłem przed chwilą.

Ramiona, łokieć i biodro mężczyzny właśnie zniknęły w kabinie. Rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Dobbs chwycił papierosy i wyszedł.

W kabinie zabręczczała moneta. Potem zabrzmiał dźwięk obracanej tarczy, która wykonała tylko jeden ruch. — Poproszę komendę główną — odezwał się nad wyraz grzecznie.

KONIEC PROCEDURY POLICYJNEJ

Dziesiąta pięćdziesiąt jeden. McManus jest w swoim biurze sam. Przed dwoma dniami stał tutaj przed nim szereg wybranych, mię-

dzy których rozdzielał zadania. Teraz jest sam, pod lampą, której światło stworzyło wielki biały trójkąt na blacie biurka. Studiuje raporty. Po lewej leżą dwa, które właśnie skończył czytać. Po prawej cztery, których jeszcze nie przejrzał. Otrzymał raporty od wszystkich. Wszystkie w tej samej sprawie.

Zdjął marynarkę, zdjął krawat, zmierzwił włosy. Na biurku leży otwarty zegarek kieszonkowy. McManus stale przenosi wzrok z tekstu raportu na tarczę zegarka i z powrotem.

Czas to teraz dla niego, jak dla każdego, kto jest uwikłany w tę sprawę, najważniejszy problem. Męczy go ta presja czasu. Nienawidzi tego. To pierwsza taka sprawa w jego karierze.

Kończy studiować raport, co przypieczętowuje ciężkim uderzeniem pięści w blat biurka. To samo zrobił po przeczytaniu dwu poprzednich. Wszystko na nic, do niczego nie prowadzi. Odkłada raport i chwyta następny.

Dzwonek telefonu. Od wielu godzin dzwonił z przerwami co trzy, cztery minuty, a teraz nawet częściej. Tym razem to tylko dyżurny sierżant.

— Nie — mówi McManus — jestem zbyt zajęty. Przełącz do kogoś innego.

Bierze do ręki następny raport i zaczyna czytać. Ale wciąż myśli o poprzednim, coś go w nim zastanawia. Odrzuca czytany tekst, wraca do poprzedniego, przeczesując nerwowo włosy.

Potem odkłada go po przypomnieniu kilku fragmentów i chwyta słuchawkę. — Sprowadź mi tego właściciela sklepu ze starzyzną. Chcę z nim pogadać. Chyba nie wierzysz, że on nie wiedział, iż te buty były w oknie... No, ale mniejsza o to. Już i tak za późno.

Jak daleko zaszliśmy? — zastanawia się. Jak to zrobił Tomp-kins? Zawsze to samo, we wszystkich raportach. Bez względu na punkt wyjścia, niezmiennie trafia się do tego samego miejsca.

Kończy czytać kolejny raport i odkładając go, uderza pięścią w biurko z takim samym zniechęceniem.

Dziesiąta pięćdziesiąt trzy. Telefon od Molloya, z terenu. Więcej szczegółów dotyczących ucieczki lwa: — Matka jakiegoś dziecka, mniej

więcej dziewięcioletniego, właśnie przyciągnęła je za kołnierz na posterunek miejscowej policji. Byłem przy tym obecny. Chłop-

czyk przyznał się, że zapalił lont petardy, wrzucił ją do klatki lwów, a potem wiał, aż się kurzyło.

— I co z tego wynika?

— To sprawa pełna paradoksów. Sprzedano dwa sztuczne ognie, tak jak panu powiedziałem. Jeden kupił Hughes, a drugi ten chłopczyk. Hughes był potencjalnym mordercą, a dzieciak lubił po prostu płatać figle. Przypadkowo chłopczyk zrobił to, co zamierzał zrobić Hughes. Tylko że dzieciak go wyprzedził. A Hughes miał już przepiłowane ogniwo łańcucha, był przygotowany i tylko czekał; zostawił łańcuch odpowiednio założony, aby wyglądało, że drzwi są zamknięte. Ale przy klatce nie było jeszcze jego żony, nie zajmowała wyznaczonej pozycji, czekając na niego, aby się tam „zjawił”. To lew wyszedł mu na spotkanie, zamiast jeszcze poczekać. To wszystko nastąpiło trochę za wcześnie... Ale metoda była identyczna, sztuczny ogień i tak dalej.

— W każdym razie nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

— Poza tym, że lew ciągle jeszcze jest na wolności. I zbliża się powoli w kierunku bazy operacyjnej Shawna. Nadszedł raport w sprawie jakiejś pary w samochodzie, którą wystraszył ogromny, beżowy pies. Wskazane przez nich miejsce znajduje się tylko pięć mil od północnej granicy posiadłości Reida.

— Zrób z tym coś, dobrze?! — krzyknął McManus ochryple. — Czy tam nie ma nikogo z policji stanowej? Działaj!

Rzucił słuchawkę na widełki, ale zaraz telefon znowu zadzwonił. To ponownie dyżurny sierżant. — Ile razy mam ci mówić, Hogan, że jestem zajęty! Dziesiąta pięćdziesiąt siedem. Tym razem telefonuje Dobbs.

— Zdaje mi się, że w końcu go przygwoździliśmy. Ktoś odpowiadający jego opisowi właśnie wszedł do domu przy Dexter Street numer czternaście. To tylko dwie przecznice od miejsca, w którym go dzisiaj zgubiliśmy. Osobiście to nie widzieliśmy obiektu, ale nie będziemy ryzykować, otoczmy to miejsce ze wszystkich stron — zameldował jednym tchem.

— Nie róbcie niczego do mojego przyjazdu. Siedźcie cicho. Sam się tym zajmę. Wyjeżdżam natychmiast.

Odsuwa raporty, przeczytane i nie przeczytane, składa razem, chwytając kapelusz, płaszcz i rusza ku drzwiom. Cofa się, zgarnia

z biurka zegarek. Za dwie jedenasta. Jeszcze sześćdziesiąt dwie minuty. Zamyka wieczko zegarka, chowa go do kieszeni płaszcza, który trzyma w ręce. Nie zawiązuje krawata.

Znowu rozlega się dzwonek telefonu. To po raz trzeci dyżurny sierżant.

— Nie teraz, Hogan. Właśnie wychodzę — kończy rozmowę, nie słuchając.

Wychodzi szybko. Telefon dzwoni po zamknięciu drzwi, ale tym razem nie reaguje, idzie dalej, wkładając po drodze płaszcz.

W westybulu próbuje go zatrzymać sierżant dyżurny: — Poruczniku...

— Innym razem, Hogan. Czy nie widzisz, że się śpieszę?

— Co mam zrobić z tym facetem, panie poruczniku? — sierżant woła za nim zduszonym szeptem, zakrywając usta dłonią. — On mówi, że przez cały dzień wydzwaniał do pana, i teraz męczy mnie, żebym go do pana zaprowadził...

Na ławce, skurczony, cierpliwie czeka jakiś mężczyzna, który nagle prostuje się z nadzieją.

— Czy to on?

McManus rzuca mu krótkie spojrzenie, ale nie zatrzymuje się. Dowiedz się, czego chce. Przekaż go komuś innemu.

— Nie chce mówić. Próbowałem. Chce widzieć tylko pana.

— No to wyrzuć faceta — kończy McManus, wychodząc.

W chwilę później, już na zewnętrznych stopniach, ktoś chwyta go łagodnie za rękaw.

— Wynoś się — warczy McManus, uwalniając ramię. — Nie słyszałeś, co powiedziałem do sierżanta? — I zbiega na dół.

Tamten idzie za nim — jakby speszony. I znowu to niepewne dotknięcie, tym razem powstrzymujące McManusa przed wejściem do samochodu zaparkowanego przy krawężniku.

Teraz McManus odwraca się mocno już rozdrażniony. — Wynoś się! — krzyczy wściekle. — Czego chcesz? A w ogóle kim jesteś?

— Jestem Jeremiah Tompkins. — I próbowałem... i próbowałem oddać się w pańskie ręce.

KONIEC OCZEKIWANIA

Trudno było znieść tę straszną ciszę. Nie zdołali z niego wydobyć niczego więcej. Wyglądał jak ktoś, kto żegna się z życiem. Jego serce pracowało, oddychał. Oczy były otwarte, ale patrzył przed siebie beznamiętnym wzrokiem. Duchowo był już martwy.

Oni nie mieli tyle szczęścia. Oboje byli zbyt żywi, zbyt dobrze wszystko odczuwali, chociaż także nie mogli wydobyć z siebie głosu. Milczeli i czekali.

Twarz dziewczyny była przerażająco blada. Na obliczu Shawna lśniły strużki potu, który miejscami zbierał się w krople.

Shawn wiedział, że i on, i Jean do końca życia będą pamiętać o tej nocy. To nigdy tak naprawdę się nie skończy. Tego nie rozproszy już światło dnia. Tej jednej jedynej nocy, zapadła *zbyt* wielka ciemność i jej część pozostanie w nich na zawsze. W ich duszach zawsze będzie obawa, jaką chowali w sobie ludzie wczesnego średniowiecza, kiedy jeszcze wierzyli w diabły i czarną magię. Gdy nadejdą inne noce, a wraz z nimi nowe obawy, wtedy wróci drżenie serca i strach.

Wciąż patrzyli na zegar. Mając go przed oczami, mniej cierpieli. Reid o nic więcej nie prosił.

To już minęło. Teraz to oni musieli wiedzieć, teraz to oni musieli patrzeć. Wahadło przesuwano się tam i z powrotem za więzającą je taflą szkła. Pomiedzy czarnymi wskazówkami pozostał już tylko wąziutki klin bieli. Do dwunastej brakowało dwóch minut.

Zdawało się, że krople wody spadają na wydrążone drewno. Klop, klop klop, klop.

Jean delikatnie masowała skronie ojca. Poruszała jednak dłońmi niczym w transie, jak roztargniona masażystka, która wykonuje swoją pracę z rutyną.

Shawn pomyślał buntowniczo: Do diabła! Dlaczego to wreszcie nie nastąpi? Cokolwiek, obojętne co! Dlaczego lew nie skoczy przez okno? Teraz, właśnie w tej minucie! Dlaczego nie słyhać serii kul wystrzelonych z ciemności za domem? Niech go zabiją. Niech mnie zabiją! Cóż, niech i ona zginie! Tylko żeby to wreszcie się skończyło.

Niech się coś wydarzy. To i tak będzie lepsze niż nic. Zaczął niespokojnie wodzić lufą pistoletu po biodrze. „Jeszcze chwila, a zacznę strzelać — ostrzegał sam siebie. — Mam tylko nadzieję, że będę miał do czego strzelać, bo inaczej wyceluję w coś, czego nie ma. Czuję, że ogarnia mnie szaleństwo strzelania...” Pochylił głowę i przez minutę drugą ręką przyciskał czoło.

Potem przypomniał sobie, że ona jest obok. To go otrzeźwiło na moment.

Teraz pozostała już tylko jedna minuta. Biały klin był już zaledwie grubości nitki. Klop, klop, klop, klop; konie śmierci galopowały do punktu przeznaczenia.

Nagle postać w fotelu wyciągnęła do nich ręce. Myśleli, że nie może już zrobić najmniejszego ruchu, ale to musiał być jakiś ostatni skurcz mięśni.

Wydał z siebie skrzeczący dźwięk niepodobny do głosu:

— Chcę was pożegnać. Chwyć moją rękę, synu. Dziękuję ci za... za to, że zostałeś ze mną do końca. Jean, kochanie, stań przede mną. Pocałuj mnie na pożegnanie, nie mogę odwrócić głowy.

Przez chwilę pochylała się nad nim. Naciągniętą skórę na kościach twarzy pokryła ciepła, miękka masa jej włosów.

Dwie wskazówki utworzyły jedną linię. Złazy się w jedną, doskonałą całość. Czas dobiegł końca. To była godzina śmierci.

Odezwały się dwa, rozdzielone młoteczkami dźwięki, drżące, podobne do dźwięku fletu.

Jean i Shawn podskoczyli niczym rażeni prądem. Shawn z trudem powstrzymał się od wystrzelenia z rewolweru.

Dźwięk ustał, a potem powrócił. Poznali po rytmie, co to oznacza. To dzwonił telefon; gdzieś w holu, naprzeciwko ich pokoju, za podestem schodów.

Shawn poderwał się na nogi, ale zatrzymał się przygarbiony.

Bang! Zegar zaczął bić majestatycznie. Wybijał godzinę. Było w tym szarpiące nerwy ponaglenie.

Shawn wyjął klucz i przy drzwiach obejrzał się na nich z pochyloną głową, jakby próbował się przekonać, jakie wrażenie wywołał ten dźwięk.

Zaciśnięte usta Reida zaczęły drżeć. — Nie, nie odchodź... to może być podstęp, pułapka, by cię odciągnąć od nas... — szeptał.

Bang! Zegar zabrzmiał po raz drugi.

Rozchodzący się dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Pojawił się w nim jakiś inny rytm, tempo rosło.

Jean chwyciła się za głowę. — Idź i zatrzymaj go — krzyknęła. — Dłużej tego nie wytrzymam.

— Zaczekajcie — powiedział. — To może być policja. Trzy krótkie dzwonki... i przerwa. Powiedzieli, że taki będzie sygnał, gdy zechcą się ze mną skontaktować.

Przekręcił klucz i otworzył szeroko drzwi.

— Będziecie mnie mogli wyraźnie widzieć. Nikt obok mnie nie przejdzie — powiedział.

Ujrzał, jak Jean opiekuńczo pochyła się nad ojcem i otaczając go rękoma, przyciąga ku sobie.

Podszedł do telefonu, chwycił słuchawkę i z bronią w rękę, rozejrzał się uważnie wokoło, jakby chciał walczyć z cieniami.

Bang! Znowu odezwało się z oddali bicie zegara.

Telefnował McManus. — Czy wszystko w porządku?

— Tak — rzucił Shawn, wodząc wzrokiem po ścianach, schodach ponad nim, po zamkniętych bezpiecznie drzwiach wejściowych i wzdłuż holu.

— Już po wszystkim. Zwyciężyliśmy. Facet jest bezpieczny. Tompkins właśnie popełnił w celi samobójstwo. Podjęliśmy niezbędne środki ostrożności, ale i tak znalazł sposób. Oderwał jeden z płaskich guzików od ubrania i jego poszarpanym brzegiem przeciął sobie gardło.

Bang! Zabrzmiało w uszach Shawna.

— Tuż przedtem zatelefonował do mnie Molloy. Lew przebywający na wolności został zastrzelony. Zaledwie dwie mile od miejsca, w którym się znajdujecie. Powiedz im to. Powiedz, że już po wszystkim, że nie muszą się bać. Teraz nie mam więcej czasu. Przyjadę jak najszybciej, wyruszam do was natychmiast...

Bang! Czwarte uderzenie zegara przecięło jego słowa. Przebił się przezeń jej szalony krzyk. Shawn wypuścił z ręki słuchawkę.

Reid wypadł z pokoju jak strzała i przebiegł przez hol ku drzwiom wyjściowym z szybkością, której nie można było racjonalnie wytłumaczyć.

— Trzymaj go! On oszalał! — krzyczała z pokoju.

— Drzwi do domu są zamknięte, nie może wyjść! — odpowiedział głośno.

Pobiegł za nim, pewien, że go zaraz dogoni, bo ten szaleńczy bieg przerwie przeszkoda z drzwi. Biegąc za Reidem, zauważył, że Jean leży skurczona na podłodze, może odrzucona nadludzką siłą przez wybiegającego Reida, czy pociągnięta przez niego, gdy nie mogąc go powstrzymać — wyczerpana puściła go i upadła.

Teraz drzwi znajdowały się wprost przed Reidem.

— Idę! — zawył dziko, jak gdyby pędził na jakieś dawno umówione spotkanie. — Już idę!

Nagle, tuż przed drzwiami skręcił w lewo i zniknął w ciemnościach znajdującej się po tej stronie oranżerii.

— Idę! — usłyszeli jeszcze raz jego okrzyki z mroku. Potem nagle rozległ się przeraźliwy trzask i zapanowała cisza.

— Światło! Do cholery, gdzie to światło! Nic nie widzę! — Shawn uderzał po omacku rękami po wewnętrznej framudze drzwi. Jean, zataczając się, szła za nim.

Kiedy dochodziła do Shawna, ten namacał włącznik i przekręcił go.

Światło zapłonęło za wspaniałymi katedralnymi witrażami: rubinowe, szmaragdowe, bursztynowe, szafirowe. Reid stał bez ruchu, blisko jednego z nich, pochylony do przodu, jakby chciał przyjrzeć im się z bliska. Przez chwilę Shawn nie mógł zrozumieć, co go tam trzyma. Potem zobaczył, że nie ma głowy. Poszarpane zęby grubego, roztrzaskanego szkła trzymały jego wykręconą szyję jak imadło, tworząc coś w rodzaju kołnierza, który przebił tętnicę. Jego głowa znajdowała się po drugiej stronie, wbita w obramowane ołowiem szkło, przechodząc na stronę, po której znajdowało się oświetlenie. Można było zobaczyć strużkę życiodajnej krwi, która spływała po wewnętrznej stronie oświetlonego szkła, przyciemniając wspaniałą kolorystykę witraża.

Był martwy.

A ta część witraża, którą wybrał, w którą bezbłędnie wymierzył w swoim biegu na oślep przez tonące w ciemnościach pomieszczenie, część,

którą wybrał spośród wielu, przedstawiała heraldycznego lwa stojącego na tylnych łapach. Grzywa, wściekłe oczy i pła-

skie, kocie nozdrza widoczne były ponad przeciętą szyją, jak gdyby pożerał on swoją ofiarę. Teraz kłami, zamiast tych namalowanych, były ostre krawędzie szkła.

Śmierć w lwiej paszczy.

Bang! Zegar wybił dwunastą.

21

KONIEC NOCY

Napięcie ustąpiło, choć w pokoju, do którego zawitała śmierć, wciąż jeszcze czaił się strach.

Dziewczyna odeszła. Ktoś jeszcze odszedł. Ktoś, o kim wołał nie myśleć. (Shawn próbował o nim nie myśleć, nie udawało mu się, chociaż stale próbował). Odszedł na zawsze, poza ból, poza strach, poza wrogi czas.

Czas mijał. Klop, klop, klop, ale teraz już dla kogoś innego. Dla następnej żyjącej istoty. Wskazówki znajdowały się na czwórce i na szóstce. Wpół do czwartej rano.

W domu panował spokój. Dawno zamknięto drzwi za ludźmi wynoszącymi nosze.

Teraz Shawn i McManus pozostali sami. McManus podniósł kapelusz, spojrzął nań i wolno włożył go na głowę, jak ktoś, kto przez dłuższy czas zastanawiał się, czy odejść, ale teraz wreszcie podjął decyzję.

— Co to było? — zapytał. — Co mam napisać? Muszę wrócić do miasta. Jutro albo pojutrze będę musiał przygotować raport. Hm, będę miał sprawozdanie lekarza policyjnego. On napisze, że została przecięta tętnica szyjna albo coś w tym rodzaju. Ale co Ja mam napisać, co mam podać w swoim raporcie? Śmierć na skutek wypadku? Śmierć spowodowana zaćmieniem umysłu? Morderstwo pod wpływem sugestii? Śmierć przez zrzącenie losu... — spojrzął z zadumą w stronę okien, w których teraz rozsunięto zasłony, i ujrzał na niebie migotliwe światełka.

— Pan mnie o coś pytał, poruczniku?

— Nie — powiedział McManus. — Pytam samego... siebie. —
Podszedł do drzwi. — Napiszę ten raport, napiszę. Ale słowa niewiele
będą znaczyć. Ponieważ nie tknęła go żadna ręka. A my, policjanci,
jesteśmy po to, aby nikt na nikogo nie podniósł ręki. — Potrząsnął głową.
— Ale jest tyle rzeczy, których nigdy nie będę wiedział na pewno. — A
potem dodał szybko: — A ty?

Shawn milczał. Zgasił światło, a zewnętrzna poświata zbliżyła się i
stała się jaśniejsza.

Wyszli do holu, Shawn posuwał się za swoim szefem.

— Mamy już wszystkie odpowiedzi — powiedział McManus. — To
znaczy ja mam, w biurze. Ale te odpowiedzi niczego nie wyjaśniają. Za
dużo w tej sprawie ciemnych plam. Co prawda zidentyfikowaliśmy tego
człowieka, który został zastrzelony na schodach po wyjściu od
Tompkinsa. To Walter Myers, makler giełdowy Reida. Był
wtajemniczony we wszelkie jego sprawy finansowe, znał wszystkie
inwestycje Reida. Ciągle ta sama stara historyjka. Pokusa, zbyt wielka
gotówka do dyspozycji i zbyt duża bez troska bogatego klienta. Reid przez
lata polegał na nim. Położył rękę na klamce, ale nie przekręcał jej.

— To zabraloby całe lata, aby rozszyfrować jego działania; potrzeba by
też brygad rewidentów. Zanim pójdę, mogę ci powiedzieć, że ta
dziewczyna na górze będzie biedna, może nie tak biedna jak ty i ja, ale
biedna w porównaniu z tym, co miała do tej pory.

— To dobrze — zgodził się cicho Shawn.

— No cóż, on wdepnął w coś trefnego, a potem próbował wydostać się,
rzucając wszystkie pieniądze Reida jako zabezpieczenie. Ale to było zbyt
mało, aby wydostać się na brzeg i, jak to zwykle bywa, pograżał się coraz
bardziej. Wreszcie, któregoś dnia musiał nastąpić krach, wiedział o tym
dobrze. Zaczynało go to dręczyć z taką siłą, jak tamtego...

Wskazał palcem pokój, z którego właśnie wyszli, i Shawn domyślił się,
co miało to oznaczać.

— Jedyna rzecz, która działała na jego korzyść, to fakt, że nie miał
ostatecznego terminu, mógł to jeszcze jakiś czas ciągnąć, miał jeszcze
kilka miesięcy. Ale istniały tylko dwa możliwe wyjścia: albo krach i
wszystko wychodzi na jaw, albo nie czekając na krach, ucieczka. Ale
może nie mógł zdobyć się na ucieczkę. A może sytua-

cja, w jakiej się znajdował, nie pozwalała na ucieczkę jako człowiekowi bogatemu i musiałby uciekać jako bankrut. Musiał więc siedzieć cicho i... umierać ze strachu.

Potem nagle stało się coś, co mogło mu się wydać zrzędzeniem losu. Wśród różnych klientów — a nie miał ich wielu — była bardzo bogata staruszka. Znasz ten typ. Nie tak czerstwa jak Reid i dużo bardziej skąpa, więc miał dość rozumu, aby wiedzieć, że powinien zostawić ją w spokoju. Zauważył jednak, że z niezwykle szczęściem po amatorsku dorabia się ona na drobnych inwestycjach, podczas gdy jego coraz bardziej pochłaniała głęboka woda. Nie wiem, w jaki sposób wyciągnął to od niej. Dowiedział się, że otrzymuje informacje od swojej pokojówki, a pokojówka z kolei uzyskiwała je z jakiegoś jej tylko znanego, tajemniczego źródła.

Ale staruszka umiera, a dziewczyna popełnia samobójstwo. Mamy jednak dość dowodów, aby to wszystko zrekonstruować. Eileen McGuire była zatrudniona jako pokojówka u takiej a takiej kobiety, w takim a takim czasie i wiemy, że ta sama kobieta była klientką pana Waltera Myersa. To dość przejrzyste i logiczne, prawda?

Shawn skinął głową.

— Myers też w końcu dogrzebał się źródła informacji i natychmiast jego zaciekawienie wzrosło. Poszedł więc do tego informatora, aby dowiedzieć się wszystkiego. Od tej pory mamy lukę, którą trzeba wypełnić. Ta część jest tylko zwykłymi przypuszczeniami. Nikt z tych, którzy mogliby nam opowiedzieć, co się tam działo, już nie żyje. Będziemy musieli poradzić sobie sami, wykorzystując wiadomości, które posiadamy. Bo Myers nadal nie dawał sobie rady ze swoimi transakcjami i zwariowanymi pomysłami... Więc można śmiało przypuszczać, że Tompkins nie pomógł mu tak jak tej staruszce. Albo on, albo Myers tak ugrzęzł w tej sprawie, że nawet kilka informacji giełdowych i tak nic nie pomogło. Musiał dotrzeć do bezpośredniego kontrolowania salda fortuny Reida i nie być ciągle rozliczanym, aby pokryć poprzednie sprzeniewierzenia. Można źle ulokować własne pieniądze i nie ponosić za to odpowiedzialności, ale za złe ulokowanie cudzych grozi więzienie.

I tu mamy lont, który zapalono przy bombie. U Tompkinsa pełno było nie zrealizowanych czeków Reida, które ten przynosił

w różnym czasie. Myers zobaczył jeden z nich i to podsunęło mu pomysł, jak to wszystko zaaranżować. Tompkins nie chciał świadomie współpracować, niczego od nikogo nie chciał, więc Myers z premedytacją wszystko tak ukartował, aby mieć na niego jakiegoś haka. Możemy tylko zgadywać, że było to coś pospolitego. Jednak Tompkins był człowiekiem prostym, wieśniakiem, a Myers nieźle go omamił, więc zdawało mu się, że wszystko poszło jak należy.

Jeden z czeków Reida znaleźliśmy w biurze Myersa. Był przez Tompkinsa scedowany na Myersa. Przerobiono go z pięciuset na pięć tysięcy dolarów. Ale był tak sfuszerowany, że nie zrealizowałby go żaden bank na świecie. Ale najważniejsze w tym jest to, że on nigdy i tak nie zostałby przedstawiony w żadnym banku. Myers trzymał go jak miecz wiszący nad głową Tompkinsa. Nie sądzę, aby Tompkins naprawdę scedował na niego ten czek, i nie sądzę, żeby go sfalszował. Gdyby tylko kiwnął małym palcem, mógł mieć w każdej chwili setki takich czeków od Reida. Sądzę, że to wszystko zrobił Myers, a potem groził mu konsekwencjami. — I ta przepowiednia też była sugerowana przez Myersa, aby złamać Reida i doprowadzić go do śmierci?

— Chciałbym być tego pewien. Wtedy wszystko byłoby proste. Ale nie, ona pojawiła się zupełnie niezależnie. Myers nie był w to zamieszany; kiedy usłyszał o tej przepowiedni, chciał ją tylko wykorzystać i tak wszystkim pokierować, by posłużyła jego celom. Próbował manewrować Tompkinsem, miał on zmusić Reida do zmiany testamentu, chciał, aby był jego kolejnym, po córce, spadkobiercą. Wtedy mógłby lepić Tompkinsa jak glinę. Praktycznie cały majątek przeszedłby w łapy Myersa, a Tompkins byłby tylko kompletnie nieświadomą wizytówką. W ten sposób nazwisko „Myers”, byłoby bezpieczne, nie figurowałoby w żadnych dokumentach. — A co z Jean? Powiedział pan, spadkobiercą „po córce”? — Nie sądzę, aby pożyła zbyt długo po śmierci ojca. Myers usunąłby ją z drogi po kilku dniach, a może nawet razem z ojcem dzisiejszej nocy... Nie sądzę też, aby Myers wierzył w tę przepowiednię. Jestem prawie pewien, że próbowaliby w taki czy inny sposób przyłożyć do niej swoją rękę, aby upewnić się, że się sprawdzi; może próbowaliby wmówić im, Reidowi i dziewczynie, że kiedy nadejdzie czas, powinni wspólnie popełnić samobójstwo. Ale nie wiedział,

że zostaliśmy zaangażowani w tę sprawę. Niemniej jeden z naszych chłopców dostał go na schodach i w ten sposób nigdy nie dowiemy się, co zamierzał naprawdę zrobić.

— A potem Tompkins popełnia samobójstwo i ta przepowiednia...

— ...spełniła się jednak — zakończył za niego McManus. — I pozostawiła za sobą to wielkie „dlaczego”. W całej tej sprawie głównym przestępcą był Myers, to on pociągał za wszystkie sznurki. Myers był małym, krążącym na obrzeżu przestępcą, próbującym wepchnąć się w coś, co już się toczyło bez żadnego udziału z jego strony...

— Ale, jak sądzę, Tompkins nie był przestępcą — podsunął Shawn.

— Oczywiście, że nie był. Jego biedna, wymęczona dusza, przeklęta od dnia narodzin, została owładnięta czymś, czego prawdopodobnie nigdy nie mógł sam zrozumieć. Cały czas usiłował się od tego uwolnić. Chłopiec z farmy, z wizją tych jadowitych płomieni przed oczami...

— Biblia mówi, że istnieli prorocy — przypomniał mu Shawn. McManus otworzył drzwi.

Światła gwiazd spadły na ich twarze jak deszcz, bezdźwięczny, niedotykalny.

Spuścili oczy, było im jakoś nieprzyjemnie.

— Nie czuję się dobrze — mruknął buntowniczo McManus. — W tym coś było. Coś, o czym nie mogę napisać w raporcie, aby miało sens. Coś mi się wymyka. Ta aktorka z diamentowym zegarkiem. To dziecko, któreomal nie zostało przejechane. Rewolwer Dobbsa, który zawiódł na schodach. On nawet znał ich *imiona*, Tom... — Jego głos przeszedł w szloch, choć twarz nie zmieniła wyrazu. — Tam coś *było*, i ja nie chcę wiedzieć, co! Mówię ci, nie czuję się dobrze. To jakby początki przeziębienia, a przecież nie jestem przeziębiony! Idę do domu, do mojej starej, napiję się mocnego grogu...!

Ton jego głosu brzmiał kłótliwie, jak gdyby Shawn próbował go zatrzymać, czego przecież wcale nie miał zamiaru robić.

— Idziesz ze mną? — spytał. — Mam cię podwieźć?

Shawn zajrzał do środka, zerknął na schody. — Myślę, że zostanę. W każdym razie dzisiejszej nocy. Ona jest sama.

— Nikogo nie ma w domu?

— To też, ale... no, wie pan, co mam na myśli. Razem przeszliśmy to wszystko — od początku do końca. Odprowadzę pana tylko do samochodu.

Szli drogą z opuszczonymi głowami, patrząc w ziemię, jak ludzie pogrążeni w głębokim zamyśleniu.

Nagle McManus wyrzucił z siebie to, co go dręczyło: — Żałuję, że w ogóle przyprowadziłeś do mnie tę dziewczynę! Żałuję, że ją w ogóle widziałem, że usłyszałem o tej całej historii. — Po chwili dodał: — Założę się, że ty też żałujesz, iż wtedy szedłeś brzegiem rzeki.

— Musiałem — odparł po prostu Shawn. — Musiałem iść właśnie tamtędy, nie było innej drogi.

McManus spojrział na niego z ukrywaną ciekawością.

— Do jutra, Tom. Nie przejmuj się. Idź, gdzie tam chcesz. Patrzył za odjeżdżającym samochodem. Tylne światła migotały wzdłuż podjazdu, aż wreszcie ukazały się na szosie.

Potem odwrócił się i zmęczonym krokiem poszedł ku domowi. Przed nim falowała w świetle gwiazd niebieska smuga cienia. Było chłodno, cicho i ciemno. Nie bał się, ale czuł się bardzo mały, bardzo nieważny. Jednocześnie nie musiał się już martwić, co się z nim stanie — czy będzie dobrze, czy źle. Od teraz wszystko już było ułożone na przyszłość, nic już nie zależało od niego. Zawładnęło nim dziwne uczucie, uczucie lekkości — jakby coś ciężkiego zdjęto mu z ramion.

W górnym oknie ujrzał słabe światełko. To jej pokój. Spała w nim i tam była przy niej pielęgniarzka. Zastanawiał się, czy Jean też to odczuwała.

A kiedy ktoś czuje się w ten sposób, potrzebuje dopełnienia tegoż uczucia. Nie można dźwigać takich uczuć samotnie; wtedy człowiek czuje się zbyt mały, zbyt bezradny. Dwoje bezradnych dzieci w ciemności.

Nie chciało mu się spać. Jak mógłby teraz zasnąć? Zapalił papierosa i stał na żwirze, czekając. Na światło dnia, na chwilę, gdy ujrzy ją znowu. Nagle odrzucił papierosa. Drzwi drgnęły. Coś białego, zarys twarzy, pojawiło się w lekko uchylonych drzwiach.

— Kto to? Czy to ty?

Drzwi otworzyły się szerzej, twarz pochyliła się.

— Wyjdź. Wyjdź do mnie.

Stała, wahając się. Zobaczył, że patrzy gdzieś ponad jego głową, a potem szybko spuszcza oczy.

— Nie bój się. To tylko kilka kroków. Tu jestem. Wyciągam ku tobie rękę.

W jednej chwili była przy nim. Przywarli do siebie.

— Powinnaś odpocząć.

— *Ona* zasnęła, a ja ciągle nie mogę spać. Wiedziałaś, że gdzieś cię znajdę. Wiedziałaś, że nie odejdziesz ode mnie. Chcę być tam, gdzie ty, wtedy czuję się dobrze. Nawet tu, poza domem, na otwartej przestrzeni.

Przymknęła oczy.

— Rozchyl płaszcz, pozwól mi się tam ukryć, zasłonić twarz.

Przyłożyła głowę do jego piersi, jakby jeszcze bardziej chciała się do niego przytulić. Okrył połamami płaszcza prawie całą jej głowę. Wtuliła się w niego jak w opiekuńczy kokon.

Stali tak spokojnie i milczeli. Oddychali równo. W ten sposób coś sobie wyznawali. Samotne dzieci w nocy.

— Nie bój się. Trzymam cię w ramionach. Nigdy więcej nie będziesz sama. Spokojnie, kochanie, gwiazdy odejdą, jedna po drugiej. Zbliża się poranek.

Ale jego oczy uniosły się niepewnie w górę, obserwując te odległe, nieodgadnione, błyszczące punkciki.